

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXIV.

ROK IX.

TOM II.—ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1884.

Druk ukończono 1 Maja 1881 r.

CHOROBY WOLI.

Th. Ribot. Les maladies de la volonté. Paris 1883, in 18, str. 180. (Bibliothèque de Philosophie Contemporaine).

Możnaby powiedziéć, że dawna psychologia tak nas zmęczyła swoim idealnym typem człowieka, oderwanego od prozy życia i władającego pełnią tylko najwyższych władz ducha, że z przyjemnością wynajdujemy teraz wszystko, co mu jego królestwo światowe uszczupla, skrzydła idealne podcina, a przynajmniéj podwiązuje, i z dziedziny mitów sprowadza w szeregi... organizmów.

Nie pisujemy téż książek *o doskonałości rozumu* albo *o potędze woli ludzkiéj*— jak to dawniéj było we zwyczaju—ale raczéj o *granicach* poznania, o *zboczeniach* mowy albo o *chorobach* woli.

Takie tematy są na czasie, są pożądane i popierane — ponieważ musimy się zemścić na dawnéj psychologii za wszystkie jéj idealne nadużycia.

Niema rady! Historya nauki nie przedstawia saméj *ciągłości* tylko, ale i *przeciwstawność* także. Gdyby następcy Kanta nie byli przeholowali w atrybucyach woli ludzkiéj, nie byliby Sieczenow i Herzen tacy zapamiętali w sprowadzaniu jéj do odruchów; gdyby Fichte nie był gwałtem wyniósł swojéj „jaźni" do godności samotwórcy i prawodawcy, Krishaber nie byłby takim upartym w zbieraniu faktów, dowodzących, że naruszenie wzgórków wzrokowych, albo tkanki szaréj półkul, zdoła tę wszechpotężną jaźń zrujnować i—zakłopotać nawet tak biegłego dyalektyka jak Paweł Janet.

Jedném słowem oddajemy sobie piękném za nadobne. Nosiła wola metafizyków, ponieśli i wolę.

Ale co najgodniejsze uwagi w tym pojedynku dwu szkół i dwu pokoleń, to to, że biczem bożym na górnolotne pretensye woli stał się łagodny Ribot.

Ostrożny i sumienny sprawozdawca psychologów angielskich i niemieckich, doskonały redaktor *Revue philosophique*, od kilku lat zabrał się do prac nieco bardziéj samodzielnych i wydał najprzód cenne dzieło *O dziedziczności psychicznéj*, następnie zajmującą rozprawę *O chorobach pamięci*, wreszcie ostatnią *O chorobach woli*. A ponieważ jest-to w swoim rodzaju praca pierwsza i ze względu na temat ważna, godzi się przypatrzéć jéj nieco bliżéj.

Że Ribot jest ostrożny, świadczy o tém z góry uczyniona zapowiedź, że mówiąc o chorobach woli, nie poruszy wcale kwestyi wolności woli, i całą rzecz przedstawi tak, żeby na wywód jego zgodzić się mogli zarówno determiniści jak i ich przeciwnicy (str. 3).

Po co ta wstydliwość?

To nie jest wstydliwość, odpowiada autor, ale metoda. Metoda, „która każe psychologii wyrzéc się dociekania *przyczyn pierwszych*."

Bardzo słusznie; ale kwestya determinizmu w psychologii nie jest wcale kwestyą pierwszych przyczyn. Chodzi w niéj po prostu o to, czy prawo przyczynowości, przyjęte w całéj dziedzinie nauk spostrzegawczych, obowiązuje i w psychologii — czy téż nie?

Wszystkie prace autora, nie wyłączając i ostatniéj, dowodzą że tak, niepotrzebnie więc w przedmowie chce być pozytywniejszym od... samego siebie.

Ale mniejsza z tém — przystąpmy wprost do przedmiotu.

W jaki sposób zadanie o chorobach woli mogłoby być wyczerpaném?

Sądzę, iż rozkład następujący wynika z saméj natury rzeczy.

Przedewszystkiem, chcąc wiedziéć jaką jest wola gdy choruje, potrzeba wiedziéć jaką jest, gdy jest zdrowa.

Ogólne tedy pojęcie *woli normalnéj* winno poprzedzać wykład jéj zboczeń.

Następnie, co do samego pojęcia „choroby" woli.

Choroba w organizmie cielesnym znaczy *naruszenie równowagi funkcyj*: chyba więc w tém samém tylko znaczeniu można mówić o chorobach woli, jako o pewnego rodzaju naruszeniach równowagi i harmonii pomiędzy wolą a innemi władzami duchowemi, albo między składnikami saméj woli, skoro okazuje się, że nie jest ona siłą prostą, ale objawem bardzo zawiłym i złożonym.

Ponieważ jest objawem złożonym, może być chorą, czyli naruszać równowagę i harmonią funkcyj nietylko przez to, że będzie wyjątkowo słabą albo nadmiernie silną, ale także i przez to, że składniki jéj nie będą w zgodzie ze składnikami innych funkcyj, albo że nie będą w harmonii same z sobą. W miarę tych różnych wypadków należałoby rozklasyfikować obserwacye typowe osobno, przejściowe obok siebie.

Nareszcie, jeśli studyum ma być kompletne, należałoby wykazać, o ile to podobna, *przyczyny* tych zboczeń i *środki* do ich usunięcia prowadzące. Wówczas praca, oprócz wartości opisowéj, miałaby także wartość rozumową i obok znaczenia teoretycznego—praktyczne.

Oto jest w zarysie nasz ideał rozprawy o chorobach woli, ideał, któregobyśmy prawdopodobnie nie urzeczywistnili w całości sami, ale ponieważ chodzi o krytykowanie drugich — bądźmy surowi.

Otóż zestawiając ten plan z tém, co zrobił Ribot, musimy go zgromić za liczne braki i niedokładności.

Najprzód, napróżno czytamy dość obszerny wstęp (str. 1—34) raz i drugi, szukając określenia woli normalnéj,— nie znajdujemy go. Autor jest jakby nieswój, jakby skrępowany. Ma dobre myśli, ale nie wie co z niemi robić. Mówi nam dużo o wyobrażeniach, o odruchach, o ewolucyi woli w duchu Spencera, trochę o uczuciach, trochę o wyborze, prawie nic o popędach— zupełnie nic o woli jako władzy.

Kto temu winien?

Prawo przeciwstawności. Dawniejsi psychologowie tak nadużyli pojęcia woli jako władzy, że niektórzy dzisiejsi boją się nawet wyrazu „władza", ażeby ich nie posądzono, że przyjmują byty odrębne, substancyonalne, takie jak Rozum, Um, Rozsądek albo Wola, będące niby ministrami królowéj Jaźni.

Cóż z tego wynikło? Oto to, że gdy nam Ribot mówi o woli, to właściwie nie wiemy czy mówi o rozumowaniu, czy o asocyacyi, czy o drażliwości nerwowéj, czy téż istotnie o woli.

Boi się on nietylko wyróżniać wolę od innych władz, ale nawet idee od uczuć, a uczucia i idee od popędów. Stąd chaos. Trzeba autora znać osobiście, ażeby wiedziéć co chciał powiedziéć. Czytamy np. wola jest „działalnością ideo-motorną, która to nazwa jest tém właściwszą, że *idee są przyczynami ruchów*" (str. 6).

Gdyby ktoś chciał to zdanie wziąć do serca, mógłby napaść na Ribota za brak elementarnéj znajomości psychologii, idee bowiem nigdy nie są „przyczynami" ruchów. Ale on wie o tém bardzo dobrze i zaraz, dwie stronnice daléj, sam powiada, że „w rzeczywistości idea *nie wytwarza ruchu*: taka całkowita i nagła zmiana funkcyi byłaby czemś cudownem."

Więc Ribot jest ze sobą w sprzeczności? I to nie. On poprostu nie może sobie dać rady z odróżnieniami, które trzeba było zrobić, a których nie robi, z obawy przed widmem dawnéj psychologii. I wynika z tego to, iż zastrzegłszy się, że idee (wyobrażenia) nie powodują ruchu, tylko że sprawia go „stan fizyologiczny," który im

towarzyszy — znowu dzieli te nieszczęśliwe idee czyli *wyobrażenia* na trzy grupy: 1) z nieprzepartém dążeniem do ruchu, 2) ze średniém dążeniem do ruchu, 3) z minimalném dążeniem do ruchu, z których to grup tylko ostatnia obejmuje *idee*, a dwie pierwsze *popędy* i *namiętności*, a więc coś całkiem różnego.

Na dobitkę w przypisku powiada (str. 10): że „zdarza się, iż wyobrażenie ruchu jest samo przez się niezdolném do wytworzenia ruchu.“ Tak, że czytelnik ostatecznie nie wie, czy wyobrażenia są *przyczynami* ruchów, czy *nigdy* nie wytwarzają ruchów, czy téż *zdarza im się*, że nie mogą wywołać ruchu. Czyta daléj i dowiaduje się, iż „można śmiało powiedzieć“, że „*tylko uczucia* kierują człowiekiem“ (str. 12). Jeszcze daléj, że „*idea* obowiązku“ może powstrzymać „gniew“ (str. 20). Więc ostatecznie idee mogą powstrzymywać namiętności? — I to nie. Tylko uczucia, właściwie nawet „tylko to uczucie, które jak *strach*, *bojaźń*, *obawa*, mają własności paraliżujące“ (str. 22).

Czemże więc ostatecznie jest *wola*, pobudzająca lub wstrzymująca?

Jest *wyborem* (str. 26).

„Od chwili, kiedy jakiś *cel* jest wybrany, działa on na wzór tego, co metafizycy nazywają przyczyną ostateczną: pociąga za sobą wybór środków do spełnienia tego celu odpowiednich“ (str. 26).

Ten wszechpotężny „cel“ cóż to jest psychologicznie? Jest-że to wyobrażenie, uczucie, czy popęd?

Tajemnica!

A czemże jest sam wybór?

„Co do formy jest niczém więcéj jak twierdzeniem praktyczném, *sądem*, który się spełnia“ (str. 26).

Więc nie *uczucie* tylko *sądy* kierują wolą?

Uczucia, cele, sądy, wola — wszystko jedno.

„Ze strony psychologicznéj i wewnętrznéj nic nie wyróżnia *sądu* w znaczeniu logiczném, czyli twierdzenia teoretycznego, od *chcenia*; chyba to, że to ostatnie objawia się czynem“ (str. 27).

Bagatela! Ależ właśnie w téj różnicy leży cała istota woli; gdyby wola nie była możnością działania, toby nie była wolą. Wygląda to tak, jakby ktoś powiedział: dom malowany nie różni się niczem od prawdziwego, *chyba* tém, że w drugim można mieszkać a w pierwszym nie!.. Zresztą i niezależnie od czynów, czysto „psychologicznie i wewnętrznie,“ doskonale czujemy różnicę między „ja chcę“ i „ja sądzę“, pierwsze bowiem mieści w sobie poczucie subiektywnego ruchu i wysiłku, którego brak drugiemu. Po cóż więc zbliżać rzeczy, któreby raczéj dokładnie wyróżnić należało?

Ale autor brnie daléj.

Odrzucając wybór bezprzyczynowy (mimo wstępnych zastrzeżeń, że nie będzie deterministą!), szuka podstaw dla tego wyboru i tak konkluduje: „Wybór opiera się zawsze na *powinowactwie* (?), na podobieństwie natur, na przystosowaniu. Jeśli mamy kilka celów do wyboru, to po pewnych wahaniach wybieramy zawsze ten, który z sumą stanów świadomych, półświadomych i bezwiednych (czysto-fizyologicznych — dodaje autor — nieuznający psychicznych bezwiednych), stanowiących w danéj chwili osobę, jaźń, przedstawia pewną odpowiedniość, analogią naturalną, *powinowactwo*. Jest to jedyne możliwe wytłómaczenie wyboru, jeśli niechcemy uznać go za bezprzyczynowy" (str. 29).

To „powinowactwo" kręci się ciągle po rozprawie, jak Marek po piekle; a nie wiem doprawdy, czy komu co tłómaczy. Dajmy na to, że ktoś ma do wyboru trzy materye na suknią, jedną w paski, drugą w kratki, trzecią w kropki i wybiera np. w kratki. Czy ma to znaczyć, że między materyą w kratki a sumą jego stanów świadomych, półświadomych i bezwiednych zachodzi jakieś *powinowactwo*? analogia naturalna? albo odpowiedniość? Znaczy to po prostu, że kratki więcéj mu się podobają niż paski lub kropki, czyli że widok ich sprawia mu większą *przyjemność*. Po co tu wprowadzać mętne wyrazy, kiedy rzecz jest jasna i prosta! Gdyby jeszcze autor nie wiedział o tém, że zawsze większa przyjemność, teraźniejsza lub przyszła, fizyczna lub moralna, powoduje naszym wyborem; możnaby go wówczas zrąbać, i jeżeli nie czytelnikowi, to przynajmniéj krytykowi dałby pewnego rodzaju satysfakcyą. Ale kiedy on o tém wie doskonale, tylko że zdania jasne i treściwe popakował w przypiski, a tekst zamącił nieokreślonemi „powinowactwami."

W przypisku mianowicie do str. 30 tak powiada: „Wyraziliśmy powyżéj w innéj formie ten fakt oczywisty, że wybór odbywa się zawsze w duchu większéj przyjemności. Wszelkie stworzenie rozumne lub nierozumne, zdrowe lub chore, nie może pożądać czego innego, tylko tego, co w danéj chwili wydaje mu się największém dobrém, albo najmniejszém złém. Nawet człowiek, przenoszący śmierć nad hańbę, wybiera tylko drogę mniéj nieprzyjemną. Przeciwny wypadek jest niemożliwym. Jest-to prawda psychologiczna tak jasna, że już starożytni podali ją za pewnik, i trzeba było całych tomów metafizycznych, ażeby ją zaciemnić."

To się nazywa mówić jasno! Wierz albo nie wierz, ale nie możesz powiedzieć że nie wiesz o co idzie.

Na nieszczęście przypisków we wstępie jest mało, a tekstu dużo. I znów wracamy do dowodzenia, że „wola uważana jako stan świa-

domości, jest niczém więcéj jak tylko twierdzeniem lub przeczeniem“ (str. 29)!.. tak, że mimowolnie bierze ochota powiedziéć, iż u autora jest ona i jedném i drugiém odrazu. Ale byłoby to niesprawiedliwością. Autor bowiem nie wpada w pospolite sprzeczności. Cała ta plątanina wynika nie z niejasności pojęć, tylko z błędnéj metody terminologicznéj, z nadmiaru ostrożności.

Kiedym mu te zarzuty przedstawił osobiście, chcąc się przekonać czy dobrze myśli jego rozumiem, mieliśmy ze sobą następującą rozmowę:

— Pozwól pan, że mu streszczę własną jego teoryą, a pan mi powiesz, czy ja rozumiem dobrze.

— Zgoda.

— Otóż, odróżniasz pan w woli jak gdyby dwa piętra: wyższe obejmuje „stan świadomy“, wyrażający się w twierdzeniu, w sądzie, w orzeczeniu „ja chcę“ albo „ja niechcę.“ Jest to tylko firma pojęciowa woli. Nie ma ona żadnego realnego wpływu na czyny, na działania, na ruchy. Czy tak?

— Najzupełniéj.

— Drugie piętro, niższe, stanowi właściwe przyczyny ruchu i czynów. Jest-to „stan fizyologiczny“, są to uczucia, popędy, skłonności, przyzwyczajenia, charakter, jedném słowem, mechanizm fizyologiczny, w części wrodzony, w części nabyty. Wszak tak?

— Niewątpliwie.

— Dobrze; otóż ja zarzucam panu, że jest w tém pomieszanie rzeczy różnych i sztuczny rozdział podobnych.

— W jaki sposób?

— W taki, że wypadałoby z tego, iż uczucia i popędy nie są stanami świadomości.

— Bo téż właściwie są one niejasne.

— Zwykle, ale niezawsze; a powtóre jasne, czy niejasne, są stanami świadomości, wszak i idee mogą być jasne lub niejasne. A nadto, z drugiéj strony mieszasz pan ciągle idee z uczuciami i popędami.

— Bo téż ja jestem tego zdania, że nie ma idei bez uczuć, tylko że ich nie dostrzegamy.

— Tak samo możnaby powiedziéć, że nie ma ciemności bez światła, tylko że go nie widzimy. Ale w takim razie po cóż mieszać rzeczy różne, a nawet sprzeczne. W rzeczywistości wszystko się plącze, wszystko przechodzi jedno w drugie, ale rzeczą teoryi jest oddzielać i określać, inaczéj nigdy nie dojdziemy do porozumienia.

— A jednak rozumiemy się doskonale.

— Tak, ale nie każdy czytelnik zna pana osobiście!..

— Ha, w takim razie moja wina. Zresztą przyznaję panu, że ten ustęp był napisany pośpiesznie.

— Mam więc prawo zrobić w krytyce zarzuty powyżéj przytoczone.

— Najzupełniejsze.

Mając tedy upoważnienie autora, pozwolę sobie trochę przerestaurować dwa piętra jego psychologii.

A najprzód, uważając dolne tylko za podkład górnego, na tém ostatniem umieścimy *wszystkie* stany psychiczne bez wyjątku, podzielone na trzy kategorye zasadnicze: *wyobrażeń*, *uczuć* i *popędów*.

Wyobrażenia są objektywném, obojętném odbiciem rzeczywistości; kombinując się z sobą, wytwarzają różne stopnie abstrakcyi, pojęcia i idee, a układając się w żywe pasma, tworzą rozumowania, sądy, wnioski. Symbolizują one niejako całe życie duchowe, ale same byłyby niezdolne do wytworzenia czynów. Wyobrażenia mają różny stopień jasności, względnie—siły. Intensywniejsze mają zawsze odcień uczuciowy.

Uczucia są subjektywném odbiciem rzeczywistości, albo lepiéj podmiotową reakcyą na wrażenia rzeczywistości. Reakcya ta jest wprawdzie w zasadzie bierną we wzruszeniach, poczuciach, żalach, życzeniach i t. p. stanach duchowych, różni się jednakże tém od poprzednich, że obok większéj lub mniejszéj jasności, ma zawsze większą ekstensywność, czyli siłę rozprzestrzeniania się. Uczucia bardziéj od innych ekstensywne przechodzą w popędy.

Popędy są uczuciami, które przeszły w stan czynny, wprost albo pośrednio przez szereg powtarzań odruchowych i nałogowych. One to są najbliższemi i najistotniejszemi motorami woli, wyrażonéj lub nie w sądach, wyrażonéj prawdziwie lub błędnie, świadomie lub bezwiednie, szczerze lub obłudnie.

W całém tém państwie duchowém jest jedno ognisko zwane „ja."

„Ja" jest utworem *złożonym*, mimo swéj wybitnéj koncentracyi. Jest wyobrażeniem naszego ciała, wyobrażeniem naszych ruchów obecnych lub wspominanych, jest poczuciem cielesno-duchowém, opartém na wrażeniach wewnętrznych, mniéj lub więcéj niejasnych jest siłą, a raczéj firm ąsiły, która z dolnego piętra podtrzymuje jego działalność—jest tém wszystkiém razem, z dodatkiem jeszcze podmiotowo najgłębszych uczuć i popędów, bądź realnych, bądź idealnych, które w danéj chwili przeważają w jego składzie.

Wola, będąc wypadkową popędów, jest w istotnych swych ogniwach ujawnieniem owego „ja." Jeżeli popędy są wyrazem *potrzeb* całego organizmu materyalnych lub moralnych, wrodzonych lub na-

bytych—to wola nie zawsze jest wypadkową tych wszystkich potrzeb, stanów i motywów, ale zawsze jest wypadkową tych wszystkich, które „jaźń“ w danéj chwili stanowią. *Wola normalna jest wyrazem jaźni.*

Mówić o chceniu, nie mówiąc o jaźni, jak to czyni Ribot, jestto z konieczności narażać się na niemożność dojścia do pojęcia *woli normalnéj*, a tém samém i *choroby woli.* Na nic mi się nie zda wiedziéć, że „ja chcę“ jest sądem, jeśli nie będę wiedział *czyim?* Wszystkie kwestye woli mieszczą się pomiędzy „ja“ i „chcę“, nie zaś w samém „chcę.“

Bez uwzględnienia tego ścisłego, przyczynowego zawiązku, owo „chcę“, jaknajdokładniéj rozbierane, będzie zawsze wisiało w powietrzu. A mylą się téż ci, którzy sądzą, iż podstawienie zamiast „ja“ całego organizmu— rzecz wyjaśnia. Przeciwnie, robi ją ciemną. Cóż z tego, że istotnie cały organizm bierze udział w objawach życia, a więc i woli, kiedy udział ten jest tak odległym i tak dla nas ciemnym, że zapewnienie o nim nie tłómaczy żadnego aktu.

Gdybyśmy tę zasadę chcieli przyjąć ściśle, to właściwie nie tylko cały organizm, ale cały wszechświat musielibyśmy brać w rachunek dla wytłómaczenia jednego kaprysu ludzkiego: w gruncie rzeczy bowiem przyczynowość tego wymaga; i w zasadzie nie może ulegać wątpliwości, że na każdy nasz czyn, chory czy zdrowy, składa się nie tylko mój organizm i jego przeszłość, ale całe legiony przodków, którzy mi to lub owo dziedzicznie przekazali, ale całe obszary wpływów. które na tych przodków działały.

Tylko i takiéj, niemożliwéj zresztą do osiągnięcia, ścisłości, nawet najściślejsze nauki, jak mechanika i fizyka, nie wymagają. Wskazuje się zawsze tylko przyczyny najbliższe, najistotniejsze, a taką dla woli, w najwyższém jéj usamowolnieniu, jest jaźń—to znaczy ogół warunków psychicznych, stanowiących w danéj chwili podmiot.

Autor o téj zależności, jak widzieliśmy, wspomina (str. 29), ale ją następnie zaniedbuje, i spuszcza z uwagi—zawsze wskutek mimowolnéj może reakcyi przeciw psychologii dawnéj, która znów tylko w jaźni widziała wszystko.

Dlatego to tak trudno mu, wyjaśnić sobie hamujące działanie woli, tak ważne w życiu normalném, tak łatwo ginące w chorobie.

Gdyby był pamiętał, że jaźń jest stałym stanem psychicznym, opartym na bezustannych wrażeniach wewnętrznych, że jest stanem natury nietylko intensywnéj, ale i ekstensywnéj, ponieważ wrażenia wewnętrzne, na których się wspiera, mają przeważnie charakter uczuciowy, przyjemności lub przykrości, a więc ekstensywny; gdyby

pamiętał, że podścieliskiem dynamiczném téj jaźni jest tak zwana „mimowolna energia“ Baina, to znaczy: zasób siły żywéj, gromadzącéj się po każdym względnym spoczynku;—wówczas nie dziwiłoby go, że powstałe ze zjednoczenia tych wszystkich czynników napięcie dynamiczne mózgu, może a nawet musi powstrzymywać, lub przynajmniéj osłabiać przebieg odruchów; i nie potrzebowałby z naiwnością niektórych fizyologów, patrzących na nerwy jak na druty, przypuszczać albo osobnych „centrów wstrzymujących odruchy“, albo téż, uważając mózg za prosty przewodnik, tłómaczyć, że po wycięciu mózgu odruchy są silniejsze, ponieważ zamiast dwu dróg zostaje im tylko jedna, przez mlecz!

Fizyolog przywykły do doświadczeń na zwierzętach, gdzie ów stan podmiotowo-dynamiczny jest słaby, może uledz skłonności fizykowania w teoryi i mówić nam o systemie nerwowym tak, jakby już leżał przed nim wycięty i pół martwy; ale fizyolog-psycholog nie powinien zapominać o tém, że w pełni życia jest tam walka sił jakiéj słabym przykładem na drutach, mogą być dwa prądy przeciwne, paraliżujące się wzajemnie. Tém bardziéj też nieczynność żywego mózgu nie zawsze jest dowodem braku pobudzeń—częściéj dowodzi ona tylko obecności pobudzeń sprzecznych, zrównoważonych.

Ribot, który, jak to z rozmowy z nim wnoszę, uważa uwydatnienie „hamującéj“ czynności woli, dotychczas zaniedbywanéj, za główną swą zasługę, musiał się w objaśnieniach jéj zaplątać, dlatego właśnie, że miesza idee z uczuciami i że zapomniał o téj przyrodzonéj własności stanów fizyologicznych odpowiadających uczuciom, własności *rozsprzestrzeniania się* (1). Gdy jeden taki stan, o silném napięciu, opanuje obie półkule mózgu, jak to bywa w pełnych objawach monomanii, swobodna kombinacya motywów staje się oczywiście niemożliwą, jeden jedyny decyduje o wszystkiém. Gdy dwa stany sprzeczne następują szybko po sobie, objawia się zmienność aktów, jako wynik chwiejności woli. Gdy wskutek nierównego funkcyonowania półkuli, zjawią się dwa stany różne współcześnie jeden w jednéj, drugi w drugiéj, następuje walka, wyczerpująca siły i kończąca się zwycięstwem namiętności lub nałogu silniejszego.

Przeciwnie, gdy takich silnych stanów ekstensywnych w mózgu wcale niema, wówczas przeważa nad nim móżdżek, działający automatycznie, na zasadzie dziedzicznych lub nabytych przyzwyczajeń.

(1) W rozprawie niemieckiéj użyłem do oznaczenia téj własności wyrazu „Raumstaerke.“

Gdy i móżdżek jest osłabiony, przeważa mlecz pacierzowy i rdzeń przedłużony a wtedy działalność staje się wyłącznie odruchową, kapryśną, zależną od pierwszéj lepszéj chwilowéj pobudki.

We wszystkich tych wypadkach, tak różnych, jest jednak zawsze choroba woli, ponieważ niema swobodnéj asocyacyi popędów, ponieważ niema normalnego stosunku przyczynowego między jaźnią i wolą.

Zgodnie z planem przyjętym przez autora, pomówimy najprzód o *osłabieniach* woli, ażeby przejść następnie do porażeń głębszych, które nazywa zupełném *zniweczeniem* woli.

O chorobliwém *spotęgowaniu* woli nie mówi wcale. Dlaczego? Oto przypuszcza a przynajmniéj każe się domyślać, że spotęgowanie jéj, choćby największe, nie może być chorobą. Jest to rzeczywiście kwestya dość zawiła, i odnośnych wypadków patologicznych nie wiele znaleśćby można; ale jednak sądzę, że nie należało jéj całkiem pomijać; i nie byłby tego uczynił autor, gdyby z rosprawy swéj nie był wykluczył wogóle wszystkiego, co z dziedziny psychiatryi przenosi nas raczéj w dziedzinę pedagogiki. Tam bowiem chorobliwe spotęgowanie woli, zwane *uporem* lub *zaciętością*, występuje wybitniéj niż w sferze właściwéj patologii. Skoro jednak, jak zobaczymy następnie, nie pominął takich osłabień woli, które są właściwie tylko wadą charakteru a nie chorobą duchową w lekarskiém znaczeniu, to tém samém i téj formy wprost przeciwnéj pomijać nie należało.

Zresztą *hipertrofia* woli i w ściśle patologiczném pojęciu jest tak dobrze chorobą jak *atrofia*. Nie jest-że chorym duchowo człowiek, który przy średnio-rozwiniętym rozumie, przy braku lub upośledzeniu tych przymiotów uczuciowych, które stanowią „serce," posiada gwałtowną, nieprzepartą żądzę działania wbrew wszystkiemu i wszystkim? Wszakże takich właśnie w życiu najczęściéj nazywamy „waryatami." Są to awanturnicy wszelkiego rodzaju, proste warchoły lub głośni tyrani, zbrodniarze lub bohaterowie dzikich zasad.

Niekiedy hipertrofia woli trafia się i przy wyższych zdolnościach umysłowych i przy głębokich, chorobliwie tylko spaczonych uczuciach.

Warszawscy czytelnicy przypomną sobie zapewne głośną przed kilku laty sprawę o zabójstwo Dra *. Zabójcą był człowiek uczciwy, powszechnie szanowany mimo swych dziwactw, szanowany za liczne dowody energii i wytrwałości, za szlachetne uczucia dla ogółu. Można było na niego liczyć, bo gdy coś postanowił, to dotrzy-

mał. Otóż ten człowiek zabija naraz dawnego swego przyjaciela, zabija podstępnie, na podstawie słabych poszlak przeniewierzenia się przyjaźni, zabija nie w chwili wyjątkowego szału, po którym by żal nastąpił, ale rozważnie, w upartém postanowieniu pomszczenia własnego honoru.

Lekarze wszyscy uznali go za obłąkanego. Nie mogli się tylko porozumiéć co do nazwy choroby. Dla jednego była to *Melancholia passiva*, dla drugiego *Mania activa*, dla trzeciego „Primaere Verruektheit,“ dla czwartego „paraliż postępowy.“ Ponieważ panowie ci byli łaskawi dopuścić mnie do dyskusyi, utrzymywałem, że podsądny jest całkowicie zdrów na umyśle i że nie ma powodu przewidywać, jak to czyniono, ani bliskiego wybuchu obłędu w téj lub owéj formie krańcowéj, ani objawów paralitycznych. Nadużycia alkoholiczne i okoliczności życiowe mogły od czasu do czasu wywoływać w nim nastrój patologiczny; sprzyjała mu dziedziczna organizacya nerwowa z pewną wykrytą przez lekarzy dyssymetryą półkul, ale jedyną wyraźną i niewątpliwą chorobą była, nieobjęta dotychczas podręcznikami psychiatryi—*choroba woli*. Wyjątkowo silna ale zarazem gwałtowna, niepohamowana wola, któréj zawdzięczał majątek i szacunek, skrzywiona przez okoliczności życia, wydała zbrodnię. Była to więc choroba charakteru, hipertrofia woli przy zdrowym umyśle. Dosyć było bez uprzedzenia posłuchać przemówień podsądnego, często jędrniejszych i ściślejszych od niektórych innych, ażeby się przekonać, że nie rozum tam cierpiał.

Osłabienia woli dzieli Ribot na dwie grupy, w miarę tego czy pochodzą 1) z braku pobudek, czy 2) z nadmiaru pobudzeń.

W tym ostatnim wypadku wyraz „osłabienie“ może się wydać nie właściwie użytym. Ale ponieważ istota woli normalnéj polega na samodzielności, a samodzielność może cierpiéć zarówno na braku bodźców, jak i na ich nadmiarze lub spotęgowaniu co do siły—można więc przyznać, że wola normalna jest a przynajmniéj bywa w obu razach osłabioną.

„*Niezdecydowanie* ze słabości lub z braku pobudek wynikające jest już początkiem choroby. Swoją drogą słabość pobudek może wynikać ze zbyt wielkiego bogactwa wyobrażeń (czytaj: popędów), ale zwykle, najczęściéj wynika z ubóstwa myśli“ (1). Dość że dotknięty tą chorobą człowiek staje się popychadłem wrażeń, niezdolny do samodzielnych i stanowczych postanowień.

Pierwszy przykład jest dawną obserwacyą Esquirola:

---

(1) Przytaczam według autora, ale właściwie bogactwo albo ubóstwo wyobrażeń nie gra tu żadnéj roli. Okaże się to zresztą na samych przykładach.

Pewien wysoki urzędnik dostał, pod *wpływem zmartwień*, napadu monomanii. Po pewnym czasie rozum całkowicie odzyskał, ale stracił *wolę*. Nie był w stanie nic przedsięwziąć. Usunął się też od ludzi, choć nie miał już do tego powodu, owszem *wiedział*, że źle robi. Gdy mu radzono podróż, przyznawał, że byłaby dlań rozrywką, ale „cóż chcecie“, mówił, „nie mogę się zdobyć na żadne postanowienie.“ „Zróbcie tak żebym mógł chciéć działać w jakikolwiek sposób. Faktem jest, że *jeśli mam wolę, to tylko na to, żeby nic nie chciéć.*“

Bennet, lekarz angielski, przytacza inny przykład chorego, który bardzo często nie mógł wykonać najprostszych rzeczy, choć żadnych objawów bezsilności mięśniowéj, ani paraliżu nerwów nie było. Często, potrzebował paru godzin ażeby się rozebrać, co chwila bowiem odchodziła go chęć rozbierania się. Zresztą władze umysłowe były w zupełnym porządku. Jednego dnia zażądał szklanki wody, a gdy służący ją podał, przez pół godziny nie mógł się zdobyć na wypicie jéj.

Podobne ubezwładnienie woli *pod działaniem opium*, opisuje de Quincey. Napisał on książkę, do któréj przywiązywał wielką wagę, ale gdy trzeba było dorobić przedmowę i dedykacyą, wola go opuściła i mimo dwukrotnéj zapowiedzi książka nie wyszła.

Ostatni przykład z téj grupy obserwował Billod; dotyczy on człowieka lat 65, zdolnego notaryusza i zamiłowanego w swym fachu. Usunąwszy się od zajęć, popadł on w zupełny bezwład woli. „Chory, mówi Billod, jest bardzo często w zupełnéj niemożności postanowienia czegokolwiek, pomimo że chciałby działać i że sąd ma zdrowy...“

Lekarz postanowił go wywieść do Włoch. Gdy mu oznajmiono, że ma wkrótce wyjechać, odpowiedział, że nigdy w świecie nie zdecyduje się na podróż, chociaż wie, że toby go rozerwało. Rano w dzień wyjazdu wstał o 6-éj, ażeby uprzedzić znajomego, że nie będzie mógł jechać. Spodziewano się więc z jego strony oporu. Tymczasem, gdy przyszła godzina, nie robił żadnych przeszkód i tylko czując, że postanowienie wkrótce go opuści, rzekł: „gdzież jest dorożka, żebym już prędzéj w niéj siedział!“

W Marsylii potrzebował napisać upoważnienie dla żony do sprzedania domu. Napisał je, ale gdy przyszło zacyfrować wszystkie stronnice, wola go opuściła, poruszał ręką w powietrzu, jakby pisząc (dowód że przyczyna bezwładności niebyła w ręce), ale nie mógł się zdobyć na samę chęć napisania. Jest tém zniecierpliwiony, uderza nogą o podłogę, znów się zabiera do pisania—naprożno. Tak walczył z sobą trzy kwadranse, zanim zdołał jako tako pocyfrować stronnice.“

Pozwolę sobie w tém miejscu wtrącić fakt następujący:

Doświadczenie działo się przed trzema laty w Krakowie w mieszkaniu prof. dra Adamkiewicza. Robiliśmy próby hipnotyczne na paru studentach, gdy wszedł p. K. znany artysta malarz.

Przekonawszy się, że jest wrażliwy, zrobiłem z nim następujące doświadczenie.

— Czy może mi pan wyrysować trójkąt ołówkiem?

— Dla czegóżby nie, odrzekł z uśmiechem.

Gdy wyrysował, dotknąłem głowy palcem (działanie kateplektyczne).

— A teraz, niech pan będzie łaskaw drugi taki sam trójkąt narysować obok pierwszego. Ma pan już wzór, więc nie będzie trudno.

P. K. wziął ołówek i zaczął nim poruszać w powietrzu nad papierem.

— Czemuż pan nie rysuje?

— Nie mogę.

— Dlaczego? Może pan ma rękę bezwładną?

— Gdzież tam, ręka zupełnie swobodna.

— To może pan jest odurzony hipnotycznie i nie wie o co chodzi?

— Owszem, wiem doskonale, że mam narysować drugi taki sam trójkąt, obok pierwszego. Ale nie mogę, to śmieszne, w żaden sposób nie mogę!

— Niech pan koniecznie sprobuje. Zresztą ja pana nauczę jak się rysuje trójkąt. To bardzo proste, niech pan tylko naśladuje moje ruchy.

P. K. z wielkiem wysileniem zaczyna ruszać ołówkiem i kreśli niezgrabne kółko.

— Czyż to jest trójkąt?

— Tak, wiem, że to nie jest trójkąt—ale kiedy nie mogę!

Jedno słowo: „teraz już pan możesz“ przywróciło mu wolę normalną.

Gdyby dr. Billod był znał tajemnice hipnotyzmu, nie potrzebowałby swego chorego ciągać do Włoch po zdrowie, które było w nim samym:

Wracam do owego chorego.

Lekarz namawiał go ciągle, żeby wyszedł obejrzéć miasto; pacyent sam tego pragnął, brał już kapelusz na głowę, ale ile razy trzeba było próg przestąpić, tyle razy siła woli opuszczała go: „jestem widocznie swoim własnym niewolnikiem, mówił wówczas, nikt mi nie przeszkadza wyjść, ani nogi moje nie są temu winne, tylko nie mogę chcieć, w żaden sposób nie mogę chcieć.“

Zupełnie ten sam stan można wywołać sztucznie. Robi się to tak: kładę na ziemi np. laskę, parasol lub tylko rysuję linię kredą i mówię do osoby wrażliwéj: „nie będziesz pan mógł przejść przez ten próg.“

Pacyent śmieje się, ale gdy się zbliża do granicy, widzi że go siły opuszczają. Nikt mu nie przeszkadza, nogi ma swobodne, ale przejść nie może. Jestto bowiem częściowe ale stanowcze *sparaliżowanie woli* w pewnym kierunku. Nerwy ruchu przepuszczają do mięśni wszystkie inne rozkazy woli, ale tego nie; ten napotyka na zaporę w samym organizmie pacyenta, któremu wbito moralny kołek w głowę. Przeszkoda zaś leży nietylko w chwilowém przerwaniu przewodnictwa dla bodźców pewnego rodzaju, ale także i w tém, że te bodźce są za słabe. Pozornie wprawdzie może się wydawać, że pacyent wszelkich sił używa, ażeby zaczarowaną linją przekroczyć, w gruncie rzeczy jednak on jest i moralnie ubezwładniony: *nie może dość silnie chcieć* przekroczyć granicy, *niema do tego dość silnéj pobudki*. Gdyby naraz odebrał wrażenie znacznie silniejsze od innych (a najsilniejsze dla niego są rozkazy magnetyzera), toby ten bezwład ustąpił.

To też tak samo rzecz się ma i z choremi, u których ten stan wystąpił jako choroba. Ten np. o którym opowiada Billod, był w Lyonie świadkiem przejechania kobiety, którą koń od jego powozu potrącił i przewrócił. „*Widząc to, odzyskał na raz całą energią* i nie czekając aż zatrzymają konie, zrzucił płaszcz, wyskoczył i pierwszy ratował przejechaną.“ Potrzeba więc było tylko *silniejszego pobudzenia uczuciowego*, ażeby wolę rozbudzić. Na tém téż, a nie na żadnych innych środkach leczniczych, musi polegać leczenie takich chorób. Tylko nieznajomość natury ludzkiéj może powodować zalecanie mikstur, lub choćby tylko podróży, w takich wypadkach, gdzie jedno słowo lekarza w *odpowiednich warunkach* wyrzeczone może złe usunąć. Naiwnéj bezradności dowodzi téż wzmianka ostateczna lekarza, że „podróż nie miała spodziewanego wpływu, że jednak chory czuł się lepiéj gdy jechał powozem, *zwłaszcza gdy droga była ciężka i nieprzyjemna* i że wreszcie wrócił na łono rodziny mniéj więcéj w tym samym stanie w jakim ją opuścił“ (str. 40).

Uwagi Ribota nad tą grupą faktów są blade i ogólnikowe, zaznacza jednak słusznie, że istota tych chorób polega właściwie na przytępieniu pobudliwości (str. 53) i że dowodzą one rozdziału pomiędzy platoniczném pragnieniem działania a istotną wolą czynu.

Do drugiéj podgrupy téj kategoryi zalicza Ribot wypadki, które „tém się tylko różnią od poprzednich, że pobudliwość do działania (l'incitation à agir) nie jest dotkniętą“ (str. 54); w przykładzie

jednak typowym, który przytacza, sam robi uwagę, że nietylko „pobudliwość dowolna (impulsion volontaire) jest skrępowaną. ale i sama zdolność reakcyi indywidualnéj osłabioną“ (str. 57, 58). Na tym więc punkcie nie byłoby powodu do wyróżniania téj grupy.

Właściwą jéj charakterystykę stanowi to, że ten sam bezwład woli, toż samo lenistwo duchowe, wywołane jest stanem nieco wyraźniejszym i łatwiejszym, do określenia, a mianowicie, panującą skłonnością do obawiania się do pewnego rodzaju *bojaźni*, a także tém, że skłonność ta objawia się nie stale, ale tylko w pewnych określonych okolicznościach. Jestto tak zwany *bezwład woli z obawy przestrzeni*.

Przykłady objaśnią najlepiéj tę szczególną chorobę.

„Pewien podróżnik (obserwacya Westphal'a) silny, całkowicie zdrowy na umyśle i nieprzedstawiający żadnych zboczeń w sferze ruchów, uczuwa zawsze szczególniejszą bojaźń na widok placu lub jakiéjkolwiek przestrzeni rozległéj. Gdy mu wypada przejść który z wielkich placów Berlina, ma uczucie takie, jakby ta przestrzeń była niezmierzoną i jak gdyby nigdy nie mógł jéj przebyć. Wrażenie to znika lub słabnie, gdy obchodzi plac idąc pod domami, a nawet jest już mniéj silném, gdy się na lasce opiera.“

Inny chory, wspominany przez Benneta, nie mógł wcale przejść placu, samo przejście z jednéj strony ulicy na drugą było dlań niezmiernie trudném, a nawet przekroczenie progu, wymagało kilkominutowéj rozwagi i wysiłku.

Znam takiż fakt, dotyczący człowieka niepospolitego umysłu i znacznéj odwagi, który jest dotknięty podobną *obawą gór*, przyczém nietylko spadek góry ale i jéj stromość, obok drogi całkiem bezpiecznéj, wywierają paraliżujące działanie na jego wolę. Nigdy téż mimo wielokrotnych usiłowań nie mógł wejść na szczyt jakikolwiek, a pytany o charakter tego ubezwładnienia, objaśniał, że jestto jakby rodzaj zawrotu głowy, połączonego z obawą niebezpieczeństwa, któréj to obawy nie jest w stanie zrównoważyć najgłębsze przekonanie o nieistnieniu żadnego niebezpieczeństwa. Dowód, jeden więcéj, jak mało znaczą teoretyczne przekonania wobec podrażnień uczuciowych.

Wszystkie te fakta, a jest ich nierównie więcéj opisanych dokładnie u autorów niemieckich, są bardzo trudne do wytłómaczenia. Cordes, lekarz, sam dotknięty taką niemocą, przypisuje ją „porażeniu i wyczerpaniu systemu nerwowego, ruchowego, w téj części mózgu, która przewodniczy i ruchom miejscozmienności i uczuciu mięśniowemu.“

Ribot przypisuje temu „wyjaśnieniu“ wielką doniosłość—na co bym się nie zgodził. Najprzód, nie we wszystkich wypadkach da-

się dowieść chwilowe chociażby porażenie czucia mięśniowego, a że porażenie jakieś psychomotorne istnieje, to wprawdzie kwestyi nie ulega, ale to jest tylko opisanie faktu, nie objaśnienie.

Nie to jest tutaj trudném do zrozumienia, że strach siły odbiera, bo to jest jego właściwość, on zwykle działa paraliżująco, — ale to jest trudném do zrozumienia, że ten strach powstaje, i że jest tak silnym przy tak błahéj przyczynie. Toby należało wytłómaczyć, a to właśnie jest trudném.

Prawdopodobnie trzebaby tu sięgnąć bardzo daleko w głąb pokoleń między przyczyny *dziedziczne*. Mamy bowiem analogiczne objawy w świecie zwierząt. Laycock np. przytacza, że ile razy w pewnéj menażeryi dano koniom na podściółkę słomę, która już była używaną w klatkach lwów lub tygrysów, to konie poczuwszy jéj zapach wpadały w przestrach, zrywały się i chciały uciekać. Otóż tego rodzaju obawa nie mogła być wynikiem doświadczenia własnego; konie, o których mowa, jak zresztą wszystkie konie dzisiejsze europejskie, nigdy nie były wystawione na niebezpieczeństwo ze strony lwów lub tygrysów; ale... był czas kiedy koń (w epoce mamuta) żył w Europie obok lwów i tygrysów, być więc może, że dziedziczny mechanizm nerwowy, zamieniony w ślepy instynkt aż z tych czasów pochodzi.

Że zaś taka nieusprawiedliwiona obawa może mieć źródło dziedziczne, świadczy fakt dr. Brewstera, który cierpiał na niewyjaśnioną bojaźń wody i właściwość tę przekazał swoim potomkom, tym nawet, którzy o jéj pochodzeniu nie wiedzieli. Możemy więc zrobić dziś uzasadnione przypuszczenie, że któryś z jego przodków uległ gwałtownemu wstrząśnieniu nerwowemu przy wpadnięciu w wodę i że odtąd pewne rozdrażnienie nerwowe pozostało mu na całe życie, a przekazane, jak wiele innych idyosynkracyj, potomkom, mogło być na nowo rozbudzane tą samą pobudką. Podobnież u człowieka mającego bojaźń gór, możemy przypuszczać dziedziczną, atawistyczną skłonność, wywołaną silném wstrząśnieniem nerwowém i istotném niebezpieczeństwem w górach, a u cierpiących na obawę przestrzeni płaskiéj—w równinach (1).

Inną odmianę osłabienia i chwiejności woli przedstawia tak zwana przez Niemców *Grübelsucht*, czyli *mania dociekania*.

„Pewna kobieta inteligentna (obserwacya dr. Legrand du Saulle) ile razy wyjdzie na ulicę, zaraz zaczyna się dręczyć sama pytaniami tego rodzaju: czy nie spadnie kto z okna na moję głowę? Czy to

---

(1) Podobne obserwacye i uwagi przytoczyłem w rozprawie „O bezwiednych tradycyach," drukowanéj w *Ateneum* w r. 1880.

będzie mężczyzna czy kobieta? Czy się zabije, czy téż tylko zrani? Jeśli się zrani, to czy w głowę, czy w nogi? Czy pozostanie po nim krew na chodniku? Co ja mam począć jeśli się zabije? Czy mam wołać o pomoc, czy uciec, czy odmówić modlitwę? A może mnie oskarżą żem była przyczyną nieszczęścia? Czy zechcą uwierzyć żem niewinna? i t. d. bez końca."

Miałożby to być dziedzictwo po scholastykach, którzy dochodzili „czy ten, który kupił płaszcz, kupił i kołnierz jego", albo „czy Zbawiciel świata mógł przybrać postać ogórka."

Ale żart na stronę. Faktem jest, że na wolę, tego rodzaju dochodzenie rozumowe oddziaływa paraliżująco, ponieważ uczucia, obawy jakie obrazom imaginacyi towarzyszą, odbierają człowiekowi wszelką samodzielność i stanowczość. Nie może nic przedsięwziąć, na nic się zdecydować, ponieważ we wszystkiém znajdzie tysiące nierozwiązanych wątpliwości (1).

Charakter zaś téj obawy i kierunek dochodzenia może być bardzo rozmaity. Raz niepokoją zamki, które się niedobrze domykają, to znów wszystko wydaje mu się nieczystem: ubranie, pieniądz, szklanka; albo nie może się zdobyć na napisanie listu, ponieważ jest przekonany, iż zawsze coś opuści albo jakiś błąd popełni. Znam nawet uczonych myślicieli, którzy nigdy nic nie wymyślili z téj jedynie przyczyny, że obawiali się, ażeby to, co wymyślą, nie było niedostatecznie znakomitem.

W patologii jest miejsce dla wszystkich. Są tam i tacy np. co mają wolę do wszystkiego, tylko nie do mówienia, a co ciekawsze, że takie fakta trafiają się najczęściéj u kobiet.

Guislin przytacza wypadek pewnéj młodéj dziewczyny, która zawiedziona w miłości, dostała obłędu, a gdy obłęd minął, straciła ochotę do mówienia. Mówię *ochotę*, ponieważ żadnéj organicznéj niemoty nie było. Podczas dwunastu lat, tylko dwa razy odpowiedziała ona na pytanie, raz — *pod wpływem surowego rozkazu ojca*, drugi raz — *gdy ją oddano do szpitala.*"

Już te dwie okoliczności wskazują, że było to porażenie natury psychicznéj, kataplektycznéj, albo jak się dzisiaj mówi „histerycznéj", porażenie, jakie z łatwością wywołać i usunąć może każdy obeznany ze zjawiskami hipnotyzmu. Ale metoda, jakiéj przez dwa miesiące używał Guislin, *prosząc* chorą i *perswadując* jéj żeby mó-

(1) Są to te fakta, w których Ribot widzi „nadmiar idei". ale sam on przyznał, że nie idee są motorem, lecz chorobliwa *obawa* wynajduje sobie odpowiednie obrazy drogą skojarzeń. Inne podobne fakta wraz z przybliżoném wyjaśnieniem ich genezy podałem w rozprawie *O zjawiskach zdwojenia w życiu duchowém człowieka* (1877). Tu więc nie będę ich powtarzał.

wiła, nie mogła oczywiście doprowadzić do żadnego rezultatu i sam on téż wyznaje, że chora zachowywała się tak, jak gdyby nawet była dumną z tego, że umie się oprzéć jego przedstawieniom. Przy téj metodzie, Guislin miałby powodzenie w jednym tylko wypadku gdyby dziewczyna w nim się była zakochała. Ale ponieważ kochała innego, a kobiety w takich razach są zwykle bez serca dla drugich, mogła więc sobie drwić z jego terapeutycznych kłopotów.

Należało postąpić inaczéj. Trzeba było pod jakimkolwiek pozorem wprowadzić ją w odurzenie hipnotyczne, a potém wyleczyć *rozkazem*, tak jak to zrobił chwilowo jéj ojciec.

Niekiedy i hipnotyzować nie trzeba, trzeba tylko, będąc lekarzem, znać oprócz fizyologii i psychologią, a mianowicie potęgę wpływów moralnych.

Przyjaciel mój, dr. L., jeden z najbardziéj wziętych lekarzy w Paryżu, opowiadał mi np. fakt następujący. Wezwano go do choréj „sparaliżowanéj", którą od dziesięciu miesięcy leczono bezskutecznie. Badając ją przekonał się, że żadnego paraliżu nie ma i że chora cierpi po prostu na histeryczne przytępienie woli, połączone z przywidzeniem, że gdyby wstała z łóżka, nie mogłaby chodzić. Sprawdziwszy ten stan, *kazał* jéj wstać, ofuknął gdy się opierała, dodając, że niepozwoli z siebie żartować i — od téj pory pacyentka chodzi, a nawet na upartego mogłaby wziąć łoże swoje i przestawić z jednego kąta w drugi.

W końcu swéj relacyi opowiada téż Guislin, że chora ulegając „pobudzeniom" czasem przemawiała i nareszcie pewnego poranku *słysząc ożywioną rozmowę swych sąsiadek*, sama z „własnéj inicyatywy" wmieszała się do niéj i odtąd już była zdrową. „Wyzdrowienie to jest jedném z najbardziéj zdumiewających jakie w mojém życiu widziałem" — dodaje szanowny autor z naiwną szczerością. Szczęście, że dzień przedtém nie zadał choréj ze dwadzieścia centigramów octanu morfiny, albo ze 60 ctgr. opium, lub czegoś podobnego, bo byśmy mieli znowu przez jaki rok modę trucia histeryczek nową metodą farmaceutyczną.

Przy sposobności nie zawadzi tu powtórzyć zdanie Axenfelda, autora pomnikowego dzieła o chorobach nerwowych.

„Wpływ wywarty na wolę przez imaginacyą, przez silne wzruszenie moralne, przez żywe uczucie, jest często potężniejszém lekarstwem, niż środki tak liczne a często tak zawodzące całego arsenału aptecznego" (1).

(*d. n.*) *Julian Ochorowicz.*

---

(1) Axenfeld-Huchard. Traité des névroses. 2 édit. Paris 1883, str. 1110.

ESTETYZM W ANGLII.

Kartka z dziejów współczesnéj cywilizacyi.

III.

Nie możemy znaleść dla wstępnego scharakteryzowania tego odrodzenia sztuki angielskiéj, którego jesteśmy świadkami, lepszego porównania jak przypominając brzask Romantyzmu w pierwszéj ćwierci naszego stulecia. Klasyczna literatura o scholastycznych formułach, cała przesiąknięta ciasnym dogmatyzmem, runęła wówczas wobec napaści burzliwéj i energicznéj szkoły romantycznéj, stawiającéj nowy ideał piękna i rozszerzającéj dotychczasowy horyzont. U nas Mickiewicz stał na czele téj nowéj rewolucyjnéj szkoły, we Francyi Wiktor Hugo i cała plejada pierwszorzędnych talentów pokrewnych mu duchem, nie było społeczeństwa któreby nie posiadało wówczas swojéj *Sturm u. Drang periode.* Dzisiaj gdy wrzawa téj walki przebrzmiała oddawna i gdy żar rozbudzonych namiętności ostygnął, spoglądamy z wysokości bezstronnéj krytyki na te dwa prądy i, przyznając jednemu i drugiemu piśmienniczemu kierunkowi racyą bytu, wiemy, że romantyzm był przedewszystkiém protestacyą przeciw niezłomnym prawom piękna wygłoszonym autokratycznie przez wszystkich Arystotelesów, Horacych, Boileau'ów i La Harpe'ów przeszłości.

Taka protestacya, taki głos indywidualizmu przeciw ogólnie wyznawanym teoryom, takie butne i twarde sformułowanie nowéj teoryi plastycznego piękna wobec idei przemagających, w Anglii podjęte było naprzód przez garstkę tak zwanych Pre-rafaelistów. Jest to pierwszy zawiązek owego Odrodzenia sztuki angielskiéj o któréj tyle mówiono i pisano. Z ogólną nazwą Estetyzmu spotkamy się dopiero późniéj: na sztandarze pierwszych apostołów spoty-

kamy się przedewszystkiém z walką przeciw Rafaelowi i całemu wielkiemu malarstwu włoskiego Odrodzenia, przeciw wszystkim tym mistrzom, w których przywykliśmy widziéć twórcze geniusze i wierzchołkowe postacie sztuki. Podług angielskich sekciarzy epoka Rafaela jest już epoką upadku, a prawdziwéj wielkości sztuki szukać należy u jego poprzedników, bliższych i dalszych. Stąd nazwa Prerafaelistów.

Czterech młodych uczniów Akademii sztuk pięknych w 1848 r. stanowiło zawiązek tego grona. Holman Hunt, John Everett Millais, Dante Gabriel Rossetti malarze i Tomasz Woolner rzeźbiarz, przejęci zapałem dla pierwiastkowéj średniowiecznéj sztuki włoskiéj, zawiązali między sobą rodzaj stowarzyszenia do rozpowszechnienia swych idei artystycznych pod nazwą *Pre-Raphaelite Brotherhood.* Do tego cechu przyłączył się wkrótce James Collinson, F. G. Stephens i brat Rosetti'ego, Michał, krytyk artystyczny. Tych siedmiu młodych ludzi stanowiło całą armią. Wydawali oni pismo peryodyczne pod tyt. *The Germ* gdzie ich estetyczne teorye wyłuszczane bywały. Pismo to ustało wkrótce, i cech prerafaelistów rozwiązał się urzędownie. Gdyby się miało ich sądzić z ich dotykalnego dzieła możnaby odmówić im wszelkiego znaczenia. Ale doktryna ich nie zniknęła bynajmniéj. Była ciągle podejmowana w piśmiennictwie, w krytyce i urzeczywistniana w płodach tych artystów. Wywołała żywą i zażartą polemikę, która trwała lata całe. Jeżeli niektórzy z artystów, co rzucili wówczas rękawicę Akademii, weszli do jéj składu jak Woolner, który jest obecnie jednym z jéj profesorów, jeżeli inni, jak Millais, pierwszy z dzisiejszych angielskich malarzy, u szczytu powodzenia i sławy, zdaje się zapominać o swych młodocianych bogach, to za to Holman Hunt, ten geniusz niezaprzeczony i za taki uznany przez swoje społeczeństwo ,trwa przy niektórych przynajmniéj zasadach preraefalityzmu, a Dante Gabriel Rossetti, którego świeżą śmierć opłakuje Anglia, był aż do ostatniéj chwili życia wcieleniem jego systematyczném. Nowe siły i nowe imiona zaciągnęły się później do tego szeregu reformatorskiego, który obecnie, po upływie lat trzydziestu z górą, oczyścił się wprawdzie z szumowin i pozbył teatralnéj przesady ale koniec końcem przetrwał aż do chwili obecnéj i został sztandarowi swemu wiernym.

Mimo istotnego talentu niektórych prerafaelistów, nie można przewidziéć jaki obrót byłyby wzięły ich teorye i czy byłyby potrafiły przebić się przez tę potrójną warstwę obojętności z jaką spoglądano podówczas w Anglii na sztukę, gdyby, szczęśliwym dla siebie trafem, ta nowa szkoła nie była zyskała sobie nader użytecznego, nieoszacowanego obrońcy w najgenialniejszym artystycznym kryty-

ku jakiego kiedykolwiek posiadała Anglia. Mówimy tu o Johnie Ruskin. Ten obecny Nestor estetyzmu był podówczas świeżo opuścił Oksford z olbrzymią reputacyą wiedzy i talentu. Żadna z wygłaszanych przezeń opinij nie mogła przejść niepostrzeżenie. Nie tylko że pierwszy tom oryginalnego dzieła Ruskina, *the Modern Painters* zawierał już był w sobie systematyczny wykład wielu teoryj artystycznych, które stanowiły jądro żywotne prerafaelistów, ale ta wspólność zasad pokazała się jeszcze dowodniéj w ognistym pamflecie, który wymowny krytyk poświęcił obronie prerafaelistów napastowanych przez jakiegoś podrzędnego zoila. Wzięci w obronę przez Ruskina, od razu artyści ci i pisarze zyskali sobie prawo obywatelstwa w swéj ojczyznie.

Teorye prerafaelistów były chaotyczną mięszaniną fałszu z prawdą, albo raczéj ze słusznych przesłanek fałszywe wyprowadzali wnioski. Przeświadczeni o ścisłym związku sztuki z życiem, i o jéj umoralniającym wpływie żądali przedewszystkiém, ażeby sztuka była manifestacyą prawdy. Wszystko co tchnie konwencyonalizmem, co jest czczym formalizmem, gdzie nie ma bezpośredniego natchnienia a tylko udanie uczucia, zostało potępioném przez nich bezwarunkowo. Duszą malarstwa była podług nich młodziencza naiwność przenosząca na płótno pierwociny wrażeń. Natura była wielką mistrzynią malarzy i ich obowiązkiem być miało wpatrywać się w nią bez przerwy, badać ją we wszystkich formach i postaciach, odtwarzać ją z drobiazgową wiernością. Tylko pierwotni malarze włoscy posiadali podług nich tę cześć nieograniczoną dla natury, dla prawdy, tylko oni przenosili żywcem widziadła swéj duszy na płótno niepytając o to, czy typy ich są skończonéj piękności. Z dziecinną świeżością uczuć chwytali za pędzel i malowali te obrazy z nieba i ziemi wyzwane, które mimo swego artystycznego niemowlęctwa a może właśnie dla niego tryskają prawdą. Cimabue, Giotto, Fra-Angelico: oto trzy stadya téj sztuki nad którą się zachwycają prerafaeliści. Już Perugino jest dla nich sztywny i zimny, a Rafael rodzajem zbrodniarza, potworu. Na miejsce życiowéj prawdy postawił on kunsztowne, wyidealizowane figury, utonął w symbolizmie, w chłodnéj allegoryi. Cudowna jego harmonia pomiędzy duchem a formą, jego poprawność nieposzlakowana są dla tych angielskich głów rzeczą całkiem niedojrzaną. Nie tylko że nie rozumieją oni stylu, ale potępiają go, i nie może być inaczéj. Styl w malarstwie to synteza, to wielkie charakterystyczne rysy, to zniknięcie podrzędnego drobiazgu w obec przewodniéj myśli. Oni przeciwnie dążą do mikroskopicznego drobiazgu, do tryumfu indywidualizmu. Nie ma podług nich pewnego typu piękna; skąpość draperyi, spiczasta koń-

czatość twarzy i łokci, błędy anatomiczne, brak perspektywy wszystko to nie wadą ale jest przymiotem, zaletą. Cała sztuka nowoczesna, od epoki włoskiego Odrodzenia począwszy, jest zatrutą, spaczoną, martwą. Nie ma w niéj być ducha a jedynie zewnętrzny strój barwnego kolorytu. Kilku pierwotnych gotyckich malarzy niemieckich, kilku włoskich: oto wszystko do czego sprowadzić się daje skarbiec dotychczasowéj sztuki.

Z szybkością pożaru po stepie rozwinęły się te idee prerafaelistów w Anglii. Odpowiadały one z wielu względów narodowemu charakterowi. Naprzód pochlebiały jego miłości własnéj. Nie potrzebowała się Anglia rumienić swojéj zacofanéj roli w obrębie sztuki, skoro ta sztuka była sama w sobie podrzędną. Potém dawało to każdemu artyście patent na oryginalnego geniusza. Skoro wystarczało do utworzenia arcydzieł przenosić skrupulatnie każdy pyłek życiowy na płótno; skoro nie istnieje ani styl, ani wspólna metoda, ani żadna modła piękna, żaden *Kanon*, to nie trudniéj być malarzem niż fotografem. Tuzinami, setkami powstawali obecnie malarze. To głośne domaganie się prawdy, ta pogarda dla konwencyonalizmu, to dążenie do umoralnienia mas za pośrednictwem malarstwa, to wyzucie jéj z wszelkiego zmysłowego materyalizmu i ta ascetyczna pogarda dla cielesnéj formy, odpowiadały téż całkowicie pietystycznemu nastrojowi społeczeństwa. Dodać nakoniec należy, i Milsand czyni ten zarzut z niezaprzeczoną słusznością wszystkim północnym narodom, narodom co rządzą się nie uczuciami ale ideami, Anglicy nie dają się otumanić, oślepić świetnością kolorytu, doskonałością cielesnéj formy. Oko ich nie jest wykształcone, zmysły nie są rozbudzone w tym kierunku. Nie czystéj estetycznéj rozkoszy szukają w dziele sztuki, ale mieszają do niéj jakąś etyczną miksturę. Nie od ogólnego wpływu jaki uprawa sztuk pięknych wywiera na społeczeństwa, ale od każdego pojedynczego utworu spodziewają się zbawiennych jakichś następstw.

Nie zdaje się nam potrzebném, pisząc dla czytelników obznajmionych z tego rodzaju kwestyami, polemizować z temi teoryami i udowadniać całą ich jednostronność. Sądzimy, że samo to wyłuszczenie wystarcza.

Orszak prerafaelistów angielskich wzrastał i rozszerzał się ciągle. Nie tylko istotnie artystyczne natury ścigając migotliwe widmo piękna ale mnóstwo samouczków i dziwaków weszło do jego szeregów. Szczególną ponętę jednak wywierał na młodzież i na literackie osobistości. Pisano o przedmiotach estetycznych niezmiernie wiele. Więcéj było zuchwałych ikonoklastów aniżeli istotnych fundatorów, ale mimo tego pierwotne ramy rozszerzyły się nieznacz-

nie. Nazwa prerafaelistów okazała się niedostateczną. Tak szeroko filozofować zaczęto o sztuce, i tak ścisły związek zawarty został pomiędzy literaturą a malarstwem, że cała ta nowa szkoła pragnęła objąć ogrom swych różnorodnych aspiracyj ogólném jakiém mianem. W ten sposób powstał Estetyzm i Esteci. Stary niemiecki filozof Baumgarten, który w połowie zeszłego stulecia użył po raz pierwszy wyrazu *Aesthetica* jako określającego teoryą o pięknie, byłby zdziwiony widząc że podczas gdy nazwa téj nauki zaledwie rozchodzić się zaczyna po świecie, już obok niéj powstał wypłód nowy: estetyzm. Obejmuje on zastosowanie nowych teoryj o pięknie nie tylko do malarstwa ale do wszystkich objawów życia; a kapłani téj nowéj religii są to Esteci. Esteta jest nietylko przedstawicielem nowych praw piękna i nieprzyjacielem z zasady Akademii, szkoły, tradycyi, rutyny ale walczy na każdym kroku z duchem prozy i mieszczańskiéj pospolitości. Esteta traktuje resztę śmiertelników, niewtajemniczonych w mysterie jego zakonu, jak istoty pozbawione ducha, jak filistynów, i po za swym cechem widzi jeno ów typ nieśmiertelny Józefa Prud'homme stworzony przez Henryka Mounier.

Zanim zobaczymy Estetów w życiu codziennéın i ich zwykłém otoczeniu, zanim zapoznamy się z poetami i pisarzami, których Estetyzm windykuje jako swoich, należy nam przyjrzéć się ich artystycznéj produkcyi. Wyskoki, dziwactwa i nadużycia nie powinny nam zasłonić istotnéj wartości tych lub owych utworów wyszłych z ich palety. Jedyne pytanie, jakie sobie będziemy musieli postawić na końcu, jest, czy istotnie wartość tych obrazów należy przypisać wpływowi téj nowéj teoryi i czy przypadkiem nie powstały one nie zależnie od téj ewangelii piękna, którą głoszą tak uparcie i tylu różnemi sposobami. Znany w logice argument *post hoc, ergo propter hoc* i tutaj pokazać może swoję fałszywość.

IV.

Wiedząc już na jakich wzorach pierwotnego malarstwa esteci angielscy się kształcą i na jakim punkcie przerwany rozwój chcą podjąć na nowo, będzie nam łatwo zrozumiéć szczegółowe cechy jakie ich współczesną sztukę odznaczają.

Spostrzegamy naprzód w ich obrazach charakter moralizujący. Nie tylko że malarze ci nie będą wyszukiwali saturnalij i przedmiotów roskoszy i zmysłowości, ale unikają nawet o ile można mitologicznéj nagości. Średniowieczny, klasztorny ascetyzm daleko bardziéj przypada do ich usposobienia. Biblia i natura są dwoma żela-

znemi słupami, które wystarczają podług nich do dźwigania całego gmachu piękna. Najczęściéj jednak malują oni sceny wyjęte z poetycznych utworów, bądź dawniejszych pisarzy bądź z poematów estetów współczesnych. Związek bliski bezpośredni pomiędzy poezyą a malarstwem jest jedną z zasadniczych reguł téj szkoły. Posuwają go do ostateczności, nadużywają go nawet. Inne jest całkiem zadanie poezyi a inne malarstwa. Każda z nich inaczéj oddziaływa na umysł i uczucia nasze. Gdy się nazywa malarza poetą pędzla a poetę—malarzem słowa, nie pochlebia im się bynajmniéj. Wolimy, żeby każdy z nich zostawał w swojéj sferze i tylko za wyjątkową formę malarstwa poczytujemy ilustracyą poetów. Malarze téj szkoły pragną, ażeby ich uważano jako *poetic painters*, i mają zwyczaj opatrzać swe obrazy cytatami poetycznemi treść ich objaśniającemi, tak samo jak do własnych poematów dodają obrazki. Widocznie nie sądzą, ażeby zrozumiani byli jak należy uciekając się tylko wyłącznie do jednéj gałęzi twórczości artystycznéj. Czytelnik i widz muszą nieraz być tego samego zdania.

Sceny religijne i ściśle narodowe, odnoszące się do epoki średniowiecznéj, pozwalające na archaiczne wskrzeszenie przeszłości, mają szczególny powab dla tych malarzy. Ideał ich wcielił się w te formy, uwiązł w strojach i sprzętach téj epoki i nie zdaje się pojmować że temat malowniczy może istniéć i że istnieje gdzie indziéj. Nie moglibyśmy zresztą uważać tego za błąd gdyby to odtworzenie przeszłości nie było popsute manierą, afektacyą i ciasném, niewolniczém trzymaniem się pewnych typów konwencyonalnych. Jest to tém mniéj logiczném że wypowiadają właśnie wojnę wszelkim bezdusznym formom. Przypowieść o słomce w cudzém a o belce w swojem oku dałaby się tu nieraz zastosować.

Esteci nie przywiązują do rysunku należnego znaczenia, a przecież rysunek, jak słusznie powiedział Ingres, jest sumieniem malarstwa. Widocznie mieszczą je oni gdzie indziéj. Jeżeli wiernie, drobiazgowo odtwarzają przyrodę w drzewach, kwiatach, roślinach, etc. to nie można zaprzeczyć, że mniéj szczęśliwie rysują postacie ludzkie. Brak dokładnych anatomicznych studyów nie da się zaprzeczyć, tak samo jak brak studyów z natury. Zdawać by się mogło, że ci malarze nie są w stanie stworzyć innych typów jak chude, wysmukłe, kończaste postacie, w obcisłych draperyach. Postaciom tym brakuje wszelkiéj cielesnéj wypukłości. Zdają się być przylepione do tła obrazu i przypominają pod tym względem malowidła japońskie. Z umysłu poniewierają także prawami perspektywy, i na tym punkcie tak samo jak na kilku innych przypominają wielce sektę *impresyonistów* francuzkich.

Z drugiéj strony przyznać należy, że esteci posiadają po większéj części koloryt świetny i że dążą do harmonii tonów. Zaletę tę szpeci jedynie pewna jednostronność pochodząca z umyślnego wykluczenia tych i owych barw. Pominąwszy tę monotonią, musimy przyznać, że esteci przedstawiają się korzystnie jako koloryści. Mimo to, niektóre z ich obrazów podobne są do malowanych okien po katedrach i średniowiecznych gmachach. Jasne twarze odbijają od jaskrawych ubiorów i nie ma w nich śladu światłocienia. Wyradza to często wrażenie nie będące bynajmniéj przyjemném.

Nie chcemy twierdzić, żeby wszyscy malarze-esteci posiadali bez wyjątku powyższe cechy. Skoro są w ich liczbie znakomici, genialni artyści, nie można kłaść na ich karb wszystkich wyżéj wymienionych niedostatków mimowolnych albo uczynionych z umysłu. Ale kto miał sposobność przyjrzéć się liczniejszemu zbiorowi tych obrazów, ten przyznać będzie musiał, że każdy z nich posiada w większéj lub mniejszéj dozie te rysy charakterystyczne.

Estetyzm szerzy się tak zaborczo, że nie ma wątpliwości, iż w niedalekiéj przyszłości przedrze się zwycięzko do królewskiéj Akademii sztuk pięknych, zasiędzie na jéj katedrach, weźmie udział w jéj corocznych wystawach. Dotąd jednak nie przestał jeszcze być z nią na bakier i protestować przeciw jéj tendencyom. Wystawy obrazów estetów nie znajdują się w salonach Akademii, w Burlington House. Niedaleko tego pałacu, na Bond-Street, Esteci wznieśli sobie gmach oddzielny dla swoich wystaw. Wykwintna ta siedziba nazywa się *Grosvenor Galery*. Jest to główna kwatera Estetyzmu. Wybudował ją własnym kosztem jeden z bogatych amatorów malarstwa, sir Coutts Lindsay, sam esteta zagorzały. Podczas kiedy na wystawach Akademii można wziąść udział wtedy tylko, gdy komisya przysięgłych uzna utwór jako wystarczający i gdy surowy ostracyzm długi czas wykluczał z nich estetów, do Grosvenor Gallery za to sir Coutts Lindsay i grono jego współpracowników zapraszają z góry pewnych artystów, którzy zdaniem ich zasługują na ten zaszczyt. Liczba obrazów każdego malarza nie jest ograniczoną, są one rozwieszone i pomieszczone w doskonałych warunkach. Wystawy te noszą wskutek tego charakter ściśle ograniczony do dążeń szkoły i publiczność ma doskonałą sposobność oceniać takową nie na wiarę ale z własnych oględzin.

W Grosvenor Gallery trzeba się tedy przypatrzéć rozwojowi estetyzmu. Wszyscy artyści, którzy doszli do wpływu i znaczenia, którzy się stali ulubieńcami publiczności, których uważają za mistrzów, wszyscy dowódzcy téj falangi co walczy pod sztandarem estetyzmu grupują się około téj instytucyi. Millais, Holman Hunt,

Alma Tedema nie odmawiają uczestniczenia na tych wystawach chociaż w ścisłém słowa tego znaczeniu nie są estetami. Jeżeli nie spotykano tam malowideł Dante Gabriella Rossetti pochodziło to ze wstrętu jaki uczuwał do wszelkiego pokazywania swych utworów: wprost z jego pracowni przechodziły do galeryi bogatych amatorów. Cały szereg estetów przesuwał się zresztą przez te sale. Można tam było spotkać utwory pp. Tairfax Murray, K. B. Scott, Lindsay, Spencer Stanhope, Walter Crane, Strudwick, Arthur Hugues, W. Fisk, Noel Paton, Madox Brown, J. C. Hook i wielu, wielu innych. Nie trzeba przedewszystkiem zapominać o dwóch artystach z których jeden uosabia świetną stronę estetyzmu, a drugi jest jego potworną karykaturą: Edward Burne-Jones i J. A. Whistler. Opisując szczegółowiéj utwory kilku mistrzów estetyzmu, będziemy mogli bliżéj zapoznać czytelnika z jego istotą.

Dante Gabriel Rossetti zasługuje najpierw na uwagę. Była to poetyczna i nadzwyczaj bogato przez naturę obdarzona osobistość. Syn włoskiego wygnańca, osiadłego w Londynie, wychował się w atmosferze gorącego patryotyzmu, w pośród czci poetów i sztuki, wśród rodziny, któréj wszyscy członkowie posiadali genialny temperament. Dzieckiem jeszcze pisał poemata i w najczerstwiejszych latach życia był poetą znakomitym, płomiennym, oryginalnym. Jego *Blessed Damożel*, *Sister Helen*, że już o innych nie wspomnim, są klejnotami dzisiejszéj poezyi angielskiéj. Mistycyzm i rozbujała wyobraźnia dyktowały mu średniowieczne balady, przecudne. Malarstwo, którego się zaczął uczyć w młodości, zdawało mu się użyteczném narzędziem do ucieleśnienia swoich nieujętych fantastycznych marzeń. Rzucił się do niego z gorączkowym zapałem. Czém przedmiot był zawilszym, mistyczniejszym, tém swobodniejsze pole zostawiał pędzlowi genialnego malarza-poety. Ażeby pojąć te obrazy w ich właściwém świetle, trzeba jeszcze dodać że Rossetti po stracie ukochanéj żony, żył jak odludek, cierpiał na ciągłą bezsenność i dla zapobieżenia jéj zażywał narkotyków. Wiele jego obrazów tak jak wiele jego poezyj powstało w chwilach chlorowego odurzenia.

Rossetti był, rzec można samouczkiem, samouczkiem genialnym. Brakło mu kierownictwa i obszernych studyów. Rysunek jego zostawia niezmiernie wiele do życzenia. Ale posiadał żywą i bujną imaginacyą, siłę w kompozycyi i wiele technicznych zalet. Obrazy jego ryją się w pamięci. Jest w nich niezaprzeczony wiew tragiczny. Postacie więcéj niż naturalnéj wielkości uosabiają zazwyczaj miłość w rozmaitych fazach, począwszy od nieświadomego jeszcze pożądania aż do przesytu. Jego Astarte, Circe, Dyana o *zim-*

néj ręce, są poetycznemi postaciami. Nie mogą jednak iść w porównanie z Prozerpiną, królową nocy i śmierci w czarnych, żałobnych osłonach, a przedewszystkiem *Beloved*. Ostatni ten obraz przedstawia orszak małżeński. Oblubienica w bogato haftowanéj zielono-jabłkowéj sukni, odsłania welon zielony i pokazuje twarz tchnącą wstydliwą czułością, ale która śladu namiętności nie nosi. Jest mnóstwo ciekawych archeologicznych szczegółów w tym obrazie. Nie powinien także zadziwiać widza ów kolor zgniło-zielony obficie rozsiany na jego obrazach. Jest to nieledwie cecha estetyzmu, jego barwa *par excelence*, z którą rozminąć się niepodobna.

Rossetti miał piękny koloryt przypominający Tintoretta. Jego draperye dziwnie powabne, szczególniéj w obrazach osnuwanych na tle Danta, stawiane były przez jego zwolenników na wysokości draperyi Rembrandta. Nie używał on nigdy werniksu do swoich obrazów, które często zbliżały się przez swój efekt ogólny do fresków. Dla tych co utworów jego widziéć nie mieli sposobności, powiemy, że są one pokrewne duchem i formą z obrazami p. Puvis de Chavannes, znanego dobrze współczesnego mistrza francuskiego, ale że jest w nich jeszcze więcéj nadziemskiéj eteryczności. Większa część utworów p. Rossetti osnuta jest na tle jego poematów. Wszystkie rozchwytane zostały przez jego przyjaciół pp. Rae, Legland, Jonides, Casavetti. W tych dwóch ostatnich galeryach, udało się nam przedewszystkiém przyjrzéć utworom mistrza, który wywarł tak silny wpływ na ruch estetyzmu.

Jeżeli fantazya porwała Rossetti'ego w jednym kierunku poza ściśle zakreślone szranki estetyzmu, to nigdy nie przekroczył ich p. Holman Hunt. Anglicy przyznają jednogłośnie, że jest on wraz z p. Millais ich najznakomitszym malarzem. Obrazy jego zamawiane z góry płacą się tak jak prace Meissoniera, krociami tysięcy. Maluje on obrazy biblijne i krajobrazy. Główném jego staraniem jest drobiazgowa wierność szczegółów. Każdy pręcik trawki, każdy kwiatek na błoniu, pióro każdego ptaka, każde z akcesoryów ubrania lub sprzętów jest oddane ze zdumiewającą sumiennością. Nic nie ma podrzędnego w naturze i w stworzeniu podług tego malarza; nie ma drugiego planu rzeczy mniéj ważnych. We wszystkie wlewa swego twórczego ducha, ożywia je swoją skrą. Nazwano go panteistą pędzla: wystarczająca to charakterystyka.

Ta mikroskopiczna drobiazgowość jest przynajmniéj u Holmana Hunt zasłonięta albo raczéj przeciwważona przez wielkie zalety kompozycyi. Są za to inni malarze téj szkoły — pejzażyści przedewszystkiém, którzy nie mogą mieć téj wymówki. Tarifax Murray, Lewis, Vicat Cole i kilku innych ograniczają się do niewolniczego

odtworzenia natury. Wszelka indywidualność, wszelkie wyróżnienie pewnych szczegółów charakterystycznych, wpośród powodzi innych nic nieznaczących, wszelkie głębsze wniknięcie w duch krajobrazu znika w ich obrazach. Mamy trawki i kamyczki; są tak misternie oddane, że naturaliści mogą je odrazu zaliczyć do pewnego podgatunku botanicznego lub mineralogicznego. Wywołuje ta naiwna wierność okrzyk podziwu u estetów, i przeciwstawiają ją pogardliwie panującéj dotąd konwencyonalności. Co do nas widzimy w tém negacyą sztuki. Stosownie do estetycznych teoryj Johna Ruskin, zgadzamy się widziéć w każdéj roślinie osobnika obdarzonego potężném życiem wewnętrzném, ale fizyologia roślin i malowanie krajobrazów są to zadania całkiem odmienne. Najlepszy dowód, że prawdziwe piękno w malarstwie nie leży w mikroskopicznych szczegółach daje nam pierwszy z angielskich malarzy Millais. I on był z początku oszołomiony tą teoryą realistycznéj prawdy; wiele jego obrazów dawniejszych ugrzęzło w akcesoryach. Dopiero gdy je postawił na dalszym planie i gdy się wzniósł do stylu, pokazał całą wysokość swéj twórczości.

Za najlepiéj obdarzonego malarza estetyzmu uważamy Edwarda Burne-Jones. Jest on nawskróś poetycznym jak jego współwyznawcy, i do najlepszych jego obrazów zaliczamy te, których treść zaczerpnął z poematów Tennysona. Kto widział jego *Merlina* i *Vivianę*, albo *Laus Veneris* podług poematu Swinburne'a, albo nakoniec *Pan* i *Psyche*, podług poematu Wiliama Moris, ten wie, na jakie wyżyny imaginacyi wdziera się ten artysta. Szuka on zawsze rzeczy nadzwyczajnych. Ostatni jego obraz, który był przedmiotem namiętnych dyskusyj, przedstawiał Filis zamienioną w drzewo migdałowe i poraz ostatni ukazującą się kochankowi. Realizm drobiazgowych szczegółów jest i tu wprawdzie nadzwyczajny, ale nie razi raz dla tego, że nawet najmniéj wtajemniczeni w mechanizm malarstwa widzą, że rysunek jest znakomity, że anatomiczna część nie pozostawia nic do życzenia, a potém dla tego, że jest jedność w kompozycyi, jest myśl przewodnia, jest styl podniosły i wysoce osobisty. Na twarzach osób działających na obrazach p. Burne-Jones'a uczucia i nawet najdrobniejsze ich odcienia odbijają się jak w przejrzystym krysztale wód i przykuwają widza swoją dramatycznością. Przez swój koloryt stłumiony chociaż bogaty, malarz ten niezaprzeczenie należy do szkoły estetów: harmonia treści i formy jest niezaprzeczoną. Nie możemy przewidziéć jaką drogą talent się skieruje w przyszłości, ale jesteśmy przeświadczeni, że jeżeli którykolwiek z malarzy téj falangi może być zrozumiany i sympatycznie przyjęty w obczyźnie, jeżeli ktokolwiek będzie w stanie zrehabilitować estetyzm, to on niewątpliwie.

Jako ostatnie słowo estetyzmu w ujemnym kieruuku, jako jego karykaturę mimowolną ale istotną, należy przytoczyć obrazy p. James A. Whistler. Narobiły one niezmiernie wiele hałasu i wyrządziły szkodę estetyzmowi. Doprawdy, wszelkie uprzedzenia odłożywszy na stronę, z jego utworów nie ma się prawa sądzić i odsądzać od czci i wiary pewnego artystycznego kierunku, który może błądzić, ale błądzi w dobréj wierze. Nie można zaś nigdy wiedzieć, czy p. Whistler drwi z siebie czy téż z publiczności. Jego obrazy noszą dziwaczne nazwy, np. Harmonia z błękitu i żółtego koloru, Nocturno szaro-złote, Scherzo z błękitu, Nuta z opalu, i wiele innych równie niezrozumiałych. Widocznie jednak artysta ten nie żartuje, ale maluje na seryo i żąda, ażeby utwory jego brano poważnie. Przed dwoma laty gdy wielki krytyk artystyczny, tak blisko z estetyzmem pokumany John Ruskin, powiedział o jego obrazach, że to nie malowidło ale garnek z farbą ciśnięty o łokieć płótna, oburzony Whistler wytoczył mu proces i odmówił krytyce literackiéj prawa rozbierania dzieł pędzla. Trybunał uniewinnił Ruskina i jednocześnie powinien był oświecić publiczność, że p. Whistler nie jest estetą. Maluje on portrety i krajobrazy. Są to często widoki dna morskiego albo miasta portowego. Jest się przed samym obrazem i nic się jeszcze nie widzi. Powoli, z poza gęstéj mgły błękitno-sinéj wyłaniają się iskierki, które mogą oznaczyć gwiazdy na niebie, ryby w wodzie, albo latarnie na wybrzeżu. Fantazya nieokiełznana. Artysta chce oddać jedynie wrażenie jakie na jego oku sprawiają przedmioty zewnętrzne. Szkoda że istotny talent wykoszlawia z umysłu.

V.

Gdyby estetyzm ograniczał się tylko do malarstwa i, gdyby nawet był tam wytworzył szkołę nową, jeszcze by nie mógł rościć pretensyi do przewodniczenia w Anglii epoce odrodzenia. Jeżeli przypisuje sobie taką rolę, pochodzi to ze wspólności jaką upatruje pomiędzy ideałem, za jakim goni malarstwo, a tym jaki się ujawnia w poetycznych utworach wielu dzisiejszych poetów, w krytycznych artykułach wielu wykształconych publicystów. Rzeźba i architektura mają także zaprządz się do rydwanu tego piękna, czczonego podług nowego rytuału. Więcéj nawet, ten prąd estetyzmu ogarnia nietylko sztukę i literaturę ale objawia się w sposobie życia, odziewania się. urządzania swych mieszkań, jadła etc. Całe życie angielskie, duchowe i materyalne, przybiera nowy kierunek dzięki estetyzmowi. Stwierdzając te wielostronne zmiany, przypisując je nie reakcyi prze-

ciwko sztywnéj i martwéj rutynie przeszłości — jest to nasz sposób widzenia—nie przypuszczając nawet na chwilę, że moda i nowość grają także wielką rolę w rozprzestrzenieniu się estetyzmu, wyznawcy jego nie wahają się widziéć w nim odrodzenia społeczeństwa angielskiego. Przyszłość pokaże czy się mylą i czy nie budowali gmachu bez fundamentów. Zostawiając kwestyą tę nierozstrzygniętą, mamy obowiązek przyjrzéć się bliżéj tym różnolitym objawom estetyzmu, którym znaczenia bynajmniéj odejmować nie chcemy.

Nie mamy miejsca i czasu do specyalnego uwzględnienia poetów, których estetyzm uznaje za swoich. Przedmiot ten jest zbyt nęcący i porwałby nas łatwo w swoje zaklęte koło. Dla znających dzisiejsze piśmiennictwo angielskie imiona, te są dość poufałe. Dante Gabriel Rossetti, Tomasz Woolner, William Morris, a przedewszystkiem Algernon Swinburne rej tu wodzą. Możnaby dodać jeszcze do nich Roberta Browning i Watta Whitman. Szereg to liczny, i są w pośród nich mistrze. Nie będzie zboczeniem od prawdy gdy powiemy, że cały kwiat poezyi angielskiéj zerwany jest na niwie estetyzmu. Wprawdzie zostawiliśmy dwa imiona najpierwsze poza tą falangą, a mianowicie Matthew Arnolda i Tennysona. Ale obaj, a szczególniéj ten ostatni dzięki plastycznemu pięknu swéj poezyi, nie stoją w oddali od estetyzmu. Szeroki lot spirytualistyczny Arnolda czyni go sympatycznym estetom, którzy pogardzają materyą, żywiołem cielesnym. Gdy Robert Buchanan, trzeciorzędny poeta i krytyk złośliwy, rozpoczął przeciwko poetom wyżéj wymienionym swoje skandaliczne dyatryby i gdy ich ochrzcił nazwą *the fleshly school*, popełnił jedną z tych krzyczących niesprawiedliwości, przeciwko któréj protestują nie argumenta ale fakta.

Poeci-esteci są mistyczni i fantastyczni i przeciwstawiają pozioméj rzeczywistości skrzydlaty ideał. Jedni jak Rossetti albo Woolner kołują mimowiednie około klasycznéj surowości rysów greckiego piękna; inni jak Morris uwięźli w średniowiecznym świecie i rozkochani są w skandynawskich legendach, a inni nakoniec, jak Swinburne, są wprawdzie w całém znaczeniu nowożytni, humanitarni i radykalni, ale mimo tego robią nam wrażenie minstreli i trubadurów dawno przebrzmiałych epok. Wszyscy poeci estetyzmu są przeważnie liryczni; ilekroć rwą się do dramatu, brakuje im poczucia rzeczywistości i niezbędnéj objektywności. W piersi ich grzmi uragan i zanim się uśmierzy, pod pianą co morskie kryje wybrzeża nie będzie można wiedziéć gdzie bezpiecznie będzie można stawić nogę, czego chcą istotnie i do czego dążą. Poezya estetów jest urocza i kunsztowna formą, i główny zarzut, jaki jéj zrobić można, że formą ukołysani i rytmem i rymem i skrzącą metaforą, poświęcają

jéj często treść, która się staje mglistą, nieujętą. Archaizmy średniowieczne, udana prostota rymów jaka odznaczała ballady ówczesne i cała ta strona zewnętrzna nie jest w stanie, mimo swéj teatralności, zatrzéć istotną wewnętrzną piękność ich liryków.

Nie wzniósłszy się jeszcze do oryginalnych a pierwszorzędnych dramatów, estetyzm rzucił się energicznie do studyów nad Shakespearem. Wzięli go całkowicie w posiadanie, adoptowali go: wybór wcale nie zły! Geniusz jego jest dosyć obszerny, ażeby ze skrawków jego togi dla przybyszów stało na suknię. Esteci wynaleźli tedy w Shakespearze nowe strony i niedojrzane przedtém piękności. Pleśniejący w niejakiém zaniedbaniu i mniéj często grywany na angielskich scenach niżby to było można przypuszczać, naraz wielki dramatyk wszedł w modę. Jego świat średniowieczny był po sercu estetów: rozsiedli się w nim jak u siebie. Najznakomitszy dzisiejszy badacz i komentator Shakespeara, Orchard Halliwell Phillipps jest w ścisłym związku z estetami. Teatr *Lyceum* w Londynie stał się świątynią estetyzmu. Znakomity i wykształcony artysta dramatyczny Henryk Irving gra tam w sposób oryginalny od lat kilkunastu jedne po drugich utwory Shakespeara i przez swój talent pierwszorzędny, przez uformowanie wyborowéj trupy, w któréj błyszczy przedewszystkiém pani Ellen Terry, przez drobiazgowe wystudyowanie drobiazgów, bogatą, kunsztowną, misterną wystawę zrobił on istotnie z tego teatru instytucyą pierwszorzędną. I tutaj naturalnie wyrodziła się przesada. Irwing ma swoich fanatyków i nietylko sposób w jaki pojmuje i przedstawia bohaterów szekspirowskich, ale nawet ruchy, sposób wymawiania, etc. stały się rodzajem ewangelii w obozie estetów. Złe to nie wielkie koniec końców. Naleciałości znikną same przez się, a społeczeństwo zyska na tém bliższém i serdeczniejszém poznajomieniu się z największym geniuszem jaki kiedykolwiek pisał dla sceny.

W dziedzinie muzyki nie potrzebujemy wymieniać czytelnikom kompozytora, który urzeczywistnia ideał estetów: zgadną odrazu, że jest nim Ryszard Wagner. W operach swoich maestro z Beyruthu chciał konwencyonalizm zastąpić przez prawdę i doszedł do tego o tyle, o ile to w operze jest możliwém. Jego dramata liryczne obracają się w świecie fantazyi i średniowiecznych mytów. Śpiew zastąpiony jest przez recitativa, i zostawiony jest jedynie chórom wyrażającym uczucie mas albo głównym działaczom w chwilach podniesionéj uczuciowości. Jest wiele przesądów i apriorycznych idei w czci jaką esteci mają dla Wagnera. Zmysł muzykalny jest zresztą tak mało jeszcze wykształcony u Anglików, i tak niemo-

więce kroki stawiają dotąd na tém polu, że można tę stronę ich manifestacyi artystycznych zostawić całkiem na stronie.

W architekturze estetyzm śmiało cisnął rękawicę klasycyzmowi i greckim porządkom. Kto zna Anglią z osobistego tam pobytu i ma w pamięci te potworne gmachy, które budowano w ciągu zeszłego i pierwszéj ćwierci obecnego stulecia, niby to na klasycznych wzorach, kto czuje brak harmonii greckiéj kolumnady ośniedzionéj dymem i sadzami i płaskiego przyczółka pod naciskiem nieprzerwanych deszczy londyńskich; ten przyzna ochotnie, że na tém polu reforma smaku publicznego i twórczości artystycznéj odpowiadała racyonalnym potrzebom, że była nagląca. Teorye Ruskina utorowały i tutaj drogę odrodzeniu. Jego dzieła *Seven lamps of Architecture* i *Stones of Venice* zawierają cały, logicznie przeprowadzony systemat budownictwa. Nie rozumie on architektury greckiéj ugrzęzłéj w jednostajnym typie i uniemożliwiającéj wszelki indywidualizm. Już w bizantyńskich bazylikach widzi pewien postęp, rozbudzenie się swobody osobistéj. Dochodzi ona do szczytu w architekturze gotyckiéj gdzie pomysły własne, gdzie fantazya zastępują niezłomne prawidło. Ruskin posuwa swoję cześć dla gotycyzmu, jak to jest jego zwyczajem, aż do ostatnich logicznych wywodów, podziwia nawet jego szorstkość, surowość, brak harmonii i chce koniecznie widziéć w nim zbliżenie się do natury, co jak powiedziéć już mieliśmy sposobność, jest w jego oczach zadaniem sztuki.

Gotycyzm stał się tedy w Anglii prawie jedyną formą budowniczą. Nie tylko wszystkie gmachy publiczne, szpitale, szkoły, pałace sprawiedliwości, więzienia, etc. są wznoszone w tym stylu, ale zastosowano go także do prywatnych domów. Styl królowéj Anny, o czerwono-ceglastych murach, o wysokich komnatach, wąskich oknach, o *bow-window*'s wyskakujących naprzód fasady, panuje despotycznie w Anglii. Publiczność tak wyłącznie smakuje w tém budownictwie, że domy innego stylu spadły w cenie. Całe dzielnice miasta budowane są przez przedsiębiorców w ten sposób. Jest osada miejska pod Londynem, na linii drogi żelaznej do Windsoru, nazywająca się Bedfork Park, którą właściciel, p. Carr, esteta zagorzały, pokrył wyłącznie budowlami tego stylu. Znajduje się tam kilkaset domów urządzonych z zachowaniem wszystkich wymóg wyrafinowanego angielskiego komfortu, ugrupowanych około wspólnéj łąki, parku, posiadających kaplicę, klub, sklepy, gospodę i wszystkie potrzeby życia. Nie tylko że styl królowéj Anny jest zachowany w budowlach i przeprowadzony we wszystkich szczegółach, ale cecha średniowieczna nadana została i wewnętrznemu urządzeniu domów.

Co do urządzenia, umeblowania domów i mieszkań, estetyzm dokonał także w Anglii całkowitego i nader korzystnego przewrotu. Dość sobie przypomnieć dawniejsze angielskie mieszkania, połyskujące od złoceń, krzyczących barw, drogich i ciężkich dywanów, noszące niezaprzeczoną cechę bogactwa i pychy, ale całkiem pozbawione dobrego smaku i porównać je z angielskim *home*, takim, jaki znajdujemy go u klas wykształconych i dostatnich, aby zrozumieć, że się znajdujemy po drugiéj stronie Rubikonu. Estetyzm wprowadził różnokolorowe okna, przez które promień słońca nabiera rozmaitości i bawi oko, ściany powlókł jednokolorową stłumioną barwą, na któréj ramy obrazów i misterne cacka odbijają wypukle, wypędził mechaniczne obicia papierowe, a rozwiesił wszędzie draperye z miękkich materyj spływających w obfitych fałdach, stłumił tony kobierców, złoceń, ozdób, sprowadzając je do jednolitéj harmonii, zastąpił pospolite złocone brązy przez żelazo kute i stal błyskotliwą, rozwiesił u sufitów latarnie i stare miedziane świeczniki, porozstawiał zbroice, rynsztunki, a zamiast jednostajnych, urzędowych mebli nowoczesnych bez stylu i wdzięku, szczególną wartość przywiązał do rzeźbionych sprzętów średniowiecznych i do ślicznego w swéj prostocie stylu mebli *chippendale.* Japońszczyzna i chińszczyzna także zyskała sobie popularność dzięki estetyzmowi: godzi się on z jéj brakiem perspektywy, a rozumie świeżość wyobraźni i harmonią barw.

Esteci przywiązują do całego materyalnego otoczenia znaczenie ogromne. Jest zbrodnią w ich oczach, zbrodnią przeciw dobremu smakowi, używać pewnych barw, które się nie znajdują na palecie pierwotnych malarzy: potępiają na przykład bezwarunkowo kolor fioletowy i pewne odcienia karmazynu. Dwa kolory postawili na takim świeczniku, że można powiedzieć że wyrugowały one całkiem inne: jest to kolor zielony, mszysto, jasno zgniło zielony i kolor jaskrawo żółty. Jako emblemat obrali sobie smukłą, sztywną, mistyczną białą lilię, i słonecznik o złotéj koronie. Hodowla słoneczników i powtarzanie tego niewdzięcznego kwiatu we wszystkich formach i ozdobach stało się w Anglii w ciągu ostatnich lat kilku prawdziwą manią. Paw o świetnych piórach i królewskim ogonie używa także ich wyjątkowych względów a pawie pióra są spotykane co moment.

Łatwo zrozumieć że ludzie o tym wyrafinowanym smaku, przywiązujący tak wielką wagę do plastycznego uzmysłowienia piękna, starali się je także ujawnić w swym własnym stroju. Kobiety nie potrzebowały być zachęcane do przyjęcia nowych mód: tém chętniéj to czyniły, że widziały w tém rodzaj apostolstwa, misyi społecznéj.

Obecnie oko przyzwyczaiło się już poniekąd od tych strojów, i zresztą nawet w Paryżu skąd świat zazwyczaj wzory swe czerpie, po większéj części moda ogranicza się do odtwarzania epok historycznych. Ale z początku wrażenie było dziwaczne, i salon londyński gdzie się znajdowały przedstawicielki estetyzmu wydawał się karnawałową zabawą. Suknie kobiece w powłoczystych fałdach wysuwały się z pod długiego stanika, rękawy bufiaste, skórzane przepaski z zawieszoną skarbonką, włosy rozpuszczone z przepaską z pereł albo stokroci, tony wyblakłe, niby spłowiałe, bizuterye ciężkie, okrągłe wachlarze, i wiele innych szczegółów, których opisać tu nie potrafimy, wprawiały w zdumienie. Im bliżéj panie te kopiowały jaki obraz Allessandra Botticelli albo Holbeina, tém większy był ich tryumf.

Ale i mężczyzni nie zostali całkiem obojętni na kwestyą stroju. Nie ma wątpliwości że ubiór średniowieczny był daleko bardziéj malowniczy aniżeli nasz obecny, który jako jedyne usprawiedliwienie może przytoczyć, że jest tani i praktyczny. Ani taniość ani praktyczność nie są argumentami, które mogą wpłynąć na zmianę przekonań estetów i gardzą oni, litują się nad prozą życia. Jako głośny działacz i agitator estetyzmu w przedmiocie reformy ubioru męzkiego uchodzi p. Oskar Wilde. Jest to jedna z najbardziéj znanych osobistości angielskich i humorystyczne pismo *Punch* znęca się nad nim od lat paru. Młody ten, piękny jak pół-bożek, bogaty człowiek, należący do kwiatu uniwersyteckiéj młodzieży Oxfordu, był uczniem i adeptem Ruskina i jako wykwintny o kunsztownéj rytmicznéj formie poeta zasłynął od razu. Wrócił on świeżo ze Stanów Zjednoczonych, gdzie przedsięwziął szereg odczytów o Estetach i Estetyzmie. Ale głównie jest on znany ze swéj propagandy za zmianą ubioru. Chce on zamiast czarnego sukna używać aksamitu różnokolorowego; zamiast niewygodnego cylindra nosi okrągły kapelusz na długich włosach co spływają na szeroki płócienny kołnierz; spodnie nosi tylko do kolan, w salonie trzewiki i długie pończochy jedwabne, na ulicy długie buty palone, kamizelki haftowane, kolorowe, i inne przedmioty fantazyi i zbytku. Śmieją się z p. Oskara Wilde, ale nieustraszony zostaje on wytrwale przy swoich ideach. O ile wnosić możemy propaganda estetyzmu na tém polu mniéj będzie skuteczną aniżeli na innych.

Jak sobie łatwo wyobrazić można, estetyzm wprowadzając tak radykalne zmiany w życiu towarzyskiem nie mógł nie wywołać żywéj opozycyi żywiołów zachowawczych. Przedrzeźniano go w pismach humorystycznych i szydzono z niego w komedyach. Nie tylko słynny *Punch* żyje Estetyzmem oddawna, ale dwie sztuki grane na scenach Londyńskich po kilkaset razy z rzędu, *Patience*, prze-

dziwna operetka pp. Gilbert i Sullivan, i *The Colonel* dość lichy zlepek dowcipów zwietrzałych p. Burnand, pokazują jak żywe zajęcie walka dwóch stronnictw obudza w publiczności. Trudno zaprzeczyć że Estetyzm jest do wyszydzenia łatwy. Teorya, systemat tak całkowity, sięgający tylu rozmaitych stron życia sam przez się nadstawia karku tu lub owdzie. Śmiano się tedy z ich ubiorów, z ich mebli, z ich zamiłowania w średnich wiekach, z ich poezyi z ich afektacyi w mowie i sposobie wysławiania się, nawet z ich jadła co zdawało się gardzić mięsem, pożywnemi strawami, gorącemi napojami a ograniczało się do nabiału, jarzyn, owadów i delikatnych cudzoziemskich przysmaków. Cała ta strona zewnętrzna, dotykalna łatwo dawała się posunąć do ostateczności i ośmieszyć w karykaturze. Ale za to strona wewnętrzna, istotnie estetyczna, teorye prawdziwie estetyczne estetów w przedmiotach sztuk pięknych w ogóle a malarstwa w szczególe, nie mogły być, jak się samo przez się rozumie, należycie ocenione przez masy. Ocena taka krytyczna musiałaby być opartą na wykształceniu artystycznêm, które tylko w specyalnie do niego przygotowanéj mniejszości znaleść można. Stało się tedy, że podczas gdy o Estetach i Estetyzmie rozprawiano wiele, istotne jego jądro pozostawało nie tknięte. Staraliśmy się wykazać je tutaj w rozwoju organicznym. Czytelnik, który towarzyszył nam dotąd, zrozumie potrzebę kilku uwag końcowych.

VI.

Dopóki społeczeństwo jakie ogranicza się do przyswajania sobie i do prostego, mechanicznego przyswajania sobie, dzieł sztuki na obcych niwach zrodzonych, dopóty sztuka jego zostaje martwą i bezpłodną. Wtedy tylko sztuki piękne żyją życiem samodzielnêm, wtedy tylko wznoszą się do oryginalności, gdy są wiernym odblaskiem społeczeństwa, wśród którego się zrodziły, jego wiary, jego historyi, jego typów i zwyczajów narodowych, jego poczucia natury, jego ideałów. Sztuki piękne jako zwierciadło społeczeństwa pod względem estetycznym: oto prawdziwy ich cel i zadanie.

Zastosowując to niezłomne prawidło do Anglii widzieliśmy, że nie posiadała ona istotnie sztuki narodowéj aż do niedawnych jeszcze czasów. Miała tu i owdzie genialnego artystę ale jak meteor przemykał on bez śladu, bez echa po jéj horyzoncie.

Szkoła prerafaelitów i opierający się na niéj Estetyzm były dopiero pierwszym blaskiem istotnie narodowéj angielskiéj sztuki. Daleką jest ona jeszcze od końcowéj krystalizacyi w formie arcydzieł,

przeciwnie nawet, znajduje się dotąd, jak powiedzieliśmy na wstępie, w procesie fermentu. Różnorodne, niesforne jéj żywioły nie ułożyły się jeszcze do harmonijnéj symfonii. Ale posiada w sobie pełny zasób sił życiowych, obudza i rozwija coraz nowe oryginalne talenta: są w ich liczbie i geniusze. Odpowiada ogólnemu nastrojowi społeczeństwa angielskiego pod względem religijnym przez swój pietyzm i swoję moralność, jest wierna historyi narodowéj obracając się stale na gruncie średniowiecznéj przeszłości, podnosi i idealizuje typ fizyczny angielski, odzwierciedla krajobraz swojski w całéj jego głębokości. Szkoła Estetyzmu jest angielską, ściśle i wyłącznie angielską, zrodzoną na téj ziemi, pod tym niebem, wśród tych ludzi, i z tego punktu sądzoną być powinna.

Jeżeli tedy Estetyzm angielski w dumném sił własnych poczuciu, ogłasza się jako Odrodzenie sztuki na całéj przestrzeni świata, popełnia błąd widoczny. W swoim własnym kraju nazwalibyśmy go raczéj narodzeniem sztuki.

Inny punkt widzenia, którego nie należy spuszczać z uwagi, jest, że ten ruch estetyczny miał w sobie dość siły aby narzucić swe ideały poezyi, literaturze, sztuce budowniczéj, meblom, strojom, ozdobom i wszystkim bez wyjątku objawom życia towarzyskiego. To sprowadzenie różnorodnych żywiołów do jednéj syntezy cywilizacyjnéj jest bezspornie, dla każdego głębszego umysłu, jednym więcéj powodem do sympatycznego zbadania Estetyzmu. Śmiech ironiczny, co się tu i owdzie rozlega w obec okazów téj sztuki i manifestacyi téj propagandy artystycznéj, nie powinien nas w błąd wprowadzać. Molière w nieśmiertelnéj swéj farsie, *les Précieuses ridicules*, drwił z wymarzonéj afektacyi jaka zrodziła się pod wpływem i w otoczeniu Markizy de Rambouillet. A wszelako w błękitnym salonie hotelu Rambouillet zawiązało się, rozwinęło i wybujało najwykwintniejsze w świecie towarzystwo i tam było gniazdo owéj literatury francuzkiéj XVII wieku, któréj ludzkość podziwiać nie przestała. Tak samo ma się rzecz z Estetyzmem angielskim. Pozbędzie się swych naleciałości, co z wewnętrzną jego istotą nie są powiązane, ale zachowa rdzeń żywotny, płodny i bujny.

Narodowa sztuka angielska datować dopiero będzie od Estetyzmu.

M. E. Trepka.

WSPÓŁCZESNA RUMUNIA.

V.

Dla Rumunii, dzięki ruchowi, jakiego dokonała ona w r. 1848, era nowa zaświtała, a zaświtała pod postacią pretensyi, któréj nie usprawiedliwiała ani przeszłość, ani teraźniejszość narodowa. W przeszłości—czemże ona była? Istniała na łasce Turcyi, nie zaświadczywszy istnienia swego niczém, co stanowi przydatność narodu odrębnego śród rzeszy indywidualizmów narodowych. Na ołtarzu ludzkości nie spaliła ofiary najmniejszéj—nie oddała przysługi najdrobniejszéj. Nie—tylko istniała, wegetowała, nieznana a poniewierana. W teraźniejszości?—co? Rzuciła się niby zgalwanizowana, i przez miesięcy kilka poburczawszy na bruku bukaresckim, znów się wyciągnęła, jak się wyciąga człowiek do przyjmowania kary cielesnéj. Gromadka ludzi, co niby w gorączce, prawiła jéj o honorze, ambicyi, poświęceniu, patryotyzmie, prawach, pochodzeniu od Rzymian, o przyszłości wielkiéj i sławnéj, o zasadach demokratycznych, cnotach republikańskich, i o różnych innych tym podobnych ciekawościach, rozbiegła się na cztery wiatry. Ci co na miejscu pozostali, w pokorze czekali, co o nich postanowią dwory zwierzchniczy i opiekuńczy, które w Bałta-Liman, przez zamianowanych w tym celu pełnomocników, naradzały się nad rodzajem powijaków, jakiemi związać należy naród, co sobie na wybryk rewolucyjny pozwolił. Z narad wyszła konwencya, podpisana dnia 1 maja 1849, a stanowiąca zamianowanie wprost przez Wysoką Portę hospodarów na lat siedem i powierzenie im zwołania zgromadzeń, zwanych „dywanami *ad hoc*“, celem ułożenia dla obu księstw konstytucyi, nie mających wejść w życie bez uzyskania aprobaty obydwóch dworów. Hospodarami zamianowani zostali: Grzegorz Ghika w Mołdawii, Barbu Stirbej na Wołoszczyznie. Jak jeden tak drugi pojmowali sta-

nowisko swoje nie inaczéj, jak—jako posady administratorów, zobowiązanych zdawać rachunki polityczne Wysokiéj Porcie i gabinetowi petersburskiemu. Polityka ich przeto była polityką „pokornych cieląt dwie matki ssących.“ Polegała ona całkowicie na lawirowaniu pomiędzy dwiema wodami, ażeby w razie danym pójść za prądem, który się silniejszym okaże. Zachodziła atoli pomiędzy niemi różnica znaczna, co do postawy we względzie spraw wewnętrznych. Hospodar mołdawski, mniéj na pieniądze łakomy, bardziéj z rumunizmem sympatyzujący i lubiący obcowanie z płcią piękną, nie dopuszczał się na rachunek własny nadużyć z groszem publicznym, łożył na zakłady dla sierot, szpitale, publikacye historyczne (*Cronica lui Sincai*), telegrafy elektryczne etc. i wiódł cichy śród metres żywot. Stirbej, przyrodni Bibeski brat, był brata naśladowcą; panowanie jego stanowiło ciąg dalszy rządów poprzednika, mianowicie pod względem fiskalnym, mającym na celu przedewszystkiém zbogacenie hospodara w ciągu siedmiolecia. W ciągu czasu tak krótkiego dokonać trzeba było rzeczy wielkich; dokonywanie zaś rzeczy owych wymagało sprężystości policyjnéj, którą drogo opłacać należało. Stirbej aparat policyjny na ogromną rozwinął skalę i zaprowadził szykanę, szczególnie dokuczliwą cudzoziemcom, którzy kraj odwiedzali. Na granicy, po miasteczkach i miastach formalności paszportowe końca ni miary nie miały. W Fokszanach, gdzie się znajdowały komory mołdawska i wołoska, gdy się z kraju jednego do drugiego przejeżdżało, podpisywać trzeba było paszport razy siedem na stronie mołdawskiéj i razy siedem na stronie wołoskiéj, stając po biórach osobiście i poddając się indagacyi protokularnéj. Szykany tego rodzaju miały na celu ochronienie Rumunii od napływu cudzoziemców, przybywających w liczbie, która się zwiększała ustawicznie i wnoszących pojęcia, które nie odpowiadały widokom sfer rządzących. Daremnemi się jednak okazywały i te środki ostrożności. Do kraju wcisnęło się już powietrze europejskie i dezinfekcye, przedsiębrane za pomocą sposobów i środków policyjnych, nie doprowadzały do rezultatu pożądanego. Europa na Rumunią oddziaływała. We względzie tym wielce w dziejach jéj ważną jest epoka, zawierająca się pomiędzy r. 1812 a 1859. W przeciągu półwieku niespełna kraj się przerabiał, istotę swoję zmieniał — stawał się tém, czém nie był poprzednio: świadomym siebie pod względem idei politycznéj organizmem społecznym. Za czasów Stefana Wielkiego i Michała Walecznego, świadomość ta była wyłącznym hospodarów udziałem. Ludziom zdolnym a ambitnym zachciewało się stanowiska monarszego. W zachciankach tych atoli naród udziału nie brał. Tkwiły one w du-

szach hospodarów, z których jeden lub drugi byłby został założycielem państwa, gdyby mu były okoliczności sprzyjały. Naród im nie pomagał nawet. W szeregach do boju przez Stefana Wielkiego wyprowadzonych siłę główną stanowili Polacy, Michała Walecznego—kozacy; zresztą były to zaciągi różnonarodowościowe, garnące się do żołdu i łupieży. Idea rumuńska nie przejawiała się zgoła śród wrzawy, jaką ci dwaj hospodarowie sprawili; a i ich samych posądzać nie można, ażeby im ona przyświecać miała. Stefan Batory, który dzięki stanowisku, jakie w Siedmiogrodzie zajmował, do téj co oni kategoryi panujących należał, wolał być królem polskim, aniżeli księciem siedmiogrodzkim. Jan Hunyadi także ze sfery téj wyszedł i działalność swoję do Węgier przeniósł. I oni przeto chętnie by zamienili kołpaki hospodarskie bądź na koronę, bądź na buławę w Polsce lub w Węgrzech, gdyby mogli. Nie mogli, przy Rumunii więc zostali, nie dla Rumunii jednak, ale dla siebie: Rumunia nic nie mówiła, nic nie znaczyła, niczego nie chciała. Ziarno rodzajne w gruncie spoczywało i nie kiełkowało, pomimo że je krew skrapiała obficie.

Zakiełkowanie ziarna tego nastąpiło wskutek amputacyi, dokonanéj na niém przez gabinet petersburski. Rumunia zabolała i poczuła się; z Europą w styczność weszła i, od chwili téj, Europa na nią silnie poczęła oddziaływać. Dwa te pierwiastki moralne wpływały jeden na drugi, wytwarzając aspiracye dotychczas nieznane. Przypuszczać można, że gdyby z pierwiastków tych jednego nie stało, rzeczy-by pozostały po dawnemu.

Zaznaczyć należy, że oddziaływanie Europy nie przenikało do wszystkich warstw społeczeństwa—nie szło w głąb, do ludu, który nie przestawał być takim, jakim był: obojętnym, zrezygnowanym, oczekującym polepszenia doli od *emperacyi* jakiejś, gotowym przyjąć zmiany na lepsze lub na gorsze i zdolnym jeno płakać w ucisku. Oddziaływanie dotknęło jeno téj warstwy, na którą spłynąć mógł polor cywilizacyjny, t. j. klasy bojarskiéj, téj klasy, co za granicę jeździła, po francusku się uczyła i francuskie książki i gazety czytała. Od niéj oddziaływanie udzielało się mieszczaństwu, duchowieństwu, włościanom nawet, w stopniu tu większym, ówdzie mniejszym. Najmocniéj odczuła je na sobie stolica Wołoszczyzny; w sferach ludowych najbardziéj odbija się na Wołoszczyźnie małéj. Wynikło to z przyczyn lokalnych. Ludność Bukaresztu, bardziéj jednolita, aniżeli pół na pół z żydami pomieszana populacya Jass, pochopniejszą była do przyjmowania wpływów, które ambicyą narodową budziły. Mała Wołoszczyzna przylega do Serbyi i do Węgier. Sąsiedztwo usposabiało ją do ruchliwości żywszéj, aniżeli prowincye

tureckie, rosyjskie i austryackie, sąsiadujące o miedzę z innemi częściami Rumunii. W innych też częściach lud w uśpieniu pozostawał i nie wydawał ze swego łona postaci takich, jak pop Szapka, wiejski z okolic Krajowy paroch, który w roku 1848 do rewolucyi się przyłączył i wziął w niéj udział tak czynny i gorliwy, że po przywróceniu porządku, kraj opuścić wraz z paryżanami musiał.

Emigracya rumuńska, mniéj liczna aniżeli emigracye narodów innych, które rok ów wywołał, była ruchliwą i czynną. Czynność jéj na trzech równocześnie odbywała się warsztatach dyplomatycznych: w Konstantynopolu, w Paryżu i w Londynie. Był jeszcze i czwarty—polityczny, natury czysto a ultra rewolucyjnéj. Dymitr Bratjano, zajmujący w chwili obecnéj stanowisko posła królestwa Rumuńskiego przy Wysokiéj Porcie, należał, jako jeden z członków, do komitetu centralnego demokracyi europejskiéj, który, oprócz niego, składał się z Darasza Wojciecha, Rungego, Ledru-Rollina i Mazziniego. Miało to doniosłość swoję z tego względu, że stawiało kwestyą rumuńską, że ją—że się tak wyrazimy— upozowywało w oczach gabinetów, które się z rewolucyą liczyły. Do rachunku tego wchodziła i Rumunia. Obok Mazziniego, przedstawiciela jedności i republikanizmu Włoch, obok Ledru-Rollina, republikanina-demokraty francuskiego a niebezpiecznego dla Ludwika-Napoleona spółzawodnika, Dymitr Bratjano reprezentował sprawę, która się w Europie poraz pierwszy pojawiała z przyłbicą odkrytą. O sprawie téj tak mało wiedziano, że kiedy Heliado w Paryżu u Drouin de Lhuys'a, ministra spraw zewnętrznych, posłuchanie sobie wyrobił i przed nim stanął, minister miasto Bukareszt wziął za kraj Bucharę i ku wielkiemu swemu zdziwieniu dowiedział się o istnieniu miasta téj nazwy. Emigracya postarała się nietylko o usunięcie nieświadomości téj, ale i o zainteresowanie gabinetów kwestyą rumuńską. Jedni z jéj członków trzymali się komitetu centralnego, obleganego przez tajną policyą francuską, drudzy kołatali do domów, a wszyscy publikowali broszury polityczne, pisywali artykuły w dziennikach francuskich i angielskich, podawali memoryały i noty, zabierali głosy na zgromadzeniach publicznych, słowem, czynili reklamę na szeroką skalę i w sposób ten wytaczali sprawę swoję przed trybunał opinii publicznéj europejskiéj. Wypadło to w porę stosowną, w porę poruszenia mającéj w czasie owym rozgłos wielki kwestyi narodowości. Sprawa rumuńska pod kategoryą tę podchodziła. Jakże opinia publiczna przyjąć jéj i uznać nie miała? Jakże przyjąć jéj i uznać nie miał Ludwik Napoleon, który od chwili pierwszego swego na polu działalności politycznéj wystąpienia, postawił się jako kwestyi narodowości szczęśliwy orędownik?

Po roku 1848 sprawa rumuńska znalazła w gabinecie paryskim plecy, które ją popierały silnie i nie zapominały o niéj, dzięki, z jednéj strony, kokietowaniu jéj z rewolucyą, z drugiéj—zabiegom tych, co z rewolucyą nie trzymali. Emigracya bowiem dzieliła się na stronnictwa: rewolucyjne i legalne. Do tego ostatniego należał Heliado z gronem przyjaciół, tamtemu przewodniczyli Rosseti i dwóch Bratianów. Galescowie, generał Tell i inni jeszcze mniéj wydatni stanowili pomiędzy dwiema skrajnościami temi łącznik, utrzymujący równowagę, która się opierała o Wysoką Portę i pełniła wobec niéj funkcyą rzecznika, broniącego sprawy rumuńskiéj z punktu spólności interesów tureckich i rumuńskich.

Tak stały rzeczy w ciągu lat pięciu, od 1848 do 1853. W Rumunii panowała cisza głucha; po za Rumunią odbywała się krzątanina wygnańców politycznych, krążących pomiędzy Konstantynopolem, Paryżem a Londynem i czerpiących najwięcéj otuchy w Paryżu. Zamach stanu 2 grudnia postać rzeczy zmienił, sprowadzając tryumf idei napoleońskiéj. Prezydent rzeczypospolitéj francuskiéj ukazał się w perspektywie cesarzem i zajął—jak się wydawało—stanowisko niewzruszone. Rachuby na rewolucyą osłabły. Trzymali się onych „niepoprawni“ jeno, a Rumuni do rodzaju „niepoprawnych“ nie należeli. Nie zrywali oni z komitetem centralnym, lecz się od takowego powoli odwracali i odsuwali, pozostawiając przy nim osobistości pojedyńcze i przymykając masą całą do gabinetu paryskiego, właściwie zaś do osoby Napoleona III, który kierownictwem polityczném zajmował się sam i miał siebie za opatrznościowego „wybawiciela uciśnionych“, a przytém za męża stanu bardzo zręcznego i nieomylnego, powołanego do wprowadzenia w życie idei napoleońskiéj. Idea ta, jak wiadomo, polegała na przewodniczeniu dążnościom rewolucyjnym. Z rewolucyi wyrosła, wytworzyła ona dla siebie doktrynę specyalną, rodzaj mesyanizmu, mającego oblicze podwójne: inne dla tych, których dotyczyła bezpośrednio, inne dla spraw zewnętrznych. Ztąd we Francyi przedstawiała się idea ta, jako absolutyzm bezwzględny, opierający się teoretycznie na woli ludu; po za granicami zaś Francyi wola ludów obcych przemawiała do Napoleona III za pośrednictwem agitatorów, bądź zręcznych na tyle, ażeby go przekonać i ująć, bądź téż o tyle zuchwałych, ażeby go przestraszyć. Do rodzaju ostatnich należeli Wołosi, ci zamachy czynili i wykrzesali wojnę, dzięki któréj urzeczywistniła się „utopia“ Mazziniego, o ile się tyczyła zjednoczenia Włoch. Rumuni kołatali do podnóżów gabinetu cesarskiego—kołatali; starali się przekonywać i ujmować; trafiali do pism, co ideę napoleońską uprawiały; poszukiwali orędowników, którzyby o nich cesarzowi

przypominali. Na orędownika wyszukali sobie człowieka, stojącego przy tronie najbliżéj a dającego chętnie ucho wszystkim rewolucyi rozmaitych rozbitkom: księcia Napoleona Hieronima.

Przypuszczać można, że całe to krzątanie się, wszystkie zabiegi i usiłowania nie doprowadziłyby wychodźców rumuńskich do rezultatu żadnego, gdyby okoliczności nie nadarzyły okazyi, która je wsparła potężnie. Okazyą tę nastręczyła wojna „o klucze grobu Chrystusowego.“

Wojna wschodnia 1853—1856 była zdarzeniem wielce dla Rumunii pomyślném.

Rumuni w wojnie téj odgrywali rolę, w cieniach kulisów ukrytą całkowicie, a mimo to ważną. Mowy o nich nie było. Udziału ich historyk nie odkryje w żadnych dokumentach urzędowych. Rzecz cała ograniczała się na tém, że wychodźce polityczni rumuńscy, dawniejsi członkowie uznanego w r. 1848 przez Wysoką Portę rządu tymczasowego i towarzysze ich, zgromadzili się w Konstantynopolu i sułtanowi, jako poddani zwierzchnikowi swemu, ofiarowali usługi swoje. Ofiara ta łaskawie przyjętą została. Oddano Rumunów pod zawiadowstwo *seraskiera* (ministra wojny); ten postanowił sformować dywizyą rumuńską kosztem i na żołdzie tureckim. W celu tym zamianował komendanta dywizyi onéj w osobie generała Tella, polecił mu sformować sztab i wyprawił go do Szumli pod dowództwo naczelne *sadrazama ekrema* (wodza naczelnego) Omera-paszy, wyznaczając dla téj wojowników przyszłych gromadki *taimy* (porcye i racye). Omer-pasza przyjął gen. Tella uprzejmie i czekać kazał, zapowiedziawszy mu, że w czasie, który za właściwy uzna, wyprawi go do Widdynia, gdzie dywizya będzie mogła formować się swobodnie i bezpiecznie, rekrutując się na Małéj Wołoszczyznie. Było to rozporządzenie całkiém racyonalne. Żadna część Rumunii, zajętéj w czasie owym przez wojska rosyjskie, nie nadawała się lepiéj na dostarczenie do szeregów dywizyi rumuńskiéj kontyngiensu ochotników. Rumuni czekali — czekali od połowy stycznia do marca r. 1854; w d. 6 marca doczekali się rozkazu wyjazdu, nie do Widdynia atoli, ale do Konstantynopola i nie w celu organizowania wojska, ale dla dalszego liczenia smutnych dni wygnania. Wytłómaczyć sobie fantazyi téj nie umieli. Wytłómaczyły ją następstwa. Przyjęcie przez sułtana ofiary ich miało znaczenie straszaka dyplomatycznego na Austryą, która wahała się, jaką przybrać ma postawę w odniesieniu do wypadków na Wschodzie i niczego tak gorąco nie pragnęła, jak oddalenia wojny od granic posiadłości swoich, nie zupełnie jeszcze uspokojonych po wstrząśnieniach niedawnych (wojna węgierska i wojna włoska). Z targów i umów, mających

na celu wciągnięcie Austryi do akcyi wespół z gabinetami zachodniemi, wykluła się okupacya Rumunii przez wojska austryackie. W ciągu targów i umów dywizya rumuńska, reprezentowana przez gen. Tella, przez Golesków, Helliada i innych kilkunastu „rewolucyonistów“, stała w zawieszeniu i oznaczała gotowość prowadzenia wojny w kotlinie dunajskiéj. Gdy Austrya zobowiązała się tę kotlinę z wojsk rosyjskich oczyścić, dywizya rumuńska okazała się niepotrzebną. Rumuni odesłani zostali *sans phrase*. Odprawy téj nie upozorowano racyą żadną. Taimów ich pozbawiono, wyjechać z Szumli nakazano i miejsce eks-rewolucyonistów, co walczyć za prawa odwieczne sultana-zwierzchnika chcieli, zajęli mężowie, którzy dla siebie tron hospodarski wysłużyć pragnęli. Do sztabu Omera-paszy wstąpił, w stopniu generała, Sturdza młody, syn Michałakiego Sturdzy, eks-hospodara mołdawskiego.

W Rumunii wkroczenie wojsk rosyjskich w r. 1853 to jeno sprawiło, że hospodarowie Ghica i Stirbej wynieśli się do Wiednia. Władze rosyjskie zamianowały kajmakanów (namiestników) i rzeczy pozostały *in statu quo*, co do zarządu wewnętrznego, wprawionego w ruch, jakiego wymagały operacye wojenne. W operacyach tych wojska mołdawskie i wołoskie brały udział o tyle, o ile się to odnosiło do dostaw i transportów. Do boju ich nie posyłano. Rola ich była bierną i bierną pozostała w chwili, gdy wojska rosyjskie kraj opuszczały a wojska tureckie wkraczały. Ludność księstw jednakowo przyjmowała jedne i drugie, witając żołnierzy rosyjskich, jako wybawicieli i żołnierzy tureckich, jako wybawicieli. W tych i w tych widziała *emperacyą*. W miesiącu czerwcu r. 1854 wkroczyli Austryacy. Weszła *emperacya* nowa i ta, jako wybawicielka, przyjętą została. Barwy mundurów zmieniły się: pozostawało niezmienném usposobienie ludności, poczuwającéj się jeno do braku sił i woli. Rumunia sama nie myślała o sobie; reprezentujące ją zaś na zewnątrz wychodźtwo znajdowało się w rozpaczy, było bowiem tego przeświadczenia, że Austrya, opierając się na zasadzie *beatus qui tenet*, praktykowanéj przez nią bardzo często, zatrzyma Mołdowołoszczyznę na zawsze.

Wraz z wkroczeniem wojsk austryackich powrócili hospodarowie Ghica i Stirbej i objęli napowrót władzę pod austryackim dozorem. Wielkiém było podobieństwo do prawdy, że władza ich przejdzie w ręce zamianowanego w Wiedniu gubernatora lub namiestnika i że Monarchia Rakuska podejmie się uszczęśliwiania krain, całą szerokością swoją rozłożonych nad Dunajem. W Wiedniu mile słuchano propozycyj, mających tę anneksyą na celu i z przyjemnością odczytywano memoryały, wykazujące korzyści, polityczne i cy-

wilizacyjne, jakie na ludzkość z takowéj spłyną. I spółziomkowie nasi (hr. Wład. Z.) z memoryałami tego rodzaju występowali. Rumuni na takowe odpowiadali prozą i mową wiązaną (wiersz G. Helliada) i w niepewności losów, jakie czekają ich ojczyznę, przeżywali epokę wojenną—epokę oblężenia Sewastopola przez wojska sprzymierzone i fatalnych dla Turcyi operacyi wojennych na teatrze azyatyckim. Zdobycie Sewastopola i zdobycie Karsu otworzyły epokę pokojową. Kongres paryzki, który się zamknął traktatem pokoju, podpisanym d. 30 marca 1856 roku założył podwaliny istnienia państwowego Rumunii.

Z wojny téj Rumunia wyniosła korzyść największą, pomimo że w takowéj udziału nie wzięła inaczéj, jak za pomocą obdeptywania progów Wysokiéj Porty i gabinetów zachodnich, osobliwie zaś paryskiego. Obdeptywaniu temu oddawało się wychodźtwo jéj polityczne. Dla wychodźtwa skończyły się tęsknoty wygnania. Traktat paryzki otworzył dla niego wstęp do kraju a nowe hospodarstw położenie dało mu do czynienia dużo.

Położenie księstw zmieniło się z gruntu, mimo że na pozór zmiana polegała jedynie na usunięciu protektoratu rosyjskiego i zastąpieniu takowego przez protektorat zbiorowy mocarstw europejskich. Zwierzchnictwo Turcyi pozostało nie tylko nie naruszone, ale wzmocnione nawet, przywrócone do znaczenia pierwotnego, łagodziło je jeno zastrzeżenie autonomii zupełnéj, uczynione na korzyść księstw we względzie spraw wewnętrznych, których uregulowanie zasadnicze powierzoném zostało komisyi specyalnéj, pod prezydencyą komisarza tureckiego. Zachodziły wprawdzie sprzeczności w brzmieniu traktatu. Rumunów uznano poddanymi sułtana; sułtanowi zabroniono mieszać się do spraw ich wewnętrznych i zarazem mocarstwa na traktacie podpisane zobowiązały się nie mieszać do stosunków pomiędzy sułtanem a poddanymi jego: jakąż pomiędzy tém zabronieniem a tém zobowiązaniem była rola protektoratu zbiorowego? Protektorat ów przeto mógł mieć jeno znaczenie nominalne. Zastosowanie onego praktyczne zależało od okoliczności w danéj chwili. Zależność księstw rumuńskich przeszła faktycznie na Wysoką Portę, któréj przysługiwało prawo *veto* w razach, gdyby się jéj wydało, że księstwa schodzą z drogi legalnéj, prawo przywracania porządku, prawo reprezentowania księstw na zewnątrz, prawo powoływania pod sztandary tureckie sił zbrojnych rumuńskich na wypadek zagrożenia granic mołdowołoskich i obowiązek bronienia tych granic, rozszerzonych traktatem paryskim przez przyłączenie do Mołdawii części południowo-wschodniéj Bessarabii. Że jednak Wysoka Porta podlegała wpływom raz angielskim znów francuskim,

ostatecznie przeto losy Rumunii rozstrzygały się w gabinetach londyńskim i paryskim, zwłaszcza zaś w paryskim, przystępniejszym, łaskawszym i polującym na popularność po za granicami Francyi, celem potęgowania fundamentu cesarskich we Francyi. Popularność w Rumunii tę miała dobrą stronę, że tanim przychodziła kosztem. Gabinet paryski wziął na się rolę oficyalnego sprawy rumuńskiéj obrońcy w obec Wysokiéj Porty, która mu okazywała powolność wielką, mającą źródło swoje w przeświadczeniu o bezinteresowności rad, udzielanych przez Francyą, bezinteresowności jeżeli nie bezwzględnéj, to względnie większéj, aniżeli rady angielskie, austryackie i rosyjskie. Protektorat przeto zbiorowy redukował się do protektoratu Francyi, przez Rumunów poszukiwanego, pielęgnowanego i wyzyskiwanego.

Punkty traktatu paryskiego, tyczące się Mołdowołoszczyzny bezpośrednio stanowiły przedewszystkiém (art. 20 i 21) sprostowanie granic Bessarabii, następnie: (art. 22) „księstwa Mołdawii i Wołoszczyzny, pod zwierzchnictwem W. Porty i gwarancyą mocarstw kontrahujących, będą używały przywilejów i swobód, jakie posiadają. Żadne z mocarstw gwarantujących nie rozciągnie nad niemi protekcyi wyłącznéj. Nikt nie będzie miał prawa mieszania się do spraw ich wewnętrznych (art. 23). Wysoka Porta zobowiązuje się nadać rzeczonym księstwom godziwą i narodową administracyą, jakotéż zupełną swobodę wyznania, stanowienia praw, handlu i nawigacyi. Prawa, mające moc obecnie, poddane zostaną rewizyi. Celem porozumienia się względem téj rewizyi, zgromadzi się niezwłocznie komisya specyalna, co do składu któréj mocarstwa się ułożą w Bukareszcie w obecności komisarza W. Porty. Zadaniem komisyi będzie wykazanie stanu księstw i zaproponowanie zasad przyszłéj onych organizacyi (art. 24). Najjaśniejszy sułtan przyrzeka zwołać natychmiast, w każdém z dwóch księstw, dywan *ad hoc* złożony w ten sposób ażeby reprezentował jaknajdokładniéj interesy wszystkich klas społecznych. Zadaniem dywanów będzie wyrażenie życzeń ludności we względzie organizacyi ostatecznéj księstw. Kongres w osobnéj instrukcyi ureguluje stosunek komisyi do tych dywanów (art. 25). Biorąc na uwagę opinią, jaką dywany te wyrzeką, komisya niezwłocznie zakomunikuje rezultat prac ich konferencyom. Porozumienie ostateczne z mocarstwem zwierzchniczém wyrazi się za pomocą konwencyi, zawartéj między umawiającemi się mocarstwami a hatti-szeryf, odpowiedni warunkom w konwencyi zawartym, określi w sposób stanowczy organizacyą tych prowincyj, postawionych nadal pod gwarancyą zbiorową wszystkich mocarstw podpisanych (art. 26). Rozumi się, że każde z księstw będzie posiadało siłę zbroj-

ną, zorganizowaną w celu utrzymania bezpieczeństwa wewnętrznego i zapewnienia bezpieczeństwa granic. Przeszkoda żadna stawianą być nie może środkom nadzwyczajnym w razie, gdyby ta siła zbrojna wespół z wojskami W. Porty powołaną była do odparcia napaści obcéj (art. 27). Gdyby spokój wewnętrzny w księstwach był naruszony, W. Porta porozumi się z mocarstwami innemi co do środków mających być przedsięwziętemi w celu utrzymania lub przywrócenia porządku prawowitego. Interwencya zbrojna miejsca mieć nie może, jak tylko po poprzedniem porozumieniu z mocarstwami.“.

Analiza punktów powyższych to daje w rezultacie, że każdy niemal z osobna tłómaczyć się da rozmaicie, wszystkie zaś razem stanowią całość umowy, dochowanie któréj wymagało ze strony podpisanych na takowéj gabinetów zupełnéj dobréj wiary, nieograniczonéj dobréj woli i bezwarunkowego zamiłowania pokoju. To ostatnie zamanifestowało się niby, pod postacią życzenia, wygłoszonego w chwili podpisania piórem orlem traktatu a mającego na celu rozstrzyganie wszelkich nadarzyć się mających sporów międzynarodowych za pomocą sądu polubownego. Czy było życzenie to szczerem, a jeżeli szczerem było, czy posiadało warunki trwania w szczerości dłużéj nad czas, jakiego pióro do oschnięcia z atramentu potrzebowało w to wchodzić nie będziemy. Dla stosunków, jakie wojna wschodnia wytworzyła, były szanse utrzymywania się przez czas jakiś — przez czas Rumunii właśnie do pokrzepienia się potrzebny.

Dla biednéj nękanéj a deptanéj krainy gwiazda szczęśliwa weszła.

Znalazła ona protektora, który nie tylko nad nią czuwal, ale ją faworyzował. Napoleon III był jéj orędownikiem szczerym i gorliwym. Na cesarstwie jego Francya wyszła jaknajgorzéj, ale za to przyniosło ono korzyści ogromne Włochom, Prusom i Rumunii wprowadzając trzy te narody kosztem i staraniem Francyi na drogę zjednoczenia narodowego.

Luboć kongres paryzki, we względzie organizacyi Rumunii, zalecił pośpiech niezwłoczny a natychmiastowy, pośpiech ów, dzięki Wysokiéj Porcie, zużył trzy lata czasu. Wysoka Porta spieszyć się ani potrzeby, ani interesu nie miała. Kongres powierzył jéj tymczasowie faktyczne w księstwach rządy; zatrzymywała więc tymczasowość tę jak mogła najdłużéj, wynajdując raz po raz bądź trudności, które usunąć należało, bądź formalności, których dopełnienie za potrzebne uważała. Na tronach hospodarskich zasiadali książęta, zamianowani na mocy układów balta- limańskich. Ruszać ich nie mo-

żna było przed upływem siedmiolecia. Na szczęście dla Rumunii siedmiolecie upływało w roku 1856, komplikacya ta przeto upadała sama przez się — następnie trzeba już tworzyć było.

Przypuszczać należy, iżby W. Porta nie zwlekała organizacyi ostatecznéj, gdyby nie kwestya jedna, która jéj mocno zawadzała, a którą było zjednoczenie—pomysł, w program rewolucyjny wkluczony, a przyniesiony, tak jak wszystkie inne programu tego punkty (wolność prasy, wolność stowarzyszeń, równość, wolność wyznań, głosowanie powszechne, etc.), z zagranicy. Mazzini zjednoczenie na sztandarze włoskim napisał: jakże by je rewolucyoniści rumuńscy pominąć mogli! Rewolucyoniści szli za Mazzinim; był on dla nich wzorem, obok którego znalazł się wzór i dla nierewolucyonistów, w osobie Cavura, legalizującego hasło, brzemienne trudnościami dyplomatycznemi, brzemienne trudnościami z tego zwłaszcza powodu że rewolucyjność rumuńska, poszukując za granicą wzorów, znajdowała i wzory i podobieństwa. Nie byłaż Rumunia podobną do Piemontu? Nie miałaż ona do jednoczenia w całość wielką Siedmiogrodu, Bukowiny, Banatu, Bessarabii i Bólgarii, przypadającéj jéj na mocy tradycyi o cesarstwie Dako-Romańskiém? Nie byłaż ona spadkobierczynią Dacyi Trajańskiéj, Dacyi rzymskiéj, nie zgodnéj z pretensyami i prawami W. Porty? Względy te zniewalały tę ostatnią do zwlekania z organizacyą i szukania sposobów na zgromadzenie takiego dywanu *ad hoc*, który by wypowiedział życzenia ludności rumuńskiéj, do miary widoków W. Porty przypadające. Myśl zjednoczenia w kraju nurtowała; prasa rumuńska nabrzmiała nią była; w prasie zagranicznéj przejawiała się raz po raz na szpaltach dzienników poważnych, takich które były półoficyalnemi myśli rządowych tłómaczami, pełnomocnicy francuscy w Wiedniu (Bourquenay) i w Paryżu (Walewski) wytaczali ją na konferencyjnych i kongresowych obradach: trzebaż było Europie pokazać, że ludność rumuńska jest onéj przeciwną, że o zjednoczenie nie chodzi jéj bynajmniéj. W celu tym Wysoka Porta, naznaczywszy na kajmakanów (namiestników) osobistości, na które liczyć mogła i nadawszy im władzę w obszerności, przekraczającéj granicę praw istniejących, nakazała im cenzurę zaprowadzić, zgromadzenia wyborcze kontrolować i listy wyborcze odpowiednio widokom jéj ułożyć. Usiłowania szczególne zwróciła na Mołdawią, raz dla tego że mniejsza, więc się lepiéj do przyciśnięcia nadawała, powtóre dla tego, że mniéj aniżeli Wołoszczyzna zarażoną była duchem rewolucyjnym. Na kajmakana w Mołdawii zamianowany został Mikołaj Vogorides, który po rumuńsku nie umiał i krajowcem nawet nie był—naturalizował się, a w fezie tureckim chodził i wiernopoddaństwo względem

W. Porty w sposób ostentacyjny reprezentował. Vogorides wziął się do rzeczy energicznie. Prasę okiełznał, narady przedwyborcze jako stowarzyszenia tajemne ścigał, emigrantów, to jest tych, co w roku 1848 skompromitowali się, wypędzał, urzędników dobierał i z list wyborczych niepewnych wykreślał. Nad kajmakanem atoli czuwali konsulowie zagraniczni, mianowicie zaś francuski, zażalenia przyjmowali i z zażaleń użytek stosowny robili. Konsulowie, we względzie kwestyi zjednoczenia, zgrupowali się w sposób następujący: francuski, rosyjski, pruski i sardyński zjednoczenie popierali, austryacki był onemu stanowczo przeciwny, angielski wahał się. Większość protestowała przeciwko gospodarzeniu kajmakana i protestacye jéj Wysoka Porta, nie uwzględniwszy co do list wyborczych, uwzględnić musiała, co do wyborów dokonanych. Dwa razy listy układano i dwa razy do wyborów przystępowano. Zabierało to czas. Dywan *ad hoc*, maiący życzenia kraju wyrazić, zgromadzić się mógł dopiero we wrześniu r. 1857 i 19 października ułożył w pięciu punktach życzenia następujące:

1. Utrzymanie autonomii według brzmienia starych z Portą ottomańską kapitulacyj.

2. Złączenie księstw w państwo jedno pod nazwą Rumunii.

3. Książę cudzoziemiec, dziedziczny, wybrany śród panujących w Europie dynastyj, którego następcy chowani być mają w religii krajowéj.

4. Neutralność i nietykalność państwa nowego.

5. Władza prawodawcza powierzona jednemu zgromadzeniu ogólnemu, reprezentującemu wszystkie interesy narodowe."

Dywan *ad hoc* wołoski życzenia powyższe za swoje przyjął i potwierdził.

Życzenia te stały się faktem, z którym dwory nie koniecznie wiedziały co zrobić. Wysoka Porta i gabinet wiedeński sprzeciwiały się stanowczo, podając powody, śród których racyonalnym był jeden tylko, ten który od Turcyi pochodził. Tłómaczyła ona, że zjednoczenie spotęguje ambicyą narodową i rozbudzi w Rumunach aspiracye, z których wynikną niepokoje dla państw ościennych. Przepowiednia ta ziszcza się obecnie. Racyą tą powodowała się i Austrya, która atoli miała inną jeszcze, odnoszącą się do widoków jéj państwowych. Nie mogła Rumunii zatrzymać, wskutek okupacyi w czasie wojny, mogła jednak nadać jéj organizacyą taką, ażeby ona, pod naciskiem organizacyi téj, sama, niby owoc zgniły, w objęcia jéj spadła. Publicystyka austryacka, uprawiająca specyficzny austryacki patryotyzm, z tém się—wbrew zapewne woli gabinetu—wygadywała. Tezę potrzeby przyłączenia księstw do Austryi rozwi-

jał z punktu naukowego w pismach wiedeńskich profesor ekonomii politycznéj, Stein. Pisma polityczne wtórowały mu. Była to więc tajemnica przezroczysta, któréj pełnomocnicy austryaccy nie zdradzali, która jednak zdradzała się sama. Turcya w Austryi znajdowała silną przeciwko zjednoczeniu poplecznicę i dzięki poplecznictwu temu, kwestya ta złożoną została *ad acta*. Życzeń narodu dwory gwarantujące nie uwzględniły—nie uwzględniły urzędownie, te atoli, co się za takowemi oświadczały, nie zaprzestały opiekować się niemi, działając w sferze zakulisowéj, udzielając rad i dając skazówki na drodze prywatnéj. Gdy się dywany *ad hoc*, w celu wyrażenia życzeń zebrać miały, z Paryża wysłany został goniec umyślny, z poleceniem do piszącego słowa niniejsze, który z Rumunami w bliskich pozostawał stosunkach, ażeby się postarał namówić ich do wyrażenia we względzie księcia cudzoziemskiego życzenia imiennego, wymieniając wyraźnie księcia Napoleona Hieronima. Piszący słowa niniejsze odmówił przysługi téj. Pięć punktów życzeń znane były w Paryżu z góry i kto wie, czy nie tam je ułożono i zredagowano. Na domysł ten naprowadza fakt wysłania gońca, który z Paryża do Konstantynopola przywiózł treść dokładną życzeń, gdy te jeszcze w Jassach wygłoszonemi nie były. Były to roboty zakulisowe; historya atoli, jeżeli jéj o wierność chodzi, wiedziéć o nich, gdy może, powinna.

Nieuwzględnienie dotknęło 2, 3 i 4 punktu życzeń; pozostały dwa, 1 i 5, i na ich podstawie nic innego we względzie organizacyi stanowczéj księstw, do czynienia niebyło, jak zarządzenie wyborów innych dywanów *ad hoc*, czyli zgromadzeń wyborczych, w celu dokonania wyboru hospodarów. Tak postanowiła specyalna, Rumunii dotycząca konwencya, która, dzięki dyskusyi pomiędzy dworami i pośpieszności Wysokiéj Porty, sporządzoną została w r. 1858 dopiero. Porta ottomańska zwlekała, celem zyskania na czasie i doczekania się nastroju, widokom jéj przyjaźniejszego. Folgować jednak musiała naleganiom dworów i zarządziła wybory. Wybory, pomimo zabiegów i usiłowań, jakie w ciągu lat trzech czyniła, wypadły dla niéj niepomyślnie. Nastąpiło to, w części z powodu popularności, jaką patryotyzmem nacechowana idea zjednoczenia posiadała, w części znaczniejszéj z téj racyi, że faworyzowała ją Francya. Do przekonania tych, którzy patryotyzmu nie pojmowali, Francya przemawiała, działając więcéj na wyobraźnią, aniżeli na rozum i olśniewając takową tym blaskiem, jakim cesarstwo Francyę opromienić umiało. Jak skoro Francya za zjednoczeniem była, Mołdawianie nie przypuszczali, ażeby się takowe nie urzeczywistniło prę-

dzéj czy późniéj. W myśli téj zgromadzenie wyborcze przystępowało do wyboru hospodara tymczasowego.

Nie brakło zabiegów przeciwnych, mających na celu hospodarstwo stałe, to jest, hospodarstwo powierzone człowiekowi, który się na tronie, tak powagą własną, jakotéż poparciem dworów, utrzymać będzie umiał. W widokach tych stawali kandydaci, a pomiędzy nimi najważniejszymi byli Michałaki Sturza eks-hospodar i syn jego eks-generał w służbie tureckiéj. Stary Sturza przyjechał do Jass z pieniędzmi. Przywiózł z sobą sto tysięcy dukatów monetą brzęczącą, przeznaczonych na kupienie głosów połowy, więcéj jeden, w zgromadzeniu wyborczem. Agenci jego gorliwie się krzątali i—jak utrzymują (1) zgromadzili potrzebną do wybrania Sturzy liczbę ochotników, rzecz cała rozbiła się o rękojmię, któréj dać nie mogli ochotnicy Sturzy, gdyby im z góry zapłacił, któréj dać nie mógł Sturza ochotnikom, gdyby im płacił z dołu. Syn majątku nie posiadał, nie był więc w stanie z ojcem spółzawodniczyć, pomimo że się starał o poparcie konsulów i miał za sobą poparcie konsula francuskiego, działającego na mocy instrukcyi z Paryża i przekraczającego takową w tym względzie, że mu nakazywała popierać kandydata gabinetu petersburskiego, który żadnéj do chwili ostatniéj nie stawiał osobistości. W chwili ostatniéj dopiero, kiedy się rzecz wahała pomiędzy Sturzą a Sturzą—ojcem a synem—telegram z Petesburga przyniósł nazwisko kandydata. Tak się fakt wyraził—fakt, którego racye osłaniają cienie robót zakulisowych, mających, jak świadomi rzeczy utrzymują, na celu wysadzenie na wierzch „osobistości bez znaczenia“ (*une personnalité insignifiante*), najlepiéj odpowiadającéj warunkom hospodarstwa tymczasowego. Osobistością taką nie był ani Sturza stary, ani Sturza młody, ani żaden z szeregów bojarstwa wielkiego; był nią: pułkownik Kuza—człowiek pokaźny gładki, uprzejmy, nie głupi, patryota, nie rewolucyonista, ubogi i nie znany.

Zgromadzenie wyborcze uroczyście w dniu 9 stycznia 1859 otworzone, nim do wyboru hospodara przystąpiło, złożyło deklaracyą osnowy takiéj:

„1. Zgromadzenie wyborcze mołdawskie wyraża wdzięczność swoję najgłębszą mocarstwom na traktacie paryskim podpisanym za uznanie i zagwarantowanie praw księstw rumuńskich zapisanych w kapitulacyach ich z cesarstwem ottomańskiém.

„2. Zgromadzenie wyborcze oświadcza w obec Boga i ludzi, że zjednoczenie księstw w jedno państwo pod księciem cudzoziemskim

(1) Słyszeliśmy to od stronników Sturzy.

z familii w Europie panującéj, żądane jednogłośnie przez dywany *ad hoc* w dniach pamiętnych 7 i 9 listopada 1857, było, jest i będzie na zawsze pragnieniem najżywszém, najgorętszém i najogólniejszém narodu rumuńskiego.

„3. Zgromadzenie wyborcze mołdawskie wyraża, w imieniu narodu, niezadowolnienie swoje, że to wielkie pragnienie, od którego zależy szczęście pięciu milionów ludzi, spełnioném nie zostało. Mimo to przyjmuje ono konstytucyą, zawierającą w sobie pierwiastki zadowolnienia życzeń tak ogólnych jak szczególnych narodu.“

„Po deklaracyi téj, wykazującéj w piękném świetle—słowa pana A. D. Xenopol (*Resboaele d'intre Rusi si Turci*)—nie tylko patryotyzm ale i zmysł polityczny zgromadzenia mołdawskiego, przystąpiono do wyboru księcia.“ Słowa powyższe możnaby w literalném przyjąć znaczeniu, gdyby świadomość sposobu, w jaki się rzeczy działy, nie wywoływała zapytania: ażali deklaracya zgromadzenia nie w Paryżu zredagowaną została?

Nazwisko Kuzy, przedstawionego jako kandydata do tronu w zdumienie wyborców wprawiło, zwłaszcza że wyszło z ust konsula francuzkiego, o którym wiedziano, że popiera Sturzę młodego. Bardziéj jeszcze zdumionym był Kuza, gdy się o wyborze swoim dowiedział. Wybór przyjął i, na zadokumentowanie niejako, że sam go za tymczasowy uważa, przed złożeniem przysięgi złożył oświadczenie, że w razie, gdyby zjednoczenie nastąpiło, będzie abdykował na rzecz księcia cudzoziemskiego.

W pietnaście dni późniéj otwartem zostało zgromadzenie wyborcze w Bukareszcie i powtórzyło to, co zrobił przed dwoma laty dywan *ad hoc*, to jest: przyjęło deklaracyą zgromadzenia jasskiego i wybrało Kuzę na hospodara.

Rozporządzenia, instrukcye, zastrzeżenia i przepisy, jakie Wysoka Porta w porozumieniu z gabinetem wiedeńskim w kwestyi urządzenia księstw od lat trzech płodziła, nie przewidziały wypadku wyboru podwójnego. Przezorność nie dopisała w tym razie dyplomacyi dwóch dworów, których dyplomatyczna wytrawność znajduje uznanie powszechne. Zaskoczyła je niespodzianka. Dla niespodzianki téj trzeba było konferencyą zwoływać. Konferencya zebrała się w Paryżu, w mcu kwietniu r. 1859, i nie doszła do rezultatu żadnego. Obrady przerwała wojna włoska i dopiero po podpisaniu punktów przedugodnych w Villa-Franca, pełnomocnicy mocarstw wielkich powzięli postanowienie, tyczące się czynu dokonanego, który uregulowali na podstawie unii personalnéj a tymczasowéj dwóch księstw pod jednym hospodarem. Księstwa zachować miały administracyą oddzielną, izby prawodawcze oddzielne,

ministerstwa oddzielne i wojska oddzielne. Dla uczynienia zadość zasadzie zjednoczenia postanowiono ustanowienie komisyi, zasiadającéj w Fokszanach a mającéj za zadanie czuwanie nad utrzymaniem praw, interesujących jednakowo obydwa księstwa i dotyczących kodeksu cywilnego i karnego, komór celnych, poczty, telegrafu, monety. Miała być przytém izba kasacyjna spólna, organizacya wojskowa identyczna i nazwa „Księstwa zjednoczone Mołdawia i Wołoszczyzna.“ Herby księstw oddzielne, lecz na sztandarach sznury błękitne o zjednoczeniu świadczyć miały. Austrya sprzeciwiała się temu przed wojną włoską tak dalece, że nie przepuszczała przez granice swoje ludzi, opatrzonych w paszporty z zagłówkami „Księstwa zjednoczone“; po wojnie atoli z tonu spuściła i fakt uznała. Turcya za przykładem jéj poszła; nie chcąc wszelako zjednoczenia w zasadzie uznawać, obesłała księcia Kuzę, panującego pod imieniem Aleksandra Jana I, dwoma na dwa oddzielne hospodarstwa firmanami, nadając mu w ten sposób inwestyturę podwójną. Dla niéj hospodar mołdawski nie był hospodarem wołoskim i na odwrót.

Wybieg ten formalistyczny nie przydał się na nic. Wypadki następne rozwijały się porządkiem, jaki wskazywała logika, wspierana przez opiekę francuską. Za poradą francuską książę Kuza odbył podróż do Konstantynopola, gdzie, uprzejmie a łaskami przez sułtana przyjęty, wystąpił z żądaniem uznania zjednoczenia księstw nie tylko formalnego, ale rzeczywistego, zupełnego. Zebrana wskutek żądania tego konferencya poleciła je Wysokiéj Porcie, jako zgodne z interesami europejskiemi i zjednoczenie rzeczywiste uznaném zostało przez W. Portę firmanem sułtańskim z d. 4 grudnia 1861. W tymże samym miesiącu zasiadło w Bukareszcie najpierwsze zgromadzenie narodowe spólne, które książe przywitał następującą od tronu przemową.

„Rumuni! Zjednoczenie dokonane, narodowość rumuńska ubezpieczona. Czyn ten znakomity, upragniony przez pokolenia minione, aklamowany przez ciała prawodawcze, przyzywany przez pragnienia nasze najgorętsze, uznanym został przez W. Portę i mocarstwa gwarantujące i zapisanym w rocznikach narodów. Bóg ojców naszych był z krajem naszym i z nami. On to podtrzymywał usiłowania nasze i prowadził naród ku przyszłości sławnéj. Skupiliście nadzieje wasze na głowie jednego księcia: wybraniec wasz daje wam dziś Rumunią zjednoczoną. Niech żyje Rumunia!“

Poprawność przemowy téj szwankuje pod względem historycznym, gdy odwołuje się do pragnień pokoleń minionych, pragnień przypuszczalnych, za któremi nie przemawia świadectwo za-

dne. Pokolenia minione pragnęły może zjednoczenia; my o tém wiadomości nie mamy. Odwołanie się to przeto ma znaczenie kwiatka oratorskiego, który by można, spojrzawszy nań, pominąć, gdyby książęcy mówca nie związał onego ze wskazaniem narodowi „przyszłości sławnéj,“ aspiracyi, pokutującéj w duszy Rumunów. Szczęściło się im na podziw w czasach ostatnich: czemuż by się szczęścić nie miało nadal?

Kuza panował nie długo, lat tylko siedem i w tym przeciągu czasu dokonało się uregulowanie spraw wewnętrznych, w sposób zabezpieczający rozwój stopniowy kraju pod względami wszystkiemi w duchu czysto narodowym. Edukacya publiczna, stosunki społeczno-ekonomiczne, siła zbrojna: wszystko to było przedmiotem pieczołowitości rządu i izby prawodawczéj, poczęło kiełkować i podnosić się. Pojawiła się literatura, począł funkcyonować teatr, dziennikarstwo stało się potęgą, uderzyły tętna życia nowego, ale, niestety! grzęznącego w demoralizacyi, zabytku wieków w niewoli spędzonych. Forma na oko przedstawiała się pokaźnie; treść pozostawiała do życzenia dużo, pomimo najlepszych u góry chęci. Pokazywało się to najwyraźniéj na klasie urzędniczéj, wprawionéj do przekupstwa i nadużyć, pieniężnych zwłaszcza, za rządów hospodarów poprzednich. Kuza, chcąc temu zapobiedz, usunął z posad administracyjnych i sądowych urzędników starych i zastąpił ich młodymi. Nie poskutkowało to zgoła. Młodzi, jak skoro się w interesach rozpatrzyli, sprzedawali się i kradli, jak starzy. Nie wpływała na nich nawet kontrola opinii publicznéj, dokonywana za pomocą druku. Dzienniki nadużycia wykazywały, winnych po imieniu nazywały, oni kradli. *Złe* w grunt wszczepione nie łatwo się wykorzenić dawało. Mimo to, dola włościan polepszyła się, niewola cyganów znikła, sekularyzacya majątków klasztornych zatrzymała w kraju kapitały, które się rok rocznie za granicę wynosiły—lepsza przyszłość przyświecać w ogóle zaczęła krainie, tak długo i uparcie przez losy przeciwne doświadczanéj.

Izba prawodawcza, zrazu na warsztacie podwójnym, od roku zaś 1861 w Bukareszcie, pracowała nad uregulowaniem stosunków prawno-politycznych, w celu nadania krajowi konstytucyi, potrzebom jego odpowiedniéj. Za wzór służyła jéj konstytucya belgijska, wedle któréj stanęła ostatecznie konstytucya rumuńska. Władza prawodawcza należy kolektywnie do księcia i do zgromadzenia narodowego, dzielącego się na dwie izby: senat i izba poselska. W senacie zasiadają: członkowie z urzędu i członkowie wybieralni; do pierwszych należą następca tronu od lat ośmnastu wieku, metropolici i biskupi diecezyalni, do drugich wybrańcy po dwóch na obwód

z grona właścicieli, płacących podatku 300 dukatów najmniéj, jakotéż przedstawiciele uniwersytetów bukareskiego i jasskiego. Deputowani wybierają się na lat cztery w kolegiach, oznaczonych według wysokości płaconego podatku. Kolegiów jest cztery: do pierwszego należą ci, co płacą dukatów 300, do drugiego od 100 do 300, do trzeciego kupcy i przemysłowcy, których podatek wynosi najmniéj piastrów 80, do czwartego ci co płacą podatek jakikolwiek, ale w klasie téj wybór jest dwustopniowy. Oprócz tego ustanowioną została rada stanu. Ministeryum przed izbą odpowiedzialne piastuje władzę wykonawczą. Izba kontroluje skarb i bez jéj pozwolenia nie można ani dochodów pomnażać, ani wydatków podnosić.

Rumunia ruchem jednym przeszła ze stanu rządów dowolnych, arbitralnych, cechujących społeczeństwa nie umiejące ani myśléć, ani radzić sobie, w stan rządzenia sobą sama. Była przebranym paszalikiem tureckim; odrazu zrównała się z Belgią, z Danią, ze Szwecyą. Pomiędzy jéj wczoraj a jéj dziś nie było nic, coby nazwać można stanem przejściowym, nic, coby znamionowało samoistną nad przeobrażeniem się pracę narodową. Wyjęto ją z popręg dowolności absolutnéj i włożono w formy swobód konstytucyjnych, których nie wypracowała, poświęceniem nie okupiła, heroizmem nie oświeciła, ale wydeptała, wykołatała, wypłakała. Konstytucyą dla niéj wypośrodkowała emigracya w krótkim czasu przeciągu, pomiędzy 1848 a 1856 rokiem. Ona jéj formy gotowe z zagranicy przyniosła, ona dla niéj hasła podsłuchiwała, ona jéj powtarzaną przez Mazziniego w Europie i oblewaną przez Włochów krwią obficie myśl zjednoczenia podpowiedziała. Modliła się do bogów wszystkich i wymodliła. Rumunia taka, jak się ostatecznie pod władaniem Kuzy ukształtowała, jest dziełem emigracyi rumuńskiéj, nie licznéj, ale ruchliwéj.

Emigracya dzieła dokonała i na bok odsuniętą została. Była w pracy; nie przypuszczono jéj do nagród. Kuza oparł się na żywiole konserwatywnym i przy jego pomocy rządy sprawował, trzymając się zdaleka od Rossetich, Bratianów, Golesków, pomawianych o republikanizm i radykalizm. Jako żywo! Republikanizm ich i radykalizm był okolicznościowym, jak republikanizm i radykalizm Napoleona III, który okolicznościowo przysięgał. I oni okolicznościowo przysięgali, okolicznościowo zobowiązania brali i dawali. Kuza nie poznał się na tém. To go zgubiło. Odpychał od siebie republikanów mniemanych, którym do zrzucenia z siebie skorupy republikańskiéj nie pozostawało już nic innego, jak przyjść do władzy. Do władzy niedopuszczeni stali się zawiązkiem opozycyi radykalnéj w kraju i w izbie, ogniskującéj się w wydawanym przez

Rossetiego dziennika *Romanul* (Rumun). Nie była ona liczną, ale ruchliwą. Ogół, nawykły z dawien dawna ulegać hospodarom, otaczał Kuzę. Rząd posiadał stale w izbie większość i, konstytucyjnie rzecz biorąc, liczyć mógł na spokojny chód spraw, na trwałość stanowiska własnego. Opozycya mu nie zawadzała—owszem: wskazywala braki, za które odpowiedzialność spadała nie na księcia, ale na ministrów jego, kontrołowanych ściśle i ponaglanych do czynności. Kuza uczuł się monarchą,—monarchą konstytucyjnym, zajmującym stanowisko najwygodniejsze w ustroju społecznym,—zrobił wszystko, co, jak mniemał, do niego należało; celem zapewnienia rozwoju prawidłowego, posprowadzał Francuzów na instruktorów, udzielających ministrom rad i wskazówek w kwestyach specyalnych; sam zaś—stawiał kropki nad i: przemawiał od czasu do czasu stylem podniosłym cesarza Francuzów, udzielał audyencyj, pochwał i zachęt, odbywał przeglądy specyalnie przezeń faworyzowanego wojska, bawił się, słowem spokojnym był o kraj i własną przyszłość.

Spokój mu na złe wyszedł.

Kuzę obaliła nie rewolucya. Ani kraj, ani stolica nie były do takowéj usposobione. Żywioły opozycyjne nie posiadały sił do tentowania wywrotu porządku istniejącego, w którym zresztą do wywracania nie było nic innego, jak sam książe, trzymający przewódców opozycyi, eks-emigrantów i przyjaciół ich, zdala od władzy. Obaliła go opozycya. Dokonała tego nagle, niespodzianie i bez hałasu, na wzór i podobieństwo t. zw. rewolucyi pałacowych. Bukareszt d. 10 lutego r. 1866 zasnął z wieczora pod władzą Kuzy i, obudziwszy się nazajutrz, znalazł tron opróżniony a na tronie abdykacyą formalną. Izby się niezwłocznie zgromadziły na posiedzenie plenarne i niezwłocznie wybrały księcia nowego w osobie hr. Flandryi, brata króla belgijskiego. Miejsce Kuzy zajął rząd tymczasowy, złożony z gen. Mikołaja Goleski, Laskara Katargin i pułkownika Harałamba. Hr. Flandryi zaszczytu nie przyjął, pomimo że wybór jego znajdował aprobatę Napoleona III. Doświadczenie, jakie na cesarzu Francuzów zrobił szwagier jego, cesarz meksykański, nakazywało mu we względzie tym ostrożność. Rząd tymczasowy, wskutek odmowy hr. Flandryi, jakoteż z powodu większości konserwatywnéj w obu izbach, iżby rozwiązał, i zawiadomiony przez p. Jana Bratiano, który się podówczas w Paryżu znajdował, że się nastręcza inny, przez Napoleona III aprobowany a ciężar władzy przyjąć gotów kandydat, zarządził plebiscit na Karola Ludwika, syna drugiego księcia Hohenzolern Sigmaringen, porucznika w armii pruskiéj. Plebiscit dla młodego porucznika wypadł pomyślnie. Za nim oświadczyło się głosów 685,969, przeciw niemu tylko 224.

Do naśladowania form europejskich, a mianowicie francuskich, brakowało jeno plebiscytu — i temu uczyniono zadość. Emigracya odniosła tryumf zupełny i w tryumfie tym utopiła republikanizm, o który posądzoną była jaknajniesłuszniéj. Zrodzony na lekcyach Micheleta, nie przeżył on momentu wybuchu wojny wschodniéj. W 1853 umarł i nie zmartwychwstawał już więcéj. Eks-republikanie zajęli, pod nazwą radykalistów, stanowisko mniéj więcéj takie, jakie w Belgii zajmują liberalni wobec katolików, w Anglii whigowie wobec torysów.

Panowanie Kuzy upłynęło, z wyjątkiem krótkiéj a niekoniecznie dla oręża rumuńskiego fortunnéj przeciwko Polakom kampanii, w spokoju i zaznaczyło się napływem francuszczyzny. Francuszczyzna zapanowała wszechwładnie we wszystkich przejawach życia, znamionujących polor i postęp: w salonie, w szkole, w wychowaniu, w piśmiennictwie. Po francusku mówiono, francuskich metod się chwytano, francuskim słownikiem słownik rumuński dopełniano, na sposób francuski wojsko organizowano, odziewano i ćwiczono. W klasach wyższych społeczeństwa, starzy nawet długie chałaty, szerokie pasy i wysokie kołpaki zmienili na odzież francuską. Francuszczyzna ogładzała formy zewnętrzne i przenikała wewnątrz. Nie było to rzeczą szkodliwą: przeobrażające się w ciemnocie pogrążone społeczeństwo bez wzorów obejść się nie może. Przechorowanie na naśladownictwo jest w razie takim rzeczą o ile konieczną o tyle korzystną, gdy za przewodnika postępowi służy. Kuza faworyzował to; sam rad po francusku, nauczywszy się języka francuskiego od polaka Swiejkowskiego, mówił: jego przeto panowanie, acz krótkie, pozostawiło i wspomnienia dobre i ślady niezatarte najpierwszego ruszenia naprzód narodu na drodze postępu, który dla niego zaświtał nie na gruncie, ale w Paryżu. Rumuni uczcili zmarłego pod Wiedniem w lat kilka po abdykacyi Aleksandra Jana I pomnikiem. Słusznie! Nie był to ani wojownik znakomity, ani mąż stanu wielki, ale nadał się jako człowiek, który na stanowisku swoiém, do okoliczności wogóle stosować się umiał. Analiza szczegójów wykazałaby, że nie jedno zrobić należało nie tak, ale inaczéj. Nie znał naprzykład istotnego opozycyi znaczenia i ta go — literalnie—wyrzuciła. Kuza miał rozumu zdrowego tyle, że pojął, iż skandal ten zabił w nim człowieka publicznego.

Jak zjednoczenie księstw było złamaniem traktatu paryskiego, tak samo złamaniem onego był wybór księcia cudzoziemskiego—zwłaszcza wybór za pomocą plebiscytu. Nowe to zgwałcenie wywołało protestacyą ze strony Turcyi i ze strony Rosyi. Konferencya, która się w celu rozpatrzenia wypadku tego w Paryżu (10 marca

1866) zgromadziła, zapisała w protokule deklaracyą, jako: „Rząd tymczasowy bukarescki, wywołując plebiscyt celem wybrania księcia cudzoziemskiego, zgwałcił konwencyą z dnia 19 sierpnia 1858, która wybór hospodara powierza zgromadzeniu wyborczemu. Konferencya stanowi, że potrzebném jest zwołanie zgromadzenia celem rozstrzygnięcia kwestyi, tyczącéj się utrzymania zjednoczenia. Gdyby deputowani mołdawscy albo wołoscy żądali wotowania oddzielnie, żądaniu temu uczynić należy zadość. W razie gdyby większość bądź mołdawska, bądź wołoska przeciwko zjednoczeniu się oświadczyła, nastąpi rozłączenie księstw.“ Zgromadzenie wyborcze zebrało się pod prezydencyą M.K. Epureanu, i gdy nikt głosowania oddzielnego nie żądał, zawotowało oświadczenie takie:

„Ze względu na należny Wysokiéj Porcie i mocarstwom gwarantującym szacunek, zgromadzenie, tłómacz wierny woli narodowéj tak silnie wyrażonéj i stwierdzonéj przez dywan *ad hoc*, przez wszystkie zgromadzenia późniejsze i w ostatku przez ciało prawodawcze w d. 11 lutego, jakotéż przez plebiscyt d. 2—8 kwietnia, po raz ostatni oświadcza wobec Boga i ludzi, że wolą niezachwianą księstw zjednoczonych jest pozostać, jak są, Rumunią jedną a nierozdzielną, pod panowaniem dziedzicznem księcia cudzoziemskiego z familii panującéj na Zachodzie i że księciem dziedzicznym Rumunii jednéj a niepodzielnéj jest Karol Ludwik Hohenzollern Sigmaringen, którego zgromadzenie, ze strony swojéj, ogłasza pod imieniem Karola I.“

Oświadczenie to zanadto wyglądało na ciśnięcie rękawicy, ażeby poruszyć nie miało żółci dyplomatycznéj. Turcya obrażoną się czuła. Rosya na zjednoczenie przyzwalała, ale nie na zjednoczenie pod księciem cudzoziemskim, którego obecność na gruncie kwestyi wschodniéj wytwarzała stan rzeczy nowy i kłopotliwy. Austrya...

Lecz fortuna, gdy kogo umiłuje, to już go nie miłuje połowicznie. Austrya zjednoczenia rumuńskiego najzawziętsza przeciwniczka i w sprawie téj Wysokiéj Porty najpewniejsza popleczniczka, wysilała się w momencie owym na gromadzenie materyałów, celem wzbogacenia roczników swoich klęską pod Sadową. Gabinet wiedeński przeto znajdował się w niemożności zabierania głosu w sprawie téj, a pobity pozbawił Turcyą sekundanta, który z nią dotychczas szedł ręka w rękę. Turcya więc odstąpiła od popieranego przez gabinet petersburski domagania się zbrojnéj w księstwach interwencyi i za poradą ambasadorów angielskiego i francuskiego, zgodziła się na uznanie czynu dokonanego, pod tym warunkiem, ażeby książe Karol po wzięciu inwestytury stawił się w Konstantynopolu osobiście. Dopełnienie warunku tego zażegnało burzę, grzmiącą—jak się kalendarz berdyczowski wyrażał—„stronami.“

Z Karolem I do władzy dostało się z kolei stronnictwo radykalne i nie sprowadziło ani skończenia świata, ani nawet republiki. Eks-republikanie, eks-rewolucyoniści, eks-członkowie i eks-agienci komitetu centralnego okazali się bardzo poprawnymi piastunami tek ministeryalnych i urzędów wysokich przy boku księcia. Nie dogadza to stronnictwu konserwatywnemu, ale nie szkodzi krajowi, rozwijającemu się w kierunku, nadanym mu za panowania Kuzy. Do Rumunii zawitały drogi żelazne; obce kapitały z usługami ku niéj się pogarnęły; edukacya się podnosi, w literaturze postrzegać się daje zwrot narodowy, manifestujący się za pomocą zbierania pieśni i podań ludowych i pracowania nad dziejami krajowemi; nauka jest uprawiana również jak sztuka. Wszystko to są początki—kwilenia dziecinne, nie mające poza sobą nic, przed sobą zaś... zagadkę przyszłości, dla któréj fundamenty radykaliści zakładają rezolutniéj trochę, aniżeli konserwatyści. Rezolutność ta czyni w finansach szczerby znaczne—szkodliwe o tyle, o ile idą na cele nieproduktywne, jak np. na wojsko, organizowane i pomnażane na to, ażeby się stało narzędziem wielkości i potęgi Rumunii, pozostawionéj nadal, dzięki upadkowi protektora jéj pod Sedanem (1870), przemysłowi własnemu.

Sułtan zbłądził, gdy udzielając Karolowi I inwestyturę nie udzielił Rumunii niepodległości i nie wystarał się dla niéj o neutralność na wzór téj, jaką się cieszy Belgia. Nie byłby na tém wyszedł gorzéj; postawienie zaś na północnéj granicy państwa Ottomańskiego progu neutralnego dałoby mu w ręce oręż jeden więcéj do obrony w razie potrzeby. Nieprzezorność we względzie tym pozbawiła Turcyą w r. 1877 oręża, którym by się, bodaj dyplomatycznie, zasłaniać mogła, a oraz postawiła Rumunią w położeniu kłopotliwém, jakiém jest położenie pomiędzy młotem a kowadłem. Wobec kategorycznie postawionych żądań rosyjskich, gabinet bukareski nie wiedział co począć, zwłaszcza że się z góry względem Turcyi nieprzyjaźnie postawił, żądając od niéj w przesłanym d. 26 czerwca 1876 W. Porcie przez ministra spraw zewnętrznych, p. D. Cogalniceanu, memoryale: 1) przyznania charakteru oficyalnego agentowi rumuńskiemu w Konstantynopolu, 2) przyznania onemu praw sądownictwa w stosunku do poddanych rumuńskich, 3) zawarcia z Rumunią konwencyi pocztowéj i telegraficznéj, 4) odgraniczenia wysp dunajskich w korycie kilijskim i 5) przyznania państwu nazwy „Rumunii“, dotychczas przez W. Portę ignorowanéj.

Po memoryale tym, na który—jak przewidywać można było—nastąpiła odpowiedź odmowna, minister wystosował do agentów rumuńskich notę okólną, w któréj opisując położenie rzeczy na pół-

wyspie Bałkańskim i stosunek Rumunii do tego położenia, wyraził się, że „armia rumuńska drży w jarzmie karności, pragnąc wziąść w walce udział“ (*frémit sous le joug de la discipline, désirant prendre part à la lutte*). Wystąpiwszy, albo raczéj wyrwawszy się z takim memoryałem i z taką notą, rząd rumuński zamknął dla siebie drogę dyplomatyczną. Rumunią na zewnątrz reprezentowali ambasadorowie tureccy. Gdy przeto gabinet bukarescki domyślił się o neutralność kołatać, nie mógł kołataniu swemu nadać powagi oficyalnéj. Nie pomogło wystąpienie pana D. Cogalniceanu z gabinetu i rekonstytuowanie onego pod prezydencyą p. Jana Bratjana. Kołatanie o neutralność przyszło za późno i występowało w formie niewłaściwéj. Nie pozostawało nic innego, jak dać się unosić prądowi wypadków, nie wiedząc dokąd takowy zaniesie. Nie pozostawało nic innego i z téj jeszcze racyi, że Rosya wojnę 1877 rozpoczynała jak w 1827, w charakterze wykonawczyni postanowień Europy, zapadłych w formie tak zwanego „protokułu londyńskiego,“ który Turcya podpisać odmówiła. P. Nelidow na kilka tygodni przed rozpoczęciem kroków wojennych, przywiózł do Bukaresztu konwencyą do podpisania, mocą któréj Rumunia zobowiązywała się do udziału w wojnie czynnego, Rosya zaś do bronienia nienaruszalności granic jéj w czasie trwania wojny.

Udział Rumunów miał doniosłość ogromną, przypadł bowiem w téj chwili, w któréj wodzowie wysławszy naprzód rezerwy wszystkie, oglądają się, azali nie pozostała jeszcze jaka — zapomniana. Rolę rezerwy tego rodzaju odegrała armia rumuńska. śpiesząca pod Plewnę i zajmująca stanowisko w okopach. Rola ta pod Plewną się zaczęła i pod Plewną skończyła, a odegrała się całkowicie w ramach armii takiéj, jak rosyjska, która ją podtrzymała i utrzymywała, ducha dodawała i za przykład służyła. O wartości jéj przeto sądzić nie można, wedle tego jak się wobec wałów plewnieńskich zachowała. Rzecz nie w tém zresztą. Waga cała udziału, jaki Rumunia w wojnie tureckiéj wzięła, polega na korzyściach, jakie z niéj osiągnęła.

Traktat San Stephano i kongres berliński Rumunii milczeniem nie pominęły. Uzyskała uznanie niepodległości państwowéj; straciła przyłączoną do niéj traktatem paryskim część Bessarabii i w zamian dostała Dobrudżę po linią przeprowadzoną od Dunaju, poniżéj Sylistryi, do morza Czarnego, powyżéj Mangalii; wreszcie—skrólestwiła się. To ostatnie nastąpiło w trzy lata po wojnie—jako wynik niepodległości, jako zaznaczenie roli politycznéj na przyszłość.

Rumuni głosem wielkim żalą się na krzywdę, jakiéj doznali. Jakiéj krzywdy?—nie ekonomicznéj chyba, zamiana bowiem krainy

w połowie większéj nieprodukcyjnéj i od morza nieprzystępnéj na krainę o kilka tysięcy kilometrów kwadratowych większą, żyzniejszą, bardziéj pod względem fizyognomii kraju i natury płodów urozmaiconą, posiadającą główne (sulińskie) ramie Dunaju i porty na morzu, a przytém uzupełniającą konfiguracyę Rumunii, krzywdą nie jest. We względzie tym trudno Rumunom słuszność przyznać. Pozostaje przeto krzywda polityczna dwojaka: jedna—odjęcie Bessarabii, którą Rumuni uważali jako pierwszy na drodze rewindykacyjnéj krok, druga—nadanie Dobrudżi, która jest kością niezgody przyszłéj pomiędzy nimi a Bulgarami, roszczącymi do prowincyi téj pretensyą. Wobec perspektywy téj, rząd rumuński domagał się linii granicznéj strategicznéj (książe George Bibesco: *Histoire d'une frontière*. Paryż, u Plon et co. 1883), to jest wyprowadzenia jéj od Dunaju nie poniżéj ale powyżéj Silistryi. W celu tym dwory wyznaczały komisye delimitacyjne trzykrotnie. Skończyło się na tém, że Rumuni Silistryi nie dostali i skarżą się na krzywdę — na wynagrodzenie nieodpowiadające rozmiarami swojemi rozmiarom usług, jakie oni Rosyi w czasie wojny oddali.

Czy skargi ich są słuszne?

Polityka nie stanęła jeszcze na takiéj wyżynie moralnéj, ażeby zapytanie to w stosunku do niéj wymówione być mogło. Nie o słuszność tu, ale o następstwa chodzi—o następstwa uregulowania rzeczy na półwyspie Bałkańskim, będącym przedmiotem, ku któremu zwraca się działalność polityczna kilku naraz gabinetów. Gabinet petersburski na widoku mieć musiał ułatwienie sobie zadania, nie mógł zatém za przysługę plewnieńską wynadgradzać Rumunii linią strategiczną, któraby jéj na półwyspie przewagę zapewniała. Wynadgradzania w razach podobnych stosują się do reguł szczególnych, nie mających nic ze słusznością spólnego. Wynadgrodzoną została Austrya Bośnią i Hercegowiną, Anglia Cyprem, ale nie Rumunia, która uregulowaniu rzeczy na półwyspie przeszkodzić w stanie nie była, linią strategiczną. Z usługą się pośpieszyła— sama więc sobie winna: jéj mężowie stanu umieli deptać, kołatać i płakać, gdy do czynienia mieli z mężem stanu, co na Francyą pogrom sedański nawołał, nie umieli z okoliczności w razie naglym korzystać. Wynadgrodzili to sobie późniéj. Przyozdobili Rumunią tytułem królestwa.

Tytuł ów sam przez się nic nie znaczy; jest zadowolnieniem próżności; jest ciężarem nawet, pociąga bowiem za sobą powiększenie znaczne kosztów reprezentacyi; nie jest wszakże pozbawionym znaczenia politycznego względnego. Daje on wskazówki co do aspiracyj narodowych, służących zazwyczaj polityce za przedmiot

do wyzyskiwania. Rumunia małą jest i słabą; przyznaje się do tego gdy o deptanie, kołatanie i płakanie chodzi; z poza łez jednak wykazuje pretensye dako-romańskie, idące w dwóch kierunkach: zachodnim i północnym. „Jest-to interesem Austro-Węgier i Niemiec—słowa księcia G. Bibesco (*Hist. d'une frontierè*) — postawienie Rumunii w warunkach niepodległości takich, ażeby mogła ona na gruncie być pożytecznym, pewnym polityki pokojowéj i zachowawczéj sprzymierzeńcem. Jest-to interesem Rosyi — powiada daléj — ażeby naród rumuński był w stanie przeciwstawiać opór poważny orężowi Austryo-Węgier w razie gdyby państwo to na wschód jeszcze rozciągać się chciało.“ Interes tak Austryi jak Rosyi polega na wyzyskaniu w razie danym pretensyj rumuńskich, pierwsza do Bessarabii, druga do Bukowiny, Siedmiogrodu i Banatu. Gabinety wiedeński i petersburski mają w rozporządzeniu swojém na Rumunów przynętę, któréj zużytkowanie odpowiednie zależy od zręczności dyplomatycznéj. „Jaka jest — zapytuje wyżéj przytoczony autor—sytuacya Rumunii? Pozycya gieograficzna umieszcza ją pomiędzy dwoma potężnemi cesarstwami: Rosyą i Austryą, których ciężar dźwigać i których naleganiom—naleganiom bardzo żywym niekiedy — opierać się musi.“ O! tak. Taką jest sytuacya — sytuacya, którą sami Rumuni zajaskrawiają i pochwytną czynią, uważając stan obecny za stan przejściowy i wiążąc dzisiejsze Rumunii istnienie z istnieniem haftowaném na kanwie fantastycznéj przypuszczeniami i domysłami, a przegrodzoném od dzisiejszego przegrodą wieków kilkunastu. Wprowadzanie do akcyi politycznéj żywiołu tego rodzaju ułatwia znacznie „naleganiom“ zadanie. Gabinet wiedeński ze skwapliwością, która opinią publiczną zadziwiła, uznał „Królestwo Rumuńskie“, jako wyraz państwowy, przez Rumunów szukany, znaleziony i słusznie im, w sensie wynadgrodzenia za krzywdę, należny.

Rumunia ma przed sobą przyszłość polityczną — jaką? — w to wchodzić nie będziemy. W ciągu ostatniego pół-stulecia przyświecała jéj gwiazda szczęśliwa, która ją prowadziła i wyprowadziła z nicości do królestwa. Zobaczmyż teraz, jakie królestwo rumuńskie zasoby posiada — z jakiemi siłami w przyszłość wkracza.

T. T. Jeż.

IGNACY CHODŹKO.

STUDYUM LITERACKIE.

VII.

Przebiegając galeryą obrazów i portretów Chodźki, zaledwie zdołaliśmy zwrócić uwagę czytelnika na najwybitniejsze lub najznakomitsze, lecz i te niedostateczne wskazówki pozwalają z tych małych, w osobnych ramach zwartych obrazków, z których każdy przedstawia skończoną całość, utworzyć chaotyczny wprawdzie, lecz wyraźny obraz społeczeństwa naszego w danéj chwili. W téj ciżbie magnatów i rycerzy, księży i zakonników, palestrantów i rolników, w téj mnogości narodowych typów, przesuwa się przed nami cały stan szlachecki gwarny i barwny, taki jakim był niewątpliwie, chociaż z téj jednéj, dla pióra pisarza najodpowiedniejszéj strony przedstawiony. W obrazie tym każdy, od Radziwiłłów do Zbrożków szaraczków, odpowiedne sobie zajmuje miejsce i tylko śród narodowych typów braknie jednego—typu chłopa. Dla czegóż Chodźko, który wiek cały przeżył na wsi, tak umiejętnie malował sielskie krajobrazy, tak wiernie na papier przenosił każdy rys wybitny, który mu wpadł w oko, a oko miał tak trafne, tak czułe na wszelką typową oryginalność, dla czego nigdzie, ani razu, ani chociażby szkicowo nie skreślił jednego z tych typów ludowych, które widywał codziennie? Dla czego? Czy dla tego, że aby odkryć w typie tym oryginalne, o indywidualności lub jéj zaczątkach świadczące typy, trzeba umiéć patrzéć tak głęboko jak głęboko Chodźko nie umiał patrzéć? Czy dla tego raczéj że sukmana szara na tle zadymionéj chaty, w otoczeniu szarych do nieskończoności sukman, nie pociągała pióra kolorysty? Bardzo być może, że to jest jedyną przyczyną zagadkowego, na pierwszy rzut oka opuszczenia, gdyż Chodźko *myślał* o włościanach, stosując do nich swe nieosobliwe, filozoficzno-

społeczne poglądy, pod których wpływem pisał o nich tu i owdzie tak niedołężnie jak to zwykle czyni, gdy wpada w ton refleksyjny i *pisze* zamiast *rysować* i *malować*. Mamy tedy całe, ckliwe, różowo sielankowe dysertacye o „kmiotkach“ poczciwych, kochanych niby rodzone dzieci przez panów i wzajem ich kochających. Mamy jakieś sumaryczne opisy *festów* z wozami ciągnionemi przez parę koników kudłatych, do niedźwiadków podobnych, utuczonych; z wozami napełnionemi lnem włóknistym jak jedwab i pucatemi „na pszennym pirogu“ wyrosłemi dzieciakami. Ale nie mamy nigdzie chłopa lub wiejskiego pacholęcia żywcem, jak to Chodźko umiał, przeniesionych na papier. Opuszczenie to zdradzieckie światło rzuca na poglądy autora i na naturę jego talentu, nadaje téż pewien, bardzo charakterystyczny, odcień społecznemu obrazowi, który przed okiem bacznego widza wyrasta z obrazów oderwanych Chodźki. Gmach narodowy na którego szczytach palą się dyamenty, cały zaś misternie ułożony z karmazynów i słuckich pasów, z „Elżutek“, „Harasimów,“ *volumina legum*, zasadniczéj równości, nie stanów lecz członków jednego uprzywilejowanego stanu—gmach, któremu nie brak przepysznych, potężnych linij, zostaje zawieszony w powietrzu. Brak mu stałych podstaw, podtrzymują go szczudła przypadkowości. Niech się zachwieją, niech pękną pod lada naciskiem—gmach runie; a z karmazynów i słuckich pasów, z *volumina legum* pozostaną strzępki same, a „Elżutki i Harasimy“ żałośnym pustym szczękiem długo napełniać będą powietrze.., Narodowemu kołu z tysiąca barw, połysków, świateł, które popychane piórem Chodźki, migotliwie toczy się przed czytelnikiem, brakuje... osi... leci ono w przepaść!...

Ale nigdzie, ani jedném słówkiem ten, tak często, a dzięki samym zaletom talentu swego tak wymownie i szczerze, naiwnie niemal zdradzający się pisarz, nie zdradził się z tém, aby braku podwalin w gmachu a osi w zdezolowaném kole dostrzegł. Są to spody, których istnienia ani się domyślał, które tem nie mniéj uwydatniła realistyczna plastyka jego konkretnego talentu, kopiując każdy szczegół i opuszczając to... co opuszczoném było. To téż tam właśnie gdzie autor najświetniejsze gromadzi barwy czytelnik dostrzega skazy i rozpadliny. Naprzykład. Ale przykładów znajdzie się podostatkiem a niektóre zbyt uwydatniają zalety pióra Chodźki, abyśmy się powstrzymać mieli od przekonywania czytelników i usprawiedliwienia wszelkich apriorystycznych twierdzeń krytyki.

Jeśli Chodźko celuje w malowaniu portretów, to z większym jeszcze artyzmem umie grupować pochwycone przez siebie tak wiernie typy, w odpowiednich dla nich chwilach. Największą ozdobą

utworów jego, najszerszém polem popisu dla zalet jego pióra, najstosowniejszém ujściem dla odrębności jego talentu, są wielkie zbiorowe sceny, w których obok migotliwych barw i świateł, śmiałemi przerzynanych cieńmi, panuje niezrównany, jedyny może w opisach, do téj potęgi doprowadzony, ruch i gwar. Żadna z działających postaci, a bywa ich czasem po kilkadziesiąt i po kilkaset natłocznych w ciasnych stosunkowo ramach, ani na jedno mgnienie oka nie pozostaje bezczynną.—Komparsów Chodźko nie zna! Niech wprowadzi konia, psa a i tych w ruch niby żywych wprawi. Spójrzmy!

„Raz w późnéj jesieni—opowiada Staroście porucznik Stelnicki—spadł śnieżek i wyborna nadarzyła się porosza. Wyjeżdżam tedy z półtora smyczem strzemiennych chartów, i z kilku pocztowemi na lisy; a miałem deresza, z którego bywało wilków harapuję... Ale to druga materya. Czwałujemy więc po polach tropiąc na upatrzonego, i podbliżamy się do granicy... Patrzę aż z tamtéj strony jedzie na czarnéj szkapie z chartami i kilkunastu swojemi Ataman jakiś, upatrując także zwierza... Ciągniemy więc obok, patrząc na siebie z ukosa... on zdaleka nahajem kiwa... a ja jemu figą trzęse: „*Nie waźmiosz Lachu kota! nie waźmiosz.*“ A ja jemu. *Hola! Hola! Szeszku legawego pola!* i palim obadwa z harapów. W tém wymknął lis... i śmiga kitą po saméj granicy jakby demarkacyą prowadził. Weźha! z obu stron... charty się złączyły i kopią za nim, my za niemi. Deresz mój utulił uszy, rozciągnął się jak sarna, puścił się jak wicher w zawiei, aż mi w uszach zaszumiało. Przytuliłem się mu do szyi i myślę djabła zjesz Atamanie, nim ty doskoczysz na swojéj szkapie lis będzie mój. Ale ta chuda szkapa jego, to był szatan nie koń! Spojrzę, aż on leci obok, jak żmija ogon odsadził na wiatr, uszy naprzód jak dwie strzały, pianą jak śniegiem sieje a grzywą śnieg po ziemi zamiata. Kozak na nim schylony do łęku, już mnie przesadza! Dereszu moje serce!—krzyknąłem ściskając go kolanami, trzymaj się! bo padniem na honorze... lecim... Tuż tuż charty za zwierzem—lis het w bok na jego stronę a mój Doskocz łap go za kark, i trzęsie jak kuśmierz irchą...“

Co za klasyczna treściwość, co za malowniczość opisu! Nie dziw że opowiadania porucznika nie tylko starosta powstawszy z miejsca słuchał z najżywszém zajęciem, lecz i dwaj starzy hajducy, „wyciągnęli szyje i wytrzeszczyli oczy.“

Z jakąż znów majestatycznością po wysłuchaniu w katedrze Wileńskiéj „*Te Deum Laudamus*, i złożeniu przysięgi, kroczy przez plac, przed oczami licznie zebranego tłumu „Najjaśniejszy Trybunał.“ A ta „Reduta“ w domu Müllera na Niemieckiéj ulicy! Tasek

w bogatym stroju pędzący po ciemnéj ulicy za złodziejem, który mu turban kosztowny zerwał z głowy i ulicznicy uciekający przed niemi z okrzykami „Djabeł Wenecki! djabeł wenecki!“ Uczty w Ołyce, Nieświeżu i Szemetowszczyznie! Chociaż autor upewnia gdzieś, że nie jest dziejopisem bankietów (t. I. str. 143) opisane po mistrzowsku. Trzeba to czytać i odczytywać aby się oswoić z tym ruchem, z tym gwarem. Nigdzie jednak nie jest tak gwarno tak hulaszczo jak w Usaszu („Pamiętniki kwestarza“). Na rynku, przez który orszak coraz liczniejszy z Wojewodą na czele przechadza się, oddając wizyty i zamieniając „*exwisceracye*“ wzajemne, kipi życie. Na polu za miastém pan Piekarski rozłożył się z milicyą. Pan Rudomina wwodzi sto szabel i swoję dzielną kapelę i pan Sielicki ma swoich muzykantów, więc po szynkach, po izbach z których żydów wyrzucono grzmi muzyka, szlachta „wrzeszczy, śpiewa, pije“ miód czerpią z wiader stojących na dziedzińcu, w izbach stoły uginają się pod pieczeniami sarniemi i łosiemi—wesołość wreszcie, gwar, dochodzą do szczytu na wieczorynce u Rudominy.

Dotąd dobrze, w tém „gdy razem tak wszystko i śpiewanie i skoki, i wiwaty, i krzyki, hu! ha! wrzały jak w garnku, a dobrze już w noc było, dwa wystrzały gruchnęły pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach jakbyś grochem sypał gran-kulki. Przelęknione dziewki wrzasły okrutnie Jezus! Marya! .. Wnet ktoś zawołał łapać *excessantów*! a zatém hurmem wszyscy wypadli do ogrodu. Ale cóż? noc ciemna choć oko wykol i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne więc po śliskiéj ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkrwawił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiąż! nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się puszczał i znowu obadwa polowali. Zamieszanie i zgiełk niewypowiedziany—„istna wieża babilońska.“

Lecz ta wieża babilońska, te wyskoki *excessantów*, z rynku, z prywatnego domu, przerzucają się do kościoła, z którego „z należytą adoracyą wyniesiono wprawdzie Sanctisimum,“ lecz który zamieniono w przybytek niemniéj poważny, w miejsce obrad, gdzie ludzie wolni i z wolności dumni, obradować mają *pro publico bono*. Za samém już zbliżeniem się do miejsca tak dostojnego, słychać wrzawę i zwadę. Ten tego nie puszcza ów drugiemu wymyśla, strach „aby nie okrwawiono domu bożego“, a tłoczą się ludzie różnych partyj, śród „hałasu i kweresu.“ Próżno wojewoda reflektuje „Ojcowie święci! czyście poszaleli!“ wrzeszczą co sił starczy „spalić Junoszę“. Z narady *pro publico bono*, zrobiła się burda odpasano sza-

ble, już i *korupcyę* ktoś zarzucił *ex promptu* chcącemu rzeczy łagodzić Podwińskiemu i nie wiadomo jakby się skończyła *reasumpcya* sejmiku, bo i oracyi dla wojewody Jezuici w Płocku nie byli wykończyli, gdyby nie zjawiła się dywersya, w osobie pana Sulistrowskiego przywożącego list „od koronata.“

„Z owego krzykliwego zgiełku nastało milczenie, jakby anioł przeleciał.“ Tym aniołem był poprostu demon ciekawości, który na chwilę owładnął tą ruchliwą i wrażliwą, dającą się powodować, lada słówkiem unosić zgrają, gdyż zaledwie wojewoda skończył czytanie listu „koronata“ już tu i owdzie z ławek dało się słyszéć sarknięcie, już się na nową zanosiło burzę, którą zażegnał dyplomata i dworak z cicha oznajmując malkontentom że im przywozi dowody łaski monarszéj, a może jeszcze skuteczniéj koncept Świebody i wezwanie na obiad, na krupnik i pieczenie...

Gdzie indziéj... gdzie indziéj, okrwawiono, nie dom boży w prawdzie, ale izbę w któréj zasiadają przedstawiciele tego co ludzkość uważa za najdostojniejszy swój dobytek, za koronę postępu na zdobycie i ozdobę któréj pracują nauki i obyczaje, jednym słowem izbę dostojną w któréj zasiadają przedstawiciele *prawa*, sędziowie, ten „*Najjaśniejszy trybunał*“, o którym Chodźko pisze gdzie indziéj, że był w tak wielkim w narodzie poszanowaniu. Piekielna scena! Piekielna nawet na owe „kaducznie hajdamackie czasy.“ Pijany Wołodkowicz to szatan nie człowiek gdy lata „w nocy jak szalony z gołą szablą po polach, błotach, cmentarzach i wyzywa upiorów i djabłów na pojedynek; tylko że żaden nigdy nie stanął na placu.“ Czyż żaden? czyż nigdy? Czyż nie najgorszym z dyabłów duchem spadłym z nieba swobody, w otchłań prywaty i odmęt swawoli, był ten co go wiódł w Mińsku, w czasie ruskiéj kadencyi, na ratusz, gdzie zasiadał trybunał pod laską starosty Ponińskiego. Co popychało tam szaleńca tego, opoja? *Prywata.* Chciał on „włocha tego nauczyć kim jest i kogo ma za sobą.“ Liczył na potężne Radziwiłłów plecy. Straszny obraz, po mistrzowsku przez Chodźkę odmalowany! „Zgiełk szalony potém szczęk szabli, drzwi otworzono i krzyknięto: warta! warta!... Przypadł Krajewski rotmistrz i komendant żołnierzy trybunalskich a za nim kilkunastu *gemejnów*. Kryminał „krzyczano ze wszech stron“... przyparty do ściany szarpał się mężczyzna trzydziestoletni zaledwie, „silny i *determinativus*“ „krew ciekła z ręki pana Dłuskiego deputata lidzkiego i kawałek krzyża, odrąbany leżał na stole...“ „Szwejkowski, sławny osiłek wyrwał wreszcie szablę z rąk broniącego się wściekle a „kiedy go już tak wzięli obławą i prowadzili, to jest nieśli gwałtem, to jak się razem uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszał a ze złości pienił się i ryczał,

od czci i wiary wexując cały trybunał, a szafując djabłami, że aż uszy więdły...“

Straszny obraz!—Dla nas pełen grozy głębszéj niż ta zewnętrzna, w którą ją odziało pióro Chodźki. A jednak pióro to jest tak wierne, tak dalece realistyczne, że nawet z „potępieńca“ tego nie zdołało zrobić istoty obudzającéj bezględnie wstręt czytelnika. Miałoby to zapewne miejsce, gdyby Wołodkowicz był postulatem, manekinem, za którym autor skrył wstrętnego ducha swawoli i samowoli, ale to człowiek po prostu, człowiek, więc istota złożona, nie mogąca być absolutnie złą wówczas nawet, gdy jest w ostatecznym obłędzie. Na wytworzenie obłędu tego, na „potępienie opętańca“ złożyło się przyczyn wiele, a choć o przyczynach tych, Chodźko straszny ten kreśląc obraz, ani pomyślał może nawet lecz że malował wiernie, z natury, bez pominięcia żadnego charakterystycznego szczegółu, gdzieś z ciemnego, daleko, bardzo daleko, cofniętego tła, wyłaniają się one i grozą napełniając widza, osłaniają miotającego się na pierwszym planie szaleńca. I nie tylko słudzy jego i towarzysze, nietylko druh butny i wierny, nietylko żołnierz z obowiązku spełniający na winnym wyrok sądowy, ale i potomny czytelnik święci łzę żalu temu, nędznie ginącemu człowiekowi, téj zmarnowanéj sumie siły i energii...

Żal ten wszelako nie zaślepia czytelnika do tego stopnia aby ze zdziwieniem nie słuchał „lamentu,“ w wiele jeszcze lat późniéj śpiewanego przez szlachcianeczki okoliczne na Litwie:

„Obacz ojczyzno, jaka twoja strata!“ W lamencie tym Excessant opłakany jak „Abel“ niewinny, podpora i nadzieja „senatorskiego rodu,“ ofiara „zazdrości cudzoziemca.“ „Zjadł go“—wedle słów lamentu, „srogi tyran Morykoni.“ Gminna legenda potępiła sumienność i rygor, acz srogi sędziego, natomiast męczeńską koronę splotła dla okrwawionéj, kulą roztrzaskanéj skroni warchoła. Czy stało się to z tych tylko, głęboko w naturze ludzkiéj tkwiących motywów, które czasem świadome siebie, częściéj w masach przejawiające się jako instynkt nieprzeparty, protestują przeciw wszelkim krwawym odwetom i z biegiem czasu, z każdego okrwawieńca, bogdaj stokroć winnego! robią męczennika? Czy może do tych ogólnych a o podniosłości natury ludzkiéj świadczących motywów, przyłączyły się inne, specyalne, *narodowo-szlacheckie.* Niemal z pewnością w danym razie twierdzić można, że te ostatnie nie były obce apoteozowaniu ofiary krwawego zajścia w Mińsku, w czasie ruskiéj kadencyi.

Jakże dziwnie a jak charakterystycznie zarazem od tych obrazów zaiskrzonych odbijają, te tam z boku, niby skrzydła nad niemi

roztaczające strzechy... pustelni. Okolica pusta. Niegdyś las tu był, lecz wycięty nie odrósł, tylko po wzgórzach piasczystych czernieją mchy, sterczą spróchniałe pnie lub wichrowate jodłowca krzaki. Okolica „mogąca służyć na zabobonne *Dziadów* obrzędy,“ gdyż jest i kapliczka stara w pobliżu. Czy sądzicie wszelako, że w pustelni téj resztek życia dopala jakiś starzec złamany dolą i wiekiem, naturalny stróż mogił i pustkowi? A może zbrodzień w pokucie pogrążony? Gdzie tam. Jednego z tych pustelników i ascetów zagnał tu zarzut „bezimienności,“ drugiego złamanie ślubów kościelnych gwoli uczciwéj miłości. Obaj młodzi byli, silni, zdrowi. A działo się to wówczas gdy ojczyzna najbardziéj potrzebowała dzielnych ramion do pałasza i do lemiesza. Takie-to już były te „kaducznie hajdamackie“ czasy—podszyte sentymentalizmem, taki to był ten hart pozorny—podszyty miękkością dziwną, ta pycha, swawola, podszyte ascetyzmem. Ci pustelnicy robią na czytelniku, wbrew intencyi autora, wrażenie właśnie tych „leniwców i wyczerpańców“, na których autor gdzie indziéj powstaje.

Jak historya Wołodkowicza, sejmiki w Usaczu, pustelnicy,—tak i innych wiele ustępów w utworach Chodźki pognębiające wywierają wrażenie. Burdom, pijatykom, hulaszczości, a obok tego praktykom religijnym, ceremoniom kościelnym, opisywanym *in extenso*, końca niema. Charakteryzuje to epokę i czytelnik rzeczy świadomy, poza świetnością religijnych ceremonij dostrzega łatwowierność demoralizującą, poza butą i hartem, rozkładowe rozmiękczenie. Poza winem i namiętnościami rozpalonemi horyzontami prywaty, roztwierają się ciemnemi chmurami zasnute perspektywy. Śród wiwatów, śmiechów, dykteryjek przewybornych, psalmów pokutnych, słychać warczenie zbliżającéj się burzy. Z pod suto zastawionych stołów, około których natłoczono, parno, huczno, zieją przepaście otchłani. Wrażenie to jest tém silniejsze, że nic, w najskropulatniéj wertowaném dziele Chodźki, nie wskazuje na to, aby autor podkładał umyślnie te tło ciemne pod jaskrawe barwy, któremi szafuje hojnie, których używa *con amore*. Nie zagłębiając się w ciemne spody tych zwierzchnich blasków, które olśniły wyobraźnię jego i pociągnęły pióro, zapatrzył się w tę szlacheckość tak migotliwie barwną, o tak śmiałych, poplątanych tak dziwacznie, tak wybitnych liniach indywidualizmu, umiłował ją, w nią wcielił całą *swojskość*. Mylił się, lecz szczery był, czyż on jeden zresztą się mylił?

Ze stanowiska filozofii i racyonalnych teoryj, ze stanowiska trzeźwo i racyonalnie zrozumianego interesu narodowego, słusznie dziś powstajemy na ówczesne zaślepienie.... tém niemniéj liczyć się z niém musi każdy poniekąd, a zwłaszcza już narodowy pisarz

i artysta, i zaprzeczyć trudno, że zaślepienie oczu wydało nie jedno arcydzieło. Niedarmo plastyką przesiąkły gieniusz starożytnych obdarzył miłość opaską na oczach. Gorąca i dziecięca nie może być w pełni jasnowidzącą, coś ją zawsze zaślepi, coś—chociażby bliskość olbrzymiego a ukochanego przedmiotu, który garnie do serca i ramion, wówczas nawet, gdy go objąć w całéj jego rozciągłości nie jest w stanie.

Tak się rzeczy miały z Chodźką. Pogodny, przytém pogodnie zapatrywał się na zjawiska i tylko wówczas malować umiał gdy nakładał swe różowe okulary i brał rozbrat z bruzdzącą mu zawsze refleksyą i filozofią. Dla niego między panami a poddanymi panują sentymentalno-patryarchalne stosunki (II, str. 361, 194, 387). Przepaść dzielącą stany zapełnia miłość i życzliwość wzajemna“ (II, 390). Dla niego „szlachectwo *provenit* od szlachetności i jest jak *dyftong* jedno z drugiem związane“ (t. III, str. 115), jest „klejnotem, pasowaniem się z władzą królewską, nieuległością prawom magnatów“ (t. III, str. 95). On nie wierzy w przedajność sędziów i szlachty—no, tak, niby „zdanie ich determinują związki szerokie, krescytywy, sejmikowe stosunki.... ale nigdy *złoto*“ — dodaje z dość naiwnym przyciskiem (t. II, str. 390). On nie wierzy abyśmy „źli mogli być z natury“ jak inni pospolici ludzie. Owszem, utrzymuje „że zło było u nas wyjątkiem, wyjątki były rzadkie, całość zawsze poczciwa“ (t. II, str. 387). Zło, to naleciałość zachodu. Wierzy za to w owe „*fraternitas* jak siatka w węzełki wiązana, szeroko, szeroko rozciągnięte po kraju“ (II, 402), i kto wie nawet czy nie wierzy, wraz ze zdziecinniałym starcem, że „gdy dygnitarstwo *mościjanie* przepadło to i... to i... szlachectwo idzie dziś ni w pięć ni w dziewięć“... a za szlachectwem to już i wszystko przepadło. Wierzył i gdyby nie wierzył, zmilkłby może „jak kamień“ i nie mielibyśmy téj galeryi obrazów pełnéj szczęku, połysku stali, brylantowych spinek, złotolitych pasów, karmazynowych wylotów, sajety, łbów podgolonych, z których aż się dymi, butów palonych, ostróg i kopyt końskich, z pod których iskry się sypią, tych wąsalów, osiłków, rębaczy o jasnych jak u dziewic oczach, o tkliwych i naiwnych jak u niemowląt uśmiechach, zgrai spełzłéj z widowni świata i życia, ciekawéj, a któréj, malując ją ze ślepą miłością, tak wierny zostawił nam obraz. Bierzmy go takim, jakim jest—szlachcicem z krwi i kości, demokratą o tyle, o ile idzie o równość szlacheckich przywilejów. Zresztą pędzla nie maczał w sadzy, żółci nie rozcierał na palecie, z któréj ogień skrzesały „Elżutki i Harasima“ błyskawiczne zwroty, po któréj pełną gamą dzwoniły hulaszcze i rubaszne śmiechy, na którą się wylewały spienione puhary, lecz na któréj mimo

to znalazło się wszystko czego potrzeba dla uczynienia obrazu wyraźnym, głębokim, przezroczystym. Znalazło się zaś dzięki właściwościom talentu jego i pióra. Zapatrując się na zjawiska jednostronnie, z ciasnego wyjścia, powierzchownie i w głąb ich nie wnikając, nie pominął przeto ani jednego charakterystycznego rysu, ani jednego cienia. Obrazy nabierały przez to przezroczystości i głębokości; *realizm* z jakim były przez malarza traktowane, użyczył im tego niezrównanego świadectwa autentyczności, którą się odznaczają. Nikt obrazów Chodźki o sfałszowanie w jakichbądź, chociażby nieumyślnych celach, nie posądzi, w utworach jego nie znajdziem apokryfów. Często też w ciasnych tych ramach otwierają się przed czytelnikiem perspektywy, o jakich pisarzowi ani się śniło, filozoficzne głębokości, na jakie umysł pisarza zdobyć się nie mógł, bo naprzykład czyż Chodźko mógł choć na chwilę stanąć na wysokości krytycznéj rabina Salomona mówiącego do gwardyana:

„Wierzycie twardo i szczerze co wasze, a nie wierzycie twardo i szczerze co nasze; ale są rzeczy ni wasze ni nasze, które pokażą się ludziom, zadziwią, przelękną niekiedy i zginą potém nazawsze— czy na długo?“

Zginą, znów wrócą wyraźniejsze, bardziéj skończone, w imię niewzruszonych prawideł przyrody lub nauki zostającéj w zgodzie z przyrodą, rozświecą te rzeczy, które „są pod słońcem“, chociaż filozofom dotąd o nich ani się śniło. Może i nie rozumiał dokładnie słów sceptyka, lecz je zanotował wiernie i pisarz nie głęboki wiernym będąc kopistą, głębokie wytworzył postacie. Ten to też realizm, ta wierność artystyczna, ta plastyka w pochwyceniu i uwydatnieniu cech narodowych, sprawiają to złudzenie, o którém mówiłam, porównywając „Obrazy litewskie“ do malarstwa, a zwłaszcza do ściany zawieszonéj wielką mnogością obrazków rodzajowych, z których każdy jest zwartą w ramach osobnych, skończoną całością, lecz które wszystkie dopełniają się i składają w jeden wielki obraz, do wytworzenia i wyświecenia którego przyczyniają się same opuszczenia, braki, niedostatki. Jakiego też trzeba żywotnego talentu, jakiego zasobu artystycznych środków, aby pomimowoli i pomimowiednie takie wywołać w widzu złudzenie, takie wywrzéć na czytelniku wrażenie!

Te to konkretne, niezaprzeczone zalety talentu i pióra Chodźki zapewniły mu, pomimo usterek i niedoborów licznych, poczestne miejsce w piśmiennictwie naszém. Pisarzowi udało się pochwycić to co jest zarazem niezmienną, ogólnie ludzką prawdą i wyłączną narodową cechą, przezco artysta i pisarz wiążą się z współczesnymi i potomnymi, tajemniczym, a gdy się raz na dobre zadzierżgnie, to już nierozerwalnym węzłem popularności.

Bo i czemże jest popularność, jeśli nie pochwyceniem prostych a jednak nie tak łatwo jak się zdawać może dających się ująć nici, z których się plączą węzły pomiędzy artystą i pisarzem, a widzem i czytelnikiem? Węzły te, a z niemi i popularność dwojakiego bywają rodzaju. Na zadzierżgnięcie ich śród spółczesnych składa się względów wiele, bieżącéj — że tak powiem — natury. Część tych względów ubiega z dnia na dzień, to co zajmowało wczoraj—przestaje zajmować dzisiaj, to co dziś nas roznamiętnia — zastanie nas jutro zobojętniałych. Ztąd to i tylu pisarzy, obecnie zapomnianych, a którzy śród spółczesnych niemałą cieszyli się wziętością, ztąd tyle utworów pióra, o których mówimy, że musiały być na czasie, choć je dziś już zaledwie znają krytycy lub literaci z profesyi, a ów czas przeszły, w którym były poszukiwane, rozrywane, odnosi się częstokroć do chwil niedawno ubiegłych.

Dla zdobycia najlepiéj nawet zasłużonéj popularności w bieżącéj chwili, wystarczają nieraz filozoficzne poglądy i społeczne zasady, których pisarz staje się zręcznym lub inteligentnym rzecznikiem. Talent cofa się na plan drugi, zostaje w roli posiłkującéj, na plan pierwszy wysuwa się inteligencya, umysł jasny lub śmiały, wprawny w kojarzeniu pojęć lub wysnuwaniu wniosków, wiążący się z kwestyami żywotnemi, które go pochłaniają, pragnący rozwiązać palące pytania swego czasu. Myśliciel bierze górę nad artystą. Bywają nawet czasy tak wrzące od tych palących zagadnień, że się sztuka, wraz z innemi siłami zaprzęgać musi w ich usługi. Dzieła z tego zespolenia powstałe niezawsze bywają pomnikowemi dziełami sztuki, lecz zawsze stanowią cenny materyał do historyi przebiegu idei, do historyi umysłowości i cywilizacyi, i zawsze niemal wyrabiają twórcom swym wziętość i mir, lub co najmniéj rozgłos u współczesnych.

Po za tą ponętną popularnością jest druga—cichsza, lecz trwalsza, na którą nieraz długo czekać trzeba i która nie daje się zdobyć bez konkretnych, zmianom, pod naciskiem tych lub owych prądów, niepodlegających, zalet talentu. Jak w pierwszym razie talent, tak w tym filozoficzne poglądy autora cofają się na plan drugi. Tam górą postulaty—tu typy. Popularność ta dostaje się częstokroć pisarzom, którzy niechcieli lub i zgoła nieumieli zespolić się z bieżącemi prądami swego czasu, i płynąć na nich lub kierować niemi, pozostali obcy przypływom i odpływom społecznego ruchu, a jednak do sumy ogólnych rezultatów, do skarbnicy sztuki i literatury, dorzucili klejnot większy lub drobniejszy — a to już zależy nietylko od talentu skali lecz i od umysłu, który się z talentem zespoli, — lecz w każdym razie klejnot, którego blaski nie gasną z dnia na dzień,

na którego konkretną wartość lata i lat dziesiątki ujemnego nie wywierają wpływu. Utwory podobne, nawet gdy są niedoskonałe, gdy się zawierają w szczupłych rodzajowych ramach, gdy są kopią lub miniaturą, nawet gdy przedstawiają naturę martwą, noszą zawsze na sobie piętno talentu oryginalnego i stanowią cenny materyał do historyi samejże epoki.

To pewno, że społeczeństwo ma niejakie podobieństwo do zalotnéj kobiety. Nic go tak żywo i stale nie zajmuje jak własnego oblicza odbicie, i żadnym darem nie można mu tak dogodzić jak zwierciadłem, w którém poznaje siebie takim, jakim było w danym momencie. O komentarze, bogdaj najbieglejsze, nie chodzi mu wcale. Zostawia to szczupłéj garstce specyalistów: historyozofów czy krytyków, których zdania, chociażby najwymowniejsze, nie wsiąkają nigdy w szersze koło czytającéj publiczności. Téj idzie przedewszystkiem o wierność rysunku i kolorytu. Znalazła takowe, więc czyta z niestrudzoném zajęciem dziś, czytać będzie jutro i pojutrze „Pamiętniki kwestarza“, „Dworki na Antokolu“, „Boruny“, „Domek mego Dziadka“, „Panna Respektowa“, „Żegota z Milanowa Milanowski“, „Brzegi Wilii.“ Czyta, śmieje się, czasem wpada w zadumę, po latach wraca do rzuconéj, lecz ani zapomnianéj, ani zestarzałéj książki, znajduje w niéj ten sam urok co przed laty, nic w niéj nie zbladło, nie spłowiało.... Zawsze ta sama plastyka, werwa, humor, bogactwo typów i oryginałów, styl przytém łatwy, potoczysty, graniczący miejscami z pozorném zaniedbaniem, ale z pozorném tylko, w istocie rzeczy oryginalny, tak jak całość dzieła. Pisarz z kresów popełnia wprawdzie pewne rusycyzmy, nadużywa słowa „jakby“, każe tak wytwornéj damie jak starościna Kapinowska cieszyć się, że widzi Sulistrowskiego „polepszonego na zdrowiu“ i tém podobnie. Usterki te jednak rzadkie są i okupione, nie jednem wyborném, dosadném wyrażeniem, które szczęśliwie wprowadzone z potocznéj mowy do książki, wzbogaciło piśmiennictwo nasze.

VIII.

„Oberwijmy mieniące się, piękne skrzydła motylowi, a pozostanie brzydka, pełzająca poczwarka“ — czytałam gdzieś niedawno. Krytyce pozostaje to niewdzięczne zadanie obrywania skrzydeł motylom, które zatopione w popularności jak w skamieniałym bursztynie „na wieki całą zachowują postać.“ Gdy utworom Chodźki urwiemy te barwne, mieniące się skrzydła, z któremi w lot je puścił wrodzony talent pisarza, pozostanie nam szara, pozioma i pospolita

poczwarka, ale ta to poczwarka dopiero objaśni nam dla czego pisarz obdarzony tylu i tak świetnemi, jak to widzieliśmy, zaletami pióra, tak oryginalnym, wybitnym talentem, chociaż zaletami tegoż talentu zdobył sobie trwałą popularność, nie zajął pierwszorzędnego miejsca w piśmiennictwie narodowém. Dla czego mając zalet tyle, tyle w naturze talentu swego zasobu dla utworzenia narodowéj epopei, wytworzył tylko mnogość wielką rodzajowych obrazków, mających się do *summum arcanum* narodowego, w stosunku krynic drobnych, do bystrego potoku? Dla czego zasklepił się w tak ciasném kole, on, który posiadał takie wprawne oko i na palecie swéj miał tyle tak przeróżnych barw i odcieni? Nie talentu mu zabrakło, o nie! Zabrakło tego, bez czego talent nie wzbija się do gieniuszu— zabrakło.... wielkiego umysłu. Jeśli zaś największy umysł, nie posiłkowany wrodzonym talentem, nie utworzy najdrobniejszego chociażby dzieła sztuki, to talent, nawet potężny nie posiłkowany wielkim i oświeconym umysłem, nie zbuduje wielkiego dzieła, rozproszy się na drobne błyski, na brylantowe pyłki, lecz ani wystrzeli gromem, ani błyśnie słońcem. Owszem, same zalety i właściwości talentu słabną i koszlawieją niepodtrzymywane, jeśli już nie wielkim, to przynajmniéj odpowiednim sobie umysłem i zastanawiając się nad tém, jak zalety i właściwości talentu Chodźki słabą i niedołężną z téj strony miały podporę, podziwiać wypada, że błysnęły tak jasno w tych jego utworach, na których, dzięki ich naturze, bezpośredni w nich udział umysłu pisarza nie odbił się wyraźnie.

Nie ma pisarza tak zamkniętego w sobie, któryby słówkiem jakimś, zwrotem, nie zdradzał myśli i uczucia, które ukrywa, a styl, bogdaj najbardziéj prawidłowy i to co nazywamy pisarskim temperamentem, popełniają, pomimo woli i wiedzy pisarza, tysiące niedyskrecyj. Lecz w utworach Chodźki ani słówek i zwrotów ważyć, ani stylu wertować, ani temperamentu podpatrywać nie potrzebujemy. Nic tu nie jest niejasném lub dwuznaczném i jak dla wyświecenia właściwości talentu, tak i dla wykrycia natury i skali umysłu, dla wyświecenia wpływów, którym podlegał, niemal każdéj okoliczności życia jego, krytyka znajduje materyał gotowy, obfity, dostarczony przez samego pisarza, z pierwszéj ręki, w mimowolnéj autobiografii, szczeréj aż do naiwności. Cokolwiekbądź napisał, napisał wedle myśli swéj i serca, gdyż „ktokolwiek dziś pióro bierze w rękę na publiczne ogłaszanie myśli swych, inaczéj pisać nie może, ani powinien“ — jak mówił Korsak, przyjaciel jego młodości (Tom III, str. 490).

Najmniéj, a przynajmniéj najmniéj bezpośrednich wskazówek w tym względzie dostarczają te utwory jego pióra, które najwy-

mowniejszych, najobfitszych wskazówek dostarczają dla wyjaśnienia natury i skali jego talentu, jako to: „Pamiętniki kwestarza“ i „Dworki na Antokolu.“ Za to w słabszych i zupełnie chybionych pod względem artystycznym utworach, w takich naprzykład nudnych i niedołężnych *colloquium* jak te, które brata Rafała Karęgę tak daleko odsunęły od nieśmiertelnego kwestarza Michała Ławrynowicza, Chodźko ma jak na pokaz cały swój umysłowy zapas, występuje w całym rynsztuku filozoficznych, społecznych, ba! teologicznych swych poglądów, a skoro się tak uzbraja to już zawsze chybi, wpadnie w komunał, czczą deklamacyą, w gadulstwo ciężkie a puste i nietylko w filozoficzne, lecz i w artystyczne rozdźwięki. Staje przed czytelnikiem jako rzecznik i to nieudolny—reakcyi, która na początku bieżącego stulecia opanowała umysły, każąc im zawracać z dróg wytkniętych i otwartych przez piśmiennictwo XVIII wieku i przez rewolucyą francuską. Społeczeństwo było zmęczone — rewolucya popychała go zbyt szybko, śród zbyt licznych i boleśnych upadków, po pochyłości, którą postęp każe zdobywać oględnie piędź po piędzi, każdy pręt zdobytego mozolnie gruntu znacząc swą uprawą. Militarny despotyzm Napoleona dokonał reszty. U nas do ogólnych tych wpływów przyłączyły się inne, specyalnie narodowe. Zarówno temperament narodowy jak dziejowe wpływy czyniły nas nieprzychylnymi rewolucyi socyalnéj i filozoficznym pobudkom, którym ją przypisywano. „Mędrzec -- pisze Chodźko (t. II, str. 435) — prowadzący ludzkość przez krwawe próby do celów przez siebie obranych, nie jest naszą figurą, jest on ideologiem zachodnich krajów.“ Nic nad to prawdziwszego! Przytém na Litwie i Rusi reakcyą podsycały wpływy miejscowe. Zewsząd wygnani jezuici, niby za ostatnim szańcem, sparli się na kresach naszych, w Połocku, zkąd w imię rzekoméj oświaty szerzyli swoje filozoficzne zasady. Chodźko ich wychowańcem nie był, broni ich nawet dość oględnie w osobie ks. Daniela, kapelana Sołohubów i innych, przyjaciół Dziadka swego. Przyznaje, że powodzenia nie mieli „w klasie średniéj obywatelskiéj“, ale przypisuje to intrygom innych, o wziętość z nimi współubiegających się, zakonów. Nie wierzy, aby zakon, który wydał Skargę i Sarbiewskiego, z którego „wyżsi oświeceniem a pobożni ludzie wybierali sobie stróżów sumienia, składał się z samych chytrych intrygantów“ (t. II, str. 273). Wreszcie ucieka się do ostatecznego swego argumentu, siodła ulubionego i często gęsto chromiejącego swego konika; „jezuici polscy — mówi — pokutowali za swych braci zagranicznych.“

Mamy go! szereg to argumentów dostarczający miary dla ustanowienia *criterium* jego filozoficznych wywodów i dociekań. Ale do rzeczy.

Chodźko, choć nie wychowaniec jezuitów, toć nie obskurant, w dosłowném tego słowa znaczeniu, nie posiada umysłu, któryby się wzbił nad poziom oblewających go prądów. Talent uchyla się od nich, wystrzela po nad nie, szuka realnego gruntu i gdy takowy znajduje, wykwita bujnie, za to umysł i wyobraźnia, spowijają jednocześnie wszystkie majaczenia na jakie reakcya filozoficzna zdobyć się może. Chodźko, którego talent jest nawskróś realny, trzeźwością poglądów artystycznych zarył się umysłem we wszystkie przesądy, we wszystkie rojenia ludzi wstecznych i ciemnych. Jest-to epoka cudów, jubileuszów, przeczuć, objawień, nadprzyrodzonych zjawisk, styczności z duchami, epoka przepowiedni, zdwojonéj żarliwości praktyk religijnych, wiary we wszystko, nawet w upiory i w te „gminne zabobony", których się Chodźko nasłuchał w Bokówce, w domku swego dziadka. Dziadkowi jego („Śmierć mojego dziadka") za pośrednictwem dzwonów, które uderzyły w chwili, gdy zaczynał modlitwę o śmierć szczęśliwą: „Bóg objawia że umrze jutro." Gdzie indziéj (t. I, 27) szatan podsłuchuje słowa zbyt szczęśliwéj matki „chwyta je w swe szpony, gniecie zajadle, druzgocze, ciska pod nogi." Przed „filozofem" (?) („Duch opiekuńczy") błąkającym się po ruinach ojcowskiego zamczyska, a którego myśl nie unosi się „za gwiazdą objawienia", który pozostaje głuchy na — przyznać potrzeba że arcy naiwne, chociaż w intencyi autora miały być niezbicie przekonywające — nawoływania plebana, zjawia się duch wywołany słowy zaklęcia, których się ten filozof, ten niedowiarek, gdzieś w Niemczech nauczył. Takich nadprzyrodzonych zjawisk w utworach Chodźki pełno. Obok nich, równie opatrznościowo działa wzruszenia chwila jedna. Oto w poranek letni, mknąc czółnem z biegiem Wilii (t. I, str. 158) młodzian, „wychowaniec wyobrażeń XVIII wieku", nawraca się odrazu słysząc powtórzoną przez towarzyszy modlitwę, która była ulubioną jego matki modlitwą. Rojenia takie i tym podobne każą pisarzowi wpadać w rozdźwięki nietylko filozoficzne, lecz nawet i artystyczne. Ów filozof, naprzykład ów niedowiarek rzekomy, wywołujący duchy („Duch opiekuńczy"), zniechęcony jakoby ostatecznie do świata i ludzi, zgorżkniały, nie ma o nic lepszego spytać prorokującego mu ducha jak o to, jak długo żyć będzie? *Jubileusz* dostarcza wprawdzie autorowi pyszną scenę pojednania ogólnego w kościele, pod wpływem słów wymownych miłości i przebaczenia, spadłych z kazalnicy, lecz tuż zaraz melodramatyczność z podobnych sytuacyj i wyobrażeń zrodzona, a która się odbiła nawet w znacznéj mierze, na tak realistycznym jak Chodźki talent — talencie; psuje artystycznie ten utwór, gdy obłąkana córka, to marnotrawne dzie-

cię, wracające po latach wielu w rodzinne progi, tuż w kościele, kona u stóp ojca, którego tylko przybyła przebłagać.

Gdzie indziéj talent autora wobec przekonań, które chce głosić, staje opornie. Kościół i szkoła—pisze—są to dwa różnych zupełnie i przeciwnych sobie uczuć i pamiątek studenckich składy; jak niebo do ziemi, jak raj do piekła a właściwiéj do czysca, jak pogoda do słoty—-tak się ma jedno do drugiego“ (Boruny).

Cóż znowu! Jakim sposobem ma być tak winną, tak mroczną owa szkoła, dopiero opisana nam z taką plastyczną werwą, z takim wątpienia co do szczerości opisu nie pozostawiającym zapałem? Ci wyborni malcy, rumiani, pyzaci, płatający psoty samemu księdzu prefektowi, czyż są podobni do dręczonych w piekle, a chociażby do pokutę czyniących w czyścu duszeczek? Autor przypomniał sobie, że mu wypada wygłosić apologią kościoła, dla kontrastu chciał napisać filipikę przeciw szkole, lecz że to uczynił bez przygotowania, *ex abrupto*, talent go zdradził i już u końca stronicy znów *szkoła* zalała „wspaniałą nawę kościoła“, w pamiętnym dla studentów dniu 29 czerwca.

Tam jednak gdzie talent nie znajdywał odpowiedniego sobie gruntu, tam słabe strony myśliciela, występowały coraz jawniéj. Chodźko nietylko jest, lecz stara się wykazać jak najgorliwszym synem kościoła, prawowierność jego nie szwankuje nigdzie. Nastrój religijny nie dowodzi zapewne niskiéj lub ciasnéj umysłowéj skali. Bynajmniéj! Bywają umysły jak dzień jasne, jak morze głębokie, jak niebiosa podniosłe, dla których religijność jest nieodzowną potrzebą. Któż naprzykład ujmie podniosłości umysłu, niezmierzonéj głębokości uczucia, szerokości, rzadkości i śmiałości poglądów autorowi *Trzech psalmów*, najreligijniejszemu z naszych arcy-wieszczów? Nie o samą zatém religijność tu idzie, ale o to, że u Chodźki przedstawia się ona ciasną, robi raczéj wrażenie czułostkowości, banalnéj deklamacyi, dającéj się unieść przyjaznym sobie prądom, spływającéj tam gdzie ogólny zbiegał potok — idzie zresztą o praktyczne przejawy téj religijności, o filozoficzne zasady i o społeczne, u źródeł tych zaprawne poglądy autora „Obrazów Litewskich.“ Nie przypuszczając krytycyzmu w niczém, tém mniéj przypuszczać go może w rzeczach, które *a priori* jako prawomyślny syn kościoła, uważać musi za niedostępne badaniom rozumu. Dla niego „sceptycyzm płynie ze zwykłéj słabości rozumu ludzkiego nie wspartego objawieniem“ (t. II, str. 441). *Monachomania* wydaje mu się grzeszna tém, „że nie wczas była dla *Religii* a wczas dla *Niedowiarstwa.*“ Z tego samego widać już dostatecznie jak dalece nie przypuszcza aby najlżejsza chociażby krytyka dotknęła nietylko treści, lecz for-

my kościelnych instytucyj. Nie odstraszają go zresztą retoryczno-teologiczne dyskusye, których pełno ckliwych, ciężkich i banalnych w „Drugich pamiętnikach kwestarza.“ Ciekawy to utwór pod wielu względami, chociaż pomimo kilku przebłysków werwy i plastyki, najzupełniéj chybiony ze strony artystycznéj. Ciekawy zwłaszcza jako zwierciadło, w którém odbiły się już najwyraźniéj filozoficzne i społeczne wyobrażenia autora, a odbiły się jasno, chociaż same mętne są, chwiejne nieraz, powierzchowne zawsze i wygłaszane na zimno, wówczas nawet i wówczas zwłaszcza, gdy sadzą się na napuszoną deklamacyą i połyskują tym sztucznym zapałem, w który się zwykła przyoblekać obojętność.

„Drugie pamiętniki kwestarza“ poczęte zostały w leciech, w których autor w jednym ze swych listów do Romualda Symonowicza (w 1857 r.), sam się uskarża, że mu różne zajęcia a zwłaszcza już ów „wiek wciągający go na siedmdziesiąty krzyżyk, każdą pracę leniwszą czynią.“ Niegdyś, jak to wyznaje, „ochotnie brał się do pióra i szło to jakokolwiek, dziś z nałogu coś snuje ono.“ Trudno mu już istotnie „myśléć o obrazach.“ Wyobraźnia zbladła, wiek przyćmił trafne i bystre spostrzegacza oko, pióro straciło jędrność, wymaganą dla plastyki, pogasły ostatnie iskierki werwy, rzewności, poezyi, jeśli i błysną, to tak jak te, które przebiegają po popielisku jako świadectwo przepalonego ognia. Czuje to, gdyż pisze (t. I, str. 384): „Obrazy Ławrynowicza kolorytem i prawdą same biją w oczy i same się tłómaczą. Te są i być muszą tém, czém jest i jakie było towarzystwo w czasie kwesty“ brata Rafała. Zmiany zaszły zapewne, lecz zwłaszcza w sumie talentu jaki pisarz zużył na te i na tamte. Téj przyczyny głównéj nie dostrzegając, Chodźko upatruje ją w tém raczéj, że „Ławrynowicz kwestował po *fantazyach*, a brat Rafał po *ideach.*“

Nie domyślał się zapewne jak trafne, dosadne było jego orzeczenie, wzięte tylko nieco odmiennie od tego jak je zastosował. Tak, pióro jego cudów dokonywało, było na przemian rylcem potężnym i pędzlem świetnym, dopóki trzymało się fantazyi, czyli raczéj tych wszystkich konkretnych zjawisk, które się w pamięci jego i fantazyi odbijały tak wyraźnie, gromadziły tak rojnie. Teraz, przez wiek osłabione, zmierzyło się z przechodzącemi miarę jego, oderwanemi ideami. Dawniéj już, skoro tylko znurzony na chwilę odrzucał na bok paletę, z malarza zmieniał się w gawędziarza i wówczas gdyby nie te nieprzebrane zapasy werwy.... Teraz werwa niedopisuje, gawędziarstwo przedzierżga się w gadulstwo, pogoda umysłu pokazująca mu niegdyś wszystko różowo, karmazynowo, pozłocisto, zachmurzyła się. Teraz zrzędzi: świat się przemienił na gor-

sze, ludzie także, a i idee i zasady (List do Symonowicza 1845 r.). „Fantazye“—„idee“.... Majaczenia!

Wie on wprawdzie, że „idea stała nie była nigdy dzieckiem fantazyi“—i to wie, że „gdy *idea* ogarnie całe narody, staje się *duchem czasu*, a *fantazya* biega od narodu do narodu i gości tylko w każdym czas niejaki, a u nas gościła najdłużéj“ (t. II, str. 355). Wie to, lecz bądź-co-bądź *idee* wszelkie ma za obcy importacyi wytwór, za rzecz, „którą małpim obyczajem przyswoiliśmy sobie.“ Bądź téż co bądź, żal mu narodowéj naszéj *fantazyi*, żal „poczciwego pańskiego animuszu.“ Był on tak barwny, tak hałaśliwy. Talent jego po tym spienionym potoku spływał tak swobodnie, lekko, kąpiąc się we właściwym sobie elemencie. Teraz wszystko blednieje, niby spłókane prądami wieku, przycicha pod niwelacyjną kielnią postępu. Postęp! Wszyscy za nim gonią, wszyscy go sławią, a Chodźko zbyt jest miękki, zbyt ostrożny, aby mógł wręcz ogółowi przeczyć! Więc i on wymuszony dym puszcza na cześć postępu, tego hasła naszego stulecia. Ustępstwo, które go widocznie kosztuje i kto wie czy on jak ksiądz kaznodzieja („Drugie pamiętniki kwestarza“) nie wzdryga się pokryjomu na to słowo jak na syk żmii. To pewno, że postępu, będącego w prostym przeciwieństwie z tém wszystkiem co tak ślepo ukochał, szczerze miłować nie może. Nie ufa mu. A nuż „przefarbuje i okroi naszą poczciwą staroświecką ferezyą“? A nuż „karmazyn jéj zmieni na pobladłe rękawice“? Na zamianie téj *my*—to jest stan szlachecki, możemy istotnie wyjść jak młynarz z bajki lub ów przysłowiowy stryjek, co to zamienił siekierkę na kijek. Wszak postęp bywa „zuchwały, dumny swą wiedzą jak szatan, rezonujący z religią....“ Zresztą czyż postęp nie jest spuścizną zeszłego stulecia: „tego bezbożnego niedowiarka, starca skonałego w zgryzotach i obłąkaniu.... który oniemił ziemię dla Boga... Bóg téż z nim nie był w przygodzie“ (t. I, str. 188). Opłakane to stulecie uczyniło „systematyczny zamach na religią objawioną!“ To téż wszystkiemu winni francuzi, „poganie“ i Wolter „antychryst.“ Wprawdzie chociaż autor bardzo często występuje z sumaryczném potępieniem „antychrysta Woltera“ i wygłasza przeciw niemu siarczyste filipiki, bierze chętka posądzić go, że o wilku wie ze słyszenia raczéj i ewangelii filozofa z Fernay nie praktykował, ani nawet wiadomości o niéj z pierwszéj czerpał ręki. Mniejsza z tém, *vox populi vox dei*, rumor powszechny wszystkie ekscesy rewolucyi zwalał na barki Woltera, tego i dosyć Chodźce! On to, filozof z Fernay, on i francuzi wszystkiemu winni gdzie się co złego stało, a zwłaszcza już tym na gorsze u nas zaszłym zmianom. Francuzi wychowali syna starosty („Pamiętniki kwestarza“), więc się i za-

mienił w „Sodomę i Gomorę", dom słynny przed laty z cnót staropolskich. Czy w traktatach to Woltera starościc nauczył się wiary w sny, czy téż może czasami wiarę tę w młodego niedowiarka wpoili poczciwi jego, czysto polscy rezydenci, marszałek i chorąży na jawie śniący apokaliptycznie? O tém autor nie wspomina wcale, ale za to pewny jest, że francuzi na ogół a Wolter okrzyczany w szczególności winni są temu, że żydzi dzisiejsi nie są już tém, czém dawniéj byli. Dawniéj „przywykali do rodzinnego siedliska i do panów, pod których opieką kilka swych wychowali pokoleń" (t. III, str. 268). Żywym tego dowodem Abraham Ilski („Pustelnik w Proniunach"). Dawniéj! o dawniéj! i nie tak bardzo dawno jeszcze, żyliśmy w złotym wieku! Hasłem naszém było „kochajmy się!" Dziś hasłem zostało „kąsajmy się, spotwarzajmy, obrzydzajmy wszelką pracę dla dobra ziomków i kraju podjętą."

Niepodobna zaprzeczyć, że w drugiéj swéj połowie zdanie to słusznem jest i że istotnie partye, na które się rozbijamy ustawicznie i które w imię miłości kraju, szarpią się wzajemnie, wytrzymać mogą dosadne i rubaszne porównanie księdza kaznodziei do chartów księcia „Panie kochanku", bo się na śmierć ze zbytniéj żarliwości zagryzły tak, że po nich tylko pozostały ich ogony. Lecz co do pierwszéj, doskonałość przeszłości i jéj wyższość nad teraźniejszością sławiącéj, połowy zdania tego, historya pozwala nam wątpić o jego bezwzględnéj autentyczności. Tak pięknie przy kielichu brzmiące, tak suto winem i miodem oblewane hasło: „kochajmy się", nie zapobiegało, o ile wiemy, ani zajazdom, ani konfederacyom, ani partyzantce, ani szkalowaniu się wzajemnemu. Ale Chodźko nie bawi się w takie drobnostki jak historyczne dociekania. Hasło podoba mu się jak podobał jaskrawy koloryt i śmiały a oryginalny rysunek zjawisk, które opisywał i basta! Wszystkiemu złemu winni „filozofy, autory i poeci XVIII stulecia, którzy nauczyli świat niedowiarstwa" (t. III, str. 493), ale, że filozofia Chodźki obraca się na aksiomacie, że „*zło* nie ma zasady w prawach boskich", a zatém skutki i czyny *zła* nie są ani wieczne ni długie" (t. II, str. 431), więc i filozofowie, autorowie i poeci XIX wieku nauczą ludzi wierzyć i kochać" (t. III, str. 493). Zkąd ta pewność? Tak się autorowi zdaje— i to wystarcza. Z postępem zrywać zupełnie nie wypada przecie— Chodźko tak samoistny gdzie idzie o twórczość artystyczną, gdzie idzie o zasady, o przekonania zdobywa się zaledwie na niedołężne komunały niewytrzymujące krytyki, staje się echem biernem, chociaż i krzykliwem tego co słyszy na prawo, tego co słyszy na lewo.... z przesadą niewolnictwa powtarza rzeczy osławione. Zresztą ta wrodzona mu trzeźwość, która tylko przed filozoficzno-społecznemi

wywodami daje nurka, ostrzega go, że na drodze postępu bądź-cobądź stawać niebezpiecznie, „bo obali nieprzepartą siłą i zdepce.“ Dogodniéj jest zatém obwieścić coś pośredniego. Jak raz nawinął mu się „postęp chrześcijański“ — i to go zbawia kłopotu. Teraz za przewodnika postępu owego XIX—o ile się zrazu zdawało, tak bardzo artystę niezadawalającego — stulecia, wskaże *krzyż*, wysnuje kilka mglistych frazesów na cześć *grobu* i zamknie spokojnie tak wyczerpaną, czyli raczéj umysł jego wyczerpującą kwestyą.

Filozofia zresztą dogmatyczna była właśnie w obiegu u nas pod tę porę, w któréj tworzył drugie „pamiętniki kwestarza.“ Objawienie zastępowało dociekanie, wiara bezwzględna, dziecięca, przynęcała jako port zbawienia i te pokolenie tułaczy naszych, któremi wypadki pierwszéj połowy bieżącego stulecia, rzucały po Europie jak liśćmi zwiędłemi, zdartemi z drzewa rodzimego, i te pokolenie, które *doma* siedząc, zapadło w drzemkę umysłową, bezczynne i do snu przez swych moralnych i umysłowych piastunów kołysane, łzawemi piosnkami i baśnią czarodziejską, zaświatową. Pod kołysankami temi i rozkładowemi wpływy życia zwartego w najciaśniejszego partykularyzmu ramach, ludzie—i to najlepsi! miękli, rozkwilali się chorobliwie, i niewinną, jagnięcą czułość przeciwstawili rozhukanym orkanom dziejowym. Lecz że trzeba się było na czémś przecie oprzéć, filozofia zahaczywszy się pomiędzy 1830 a 1840 rokiem o filozofią niemiecką, zapragnęła wiarę oprzéć na rozumie, a rozum i naukę na wierze. Teologia wniknęła nawet w poezyą, jak tego żywy przykład widzimy z jednéj strony na późniejszéj twórczości Bohdana Zaleskiego i Lenartowicza, z drugiéj na sięgających epoki téj poezyach Deotymy. Katechizmowa dogmatyczność została osią umysłową, a *uczucie* podniesiono do niezłomnéj potęgi, nie bacząc, że zostawione samemu sobie, przepala się na sentymentalizmu żużle. Był to proces naturalny, nieunikniony, dościgający takie nawet realistyczne z natury swéj talenty jak Korzeniowskiego i Chodźki, przejawiający się zarówno w etyce ich i w artystycznéj stronie dzieła. Melodramatyczność stała się modą, zarazą, wniknęła nawet pod zamaszyste pióro Chodźki, jak to widzimy w „jubileuszu“, w „duchu opiekuńczym“, w ckliwych jego kochankach, w rozkwileniu jakiémś nie szczerem. Etyka uplotła się z komunałów pewnych, została powierzchowną, nie pogłębiła się. Chodźko naprzykład, którego pióro pociągają nieprzeparcie „kaducznie hajdamackie“ czasy, powstaje na tę junakieryą, europejskim „arcy-hajdamaką“ — bardzo zresztą trafnie — nazywa Karola XII, ale owo hajdamactwo przypisuje jedynie brakowi ortodoksyi. Oto pisze: „Stłumione gorliwością katolicką pierwszego Wazy i jezuitów różno-

wierstwo znalazłszy opiekę w Adolfie i w Karolu, podniosło głowę, dając powód do wzajemnych nienawiści i odwetów. Ztąd powstało w kraju hajdamactwo" (t. III str. 10).

Innych jak te historycznych poglądów, niemogliśmy się zresztą od niego spodziewać, lecz jeśli sądzim, że trzeźwość, którąśmy podziwiali, gdy mu szło o sam artyzm, zastosuje do społecznych, bieżących zjawisk, mylimy się bardzo. Znajdujemy wprawdzie tu i owdzie dosadne słówko piętnujące społeczne przywary, znajdujemy szerokie, ckliwe i banalne wyrzekanie na pychę, na lenistwo, na sobkostwo, na wychodzenie ze swego stanu, na życie nad skalę, na „plagę, która nawiedza klasę uboższą, któréj synowie idą w świat szukać nie chleba ale pieniędzy" (t. II str. 446), na tę „gangrenę idącą z dołu, wtenczas gdy z góry ciśnie nas mgła jakaś, niefortunną przyszłością brzemienna." Plaga ta jednak wówczas tylko wydaje mu się gangreną społeczną i ekonomiczną, gdy idzie z dołu. Jużto ci wszyscy nasi sentymentalni ideologowie z pierwszéj połowy bieżącego stulecia, rozkwilając się nad patryarchalnemi cnotami „ludku," ludek ów chcieliby utrzymać przez wieki wieków w cnocie ubóstwa ekonomicznego i—duchowego. Że odrywanie się wieśniaków od roli ma swoję złą stronę, temu zaprzeczyć trudno, że po dziś dzień stosunki społeczne, ekonomiczne i inne jeszcze, tak się u nas układają, iż pół-oświata lub falszywa oświata, czyhająca na ogromną większość dzieci ludu wychodzących z sielskiéj prostoty obyczajów, przyczynia ubytek cywilizacyi prawdziwéj, szczęściu i moralności jednostki, spokojowi i bezpieczeństwu ogółu, że się nawet fatalnie odbija na ekonomicznym stanie kraju, to pewna; lecz jest to prostém i nieuniknionėm następstwem pewnych, że tak powiem, specyficznych przyczyn, i nie narusza zasady, która w istocie swéj nic nie ma przeciw temu, aby ludzie wysyłali synów swych szukać nietylko *chleba* ale i *pieniędzy*, uważanych przez bogobojnego księdza kaznodzieję („drugie pamiętniki kwestarza") za szatański wymysł.

Poszukiwanie zresztą tego szatańskiego kruszcu niezbyt] razi gdzie indziéj sentymentalnego autora „obrazów litewskich." Ekonomiczne wycieńczenie kraju przy karmazynowych ferezyach, brylantowych spinkach, kosztownych furdymentach, iluminacyach w Nieświeżu, a co za tém idzie, i w szlacheckiéj imci pana Sulistrowskiego Szemetowszczyznie, potokach miodu zalewających rynki miasteczek, w których gromadzi się sejmikująca szlachta, stołach uginających się pod jadłem, spienionych puharach, po których okładają wojewodom lodem dymiące się łby, nie ściągnęło na siebie ani razu jego

uwagi. Raz zaglądnął do bogatego żmudzkiego chłopa, drugi, skarcił batogiem Radziwiłłowskim złego ekonoma i to mu wystarczyło. Uspokoił się, snać wyprowadził swe wnioski. Jeśli bracia szlachta biesiadują ustawicznie, dostatek być musiał w kasie rzeczypospolitéj, dobrobyt w każdym zakątku kraju. Ten, co tak prześlicznie malował dwory i dworki, ani jedną czarną kreską nędzy, nie zeszpecił harmonii swego dzieła. Kreska ta wprawdzie przewija się spodem, natrętna, coraz wyraźniejsza, ujawniająca się przed czytelnikiem choć ją pominięto, i dla tego może ujawniająca się tak wyraźnie, że ją pominięto, ale to już nie z winy pisarza, tylko—z winy, powtarzam, jego talentu, wiernego do ostateczności w odmalowaniu przedmiotu. I teraz, gdy idzie o zjawisko codzienne, należące do epoki w której żyje, ten tak szeroko o zaletach skromnego bytu rozprawiający pisarz, tak czuły na „gangreny idące od dołu," nie zbyt się gorszy, gdy pan prezydent („Ranek przed ślubem") targuje się z przyszłym zięciem o intercyzę i gotów wbraku zapisu zerwać ułożone małżeństwo córki. Szumną tyradę przeciw zbytkom wkłada wprawdzie w usta pieniacza i krętacza („ostatnia sesya eksdywizyi"), najniesympatyczniejszéj ze swych figur, i jak gdyby umyślnie—co się Chodźce nader rzadko zdarza—na czarno podfarbowanéj, lecz nie może zdecydować się puścić z kwitem bankruta i ratując go bogatym ożenkiem, ułatwia mu powrót do utraconego dziedzictwa. Gromi lenistwo, zachwala pracę, ale obraca się najswobodniéj w bawiącym się bez troski o jutro kole, nie może się powstrzymać od apoteozy *kielicha* (t. I str. 143) i woła z nieudanym zapałem: „o gdyby choć raz jeszcze, wiodąc za sobą dawną szczerą wesołość i ochotę, zjawił się on między tym szklanym lasem, którym się lśnią stoły nasze; zwaliłby zapewne za jednym zamachem i pokruszył to mnóstwo cienkich i delikatnych smoczków, które go zastąpiły i wszystkich słabych tegoczesnych pijaków, którym by od razu dogodził."

Więcéj jeszcze, niż to filozoficzne niedołęztwo, niż ten zamęt w społecznych i etycznych zasadach i wyobrażeniach, razi czytelnika obojętność pisarza na rzeczy obchodzące ogół, na kwestye palące, dotkliwe. Obojętność ta źle się zasłania sentymentalną deklamacyą lub sumaryczném, banalném wyrzekaniem na złe czasy. W żadnym z utworów Chodźki nie znajdziemy ani jednego słówka, w którym by drgnął ów ból piekący, który przepalił serca i istnienia jego współczesnych. Jest to tém dziwniejsze, że kocha on i kocha gorąco ziemię swą, kocha jéj strumienie, jéj lasy, jéj świetne legendowe podania, jéj zewnętrzną szatę. Jest to miłość tkliwa dziecka, które usty u skraju matczynéj szaty zawisło, obojętne zresztą na sy-

nowskie obowiązki, nieświadome położenia swéj rodzicielki, bólów jéj i cierpień. Jeśli mu i żal czego, to tego, że szata matczyna spłowiała, że w przygodach dziejowych ten i ów klejnot odpadł od matczynéj skroni. Wtłoczonéj na nią cierniowéj korony i krwawych piętn zdaje się nie dostrzegać wcale... „Dwie konwersacye z przeszłości“, z których pierwsza jest artystycznèm cackiem, za ciekawe w tym względzie służą świadectwo.

W pierwszéj konwersacyi, z niezrównaną plastyką występują przed czytelnikiem panowie Chomińscy i wojski Oszmiański, ogłuszają go potokiem swojskiéj wybornéj werwy. Gdy jednak w pamięci czytelnika przemknie historyczna doba, w któréj pan wojski tak wesoło, swobodnie, bez troski gwarzy z gośćmi swemi, zdziwi się i zawiedzie w nadziejach, gdyż mężowie ci, tak zacni, sympatyczni, piastujący publiczne urzędy, ani zahaczą o to co dobro publiczne obchodzić może. Ten „koncypuje tragedye i fabuły“, ów wybornemi rusza konceptami, a ten znowu słucha z miłém, naiwném zdziwieniem. Piją przy tém, palą fajki, śmieją się, pasów popuszczają, a jeśli spoważnieją na chwilę, to aby roztrząsać proces... Chomińskich z Brzostowskimi. Takie to już zresztą były czasy! To co obecnie dla nas jest zgrozy pełną historyczną dobą, dla współczesnych było bieżącą chwilą, wigilią dnia pełnego klęsk, łatwych już wprawdzie do przewidzenia, lecz nieprzewidzianych przez ludzi średniéj miary, jakiemi są Chodźko i Chomińscy. Wypadki donośne, gdy spoglądamy na nie przez pryzmat historyi, niewidzialnemi były dla tych, których cieniem swym obwijały, zsuwając się na nich. Nietylko u nas lecz wszędzie tańczono na wulkanie, i czemuż panowie Chomińscy i wojski Oszmiański nie mieli gwarzyć swobodnie, wesoło w Dziewiętni, gdy w Wersalu pani Gramont wybuchała śmiechem na złowrogie Cazot'a przepowiednie. W Warszawie bohater, książe Józef Poniatowski, z obozu wymykał się na bale, a w Grodnie asamblom, galanteryom końca nie było, w dniach ostatniego sejmu... Tam kotyliony tu waltornie i fujarki głuszyły podziemne huki ostatniego aktu rozegrywającéj się od dawna tragedyi. Sami tylko aktorowie nie wiedzieli, że ją grają i że tak bliskim jest koniec. Mogła się tam, gdzieś na szali losów wahać „fallax fortuna“ w Dziewiętni błogo było, sielsko, świeżo, a wojewoda Chomiński wołał:

> „Szczęśliwy, kto na łonie domowéj ustroni
> Przed krajowych się niezgód nawalnością chroni“.

Noc spuszczała się. Dla tych obojętnych był to „wieczór cichy, miły, spokojny.“ Goście wojskiego odjechali, słowik ozwał się w ogrodzie, strumień szemrał po kamieniach i „na ganku to gło-

śniejsze, to cichsze odzywało się mruczenie: *Omni die, Dic Mariae*, *mea laudes anima.*

Dreszcz przebiega pomimowoli po czytelniku, który ręczyć może niemal, że ów niewinny, choć jak gołąb siwy starzec, w białym żupanie i kontuszu, ani wie, ani się domyśla, jak długą, ciężką i ponurą będzie ta noc dziejowa, która się nań spuszcza i pochłania go...

Lecz o tę niedomyślność niepodobna posądzać, ani nią zasłaniać tych trzech młodzieńców co w kilkadziesiąt lat potém zebrali się w tém samém miejscu, w altanie ogrodowéj, którą pan Edward (Odyniec) *Helikonem* nazywa. Towarzyszą im „Młodość, wiosna i miłość! trzy pokusy życia ludzkiego, trzy nadobne siostry, same uwieńczone kwiatami i wieńczące młode czoło człowieka... Gdzie one są razem, wnet tam jest czwartą *poezya*“...

Nadobna kompania! Czemuż dobre te wróżki za pomocą których człowiek działa wszystko to co dobrém jest, szlachetném i wzniosłém, czemuż te siostry niebiańskie dające siłę tytaniczną i natchnienia wzloty, autor nazywa tylko „pokusami“? Bo téż i młodzieńcy nasi rozkoszują się na zabój wiosną, młodością, miłością i poezyą. Każden z nich zakochany—wedle mody epoki, sentymentalnie, sztambuchowo i ckliwo. Żywszego tętna serca, porywu krwi młodéj i namiętności, czy wyobraźni, i głębszego uczucia nie trzeba tu szukać. Romanse odegrywają się przy kawie z sucharkami, śród przechadzek około „Helikonu,“ przy smakowitym podwieczorku z kurczętami, szparagami szczupakiem i tak daléj. Wszystko w ramach rutyny, nawet poezya, o któréj trzéj ci kochankowie muz rozprawiają wiele, bardzo wiele, téż przy sucharkach, kawie, podwieczorkach, o których ci podwójni sybaryci ducha i smakosze, nie zapominają wcale przy miłośnych i poetycznych swych zapałach. Filozofują zresztą mimochodem i najwybitniejszy w téj trójce, przedstawiciel poezyi i nowego, świat i piśmiennictwo przenikającego, tchnienia romantyzmu, młodziutki pod ówczas A. E. Odyniec, wygłasza, że „gdzie niema religii tam nie ma i poezyi... Wiek XVIII zatem wyzuty z jednéj, nie mógł mieć i drugiéj... Dziś poezya we wszystkich ludach chrześciańskich musi stać się religijną *a zatém będzie narodową, bo religia jest narodowością powszechną...*“

Nie wiem, czy tę nieco niejasną „proroczą deklamacyą“ (t. III str. 450) zrozumiał pan Ignacy (Chodźko). Zdaje się, że przeciw niéj zaprotestowały jego trzeźwe na sztukę poglądy. „*Quo tendis?*“ pyta przyjaciela, gdyż mu bardziéj po sercu określenie szkolne ks. Golańskiego. „*Co jest poezya? jest naśladowanie natury.*“ Ten religijno poetyczny kosmopolityzm zresztą grozi wprost już tym narodo-

wym wyłącznościom, w których usługi Chodźko ma zaprządz kiedyś pióro swe i talent. Oprócz kochania się, jedzenia, dyskutowania o romantykach i klasykach, jest tu jeszcze nieco wspomnień z epoki Napoleońskiéj... Jakto i nic więcéj? Żadna gorycz nie zatruwa tych sielskich słodyczy, żadna zaduma nie pochyla ku ziemi, lub nie podnosi ku niebu tych czół młodzieńczych, uwieńczonych miłością, wiosną i poezyą? Żadna. Druga konwersacya jest zwierciadłem, w któróm odbiła się w całéj swéj nagości odróśl pewna pokolenia wzrosłego na ruinach, którego zadaniem życiowém było bawić się, modlić, kochać, jeść i w najlepszym razie poetyzować nieco...

Jeszcze trzydzieści lat minęło—zapiszmy w pamięci te lata. Znów „około okrągłego stołu w altanie,“ w Dziewiętni, zasiedli, po raz ostatni może społem, trzéj przyjaciele: pan Ignacy, pan Julian i pan Edward. Nie są to już młodzieńce którym amory i poezye mogły zaprószyć oko i oślepić ich... chwilowo zresztą może. „Czas posrebrzył włosy pierwszego, drugiemu przerzedził je na głowie, trzeciemu wyrył na czole i wyraził w oku nałóg głębszych zadumań i wewnętrznéj pracy ducha“ (t. III str. 475). Istotnie spoważnieli i w skupieniu słuchają ostatniéj pieśni „Boskiéj komedyi,“ w przekładzie Korsaka. Każdy z trzech mężów tych w szczerości ducha, na zapytanie: „*unde venis? quo tendis*?“ odpowie że „przyszedł z talentem natchnionym łaską Bożą i szedł z miłością w sercu,“ każdy ma wzniosłe przekonanie o powołaniu, ba! o „posłannictwie talentu“ (t. III str. 491). Czemuż każdy zdziałał tak mało, z hasłem tém przewodniém zdziałać mogąc tak wiele? Słuchajmy szczeréj, wylanéj przyjaciół rozmowy. Jak w dwóch pierwszych konwersacyach tak i w téj ani jedno słówko nie zdradza, aby miłość, którą mężowie ci wyznają i w sercu noszą, wielką była lub głęboką. Rozproszyła się snać na ogniki drobnych ukochań iskra, co rozpala wulkany. Myśl ich obraca się w jałowych lub ciasnych kołach osobistych wrażeń, nic a nic nie zdradza, aby ją zaprzątały sprawy obchodzące szeroki, a przecież bliski im i pokrewny ogół?

„Człek każdy—pisze gdzieś Chodźko (t. II str. 47)—jest zagadką, któréj słowo ukryte przed światem a często i przed sobą samym nosi w najgłębszéj tajni swojego serca. Słowo to zawiązuje się tam, jak płód w żywocie matki, w najpiękniejszych dniach wiosny życia jego. Karmi go młodzieniec, a potém dojrzały mąż, najczystszą treścią swojéj krwi... Póki tego słowa w człowieku, póty i szczęścia...“ Trafniéj można rzecz tę określić, mówiąc, że owo *słowo* tajemnicze, będące treścią wewnętrzną człowieka, jest miarą jego wartości i dźwignią do *maximum* skali jakiéj dosiądz może. Niech *słowo* puste będzie, pospolite lub zagmatwane, niech ciche będzie lub egoi-

styczne a człowiek, chociażby hojnie obdarzony talentem, nie wzniesie się na szczytne wyżyny. Jeśli *wielkie słowo* „w dniach wiosny życia“ nie wpadło w łono Chodźki, jeśli „młodzieniec i mąż dojrzały“ nie wykarmił go najczystszą treścią krwi swojéj,“ aby położyć je na swym grobie jako pieczęć dostojeństwa, nie jest to tylko winą zewnętrznych wpływów, o których mówiliśmy wyżéj. Prawda, że Chodźkę wykarmiła filozoficzno-społeczna reakcya. Lecz dla czego lgnął odtąd do wszystkich wiek nasz przebiegających reakcyj. Przyciągają one zwykle umysły słabe. Szły one też zawsze z góry, od arystokracyi, gdy w stanie szlacheckim, zwłaszcza śród młodzi przejawiały się prądy inne, wolnomyślne i demokratyczne. Samo piśmiennictwo z romantyzmem zdemokratyzowało się, wyzwoliło, podnosząc pierwiastek ludowy i zrywając z rutyną, tą starą piastunką wyłączności. Walka pomiędzy przeciwnemi sobie prądami trwała ciągle to głucha to otwarta, a były chwile, że wybuchała gwałtownie. W 1818 roku pod przewodnictwem marszałka trockiego Michała Römera, szlachta, same karmazyny, że użyje miłego Chodźce wyrażenia, Zawiszowie, Chreptowiczowie, Mirscy i innych wielu, wzięła inicyatywę do usamowolnienia ludu, pomimo oporu takich, jak Lubeccy, legitymistów i wzbogaconych świeżo półpanków Pusłowskich. Ruch piśmienniczo-społeczny ożywiał się i zaostrzał. Wznowiony w Wilnie uniwersytet stał się ogniskiem oświaty. W „Wiadomościach brukowych“ Towarzystwo Szubrawców chłostało niemiłosiernym dowcipem przesądy i przywary społeczne. Wolnomularstwo rozpostrzeniało się wszędzie. Chodźko być musiał—i któż pod ówczas nie był!—wolnomularzem niższego stopnia, za to tylko ręczyć można, że „farmazonem,“ w przywiązywaném u nas do nazwy téj znaczeniu, nigdy nie był. Należał też do Szubrawców i pod nazwą Wirszajtosa lub Rustykanina, sypał konceptami jak z zarękawa w „próbie nowego dykcyonarza.“ Tu, dowcip jego choć ostry, nie wnikając w głąb rzeczy, prześlizguje się po wierzchu. Był to raczéj, prędko zapomniany wybryk młodości.

Po wolnomularstwie, szubrawcach, sejmikowym ruchu z 1818 roku, mieliśmy filaretów i promienistych, Zana, Mickiewicza, całą plejadę poetów i najszlachetniejszych zapaleńców, z których tylu wyszło z Litwy. Mieliśmy wiele rzeczy. Były lata w których młodzież uniwersytecka, nawet szkolna, paliła się do wielkiego słowa, które gasło z życiem chyba, gdyż nie zamarzło tam nawet, gdzie Eloë usty nieśmiertelnemi wypiła ostatnie tchnienie konającego Anhelego.

I tego wszystkiego, tych hardych porywów, tych polotów ducha i śmiałości myśli, tych szamotań się rozpacznych, tych ogni, łez

tych i piętn krwawych, z których się splata historya pierwszéj połowy bieżącego stulecia, ani śladu w pogodném, miejscami wysoce artystyczném, lecz jednak bezmyślném dziele autora „obrazów litewskich. Byłażby Litwa nasza „piękna i szeroka“ Arkadyą niezamąconéj szczęśliwości, odciętą od reszty świata? Wiemy, przecie że nią nie była i być nie mogła. Więc było *coś*, co przecinało w pewnéj mierze nić sympatycznéj łączności pomiędzy wysoce utalentowanym pisarzem a tém co go otaczało? Tém *czemś* są niewątpliwie umysłowe niedobory, które oddziaływać musiały z kolei rzeczy na charakter. W całéj części filozoficzno-etycznéj i społecznéj utworów Chodźki czuć się daje zresztą brak stałych przekonań, to téż nie dziwmy się, że w danéj chwili zasady mętne, na pokusę wystawione, zawiodły go—za daleko. Smutne to! lecz przed mianem „odstępcy,“ którém go napiętnowano, niech go w części przynajmniéj obronią i te niedobory umysłowe, których spady są zawsze nie obrachowane, a jako łagodzące okoliczności w danym razie—te illuzye i nadzieje, któremi się nakarmił za młodu, gdy znaczna część współziomków jego nieograniczone zaufanie pokładała w sentymentalnym uczniu pani Krüdener, we wskrzesicielu uniwersytetu Wileńskiego! Te niedobory umysłu swego i charakteru, tę chaotyczność przekonań i zasad opłacił on zresztą drogo. Talent postawił go w rzędzie najpopularniejszych narodowych pisarzy, niedobory te nie dozwoliły mu zostać narodowym wieszczem: „Każde bowiem dzieło, powinno być wyznaniem wiary autora a życie jego praktyką téj wiary.“ Sam to powiedział na stronnicy 453, tomu drugiego, wydając na samego siebie nieodwołalny wyrok.

Chodźko, skrzętny zbieracz podań, pomiędzy innemi tak opowiada o okopie szwedzkim w Radoszkowiczach:

„Szwedzi ośmieleni kilkotygodniową spokojnością spali za okopem, usnął téż na straży postawiony żołnierz... na śpiących napadł z małą garstką rycerstwa Hryhory Ogiński i w puch ich rozbił. Pobitych we własnym ich okopie pogrzebiono.“

„Otóż powiadają, *relata refero*, że w każdą rocznicę téj porażki Szwedów, a stała się takowa: *mense Junii millesimo septingentesimo nono*, widują ogromnego Szweda z rusznicą na ramieniu, przechadzającego się w nocy po okopie i sprawującego czaty nad mogiłą swoich poległych braci, podobno za pokutę za to, że zasnął i nie dopilnował ich za życia.“

Śpi snem nieprzespanym we własnym pogrzebion okopie stan nasz szlachecki! Nad mogiłą poległych braci, niby za pokutę tego że zasnął i czasu swego nie dopilnował, ustawiczne czaty sprawuje autor „Obrazów Litewskich,“ i tak stać będzie „póki Litwa żyje!“ Rzuca on wyzywającą rękawicę przechodniom, badaczom rzeczy społecznych, krytykom, miłośnikom i znawcom sztuki. Istotnie, nieraz czytając go zdaje się jakoby poszedł z kim o wielki zakład, że tworzyć będzie wbrew rutynie, wbrew zasadom, we właściwy sobie, niedający się naśladować a harmonijny artystyczny sposób. Dotąd czytano Chodźkę, uwielbiano, lecz studyowano mało. Obecny zarys do studyum takiego, jakie się należy autorowi „Obrazów Litewskich,“ pretensyi nie ma. Cel jego będzie w zupełności osiągnięty jeśli przypomni czytelnikom a zwróci uwagę biegłych na pisarza, którego utwory żyłą są złotą dla społecznéj i literackiéj krytyki.

Kto rękawicę podejmie?

W. Z. Kościałkowska.

BIGARREAU.

IV.

Druga godzina. W téj porze las, pod wpływem palących promieni letniego słońca, jest jakby w upojeniu i zdaje się usypiać. Na wielkim głazie, leżącym po nad strumieniem Fontenelle, który w tém miejscu bardzo się zwęża i szybko płynie, Noryna i Bigarreau siedzieli ze zwieszonemi nogami nad samą wodą. Zdjęli obuwie, a woda w pośpiesznym biegu kąpała ich stopy, pieniąc się zlekka. Już upłynęło nieco więcéj niż dwa tygodnie od czasu, jak mniemany Klaudyusz Pinson był terminatorem u ojca Vincart. Używano go do rąbania i piłowania kloców bukowych, a że był silny i rześki, wywiązywał się z tego zadania doskonale. Te dwa tygodnie wydawały mu się szeregiem samych szczęśliwych dni. Ojciec Vincart, lubo zapamiętały w gniewie i niezbyt cierpliwy, nie był złym człowiekiem; co zaś do Noryny, ta przywiązała się do swego protegowanego, a ponieważ, jako dziecko pieszczone i samowolne, wodziła swego ojca za nos, mogła uprzyjemniać bardzo życie przybyszowi. Ubrała go w starą kurtę trepiarza, przerobioną chłopcu do figury, i ustawiła mu łóżko w szopie, gdzie składano trepy, obok posłania z paproci i słomy, przeznaczonego dla nieobecnego czeladnika. Tam, otulony derą, dawny więzień spał jak zabity, aż do świtu, potém budził się hoży i dziarski, przy śpiewie drozdów i piosence rannego ptaszka — Noryny.

Chociaż trzeba było pracować pilnie w warsztacie ojca Vincart, umiano jednak spędzać czas wesoło i w ciągu dnia były godziny wytchnienia i odpoczynku. Robota zaczynała się z samym brzaskiem i trwała do obiadu. Gdy skwar popołudniowy zaczynał dokuczać, trepiarz używał wczasu, a robota zaczynała się na nowo dopiero około czwartéj godziny. Noryna i Bigarreau korzystali z tego, biegając razem po lasach okolicznych. Dziewczynka zwin-

na jak jaszczurka, a jak wiewiórka żywa, wtajemniczała swego towarzysza we wszystkie przyjemności życia leśnego. Umiała zastawiać sidła na zające, łowić ręką pstrągi i raki w strumieniu. Znała w głębi zarośli i obok ścieżek pokrytych trawą miejsca, gdzie rosły pieczarki i gdzie można było być pewnym obfitego zbioru koźlaków i syrojadków. To życie odosobnione w pośród lasu, te dnie pracy na wolném powietrzu, przerywane wałęsaniem po gaju, wpłynęły na sprowadzenie zmiany w zbiegu. Nie był to już więzień ponury i dziki, na którego plecy sypały się uderzenia dozorców w domu poprawy, ladaco, zepsute całemi latami włóczęgi i ujemnym wpływem więzienia: jego wrodzona łatwość w pożyciu i nietroszczenie się o nic wzięły górę. Dzięki codziennemu zetknięciu się z małą czarodziejką leśną, która stała mu się towarzyszką i mistrzynią, odkrywał teraz w sobie zarodki tkliwości i czułości, którym się sam dziwił.

Otóż, w téj chwili, Bigarreau zanurzał z rozkoszą swe stopy w strumieniu Fontenelle, a jednocześnie cała jego istota rozpływała się w błogości bardziéj ożywczéj niż woda potoku.

— Cóż, Klaudiuszu—ozwała się Noryna, patrząc na niego z pod oka—czy to upał odbiera ci mowę? Milczysz jak ryba.

— To nie upał — odrzekł — to zadowolenie. Zdaje mi się, iż śnię i boję się przebudzenia. Nieraz, kiedy spałem w moim hamaku w domu poprawy, śniło mi się, że jestem wolny; potém na wpół obudzony, przekonywałem się że to był tylko sen, więc próbowałem zasnąć na nowo, aby przedłużyć to marzenie.... W téj chwili czuję to samo: nie śmiem się poruszyć z obawy, że ujrzę jak raptem Fontenelle, warsztat i ty sama, Noryno, znikniecie jak dym, a ja znajdę się w szponach głównego dozorcy.

— Od ciebie to zupełnie zależy... Ojciec jest zadowolony i zapewnia, że posiadasz wszystkie warunki do zostania biegłym w naszém rzemiośle.... On cię zatrzyma z chęcią... jeżeli—dodała ze złośliwém mrugnięciem oka—jeżeli nie przykrzy ci się z nami?

— O! Noryno, jak możesz to mówić?.. Jestem szczęśliwy tylko przy tobie.

— W takim razie bądź spokojny — odparła panna Vincart tonem stanowczym — i nie wyszukuj sobie urojonych przykrości!... Dziś jesteśmy wolni do wieczora... Ojciec wróci z jarmarku w Gurgis dopiero w nocy... Do tego czasu jesteśmy panami swéj woli a ja skorzystam z tego i zasnę sobie na trawie.

Stanęła na kamieniu, wyciągnęła ramiona, osuszyła na słońcu swe drobne nóżki zaczerwienione i ociekające wodą; poczem przebiegłszy okiem brzeg strumienia, dostrzegła na pochyłości cienistą

przestrzeń, zarosłą różowym wrzosem; poszła tam, położyła się, nogi skuliła, a ręce założyła po nad głową, Bigarreau poszedł za nią i klęcząc o kilka kroków, patrzył jak układała się do snu. Tymczasem oczekując nim sen nadejdzie Noryna na swém posłaniu z wrzosów, i oczami na wpół przymkniętemi, z lekkim uśmiechem na ustach, patrzyła niedbale z pod spuszczonych rzęs na milczącego towarzysza, na drzewa nieruchome i na niebo, przeglądające wśród drzew; powoli jéj ciemne powieki zupełnie opadły, rzęsy się skleiły, a usta zwarły układając się w jakąś minkę, i zasnęła.

Bigarreau, ciągle na kolanach, zbliżył się do uśpionéj. Zdjął swą kurtę i położył ją z troskliwością na bosych nogach Noryny. Poczém urwał szeroki liść paproci i poruszał nim jak wachlarzem odganiając muchy, aby nie przerywały snu dziewczynce.

I dużo miał do roboty. Muchy, jeszcze bardziéj dokuczliwe skutkiem upału, latały wokoło z jednostajném brzęczeniem i upierały się koniecznie siąść to na ramieniu dziewczyny, to znów na szyi, to wreszcie na śniadym i zarumienionym policzku. — Od czasu do czasu terminator przerywał swe zajęcie, aby przyglądać się jak gdyby w zachwycie Norynie, która była istotnie prześliczna w swéj surowéj piękności, na wpół sformowanéj. Muchy krążące zdawały się umyślnie zatrzymywać na najsubtelniejszych kształtach uśpionéj, jak gdyby dla większego uwydatnienia szczegółów tego pięknego ciała dziewczynki, rozwijającéj się na kobietę. Trącały one zlekka swemi czarnemi skrzydłami jéj powieki o długich rzęsach, ramiona obnażone i opalone, pierś białą i zaledwie ukształtowaną, któréj zarysy można było dostrzedz przez uchylony rąbek koszuli niedbale zapiętéj.

Otoczenie, w którém Bigarreau żył dotąd, zapewne nie przyczyniło się do rozwinięcia w nim zasad powściągliwości i uczciwości. Przedwcześnie zepsuty i pogrążony w męty więzienia, gdzie wszelkiego rodzaju występki roiły się jak pijawki w bagnisku, piętnastoletni chłopak zaznawszy wszystkiego, niczego nie szanował. Jednak widok Noryny uśpionéj a krótko ubranej nie obudzał w nim niezdrowych wrażeń, ani brutalnéj żądzy. Wzruszenie, którego doznawał, obudzało w nim instynktownie uczucie szacunku i przyjemnego zdziwienia: zachwyt dzikiego wobec pięknéj, nieznanéj rzeczy. Ten włóczęga, który wzrósł wśród nicponiów przedwcześnie i cynicznie zepsutych, miał jakby objawienie wdzięku kobiecego i dziewiczego uroku. I to nowe pojęcie, w połączeniu z uczuciem wdzięczności i czułości, wprawiało go w uniesienie zarazem rozkoszne i czyste. Przyglądał się Norynie z uwielbieniem, a to wpatrywanie się w zachwycie i skupieniu wystarczało do jego szczęścia.

Wkoło niego i uśpionéj las głęboki wznosił swe konary, jak gdyby chciał zamknąć oboje w tém spokojném i pełném zieleni ustroniu. Ciszę tę przerywał tylko szmer strumyka, przemykającego się przez las jakby z pośpiechem i dalekie odgłosy dzikich gołębi, które gruchały, gruchały ciągle na tę samę miłosną nutę. Paprocie, przypalone od słońca, wydawały woń przenikającą, podobną do zapachu czarnych jagód; łodygi janowców wyciągały tu i owdzie swe czarne strączki i złote kwiaty; jakiś błękitny motylek wylatywał bez szmeru z gęstwiny, siadał na szkarłatną wierzbówkę i znów oddalał się cichym lotem. Trwało to parę godzin, poczém budząc się Noryna otrząsnęła swe włosy osypane kwieciem wrzosu; rozwarła ramiona i uśmiech zaigrał na jéj ustach.

— Otóż i obudziłaś się? — szepnął Bigarreau.

— Och! już dawno jak nie śpię!.. Podpatrywałam, śledziłam ciebie.

— I nic nie mówiłaś?

— Jeszcze czego! ruszyłbyś się z miejsca a mnie sprawiało przyjemność widziéć cię klęczącego przy mnie.

— Doprawdy? — zawołał rumieniąc się.

— Tak, patrzyłeś na mnie poczciwemi oczami i było mi przyjemnie pozostawać tak bez ruchu, czując cię blisko siebie... Nie boję się ciebie, to nie tak jak z tym Champenois.

— Champenois?

— Tak, to czeladnik mojego ojca... Zawsze idzie za mną, gdy idę do lasu i ściga mnie wszędzie... Nie cierpię go!

— Czy on ma wkrótce wrócić?

— Prawdopodobnie; wyjechał tylko na dwa tygodnie... Gdyby został się w swojéj wsi, nie ja nosiłabym żałobę po nim!... lecz on powróci; zresztą ojciec Vincart lubi go, ponieważ jest dobrym robotnikiem.

Twarz chłopca spochmurniała. Już z góry nie cierpiał tego Champenois, który prześladował Norynę, a którego powrót do warsztatu miał zamącić spokój i wesołość.

— Widzisz Klaudiuszu, pamiętaj sobie — mówiła daléj dziewczyna—gdy on powróci, trzeba ażebyś się go strzegł i starał wejść z nim w dobre stosunki... On jest zazdrosny i skryty i gdyby coś upatrzył do ciebie, mógłby ci szkodzić.

Udali się drogą do warsztatów. Słońce zachodziło i wydłużało cienie nasienników rosnących na pochyłości wyrębu, którego pnie i krzaki zdawały się płonąć w pyle złotym. Ojciec Vincart miał wrócić o zmroku; Noryna musiała się zająć przygotowaniem wieczerzy. Po przyniesieniu wody ze źródła, gdy Bigarreau rozpa-

lał ogień pod gołem niebem, Noryna przypasała niebieski fartuch i zaczęła skrobać jarzyny do polewki. Terminator zajął się łupaniem szczépek, ciągle z ukosa przyglądając się dziewczynie, zajętéj pilnie skrobaniem. Siedząc na pieńku, z włosami rozpuszczonemi, śpieszyła się bardzo, a krając rzepę i kartofle na kawałki, nuciła jakąś piosenkę.

Słońce coraz bardziéj zniżało się poza drzewami. Jego olbrzymia kula o czerwonéj barwie ukazywała się częściowo tu i owdzie pomiędzy wysokiemi gałęziami i trawą, a woda strumienia zabarwiała się tym samym jaskrawo-czerwonym kolorem. W zenicie, niebo bez chmurki wpadało w odcień turkusowy. Wśród gałęzi ptaszęta układały się do snu z cichém świegotaniem, podczas gdy sójki swarzyły się jeszcze hałaśliwie w gęstwinie. Powoli zmrok zapadał; słońce zupełnie znikło, wysmukłe dzwonki kwitnące miały już tylko lekką barwę liliową, a biała mgła w głębi unosiła się po nad kapryśnym biegiem Fontenelli, któréj szmer silniéj dawał się słyszéć przez las pogrążony w milczeniu.

Zupa gotowała się cicho na żarze. Bigarreau wstał z kłody i rozciągnął się na suchéj trawie u stóp Noryny, przy ogniu, którego niebieskie płomyki wymykały się z pod popiołu. Ani jedno ani drugie nie mówiło ani słowa; z głową w tył przechyloną, z oczyma utkwionemi w niebo, patrzyli na gwiazdy mrugające na ciemnym błękicie nieba.

— Czemuż! — zawołał nagle Bigarreau — czemuż nie jesteśmy sami w warsztacie?.. Byłoby tak przyjemnie pracować razem, Noryno!.. we dwoje przygotowywać sobie wieczerzę i oczekiwać nocy, ot tak, jedno przy drugiém!

W téj chwili, na brzegu zarośli, w kierunku drogi prowadzącéj do lasu, dały się słyszeć głosy oddalone jeszcze i nakoniec rozległo się w gęstwinie dźwięczne *hop*, *hop*!

— Otóż i ojciec— rzekła Noryna wstając— ale zdaje mi się, że nie jest sam....

Istotnie, ojciec Vincart nadchodził w towarzystwie jakiegoś chłopca w bluzie, z którym rozmawiał gestykulując. Kiedy byli oddaleni o dwadzieścia już tylko kroków, przenikliwy wzrok Noryny rozpoznał nowego przybysza.

— Ha! — szepnęła — otóż i owe złe ziółko, Champenois!

— Dzieci!—zawołał Vincart—czy zupa gotowa?... Przyprowadzam kompana. Wyobraźcie sobie, że minąwszy drogę z Gurgis, spotkałem tego oto kamrata, który powracał do nas.

— Dobry wieczór, turkoty!—odpowiedziała Noryna głosem niezadowolonym. — Poczekajcie troszeczkę, zupa wnet będzie gotowa.

— Dobry wieczór ci, Noryno! — odezwał się czeladnik tonem słodziuchnym, zdejmując swój tłomoczek.—Jakże się miewasz?

Jednocześnie przyglądał się bacznie nieznanemu terminatorowi, który ze swéj strony wytrzymywał śmiało to badanie nowego przybysza. Przy ostatnich blaskach zorzy wieczornéj terminator dostrzegł chłopca krępego, o ruchach chytrych, o złośliwych ustach i z oczami zézowatemi; zarost rzadki i nierówny otaczał mu brodę, policzki miał błyszczące, a nad oczami zamiast brwi dwie linie czerwone, prawie gładkie.

— To Klaudiusz Pinson, terminator, o którym ci mówiłem — rzekł trepiarz odpowiadając na nieme pytanie czeladnika... Klaudiuszu, mój chłopcze, oto Champenois; to on będzie cię daléj uczył i będziesz go słuchać jak mnie... Teraz, gdy już się znacie, siądźmy i przegryźmy cokolwiek.

Noryna przyniosła miski z fajansu białego i w ciemny deseń, i nakrajała kawałków chleba, które zalała zupą. Przez czas jakiś słychać było tylko ruch ust i brząkanie łyżek. Kiedy pierwszy głód zaspokojono, ojciec Vincart zwrócił się do Champenois:

— Czyż nic nowego nie słychać u was? — zapytał.

- Nic... lecz powracając, zatrzymałem się w Auberive; ot tam to jest wrzawa: jeden z nicponiów pracujących w nowém więzieniu uciekł i to wzburzyło całą okolicę.

Bigarreau zadrżał na swym pieńku, tak, iż Noryna musiała go mocno uszczypnąć, aby przypomniéć mu przezorność. Noc była już zbyt ciemna, aby można było dostrzedz zmianę rysów terminatora, ale pod wpływem wzruszenia upuścił miskę, która rozbiła się o kamień na kawałki.

— Przeklęty niezgrabiarzu!—zawołał ojciec Vincart—to ty tak się obchodzisz z mojemi statkami!

— Miejmy nadzieję—dodał śmiejąc się szyderczo Champenois— iż jest zręczniejszy, gdy ma w ręku jakieś narzędzie... Tak, gospodarzu, jeden z ich więźniów zemknął; lecz oni go pochwycą... Rozesłali wszędzie jego rysopis i żandarmerya jest już na tropie....

V.

— Strzeż się! —szepnęła nazajutrz Noryna do Bigarreau, który przechodził koło niéj wioząc w taczce polana; wczoraj gdy upuściłeś miskę, krew uderzyła mi do głowy!.. Jeżeli tak stracisz głowę od pierwszego dnia, Champenois, który jest przebiegły jak kuna, wkrótce odkryje naszą tajemnicę i nie omieszka użyć jéj przeciwko tobie.

— Ten człowiek nie podoba mi się—odpowiedział terminator, i już go nie cierpię.

— To nic nie znaczy, trzeba być uprzejmym dla niego... lepiéj jest mieć go po swojéj stronie niż przeciwnie.

Bigarreau przyrzekł, iż będzie ostrożny i starał się nawet przypochlebić temu, który miał dozorować go przy pracy. Ale możnaby powiedziéć, że Champenois był uprzedzony do nowego przybysza. Ciągle starał się pochwycić go na jakimś błędzie. Wiedząc doskonale, że Bigarreau był jeszcze nowicyuszem w rzemiośle, powierzał mu jednak trudne roboty i kiedy nieborak zepsuł klocek drzewa lub też nie we właściwe miejsce uderzył toporkiem, Champenois wołał wtedy ojca Vincart i wykazywał z dowodem w ręku, że terminator pozostanie zawsze niezręcznym.

Noryna ze swéj strony, aby ułagodzić Champenois'a, postanowiła być względem niego mniéj przykrą i nie odpychać grubych zalotów tego, którego nazywała *Zézem*, jak to robiła dawniéj złośliwie. Ale i to postępowanie nie przyniosło pożądanego skutku dla jéj protegowanego. Widząc, że nie odpycha go jak przedtém, Champenois przypisał tę zmianę urokowi swego oblicza i wyobraził sobie, że Noryna zaczęła się oswajać. Nabrał więc śmiałości i jego natręctwo stało się nie do zniesienia. Noryna nie mogła pozostawać z nim sama, aby nie narazić się na jego brutalne zaloty. Przyprowadzona do ostateczności, oburzyła się, sucho odsunęła wstrętnego Zéza do właściwych granic i znowu wróciła do swego obejścia cierpkiego i pogardliwego. Ten zwrot mocno podrażnił mściwego czeladnika i obudził w nim znowu podejrzenia przez chwilę uśpione. Zazdrość rozwija w tych, których ogarnęła, przenikliwość wielce czujną; zaostrza pojęcie i nadaje zmysłowi wzroku i słuchu ostrość niemal chorobliwą. Champenois zwietrzył miłość unoszącą się wśród warsztatu ojca Vincart. Szpiegował chłopca i dziewczynkę i wcześniéj od nich odgadł naturę uczucia jeszcze nieświadomego siebie, które pociągało jedno ku drugiemu. Od tego czasu jego pragnienia zawiedzione, miłość własna zraniona, zrodziły w nim zawziętość, któréj nieszczęśliwy Bigarreau był ofiarą. Czeladnik trepiarski, starając się go dręczyć, nie oszczędzał mu ani obelg, ani szturchańców.

Bigarreau, przyzwyczajony do życia w więzieniu i do razów dozorców, znosił z początku dosyć filozoficznie zły humor i niesprawiedliwe postępowanie czeladnika. Nieraz mu jednak krew uderzała do głowy i usiłował stłumić w sobie gniew, aby uniknąć zwady, która prawdopodobnie skończyłaby się z jego szkodą i pociągnęłaby za sobą oddalenie go z warsztatu.

— Nie mogę już wytrzymać!— mówił do Noryny pewnego poranku, kiedy łowili razem raki w strumieniu Fontenelle — jeżeli Zéz daléj tak będzie postępował, skoczę mu do gardła i uduszę go.

— Miéj cierpliwość, mój biedny Klaudiuszu — odpowiedziała dziewczyna, wyciągając swe ręce zroszone wodą i odrzucając w tył niesforne włosy, które spadały jéj na czoło, wszystko to przejdzie jak deszcz marcowy... Champenois nie zostanie u nas... Znajdę sposób poróżnienia go z ojcem i oddalenia go ztąd... Tylko do tego czasu trzeba używać wybiegów, bo jest on złośliwy jak małpa; dopókąd będzie w téj okolicy, nie przestanę się lękać, aby nie odgadł skąd ty pochodzisz...

Podniosła głowę i zwrócona do towarzysza, starała się dodać mu odwagi swém jasném, wesołém spojrzeniem.

Stała w wodzie ze spódniczką podkasaną i zawiniętą do kolan, z włosami rozwianemi na ramionach, okrytych kaftanikiem zbyt ciasnym, miejscami rozprótym, kędy wyglądało białe ciało. Sklepienie olch plączących swe gałęzie po nad potokiem otaczało ją świeżym cieniem, w głębi którego jéj czarne oczy błyszczały jak dyamenty w ciemności.

— Na nieszczęście—dodała zniżając głos—obawiam się bardzo, że jego zła mózgownica pracuje już nad tém... Ale, ale, wszak mówiłeś mi Klaudiuszu, że ukryłeś niedaleko stąd swoje ubranie więzienne?

— Tak, pod kamieniem, przy zakręcie Fontenelle.

— Jeżeli usłuchasz méj rady, to pójdziesz i wydostaniesz je, wrzucisz w głąb jakiéj jamy lub spalisz, co będzie jeszcze pewniejsze.

— Czy myślisz, że nasz Zéz wynajdzie je tam, gdzie ono jest teraz?

— Obawiam się wszystkiego od tak złośliwego stworzenia, jak Champenois.

— Ba! — odparł Bigarreau niedbale — jeżeli nieszczęście chce, abym był schwytany, to chociażbym się nawet ukrywał w norze lisa, pochwycą mię w każdym razie. W mojém życiu nigdy nie miałem szczęścia, z wyjątkiem dnia, w którym cię spotkałem...

— Jeden powód więcéj, abyś się starał tu pozostać!— zawołała Noryna, marszcząc brwi i wyskakując gwałtownie z wody... Myślisz tylko o sobie!—mówiła daléj tonem niezadowolonym i pełnym wyrzutów.

Odeszła trochę i usiadła na słońcu na pochyłości okrytéj macierzanką i wyciągnęła się tam z miną nadąsaną, oparłszy się łokciami o trawę i zatopiwszy palce w potarganych włosach. Bigarreau zbliżył się ku niéj.

— Czyś się rozgniewała, Noryno? — zapytał.

— Tak— odpowiedziała gniewnie—upierasz się, nie chcesz nikogo słuchać i nie dbasz o to, co dręczy innych.

Ujął ją za ręce i starał się odkryć jéj twarz, którą uporczywie ukrywała w dłoniach.

— Przebacz, moja Norynko! — wyszeptał błagalnym głosem — nie chciałem ci zrobić przykrości... Jeżeli myślę tylko o sobie, jest to skutkiem złego nałogu, którego nabyłem, bo nikt oprócz ciebie nie zakłopotał się o to, co może mię spotkać... Musiałbym nie mieć zupełnie serca, aby zapomnieć o twéj dobroci!

Udało mu się ująć jéj ręce i ona mu nie broniła. Milczeli teraz oboje. Las kołysał ich po macierzyńsku na swoim łonie brzękiem owadów, szmerem wody bieżącéj i dalekiém gruchaniem dzikich gołębi. Zdeptane łodygi macierzanki i majeranku rozlewały dokoła przyjemną woń, upajającą ich słodko, a Bigarreau czuł w sobie niepokój rozkoszny, który odbierał mu mowę i niemal oddech.

Noryna podniosła powoli oczy na chłopca, którego czarne źrenice zwilgotniały jak jeżyny skropione rosą.

— Obiecujesz mi, że będziesz się miał na ostrożności, nieprawdaż?—szepnęła głosem tkliwym. — Mam podejrzenie, że Champenois knuje jakąś niegodziwość przeciwko tobie.

— Dlaczego?

— Bo jest zazdrosny... Szaleje za mną więcéj niż kiedykolwiek... Dziś rano, kiedyśmy byli w izbie, chciał mnie pocałować a ja wymierzylam mu policzek. On mię wyśmiał i powiedział, patrząc na mnie swemi zézowatemi ślepiami: „Gdyby na mojém miejscu był ten przybłęda terminator, nie byłabyś tak niedostępna.“ Cierpliwości mi zabrakło i rzuciłam mu w twarz: „Ma się rozumiéć, że tak, wolałabym go niż obrzydliwego zéza jak ty.“

Bigarreau poczerwieniał.

— Czy... czy to prawda, Noryno?

— Nie kłamię nigdy — wyszeptała ukrywając twarz w macierzance. I mówiła daléj głosem prawie przytłumionym przez trawę: — Mam więcéj przyjaźni dla ciebie, niż ty dla mnie!... Widziałam to dobrze przed chwilą, że pogodziłbyś się z myślą opuszczenia mnie, podczas gdy ja... gdybyś się oddalił!..

Urwała, zalewając się łzami.

— Noryno, moja Norynko, nie płacz!

Podniósł rękami głowę dziewczynki i cały wzburzony widokiem jéj łez, przybliżył swą twarz do twarzy dziewczęcia. Czule, po bratersku starał się powstrzymać jéj łzy, całując ją w oczy. Na-

raz, zarzuciła mu gwałtownie ramiona naokoło szyi i poraz pierwszy, raz jedyny, usta Bigarreau dotknęły dziewiczych ust Noryny. Wrażenie tego jedynego i rozkosznego pocałunku spłynęło kropla po kropli jak nektar w żyły dwojga młodych, odurzyło i upoiło ich na chwilę. Szelest gałęzi wywołany bezwątpienia przez jakie koźlątko, które przyszło się napić w strumyku Fontenelle, a spłoszyło się widokiem téj naiwnéj pary zakochanych, szelest ten obudził ich z zachwytu. Noryna jednym skokiem stanęła na nogi i cała w płomieniach, jednocześnie radosna i zawstydzona, teraz sama spłoszona, znikła za olchami strumienia.

Bigarreau pozostał sam na pochyłości z bijącém sercem; czuł jeszcze na ustach wilgotne i rozkoszne dotknięcie ust Noryny, zdawało mu się, iż drzewa kręciły się dokoła niego, że ziemia usuwając się, nieznacznie pochylała się ku potokowi, którego głośny szmer wydawał mu się prawie zdwojonym. Powoli jednak przyszedł do siebie i pamiętając obietnicę daną Norynie, chciał skorzystać z bliskości kamienia, pod którym ukrył swoję kurtkę i wybrać stamtąd to ubranie kompromitujące go, aby pozbyć się go raz nazawsze. Jeszcze na wpół się chwiejąc, skierował swe kroki ku brzegowi strumyka. Dotknął nogą kamienia i już go podnosił, kiedy obejrzał się przez ostrożność i spostrzegł po drugiéj stronie Fontenelli, na pagórku, daleką i nieruchomą sylwetkę Champenois'a. Z obawy, aby go nie zobaczono przy tém zajęciu, odłożył kamień na miejsce, usiadł na nim, jak ktoś co sobie chodził bez celu, i udając, iż niby zabawia się rzucaniem kamyków do wody; wyciął kijek w krzakach leszczyny, poczém odszedł z miną obojętną.

Za chwilę wąwóz Fontenelle znowu był zupełnie samotny. Koźlątko, spłoszone widokiem dwojga młodych, mogło wyjść z gęstwiny, gdzie stało ukryte i napić się wody w strumieniu. Kosy, drozdy i sójki zrobiły to samo. W miejscu, gdzie Noryna i Bigarreau siedzieli i gdzie wygnieciona trawa wskazywała niedawną ich obecność, macierzanki i majeranki podnosiły powoli swe pochylone łodygi. Już natura zdawała się wracać do swego zwykłego trybu, gdy znów jakiś natręt przyszedł, aby wszystko na nowo zamącić.

Champenois, który stał skulony między gałęziami na pochyłości przeciwległéj, ruszył ku strumieniowi, przeszedł go z łatwością i szedł z jego kapryśnym biegiem, aż do tego białego kamienia, na którym siedział Bigarreau; tu czeladnik zatrzymał się. Używając rąk jako drągów, odwrócił szybko kamień i błysk zadowolenia rozjaśnił rumianą twarz Champenois'a.

— Otóż — szepnął przez zęby, rozkładając ubranie na wpół zniszczone od wilgoci — oto mam cię ptaszku!

Przyglądał się ubraniu i obracał je na wszystkie strony i wreszcie znalazł na odwrotnéj stronie kołnierza drukowany nadpis, który można było jeszcze wyczytać: „Dom poprawy w Cl... N. 24.“ Czytając to, mruknął głucho, włożył kurtkę do wilgotnéj kryjówki i przycisnął kamieniem.

Byłem tego pewny, szepnął, ptaszek uciekł z klatki w Auberive... Ty nicponiu z domu poprawy, poczekaj trochę, nie dadzą czasu twoim skrzydłom, aby odrosły na nowo!

Zapuścił ręce w kieszenie, poczém pogwizdując, przeszedł przez rów przecinający las, w kierunku do gościńca. Odgłos jego okutych trzewików i dźwięki naświstywania zamierały powoli pod sklepieniem drzew a wąwóz przybrał znowu swój charakter milczący i samotny...

Champenois zjawił się na wieczerzę i powiedział, że chodził do Colmiers i był u kowala, któremu dał jakieś narzędzie do naprawy. Zdawał się gadatliwszy i w lepszym humorze niż zwykle, tak iż ojciec Vincart utrzymywał, że musiał on zajrzéć do kufelka. Noryna i Bigarreau, jeszcze wzburzeni tak nagłym rozkwitem swéj miłości i pogrążeni w rozkosznėm rozpamiętywaniu wrażeń, prawie nie wtrącali się do rozmowy. Wieczerza nie trwała długo, poczém udano się na spoczynek.

Nazajutrz rano jasne słoneczko weszło na niebie czystem bez chmurki. Z powodu naglącéj roboty w warsztacie, wzięto się wcześnie do pracy. Ojciec Vincart i Champenois, pochyleni każdy nad swoim klocem, wydrążali trepy, z gruba już obrobione, i podawali je Norynie, która wykończała je za pomocą struga. Poczém Bigarreau układał gotowe trepy jedne przy drugich, wązkim końcem do góry i całemi tuzinami okurzał je płomieniem z wiórów z surowego drzewa. Około godziny dziesiątéj przerwano pracę, aby napić się wina i przekąsić kawałkiem chleba, i tak po pracy ręcznéj, pracowano hałaśliwie szczękami. Naraz, ojciec Vincart, podnosząc głowę aby się napić z butelki, spostrzegł jakiś niezwykły ruch między drzewami w lasku. Gałęzie nagle rozchylone pozwoliły dojrzéć żółte temblaki i mundury.

— Oj! zawołał, a to coś nowego!

Noryna jednocześnie z nim wszystko to spostrzegła:—Żandarmi! szepnęła,—uciekaj, Klaudiuszu!

Bigarreau już się zerwał i miał umykać, gdy Champenois podstawił mu nogę, tak iż ten upadł na ziemię. W téj saméj chwili ktoś wyskoczył z poza komórki, i terminator powstając, uczuł się pochwyconym jakąś żelazną dłonią, któréj właściciela zaraz się domyślił, jedynie po tych kleszczach gniotących i raniących mu skórę.

— Gadzino!—krzyczał dozorca Seurrot, potrząsając nieszczęśliwym więźniem,—nakoniec cię znajduję!... Tym razem odbiorę ci ochotę do zmykania!

I uderzał go pięścią w plecy. Bigarreau blady, z zaciśniętemi zębami, znosił razy bez jęku. Żandarmi zeszli ze skraju lasu i nadchodzili szybkim krokiem.

Noryna zrazu była tak przestraszona, że gwałtowne wzruszenie odebrało jéj mowę. Oczy płonęły złowrogim ogniem, dłonie ściskały się konwulsyjnie.

— Ty łajdaku! — zawołała, wyciągając pięść ku Champenois'owi,—to ty go wydałeś!

Czeladnik, uśmiechając się złośliwie, wzruszył ramionami i odwrócił się od niéj.

— Champenois,—szepnął ojciec Vincart oburzony,—nie spodziewałem się po tobie nic podobnego!... Potém, zwracając się do żandarmów: „Przepraszam, dodał, dlaczego chcecie mi zabrać tego chłopaka?“

— Ten chłopak, odpowiedział ostro brygadyer Fondreton, jest nicponiem, który się wymknął z więzienia w Auberive, gdzie go natychmiast osadzimy... Co do was, ojcze Vincart, źle zrobiliście, żeście trzymali u siebie takiego ladaco, nie dając znać o tém władzy, i narażacie się na to, że mogą was pociągnąć do odpowiedzialności, jako współwinnego, z tego tytułu... A teraz, marsz!

Ale Noryna rzuciła się między żandarmów i Bigarreau, którego starała się oswobodzić z rąk Seurrot'a.

— Proszę was, puście go, panowie, puście go!—błagała... On nie jest złym chłopcem, pracuje; u nas wyrośnie na dobrego człowieka, gdy tymczasem tam, wśród więźniów, będzie zgubiony... zgubiony!... Ręczę wam za niego, panowie, puście go, zrobimy z niego zdolnego robotnika!

Miłość dodawała jéj wymowy i podsuwała argumenty, które, w jéj mniemaniu, powinny były przekonać ludzi ze zdrowym rozsądkiem; ale żandarmi, obojętni, nie wzruszyli się wcale, jak gdyby byli z kamienia. Noryna uporczywie zastępowała drogę. Główny dozorca odepchnął ją brutalnie.

— Ruszajmy! — zawołał, ciągnąc za sobą swego jeńca.

— Noryno, ojcze Vincart, bywajcie zdrowi!—przemówił nakoniec Bigarreau głosem zdławionym;—nie zapomnę was nigdy!

Eskorta i więzień oddalili się szybko drogą leśną, ale Noryna zażarcie upierała się ich ścigać, tak iż dwaj żandarmi mieli wiele do roboty, aby ją utrzymać w pewném oddaleniu. Daremnie błagała,

aby pozwolili jéj ucałować po raz ostatni przyjaciela. Gdy przekonała się, że byli nieczuli na jéj prośby, gniew ją ogarnął.

— Jesteście bez serca!—zawołała,—nie macie wstydu, aby we trzech dręczyć biednego chłopaka!... Ale nie dam wam pokoju, udam się do prefekta, do cesarza!... Klaudiusz jest nasz, ja go chcę, ja go chcę!... Oddajcie mi go.

Z włosami rozwianemi, z oczyma iskrzącemi, Noryna napełniała las swemi skargami. Szła tak za nimi, aż do krawędzi gaju; tam, wyczerpana z sił, ochrypła od krzyku, upadła przy drodze.

— Noryno! —szepnął Bigarreau, podczas gdy Seurrot spychał go na gościniec,—to trud daremny, wracaj do domu... Bądź zdrowa, kocham cię bardzo!

— Klaudiuszu! wołała.

Żandarmi z więźniem oddalali się drogą, nad którą kurz się unosił, a za nimi ciągle jęczał rozpaczliwy głos Noryny:—Klaudiuszu! mój Klaudiuszu!...

— Żandarmie Schnepp,—mówił, przygryzając wąsa, brygadyer Fondreton do swego podwładnego,—krzyki téj dziewczynki poruszają mi wnętrzności zupełnie tak, jakby bicie w bęben... Bywają chwile, Schneppie, w których trudno pogodzić służbę ze swą wrodzoną czułością... niewątpliwie.

VI.

Tegoż samego wieczora, dyrektor więzienia wszedł promieniejący zadowoleniem do izby w oberży, gdzie nadleśny Yvert czekał go na wieczerzę.—A przecież, mówiłem panu, że on nie zajdzie daleko! zawołał, żandarmi i główny dozorca pochwycili mego zbiega w zakątku leśnym i odprowadzili go przy odgłosie bębnów. W téj chwili, odpoczywa w więzieniu...

Uśmiechnął się okrutnie i oczy błysnęły mu dziko, potém wywijając laską bambusową o gałce z kości słoniowéj, dodał:—Nadzorca był wściekły, i przed skrępowaniem tego hultaja, wymierzył mu nauczkę, która odbierze mu chyba nazawsze chęć do przechadzek po świeżém powietrzu!

Napomnienie to, prawdziwie, miało uleczyć Bigarreau na zawsze. Obiwszy go, co sił starczyło, Seurrot, zaprowadził do celi swego więźnia, zlanego potem, po długim marszu wśród spiekoty słonecznéj. Z przestrzeni pełnéj gorących i wesołych blasków Bigarreau przeszedł nagle do ciemnego lochu, został zamknięty wśród murów ziejących wilgocią i chłodem. Wstręt i nienawiść do téj celi, rosła w nim na samo wspomnienie tych trzech tygodni wolności,

podwójnie dotkliwém było mu nagłe rozłączenie z jedyną istotą którą ukochał. Jeszcze brzmiały mu w uszach krzyki rozpaczliwe Noryny, i stała mu wciąż przed oczyma klęcząca, z rozczochranemi włosami, na krawędzi lasu w Colmiers. Wszystko się skończyło, nie ujrzy jéj nigdy, a życie będzie mu gniotącą zmorą. Męka się już rozpoczęła. Wśród ciemności tego lochu widział poruszające się cienie: głównego dozorcę z kijem grubym a krótkim; dyrektora, z ostrem wejrzeniem i okrutnym uśmiechem; twarz wykrzywioną Champenois'a z oczyma zézowatemi... Bigarreau widział ich wyraźnie występujących z cienia i rzucających się wściekle na niego. Zarazem wydawało mu się, iż mury więzienne zacieśniały się i powietrza mu brakło. Dusił się, w uszach mu dzwoniło, krew pulsowała w skroniach, uderzała do głowy, a następnie dreszcze nim wstrząsały, pot zimny występował na czoło, i głosem ochrypłym przyzywał Norynę, na pomoc...

Nad ranem, gdy jeden ze stróży wszedł do celi, znalazł go drżącego od zimna w paroksyzmie gorączki. Sprowadzono lekarza więziennego, który opatrzywszy więźnia, skonstatował zapalenie pluc.

Smutne rozwiązanie sprawy Bigarreau, zmartwiło nadleśnego. Czuł, iż mimowolnie przyczynił się do ucieczki więźnia; postanowił pójść i wstawić się za nim, aby przynajmniéj uwolnili go z lochu. Kiedy wszedł do pokoju dyrektora, ten ostatni powiedział mu, że „ten łajdak" był chorym i przeniesiono go do szpitala. Yvert prosił aby pozwolono mu widziéć się z nim, zaprowadzono go więc do nowego budynku, gdzie urządzono pomieszczenie dla chorych. Znalazł chłopaka leżącego w gorączce pod cienką kołdrą, w małém szczupłém łóżku, podług regulaminu. Oddychał z ogromną trudnością i majaczył, z oczyma szeroko rozwartemi. Nie poznał swego ziomka i ten odszedł, poleciwszy go gorąco staraniom siostry miłosierdzia.

Kiedy Yvert ze smutkiem mijał sztachety domu poprawy, usłyszał za sobą głos kobiecy wołający: „Panie!" Odwrócił się i postrzegł małą dziewczynę lat około piętnastu, z gołą głową, ubraną w sukienkę wełnianą, zbyt krótką, w dużych zakurzonych ciżemkach.

— Wybacz pan!—powiedziała, wpatrując się w niego dużemi czarnemi oczami, — czy jesteś jednym z tych panów z więzienia?

— Nie, moja mała,—powiedział.—A dlączego?

— Ach!—westchnęła ona z wyrazem smutnego rozczarowania; potém nabierając śmiałości dodała:—Do kogo mam się udać, aby dowiedziéć się czegoś o więźniu, który się nazywa Bigarreau?

— Bigarreau!—krzyknął Yvert zadziwiony.

— Tak... chłopiec, który uciekł, i którego złapano wczoraj... To u nas go znaleziono...

I opowiedziała mu pobieżnie ucieczkę i aresztowanie więźnia.

— Wyrwali go od nas przemocą,—mówiła daléj.—Gdyby mieli choć trochę serca i zostawili go, zarabiałby uczciwie na chleb wspólnie z nami... Chciałabym to powiedzieć dyrektorom więzienia, gdybym mogła mówić z nimi... Czy pan myśli, że to jest możebném?

— Obawiam się, iż nie posłuchają cię, dziecko moje,—odpowiedział Yvert, patrząc na Norynę ze źdźiwieniem; poczem dodał:—Znam także Bigarreau, pochodzimy z tych samych okolic, i tylko co go odwiedzałem.

Twarz dziewczęcia rozjaśniła się.

— Ach, krzyknęła, jakże się miewa?

— Leży w łóżku... chory.

Noryna zbladła bardzo i zadrżały jéj usta a z czarnych ocząt łzy wytrysnęły.

— Chciałabym go widzieć! powiedziała głosem urywanym, w którym czuć można było tłumione łkanie.

Yvert znał surowe przepisy więziennéj reguły, i nie miał odwagi łudzić Noryny, ale tłumiona i gwałtowna boleść dziewczęcia poruszyła go do głębi. Obiecał jéj pomówić z dyrektorem i uprosić pozwolenie widzenia go jednego z dni następnych.

— Sądzę, iż wkrótce Bigarreau będzie się czuł lepiéj,—powiedział;—przyjdź więc za dwa lub trzy dni.

— Ale bo,—szepnęła,— jestem w warsztacie sama, z ojcem tylko, i nie mogłabym oddalić się z powodu zajęcia chyba wiedząc na pewno. A gdyby pan był tak dobrym i dał mi znać, kiedy będę mogła go widzieć... Mieszkamy śród wyrębu Val-Serveux... Nazywam się Noryna Vincart.

— A więc, Noryno, sam przyniosę ci wiadomość.

— Tysiączne dzięki panu!... Zatrzymała się: powstrzymywaném łkaniem drgnęły jéj usta.—Ale pan będziesz się z nim widział nieprawdaż?—I wyciągnąwszy z po za stanika bukiecik z różowego wrzosu, podała go nadleśnemu:—Oddaj to mu od Noryny.. Niech mu pan powie, że zerwałam je w Fontenelle... i że całuję go...

Nadleśny wziął bukiecik i przyrzekł spełnić jéj życzenie. Noryna połykała łzy:

— Do prędkiego zobaczenia się z panem, i jak najprędsze nowiny, nieprawdaż!

I pobiegła w kierunku Germaines.

Nazajutrz więźniowi było gorzéj i stróż przyszedł oznajmić nadleśnemu, że N. 24 życzy sobie z nim pomówić. Powiedział, aby się śpieszył, ponieważ biedny więzień nocy pewnie nie dożyje.—Yvert pobiegł do szpitala. Chory nie majaczył już, ale był bardzo osła-

biony, duszność się zwiększyła i oddychał z trudnością. Kiedy siostra miłosierdzia uprzedziła go o obecności współziomka, poznał go teraz i nawet skrzywił się jak dawniéj

— Nie mam szczęścia—wyszeptał głosem syczącym... Gdyby choć pięć minut czasu, tobym dopadł do lasu i kpiłbym z nich do syta!.. Teraz, proszę pana, rachunek mój skończony, nie ujrzę już nigdy dzwonnicy w Villote...

— Mój biedny Bigarreau—przerwał mu nadleśny—jesteś młody i silny, wyjdziesz z tego.

Chłopiec mrugnął przecząco.

— Mówmy o czém innném — powiedział Yvert — mam zlecenie do ciebie od pewnéj poczciwéj dzieweczki, którą znałeś w Val-Serveux i która pamięta o tobie.

— Noryna?—zapytał cicho bardzo Bigarreau, którego szkliste, zagasłe oko zapłonęło nagle. — Czy pan ją widział?

— Tak — powtórzył nadleśny, wyciągając z kieszeni bukiecik z wrzosu różowego—oto kwiaty, które zerwała w Fontenelle i... przesyła ci pocałunek.

Bigarreau schwycił bukiecik, przycisnął go do ust i do nosa, jakby chcąc upoić się czémś podobném do pocałunku Noryny, do woni leśnéj; potém łzy błysnęły mu w oczach.

— Droga dziewczyna! Przecież są dobrzy ludzie na świecie, panie Yvert, a gdybym był pozostał przy niéj, tam, mógłbym jak każdy inny stać się uczciwym człowiekiem... Zacząłem już zmieniać swą skórę, ale dozorca zjawił się nagle i... pomyślna chwila przeminęła nazawsze! Nie ujrzę już Noryny, ale błagam cię, panie Yvert, zanieś jéj także upominek odemnie.... Podaj mi pan moją kurtkę, tam, przy nogach łóżka....

Poszukał powoli w kieszeniach, wyciągnął nóż z rączką bukszpanową, nóż pasterski, czyli, jak zwykle nazywają, kozik.

— Oddasz jéj pan ten nóż — zaczął znowu. — Wiem, iż to prezent nieszczególny... Mówią, że to przecina przyjaźń... Ale w tym wypadku, niema obawy... Kiedy oddasz go Norynie, już będzie po mnie...

Nadleśny napróżno starał się dodać mu otuchy.

— Nie, nie — powtarzał Bigarreau — nie mylę się wcale, to ja zrobię początek na cmentarzu, który plantowałem... Dobrze przepowiedziałem wówczas, iż nie odsłużę méj kary!.. Bądź-co-bądź, nie bardzo to przyjemnie umierać. Główny dozorca bił mocno, tak mocno, iż uniosę z sobą do grobu sińce... Norynie, jak ją pan zobaczy, nie trzeba mówić o śmierci i cmentarzu... Będzie miała zmartwienia dosyć, bez tego!.. Niech pan jéj odda nóż, ucałuje ją i powie

jéj wprost, że przeprowadzono mię gdzieś, gdzieś daleko, gdzie będzie mi bez porównania lepiéj... i że odszedłem myśląc o niéj.... Niech jéj pan to powie, przecież to nie będzie kłamstwem!

Kaszel przerwał mu słowa, a siostra miłosierdzia prosiła o oddalenie się nadleśnego, który odszedł, uściskawszy swego ziomka.

Nazajutrz Yvert szedł zadumany w stronę wyrębu Val-Serveux. Gdy minął wąwóz Fontenelle i zwrócił się z biegiem strumienia, postrzegł na pochyłości wzgórza szałas ojca Vincart i skierował się ku warsztatom, usiłując przybrać wyraz spokoju, aby nie zasmucać Noryny. Poznała go zdaleka i biegła na spotkanie.

— No cóż? — zapytała cała drżąca.

— Jest mu lepiéj—odpowiedział zwięźle nadleśny—już nic mu nie dolega.

Przykro mu było łudzić dziewczynę, ale pomyślał, że wypełnia ostatnią wolę Bigarreau i że w prostocie serca ów nieborak uznał, iż to kłamstwo ulży boleści Norynce.

— Ach dziękuję! — krzyknęła, oddychając głęboko — a czy prędko będę mogła go widziéć?

— Niestety! nie, moje dziecko.... doktór przepisał mu zmianę miejsca i przeprowadzono go ztąd daleko... do jego kraju... Odszedł dziś rano.

Oczy Noryny napełniły się łzami.

— Odszedł! — wyjąkała — i nie ujrzę go więcéj?

— Myślał wciąż o tobie— mówił daléj nadleśny — i przed udaniem się w drogę zlecił mi oddać ci to.

Podał jéj nóż. Noryna wzięła, ściskając go nerwowo w dłoni.

— Polecił mi również ucałować cię od siebie.

Noryna zaczęła łkać na nowo, nadstawiając mu swą twarzyczkę opaloną, a on pocałował ją w czoło.

— No — westchnęła — jeżeli to dla jego dobra!... Czy możesz mi pan przysiądz, że mu tam lepiéj?

— Przysięgam!

I nadleśny nie skłamał....

Na nowym cmentarzu, przy samym zrębie lasu, gdzie rozłożyste buki ocieniały grób jego, biednemu Bigarreau było „lepiéj.“ Używał spoczynku wiecznego, którego ani męczące sny, ani szturchańce dozorców, już zamącić nie mogły.

Andrzéj Theuriet.

JAN OSTRORÓG

I KLASY NIŻSZE SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO W XV WIEKU.

PRZYCZYNEK DO HISTORYI SPOŁECZNÉJ W TYMŻE WIEKU.

III.

Walka z mieszczaństwem.

Rozpatrzmy się w § 24 „o braniu praw z Magdeburga“, jak Ostroróg sam stawia kwestyą. „O zdumienie, o nasza gnuśności, co za wstyd i hańba, i sromota bez miary, jakaż potrzeba a raczéj głupota... szukać prawa w Magdeburgu a to u *brudnych i plugawych rzemieślników*, *u najniższéj klasy ludzi*, których niepodobna liczyć do uczonych, których na równi trzeba stawić z najpodlejszém plugastwem (*cum extremis faecibus*).“

Pomijając wszelkie inne pobudki, ta jedna antytezująca rzemieślnika do szlachcica, wyrywająca się mimowolną ale serdeczną, głęboko w duszy poczutą skargą staje za najzupełniejszą i najprawdziwszą ilustracyą dążeń unifikacyjnych Ostroroga, jego walki z prawem niemieckiem. Jestto urzędowe prawie, literackie pierwsze wyznanie dobrze urodzonego, który oburza się, że rozumu szukają u... łyka.

Oburza się, że (*jus quaeritur*) po wyroki, a zarazem i zasady prawa nie do magnatów udają się mieszczanie. Ale bo téż one prawa i wyroki to racya bytu tego plugastwa, tych „najnędzniejszych przekupni,“ tych braci „kuśnierzy z Wirtemberga,“ jak równie wzgardliwie przezywa ich, takiż humanista XVI wieku Łukasz Górnicki.

Właśnie owo *jus theutonicum*, na które w pierwszéj linii napada Ostroróg w części o sprawach świeckich, jako na rzecz najgłówniej-

szą, najgorszą,—streszcza w sobie wszystko to, czego zniesienia, w odrębnych §§ poniżéj, domaga się. Oburza go *juris diversitas* (§ 32), w imię jedności rządów królewskich, chce jednego prawa wagi i miary (§ 52) oburza się na dowolność cen, różną długość postawów sukna, na fałszowanie korzeni (§ 54), domaga się zniesienia cechów (§ 61).

Każde z tych żądań podkopuje z innéj strony wielką podstawę bytu stanu trzeciego w Polsce, wraz z duchowieństwem zawadzającego oligarchii i szlachcie.

Na mocy *jus theutonicum* miasta i wsie zyskiwały samorząd sądowy i administracyjny. Mocą tego imunitatu rozwinęły się pomyślnie miasta Niemiec i Francyi, gdyż pod jego tarczą mogły się naigrawać z przemocy baronów i rycerzy krajowych. U nas, jeżeli weźmiemy pierwszy lepszy akt lokacyjny (*Kod. Wielk.* N. 251 z 1246 ed. Kórnicka) zauważymy, że prócz zastrzeżeń na rzecz jurysdykcyi panującego, osada, na prawie niemieckiém założona, jest wolną od sądownictwa wojewodów kasztelanów i innych wszelkich niższych sędziów! Jedynym sędzią—wójt lub sołtys (por. Bartosz. *Cod. Pol.* III str. 208 z 1340). Na zasadzie tegoż prawa ustają wszystkie daniny i służebności prawa polskiego—więc powozy, przewody, narzazy, sepy itd. będące niejako daniną w naturze. Natomiast zjawia się czynsz pieniężny, i służba wojenna, w oznaczonéj z góry zbroi i na koniu ceny wskazanéj.

Dobrze wiedział Ostroróg, że młynarze sołtysi i inni téj saméj używający swobody, mają ze szlachtą iść na wojnę (§ 45), ale kasując prawo niemieckie i młynarskie (§ 33) niemiał racyi domagać się służby, która była wynagrodzeniem państwa za korzyści z owych praw (1), ze strony obdarowanych niemi, dawaném wedle zasady *au donnant donneur*. Ostroróg zapominał o téj wzajemności. Pragnął jedności praw, bo z nią, wojewodowie, kasztelani, starostowie itd. mogliby przełamać ten mur przywilejowy, usuwający miasta i wsie przed ich samowolą, arystokracya mogłaby wziąść w kluby „ostatnie brudy."

Z tém prawem, jak się wyrażają fundatorzy 1286, 1340 i 1359 łączą się wszystkie, dające się wymyśléć korzyści: młyny, sadzawki rybne, łaźnie, kramy i różne jatki: piekarskie, szewckie, kowalskie rzeźnickie, folusze itd. stanowiące zupełne *ius civile* (Bartosz). Inaczéj mówiąc, z nadaniem tego prawa jakiejś miejscowości, rozwija się w niéj handel i przemysł, którego dawniéj tam nieznano.

---

(1) np. *Mon Med Aevi* III str. 261 N. 231 z 1346 r.

Kazimierz W. jak ojciec, niewahał się też w przedmowach do aktów lokacyjnych z jednéj strony oświadczać, że chce z lasów borów i dębów pomnożyć dochody, karczując one i kolonizując (*M. M. Aevi* III 215 z 1329, 249 z 1340, 301 z 1360, 329 z 1365) i że prawo niemieckie: Nam i krajowcom przynosi korzyści (str. 281 z 1354), oraz że miasta wzrastają tylko we wszystko, gdy są w prawie niemieckim zachowane (290). Z drugiéj zaś przyznawał się do nieznajomości praw niemieckich (315 z 1362 i częściéj), bo strona ekonomiczna stała na pierwszym planie w kolonizacyi téj.

A jeżeli z zagranicznem prawem miejskiém, zakwitała nowa era w większych osadach, to znowu i skromny młyn, klekoczący w pustce leśnéj nad strugą,—wodopojem dzikich zwierząt turów, łosi, dzikich osłów (*onagri*) itd.—może być postawiony na równi z znaczeniem *squattera* amerykańskiego, co w swym *Blockhousie* prostaczym zakłada kołyskę cywilizacyi wśród labiryntu „wojennych ścieżek“ i pod grozą „oskalpowania“ (1).

Taki młyn stał na skraju oświaty, bo tuż pod żeremiami bobrowemi, w najbliższém sąsiedztwie zwierząt lubiących ciszę i samotność. Przez jego groblę podniesiona woda stawała się miejscem pobytu dla nich, lub odwrotnie grobla bobrza przyciągać musiała młyn. Obok kamieni mielących zboże, znalazła się stępa sukiennicza, młynarz robił narzędzia żelazne, stoły, ławy itd., sprzedawał chléb, trunki i mięso. Słowem młyn—na przestrzeni milowéj od miast się wznosząc, był wysuniętą w głąb puszczy i dziczy forpocztą jego, przednią czatą cywilizacyi.

Miasto i wieś to główny korpus armii postępu, choć pod egidą prawa wyjątkowego, przywileju, pod osłoną *juris theutonici*. Zaatakował je Ostroróg na punkcie miar wag i cen, których oznaczenie jest dobrowolną zwykle umową producenta i konsumenta, sprzedającego i nabywcy. Wedle prawa niemieckiego, warunkującego byt miast naszych i wsi, jak np. to okazuje przywiléj Poznania z 1253; wójt z mieszczaństwem stanowił miarę (*mensura*) na jadło, napój itd. „wedle potrzeb czasu“ (*secundum cursum temporis*). Bardzo pospolitym faktem jest, że miasto nowolokowane dostaje „ważnicę“ (*pensa*, *stathera*, *libera*) do ważenia wosku, wełny, chleba, i wszystkich towarów (np. Ropczyce 1362). Według lokacyi Strzelna z 1436 burmistrz z rajcami miał prawo stanowić cenę wina i miodu, wedle ich dobroci (Rzyszcz. II 865), bez względu na cenę ich w Bydgoszczy lub gdzieindziéj. Raz nawet wypowiedziano ogólną zasadę, że waga, cena i miara (*in pondere*, *valore*, *mensura*) stosuje się w nowo-

---

(1) *Przyroda i Przemysł* z r. 1880 r. N. 45, 46.

lokowaném miejscu, do odnośnych warunków miasta, skąd *ius principaliter est assumptum* wzór do lokacyi wzięto (*Kod. W. N.* 563 z 1286). Zgodnie téż z tém czytamy, że Pniewo 1264 używa miary wrocławskiéj, Przyczyna głogowskiéj od 1273, trzy wsie w kaliskiém 1280 szredzkiéj (*novi fori*); jednym wskazywano miarę krośnieńską (1238. 1247) drugim pyzdrską 1291, żarnowską 1444 (1). Fordoń 1424 (Rzyszcz. II, 831) ma miarę, ćwiertnią, garniec, łokieć i wagę Chełmna.

Że taki system ekonomiczny nie mógł się podobać szlachcie, która niechciała być zależną od producentów, zrozumiéć jest łatwo. Już 1325 w Solcu, w Bydgoskiém, postanowiono, że gdy znajdzie się miara napoju lub zboża oraz łokieć sukienniczy fałszywy, to wymiar sądu należy do kasztelana, *lub* landwójta, wójta i dwu radnych, wedle §§ prawa miejskiego (Rzyszcz. II 655—6). Nadawca (panujący) zapobiega tu możliwym nadużyciom, dopuszcza władzę szlachecką (kasztelana) *zastępczo* do sądu nad niemi, ale zasada autonomii przedawcy, producenta jest utrzymaną. Nadużycie jest usunięte, ale nie odrębność miary.

Niebawem panowie w Krakowie i Warcie (1420—1423 r.) obradujący spostrzegli że rzemieślnicy *oszukują* kmieci w cenie i miarach zboża, sukna i innych przedmiotów (*rerum terrestrium*) na rynki miejskie przywożonych. Zapadła odpowiednia uchwała (§ 32) wyjaśnia nam właśnie bardzo jasno pobudki możliwe i gniewów Ostroroga na różność miar i wag, z każdém prawie miastem zmieniającą się.

Ta uchwała tak brzmi:

Dla położenia tamy (*Ad praecludendam viam*) cechom (*fraternitates* zmowom?), jakie rzemieślnicy miejscy zachowują, stanowiemy, aby wojewoda starosta i urzędnicy ziemscy, pewnego dnia, co roku, naznaczali i poprawiali miary i ceny na zboże sukna i inne produkta ziemian (*rerum terrestrium*), które na rynek kmiecie przywożą, lub które w państwie znajdują się, a to wedle obyczaju już pewien czas (*diutius*) zachowywanego, by w mierze i cenach oszustw niepopełniano. A jeśli, wbrew téj ustawie, rzeczone *fraternitates* po miastach między rzemieślnikami zawiążą się na nowo lub dawniejsze istniéć będą, wówczas rzemieślnicy, tworzący *fraternitatem*, ulegną karze siedmnadzieścia (14 grzywien) (2).

---

(1) Por. *Materyały do dziejów farmacyi* I str. 29. Kod. Wiek. Helcel.

(2) W 1454 podobnie uchwały cerekwickie (§ 23) i nieszawskie (§ 33) kwestyą taksowania osobnemi paragrafami opisły.

Kmiecie, w których zdawałoby się obronie występują panowie 1420—1423 r., pochodzą ze wsi, to duchownych, to szlacheckich. O tym dodatku przedewszystkiém trzeba pamiętać, żeby niepopaść w błąd, że wystąpienie panów w obronie kmieci (*rusticos*) przeciw mieszczanom, jest objawem miłości platonicznéj, jest rolą filantropijnych opiekunów klas, na swą śmierć i zgubę zawziętych. Pamiętajmy bowiem, że czy wieś, czy miasto miało *perfectum jus civile*, jak 1286 r. wyrażono się, *to jest* wszystkie rzemiosła zupełne prawo miejskie, niemieckie, stanowiące. Właściwie mówiąc, chodziło tu panom o korzyść z produkcyi swych rzemieślników wiejskich, przybywających do miasta ze swemi wyrobami, a niezdolnych wytrzymać konkurencyi z rzemieślnikami miejskimi.

Kazimierz III Jagiellończyk 1450 r. nadając Inowrocław przywilejem magdeburskiego prawa (Rzyszcz. II 894) powiada w formie ogólnéj jak najwyraźniéj, że „obyczaj całego królestwa stanowi, by ludzie i kmiecie po wsiach mieszkający niebyli dopuszczani do zajęcia przywoźnego (*vecturas ducturas exercere*), co i teraz ponawia dla całego okręgu inowrocławskiego, skąd kmiecie tylko pod tym warunkiem mają owe *vecturas i ducturas* wykonywać, oraz *negociari* (handlować) jeśli się wcielą do miasta, to jest staną się mieszczanami. W tak zwane roczne targi „jarmarki“ wolno było wszem przybywać ze wszelkim towarem żywym i martwym „wszelkiego rodzaju, wagi“. W r. 1375 w całém Jarosławskiém tylko Jarosławowi monopol handlu nadano nie w innéj myśli. (*A. G. Z. VII*).

Cechowe w tym względzie ograniczenia, okazuje np. lokacya miasta Słupcy, z 1296 (*K. Wielk.* N. 757), wedle któréj w obrębie milowym, kowal i szewc miejski nie miał prawa wyrabiać przedmiotów nowych ze swego fachu, tylko stare naprawiać. Ustawa 1472 r. uździarzy i siodlarzy przemyskich, identyczna ze statutami ich cechu we Lwowie, Krakowie i i. miastach (A. G. Z. VI str. 154—5) niedopuszczała sprzedaży, ani w jarmark ani w innéj porze, *roboty niewarunkowéj* tj. *non iuxta artificium ipsorum laboratae ad modum et ordinem artificii*, nie wedle zasad sposobów i praktyk kunsztu. Niedopuszczano też niewyćwiczonych w kunszcie, do psucia rzemiosła. Statut kowali także przemyskich z 1471 (A. G. Z. VI 145) niedozwala obcym sprowadzać i przedawać swéj roboty tylko w jarmarki, a kto w cechu ich nieuczył się, może tylko dla siebie robić, lub „*stosować*“ miecze i noże. Cech kowalski w Pułtusku, w 1462 potwierdzone mając statuta przez biskupa płockiego (*Kod. Mazow.* str. 231), pozwala swym członkom *ze wsi okolicznych* jak złotnicy, kowale, bednarze, kołodzieje, powoźniki, siodlarze, gwoździarze, paśnicy (*cigularistae*), cieśle, nożownicy, miecznicy, rymarze—(czyli *fraterni-*

tas fabrilis) zajmować się swą robotą w okolicach, ale niewolno im jéj sprzedawać w zwykłe dni targowe, tylko w jarmarki w samym Pułtusku. Nie mogą téż cen nakładać na szkodę kolegów (miejskich) prócz podków, których cena zwyczajowa powszechnie znaną jest (*quatuor ternarios*) i dla tego uprzedniemu obliczeniu nieulega. Ktoby z tych (wiejskich) rzemieślników chciał swą robotę sprzedawać w Pułtusku, musi w suche dni roczną opłatę wnosić trybem cechowym.

Widzimy tu niewątpliwe ograniczenie swobody przedaży wogóle, a następnie ceny dla wiejskich rzemieślników, a to na korzyść miejskich.

Z kolei idzie fakt bardzo naturalny, że w cenach zboża oraz jego miarze, wieśniacy wiedli konkurencyą z przedawcami miejskimi, z mieszczanami, produkującymi w obrębie miasta zboże i wedle powyższego wpływającymi na obniżkę cen lub trudności sprzedaży.

Wypada jeszcze rozpatrzéć się w kwestyi sukna, którą panów uchwała z 1420—1423 porusza z taką boleścią ich serca.

Przemysław II r. 1288 (*Kod. Wiel.* N. 625) nadając Śródce, t. j. staremu miastu Poznaniu, prawo niemieckie, dozwala mieszkańcom jego robić lub nabywać sukno skądinąd, ale sprzedawać *tylko w postawach* (integros) nietnąc, ani na łokcie (1). Sukiennicy poznańscy 1344 (*Cod. Maj. Pol. Raczyń.*) nie mogą sprzedawać wyrobu swego inaczéj jak postawami. Jedyną ulgą jest sprzedanie (bez rozcięcia) trzem ludziom, ale nie więcéj. Nabytego skąd indąd, niewolno jednak sprzedawać. Co do kupna wełny, tylko miejscowy (nie przybylec) może je robić na *vutzer* t. j. na ręczną wagę. Ztąd jako wniosek jest ograniczenie nabywców obcych w wyborze téj wagi bardzo cząstkowéj, skazanie ich na kupno hurtem. Z drugiéj strony, skoro sami mieszkańcy są ograniczeni w warunkach przedaży; zatém obcy, przybylcy, czyli wieśniacy, témbardziéj w tych warunkach—hurtem czy detalicznie—ścieśnieni być muszą.

Z przywilejów dla Szremu z 1462 i Kościana 1472 (*Racz. Cod. Maj. Pol.*) widać, że albo pod firmą kościańskiego sprzedają na innych targach, albo na targu szremskim w téj saméj lub niższéj cenie kupcy obcy wystawiają gorsze wyroby. Wycisk marki kościańskiéj, przy téj okazyi nadanéj sukiennikom onego miasta, albo zakaz przywozu staje się obroną przemysłowców, zagrożonych przez konkurencyą obcą. Dodajmy, jak to widać z koekwacyi późniejszych łokcia, że od różnéj jego długości legalnie różne były postawy.

---

(1) Porównaj toż samo w Szremie 1398, w Świebodzie 1493 (*Cod. Maj. Pol. Racz.*) wolno ciąć na łokcie. W przywileju dla krzyżaków 1424 także zastrzeżono przedaż łokciową (w W. Polsce tylko, w Gnieźnie por. Rzyszcz. II, 828).

Wiązka ta faktów, zebranych coprawda także i z szerszego chronologicznie obrębu, jak ustawy 1420—1454 na to pozwalają swoją datą, wystarcza do objaśnienia, wprost lub przez analogią, ducha tych ustaw, wyrażonego w ich dążeniach, rzekomo opiekuńczych dla włościan. Zrekapitulujmy.

Waga, cena, miara, należą do osnowy pierwotnych aktów lokacyjnych, jak widzieliśmy. Mają więc już z tego tytułu wartość dla użytkowników. Nie jest-to zaś prawo i obyczaj wyjątkowy, jednego miasta lub wsi, ale ogólna cecha i tarcza naszego handlu i przemysłu, *eo ipso* mieszczaństwa; jak były w tejże epoce pewne specyalne znamiona stanu szlacheckiego, niezależnie od ich wartości bezwzględnéj, cenne i korzystne dla odznaczonych niemi. Jednakową tedy mają racyą bytu. W obliczu historyi przywiléj tego stanu lub owego jedno wart.

Jak daléj z tekstu uchwały 1420—1423 wynika, *fraternitates* (cechy) rzemieślnicze musiały stanowić miarę i cenę na towar przez kmieci przywożony, bo to w celu zniesienia tych cechów, jako przyczyny tych cen i miar, (co stwierdzają nasze cytaty) uchwała owa zapada. Że rzemieślnicy miejscy mieli prawo bronić się od podobnéj konkurencyi, szkodliwéj ich wyrobom, ich interesom, jest chyba pewnikiem ekonomicznym, jak jest pewnikiem, że nadania lokacyjne pod względem państwowo-prawnym umocowywały ich do tego oporu.

Niemniéj jest jasném, że uchwalający *konstytucyą* 1420—1423 przyznają wieśniakom tylko czynność przywożących, a produkta przywożone na targ miejski, i zagrożone w cenie i miarze przez miasto, zowią *res terrestres*, co obejmując towar podobny do wprzód w uchwale podanych *frumenta*, *pannos* — muszą oznaczać produkta ziemian, nie ziemne. — Dowód na to mamy w ustawie cechowéj rzeźników krośnieńskich z 1403 (*A. G. i Z.* III), że niemieszczanom (*nullus concivis*) i przybylcom niewolno sprzedawać mięsa świeżego tylko solone. Zaczém nie kryto się 1420, że to o pański produkt chodzi. Jednostronnie tedy-li, na swoją korzyść, wdziera się stan panów w prawa miasta, i nietylko poprawiać, jak to zauważyliśmy 1325 w Solcu, wyjątkowo, ale z góry naznaczać chce miastom ceny i miary.

W Cerekwicy (§ 28) i Nieszawie (§ 23) wypowiedziała już wprost szlachta zasadę wolnego handlu, swobody co do osób, cen i czasu w kupnie i sprzedaży, po wszelkich miastach królewskich, duchownych i świeckich.

To już legislacyjny zamach szlachty na mieszczan dokonany na polu ekonomiczném. Cechy muszą paść ich ofiarą, bo one stanowią ceny i miary; muszą ustać różne ceny i miary, bo zawisły one

dotąd od warunków miejscowych powstania miasta, bo zależały od miasta, na niekorzyść szlachty. A miasta dziś niedogodne szlachcie!

Jak twórcy 1420—1454, tak Ostroróg w tym duchu przemawia, jeno że tamci są szczersi, a reformator XV wieku na różność wag i miar napada ze stanowiska przyzwoitości raczéj, niż niewygody i z zasady jednolitości państwowéj. W paragrafie o dowolności kupców (§ 54) wyraźniéj mówi o zbrodni, że „kupcy i wszyscy przekupnie sprzedają po ile chcą“, co krzyczącą jest śmiesznością w dziedzinie handlu. Skargi jego na fałszerstwo *korzeni* mają realną podstawę (1), ale to fałszerstwo po pierwsze, dzieje się za granicami kraju o ile wiemy; powtóre dotyka rzeczy zbytkowych, kuchni, jest tedy głosem smakosza, ale nie ekonomisty, choć wywołuje skutki ekonomiczne. Głos to tym zabawniéj, śmieszniéj, wyglądający, że z okazyi szafranu i pieprzu używa formuły starorzymskiéj: *ne quid respublica detrimenti capiat*. Polska upadnie, bo Ostroróg *et consortes*, mają szafran sfałszowany! (2).

Punkt o cechach tchnie największą hypokryzyą, a doskonale obok tego własną dążność i gniew szlachty z 1420—54 wyjaśnia. Ostroróg czyni się tu apostołem miłości bliźniego! „Lubo wszyscy jesteśmy braćmi (mówi on), niewiem jakiego ducha natchnieniem, ci zowią się braćmi szewcami lub krawcami, oni P. Maryi braćmi, a żaden *bratem Chrystusa się nie wyznaje*, którego jesteśmy spółdziedzicami. A jednak rzecz to *przeciwna miłości bliźniego* (szkodliwa *perniciosa*), skoro życzy się dobra tylko spółcechowemu. Najgorsze to, że wszystkie te bractwa cechowe (sodalitia) *podwyższają cenę towarów*. Nie sprzedają bowiem nic, *ceny* wprzód między sobą nieumówiwszy. To wszystko przynosi *wielką szkodę szlachcie i rolnikom* (wieśniakom od szlachty zawisłym). *Trzeba to znieść w Polsce!*“

Tu jak na dłoni widzimy potwierdzenie naszych uwag powyższych we własnéj Ostroroga opinii. Stwierdza to łączność kwestyi cen, wag i miar z kwestyą bytu cechów, co rujnuje ekonomicznie mieszczan i znosi dobroć wyrobu, zawarowaną przez istotę cechu, przez racyą jego bytu.

Na wezwanie Ostroroga prawodawcy okazali się posłusznymi, bo przez dźwięki mowy o miłości bliźniego dochodził ich głos własnéj ich kieszeni zagrożonéj przez mieszczan.

Z jednéj strony zjawia się koekwacya miar i wag. Porównano łokieć i wagę krakowską z poznańską, zostawiając lubelski i lwowski w dawnéj wielkości 1507, miarę płocką zrównano z poznańską (t. j. z krakowską) 1532, potém krakowski łokieć, kwartę narzucone

(1) Mat. do dziejów farmacyi II, str. 45. — (2) A. G. i Z. IX, str. 35.

Koronie 1565, podlaską zrównano z warszawską 1569 i t. d. Z drugiéj wchodzą w użycie taksy. Już o nich Ostroróg mówi w § 51, by je stanowiono czasu sejmów.

Przywiléj cerekwicki 1454 w § 23 stanowi, by wojewoda ze starostą, z burmistrzem i rajcami rewidowali i taksowali *quorumcunque rerum et artificiorum venalitates* wszystek towar rzemieślniczy i przemysłowy, wedle czasu, żyzności, braku dowozu, wartości rzeczy.

Petyta opockie, drukowane przez sen. Hubego w § 21 wystąpiły z zasadą wolnego handlu. Kto chce może przyjeżdżać, sprzedawać i kupować po rynkach miejskich, a mieszczanie ograniczać czasu, w którym targ się odbywa, nie mają prawa.

Statuty wielkopolskie, sieradzki i powszechny z 1454 r. nakazały co roku wojewodzie albo kasztelanowi (bez udziału już miejskich władz), rzemieślnikom (*artificibus*) i szynkarzom (*pincernis*) wskazywać miarę i sposób sprzedaży, by *ziemianie lub ich ludzie* (*terrigenae aut eorum homines*) szkody nie ponosili. Tego echem *Monumentum*.

Artykuły korczyńskie 1465 w § 12 biadając nad nieporządkiem w przedaży i wynikającym ztąd uciskiem mieszkańców miast i miasteczek, kupców i rzemieślników, szlachty i przybylców — oddają taksę w ręce wojewody. Jan Olbracht 1496 zatwierdził uchwały nieszawskie, i *pretia rerum* idą odtąd szeregiem, nie świadcząc chyba o zmyśle ekonomicznym prawodawców, słuchających li tylko głosu jednéj strony — szlacheckiéj.

Nareszcie jest szereg zakazów wymierzonych przeciw istnieniu cechów, nie dlatego by widziano w nich przeszkodę formalistyczną, pedantyczną dla rozwoju rzemiósł, — ale z prostéj przyczyny, że szkodziły rzemieślnikom wiejskim, pracującym na szlachtę, a z cechów wyłączonym, do sprzedaży niedopuszczanym.

Są to zakazy 1496, 1532 (warunkowy z taksą wojewódzką), 1538, 1543; 1550 ostatecznie je skasowano.

Mógł się pochlubić czém Ostroróg, bo jego hasla przeciw mieszczaństwu rzucone, zostały przyjęte przez szlachecką potomność. Przyjęto i jego oszczerstwa za prawdę.

IV.

Oszczerstwo patryotyczne.

Oszczerstwem zowiemy śmiało wszystko to, co Ostroróg pod pokrywką patryotyzmu na Niemców w swém *Monumentum* powiedział. Plama to na jego charakterze taka sama, jak zastawienie się zasadami Chrystusa, którego sługi obdziera (mniejsza na razie czy

słusznie lub niesłusznie), gdy chodzi o zniesienie cechów. Szczuje na mieszczan patryotów, jak poprzednio chciał na nich podbudzić takich hypokrytów, jak sam był.

Oszczerstwem jest, gdy Ostroróg pisze, że w Magdeburgu prawa szukają u brudnych i plugawych rzemieślników... w wieku XV. Szukali wprawdzie nawet panujący i inni willikatorzy (kolonizatorowie) w XIII, XIV wiekach dbali raczéj o skutki jego ekonomiczne, niżeli o istotę prawną; rozumiejący tak samo w owéj epoce, jak kolonizatorowie Ukrainy od XVI wieku, że tylko swoboda (słoboda) od klasy uprzywilejowanéj, od ucisku, ludność przyciąga, przysparza jéj ochoty do pracy, zapewnia użycie nabytych bogactw.

Dość wszakże rozejrzéć się w dokumentach lokacyjnych, by się przekonać, że po zaszczepieniu się raz prawa miejskiego w Środzie szląskiéj, lub w jakiéj innéj miejscowości polskiéj, tę formę aklimatyzowaną brano za wzór do dalszéj kolonizacyi.

Tak np. Helcel (II, str. 915, n. 81) zauważywszy zbiór w Krakowie praw niemieckich (*Weichbild*), spostrzegł w nim porady prawne udzielane przez sąd krakowski miastom polskim (*Weisthümer*) już od 1412. Radziejowu dano prawo wedle modelu Inowrocławia, Sieradza, Brześcia kujawskiego 1298 r., a gdyby Radziejowanie „przez nieświadomość lub brak, nie mogli w swém mieście Radziejowie *znaleść* (zastosować) prawa magdeburskiego w jakimś wypadku sądowym, to niech starają się poinformować w téj kwestyi w Inowrocławiu“ (Rzyszcz. I, 158). Pod tę porę w całym okręgu ciążyńskim po *ortyle* (wyroki, jak w powyższym razie, będące wskazówką dla sędziów) miano posyłać do Słupcy, lokowanéj wedle normy Pyzdrskiéj (*K. Wiel.* N. 757). Lwów podobném źródłem pod względem wyroków jest dla całéj Rusi 1444 r. (*A. G. i Z.* V, str. 137).

Kraków posiada zbiór zgórą 300 ortylów p. t. *Incipiunt proposiciones iudicii et diffiniciones earundem* z końca XIV wieku (1376 ?) pochodzący, co do układu bardzo ciekawy (1), a wraz z innymi mogący istotnie posłużyć za dowód oskarżeniom Ostroroga, iż u niemców szukano tych ortyli, nie poprzestając na ortylach już w kraju wydanych. Jesteśmy nawet gotowi przyznać słuszność oskarżeniu, które spada na mieszczan, szukających wyjaśnienia wątpliwości prawnych w kompetencyi, choćby *obcych*, znawców jurysprudencyi *również obcéj*. Zgadzamy się, że to nie patryotyzm żądać od niemca specyalisty objaśnienia w prawie niemieckiém, gdy jest król, pano-

(1) Por. dr. Bischoff w Archiv für Kunde österreichischen Geschichtsquellen XXVIII i nast. W Krakowie 1399 przepisywano ortyle magdeb. (*M. M. Aevi* IV, B. str. 324 ad 16, por. str. 307), ale 1397 przepisywano prawo polskie (*M. M. Aevi* IV, B. str. 317, 39).

wie, dygnitarze, znawcy.... prawa polskiego, ale nie niemieckiego. Zdaje się nam jednak, że ten rzekomy niepatryotyzm jest koniecznością loiczną. W tym razie mędrszy jest znawca, choć plugawy rzemieślnik, ostatnie ścieki społeczne, aniżeli największy dostojnik— nieuk. Ostroróg nieszczędzący „kortyzanom", doktorom z łaski dworu rzymskiego, przycinków, —nawet szlachcica z takim tytułem chrzczący mianem niepochlebném *rudis asellus* i odmawiający mu lubo szlachcic promocyi do urzędów i prelatur, — mógłby pamiętać, że ród i urząd nie są patentem na wszechwiedzę.

Obok tego godzi się zwrócić uwagę na bieżącą stronę téj kwestyi *juris theutonici*, na charakter jéj palący, wskutek ciekawych zajść między władzami szlacheckiemi a miastami, i szlachtą a władzami miejskiemi.

W 1420 roku mieszczanie Bocheńscy doznając „od pewnych ziemian i szlachty" to niepokojów sądowych, to ucisków, to zniewag, to fałszywych oskarżeń, zyskują od Jagiełły prawo odpowiadania we wszech sprawach tylko w miejskim sądzie, „jak tego prawa niemieckiego magdeburskiego zasada (firmitus) wymaga." W 1448 nowe były tegoż rodzaju zajścia, bo ów akt Jagiełły kazał na żądanie Bochnian pod swojém imieniem i ze swoją pieczęcią wydać kasztelan i starosta krakowski Jan z Czyżowa — krewniak Ostrorogów. — W 1427 r. wsławiają się „ziemianie i inni poddani" z okolic Połańca, Turska i Grabowca, rozbojami i kradzieżą (1), których ofiarą padają kupcy lwowscy z Rusi jadący z wołami lub towarami przez starostwa sandomierskie wiślickie, lelowskie... Jagiełło *szczególniéj* staroście sandomierskiemu, w którego obrębie, mimo jego władzy kryminalnéj i policyjnéj, to dzieje się, przypila wymiar kary na winnych, i dodawanie kupcom „służebnika" na świadka w razie czego. Grozi w końcu król staroście gniewem i karą (*A. G. i Z.* V, 56). Możnaby przypuszczać, że zacny starosta sandomierski sam przykładał rękę do owych rozbojów, jak Teodoryk Buczacki (2), kasztelan i starosta podolski z 1453 r., z którego rozkazu i wiedzy syn jego Bartosz napadł kupców z Troków, Nowogrodu, Moskwy, Ostroga i Wilna, i zrabowawszy na 4050 kop groszy, łup ukrył w domu ojca-starosty.

W latach Ostroroga, bo 1447 r. uspakaja się jakiś zatarg między wojewodą poznańskim Łukaszem z Górki i Dobrogostem z Kolna, podsędkiem także poznańskim, a całym magistratem Kościana

---

(1) O napaści na kupców krakowskich i sandomierskich był posądzony Dobiesław Puchała z Wagier 1433.

(2) To i następne z Helcla zapisków sądowych.

i miastem samém. Powodu nieznamy, ale wiemy, że mieszczanie zburzyli zamek, i Stanisława syna Jadwigi z Kolna (siostry Dobrogostowéj) zabili. Miasto skazano na grzywny. Nie świadczy to o jego winie, ale w każdym razie cała sprawa dowodzi poważnych zajść między stanami. W tymże 1447 r. miasto Radom ma jakiś zatarg z rodem szlacheckim h. Łabędź.

W 1450 r. Lublin jest widownią dziwnego skandalu.

Na Katarzynę żonę Jana ze Szczekocin, podstolego sandomierskiego i starosty Lublina (o czém warto pamiętać) rajcy, mieszczanie, polacy z nazwy i niemcy z nazwy, na odgłos dzwonu ratusznego, zamknąwszy bramy miasta, napadli. Podarli na kobietach szaty, zabrali klejnoty im, służbę poranili. Godna uwagi, że szkody liczyła sobie Katarzyna na 500 grzywien. Obrazę moralną (*ad verecundiam*) oceniła na 1000 grzywien. Było nią, że napastnicy zrucali umyślnie płaszcze i szuby, i zostali tylko *in iopulis et braccis*. Sprawę mąż obrażonéj i poszkodowanéj umorzył w sądach, zeznając, iż winowajcy zadość uczynili prywatnie.

Zajścia te nabierają znaczenia przez synchronizm swój. Kamieniec, Radom, Kościan, Lublin, Podole, Wielkopolska, pogranicze małopolskie — wszystko to przynosi dowody zajść stanowych. Na Rusi téż halickiéj zatarg wybucha równie poważny jak w Wielkopolsce. Najprzód Warneńczyk 1444 zakazuje mięszać się urzędnikom szlacheckim do jurysdykcyi miast (*A. i G.Z.* V); potém Andrzéj ze Sprowy h. Odrowąż, starosta lwowski, potém wojewoda — jak ojciec, przeciw któremu Warneńczyk wystąpił—wdziera się w sądownictwo miejskie Lwowa nad cudzoziemcami. Aż Poznań i Gdańsk w to się wdają 1460 r. Ucisk w końcu pański wydaje ciekawy rezultat. Szlachta lwowska i żydaczowska oraz mieszczanie lwowscy przeciw niemu zawiązują konfederacyą 1464 r. Ze strachu napastnik, choć magnat, umarł (1).

Jakby w tym chórze wszystkie główne miasta miały głos zabrać i Kraków zapisuje się pod datą 1460 r. Nie miejsce rozwodzić się tu nad tą sprawą szczegółowo. Punkta najważniejsze zlekka wspomnimy. Jędrzéj z Tęczyna spoliczkował i zbił płatnerza, który ofiarowanéj sobie przezeń ceny za robotę koło zbroi niechciał przyjąć. Późniéj go ubił mieczem i kijami. Mieszczanie na głos dzwonu zbiegłszy się, ubili magnata w kościele, gdzie w końcu szukał schronienia. Podejrzywano (wedle Długosza), że król był rad temu. Bądź-co-bądź, pomimo że miasto powoływało się na przywileje Kazimierza W. warujące sąd w Krakowie i przed rajcami, po-

(1) Akta Grodzkie i Ziemskie VII, 105, 112; VI, 96.

wołano i skazano winnych w sądzie szlacheckim, bo już w Cerekwicy wielkopolanie uzyskali (§ 27 cd. Bobr,), że mieszczanie za rany i zabójstwo wieśniakom wsi królewskich, duchownych i szlacheckich będą czynić sprawiedliwość wedle prawa polskiego, a małopolanie (§ 27 ed. Bobrz.) oświadczyli, że szlachcic zraniony (lub zabity) przez mieszczanina lub plebejusza mają forum w sądzie ziemskim, i tam obżałowanych powołują *de iudicio civili* (zwąc tak *ius theutonicum* zgodnie z żądaniem Ostroroga w § 32). Obrońca prawny zabójców Tęczyńskiego, lubo (i dla tego że) szlachcic, byłby rozszarpany przez obruszonych spółbraci, gdyby się nie chwycił szaty króla (1).

Cała sprawa szczególniéj dobrze ilustruje projekty Ostroroga. Zawiera bowiem narzucanie ceny przez szlachtę rzemieślnikom mieszczańskim, przymus fizyczny, wreszcie złamanie sądownictwa uprzywilejowanego mieszczan, którzy zabiwszy szlachcica ważyli się jeszcze bronić prawem magdeburskiém! To téż Sandomierz usty swego wójta Jana Cygana 1450 wykazywał się posiadaniem prawa ziemskiego i niemieckiego. Z powodu zamachu na życie a potém zważywszy uwięzienie adwokata mieszczan krakowskich, Jana Oraczowskiego, za podjęcie się przezeń tego obowiązku obrony, możnaby przypuszczać, że niechęć wogóle do „prokuratorów“ w zniesieniu ich urzędu przez Ostroroga (§ 29) odbijająca się, może tą obroną jeszcze wyżéj się wzbiła w arystokracyi i stała się jednym więcéj bodźcem do tego § 29.

Niezmiernie byłoby ponętną rzeczą przypuścić, że sprawa Jędrzeja z Tęczyna była jednym z bodźców moralnych projektów Ostroroga (wedle prof. Bob. z 1477). Przyjmując jednak i datę prof. Pawińskiego i Caro dla nich (1456), znajdziemy w kilku powyżéj cytowanych faktach dostateczną atmosferę dla rozwoju idéj reformatorskich naszego doktora obojga praw. Na takiém tle duchowém, nabierają te ideje właściwego kolorytu, stają się orężem walki panów z łykami.

Wytknięto łykom—cuchnący rozum rzemieślników z Magdeburga. Postawił obok tego Ostroróg drugi zarzut (§ 22). „Między językiem niemieckim i polskim natura stworzyła jakby wiekuisty poswark i przyrodzoną nienawiść.“ „Niech uczą się mówić po polsku ci, co chcą w Polsce mieszkać.“ Niegodna-to bowiem i ohydna rzecz, by kazano po niemiecku po wielu kościołach dla garstki, jednéj lub dwu bab, w głównem miejscu, gdy tłum polaków gdzieś

(1) Ciekawa rzecz przeciw komu 1455 Kazimierz III Jagiellończyk bierze w obronę nietykalność wyroku najwyższego sądu magdeburskiego? (*M. M. Aevi* V, 223—4).

w kącie przy swym kaznodziei się tłoczy. Jeślić trzeba takich kazań dla przychodni (*advenarum gratia*), niech się odbywają na uboczu, by nie ubliżać godności Polaków. W § 20 dodaje: „nieznoście dłużéj, dostojni (*strenui* przydomek szlachty) mężowie, jeśli chcecie być mężami, by z polaków *niemcy*, i to grubi i zniewieściali mnichy się naigrawali.“

Najprzód co do nienawiści naturalnéj języków, to to zdanie Ostroroga, już ze względu na niego samego, na ucznia szkół erfurckich, niemieckich (choćby po łacinie kształcących), brzmi niestosownie. Można tu odszukać wpływ husycko-czeski jeśli kto chce, z Pawińskim lub M. Dzieduszyckim ale o wrogiem zdawna usposobieniu kół, z których pochodzi sam Ostroróg (*monde ambiant*), o specyficznie polskiéj ich nienawiści do Niemców i ich języka, mowy być nie może już w wieku XIV. Zwrócił uwagę Szujski na to, że czasów Jagiełły tak dwór jak możnowładztwo duchowne i świeckie, mimo walki z Niemcami, jest kosmopolityczne. Świadczą o tém zażyłość cesarza Zygmunta I z Polską, służba u obcych: Ścibora ze Ściborzyc, Dersława z Rytwian, samego Zawiszy Czarnego. Pomijamy już zniemczałego Władysława Opolczyka.

Zawziętości owéj rodowéj niemogło być choćby z téj racyi między przybylcami niemcami a rycerstwem polskiem, że np. w Krakowie (*M. M. Aevi* IV) zjawia się 1326 r. Marcin piwowar zwany Kawercian, 1341 Jeklo Kawercian, a w końcu XIV wieku mamy (zapiski sądowe Helcla i akta) Dersława v. Dzierżka Karwaciana stolnika sandomierskiego. W latach 1323—1340 żyje Henryk Tabasz z Ilkusza, wójt krakowski, a 1427 na Mazowszu żyje Jan albo Tabasz z Załusek (*Kod. Maz*).

W Krakowie są Neorzowie, mieszczanie i dostojnicy.

Czy to prosty traf robi podobnemi przezwiska, niech świadczy fakt, że 1389 Krystyn albo Krzczon z Koziegłów, kasztelan sądecki, żonaty jest z córką Jana Burgh, stolnika sandomierskiego (1), który z pewnością tak jest niemcem jak Wirsing i Karwacian, stolnikowie sandomierscy (2). 1403 Marcisz rycerz w Wrocimowa, w 1438 r. chorąży krakowski siostrę wydał za mieszczanina krakowskiego Stechera (3), 1486 jeszcze Stanisław Małdrzyk z Chodywaniec, żonaty jest z córką Piotra Nymant, Małgorzatą, mieszczką ze Lwowa (*A. G. i Z.* VII). W 1444 wprawdzie Warneńczyk nakazuje w rok

---

(1) Spis mój rodowy dostojników lubelskich do XV w.

(2) Nie bez kozery Sandomierz ma dwa prawa,

(3) A. G. i Z. II, 49—50; VII, 58 w akcie, gdzie błędnie napisany Zawisza z Oleśnicy, tribunus de Lublin (doblyn), A.. G. i Z. V, 94.

wyprzedawać szlachcie i duchownym domy we Lwowie przez się posiadane (*A. G. i Z.* V, 141), ale zaznacza fakt ważny, publicznie, że te domy w XV w. przechodzą *propinquitatis iure vel quavis successione* z rąk miejskich do szlacheckich (1). Dowód to wystarczający, że krew rycerska polska łączyła się z mieszczańską, niemiecką; przyrodzonéj więc niechęci między temi dwoma językami nie było, wbrew Ostrorogowi, nawet w jego czasach, nawet po *linguagium slavonicum* głoszoném przez Hussa.

Niedość na tém, ale jeszcze szlachta pora się rzemiosłém cechowém na równi z Niemcami. Szlachetny Mikołaj Miklasz jest łaziebnikiem w Krakowie u ś. Stefana i cyrulikiem królewskim 1471 (Helcel), a Wawrzyniec Matwij, szlachcic niewątpliwy, jest cechowym złotnikiem (*aurifex*), t. j. należy do cechu kowalskiego (*fabrilis*) (*A. G. i Z.* VI, 60—61).

Potém warto pamiętać, że w wieku piętnastym o czysto-niemieckich miastach w Polsce niemożna mówić. W Lublinie 1450 napastnicy Szczekocińskiéj są—rajcy: Marcin pisarz, Jan Frejnd, Jan Trzęsitobołka, Hanusz; mieszczanie: Kloszman, Gabała, Jan Bogaty, Borzywoj, Tesar i w. i. W liczbie zabójców Jędrzeja Tęczyńskiego 1461 r. są niemcy, z nazwiska sądząc, Laymiter, Kezinger, Herschperle, ale są téż i takie osobistości jak Matys Paszko, Stanisław Szeląg, Jarosz albo Marcin Szarléj, o których jak w Lublinie, trzeba wyznać, że są polacy. Rajcy w Brzeźnicy 1460 (u Helcla) tak się zowią: Piotr Ryba, Popiołek, Strunka, Potul, Jaroma, Komia.... W Iłkuszu 1453 są Maciéj Radostka, Stefan Żelazny, Mikołaj *Vinger* i Stefan *Geyszlnik*. Imiona miejskich dygnitarzy, występujących przy przysiędze 1425 na wierność Jagielle i opiekunom jego syna,— o ile są znane dokumenta Szremu (*Cod. Maj. Pol Racz.* 158), Radziejowa, Dobrzynia, Lipna, Inowrocławia, Bobrownik, Bydgoszczy, Gembic (Rzyszcz. *Cod. Pol.*), świadczą téż o pierwiastku słowiańskim pod osłoną *juris theutonici!*

A Kraków? W istocie Kraków jest punktem wyjścia dla uniesień patryotycznych Ostroroga, jest dowodem najwymowniejszym przewagi Niemców na kazalnicy.

1373 r. u P. Maryi kaznodzieja jest niemiecki, ale 1394 przestrzegają bytu i kazań polskich, co Szujski uważa za dowód przyrostu i wzrostu ducha giermańskiego (*M. M. Aevi* IV, str. IV). Godna uwagi, że ta walka o kazania polskie u P. Maryi trwa jeszcze 1551 r., w niéj bierze udział biskup Wysz w obronie języka pol-

(1) Frydryk Herburt z Fulsztyna 1436 (A. G. i Z. V. 82), 1456 Anna córka Jana Schr opp, mieszczanka lwow., żona Dobiesława z Żyrawicy *generosi* (A. G. i Z. V, 197).

skiego, Jadwiga i Jagiełło popierają radę miejską, niemiecką.... Szajnocha cytuje (*Pez Script. Austr.* I, 628) świadectwo, że kaznodzieje niemieccy (w Krakowie) miewają kazania w głównym parafialnym kościele, a polscy w przybocznéj kaplicy (św. Barbary) i na cmentarzu (1). Do téj też kwestyi głośnéj, palącéj,— uwagi Ostroroga na pewno się odnoszą: spór o kazania u P. Maryi daje mu pole do sformułowania *ogólnéj* skargi.

Jest-to może zręcznie, ale niedokładnie.

Zresztą kwestya ta nieprzesądza stanu rzeczy w innych kościołach, lub kwestyi etnograficznéj. Co do pierwszego, to np. kaznodzieje *niemieccy* u Dominikanów w Krakowie 1446 ks. Mateusz, 1454 ks. Walenty (*M. M. Aevi* V, 245, 222), mogą świadczyć o *spolszczeniu* zakonu (co warte pamięci) i braku wiernych... niemieckich.

Co do drugiego, 1453 Jan Kapistran każe po łacinie na rynku krakowskim, koło św. Wojciecha, a mistrz Stanisław z Kobylina był *interpres in polonico*, a w jego braku towarzysz Kapistrana, franciszkanin *morawczyk* (Mon. Hist. Pol. Bielow. III, 375).

To podobno wymowne świadectwo, o ile słusznie Ostroróg, jako ogólny postulat, mógł stawiać żądanie (§ 22), by kazano po polsku, by duchowieństwo uczyło się polsku, żyjąc z polskiego grosza. Kwestya jednego kościoła Maryackiego, krew w Polsce jeszcze w XVI wieku rozgrzewająca, nie jest kwestyą wszystkich lub „licznych" kościołów. Przesadą zyskał styl, ale nie dodatni charakter *Monumentu*, który jako projekt ogólnéj poprawy Rzpltéj powinien był zawierać mniéj retoryki, uniesień, a więcéj gruntownych wniosków.

Gwałtowność, jaką dyszy Ostroróg, świadczyłaby bardzo wymownie o rozłamie między dwoma stanami polskiemi w XV wieku, któremu tragedya krakowska z 1461 nadawałaby odbłysk krwawy, wypadki lwowskie, kościańskie, lubelskie i inne, piętno współczesnego ogólnego rozgoryczenia.

V.

Stosunek do włościan.

Ostroróg mniéj wyraźnie jak o mieszczanach, ale kilkakrotnie mówi o włościanach.

W § 14 mówi o łupieżeniu nieoświeconego ludu (*simplex plebicula*) przez roznoszących jubileusze, z czego dochód ma iść na budowę

---

(1) Jadwiga i Jagiello, ed. 2, tom II, str. 287.

jakiegoś kościoła; caly ustęp zdaje się być jednak nie w celu użalenia się nad ludem napisany, ale dla wypowiedzenia antytezy: łupią lud nieoświecony, prosty, a zdobycz obracają na rozpustę i jadło (*lusibus et ventri indulgent*).

W § 15 jeno w tytule zwrócił reformator uwagę na wieśniaków *oblationes rusticorum* a przedaż (*venduntur*) sakramentów (1) główną *pointe* paragrafu stanowi.

Dopiero w § 19 Ostroróg jasno swój pogląd wyraża na kwestyą włościańską. „Czemu brak rzemieślników i kmieci?“ pyta się stwierdzając ubytek kmieci rzemieślników i innych robotników. Najprzód odpowiedzi szuka w śmiertelności epidemicznéj, grasującéj od lat wielu (*pluribus annis*). Pr. Bobrzyński wyliczył istotnie z Dlugosza zarazy, 1451, 1456, 1466—67, 1471, 1474 (2). Od 1438 do 1451, mówiąc nawiasem, Długosz niewspomina o żadnéj zarazie w Polsce, o węgierskiéj 1441.

Prócz tych lat, zapiski sądowe Helcla podają zarazę 1472, 30 stycz. z odłożeniem sądów ziemskich do stycznia 1473, potém z tejże racyi odłożenie 11 stycznia 1468, aż do 14 marca t. s. r., odłożenie sądów dla zarazy 21 września 1467 do początku stycznia 1468, zarazę 22 września 1466; 14 stycznia 1466 dla zarazy odłożono, podobnie 3 marca 1466, dla zarazy 23 września 1465 odłożenie na początek roku 1466. Byłby to tedy przeciąg czasu „kilku lat“ (1465—1468) usprawiedliwić mogący wykazany ubytek ludności. Wszakże Ostroróg przy téj myśli niezatrzymuje się, choć przy hypotezie pisania Monumentu w 1477, motyw zarazy przez chronologią jest usprawiedliwiony, a co do jéj skutków zgadzają się źródła niezależne zupełnie z Ostrorogiem (3).

Ostrorogowi chodzi o broń przeciw klasztorom. Dla tego brak ludzi roboczych, bo ich zaraza wzięła, ale jeszcze więcéj ich zabierają klasztory. Wieśniacy i rzemieślnicy chcą być księżmi i żakami (*clerici*), a to gatunek ludzi próżniaczy i nieużyteczny zgoła. Już pr. Paw. zauważył sprzeczność tego § 19, o braku ludzi mówiącym, z § 40, gdzie przy kwestyi wojska są różnego gatunku ludzi *ingentes copiae*, bez liku tłumy. Dodajmy, że jeszcze raz Ostroróg plącze się w sprzecznościach, napastując klasztory, za to znów, że niemców przyjmują tylko, choć na polskiéj ziemi, i z polskiego mienia żyją (§ 20), gdy tu widzi w klasztorach napływ polskich wieśniaków

---

(1) W wyd. Paw. w tekście *potentibus* za *petentibus*.

(2) 1474 zaraza w Prusiech aż do Wilna. Daniłłowicz, Skarbiec, N. 1981.

(3) List Długosza 1466 4/10 (*M. M. Aevi* II B. str. 2391): i w historyi XIII str. 497 z zarazy wsie i miasto pustkami, a potém większa z głodu niż z zarazy śmiertelność.

i rzemieślnków. Plątanie się w racyach, uwidocznia w końcu główną myśl. „Ponieważ niemało państwu zależy na tém, by niemnożyła się liczba próżniaków nieużytecznych, wypada niedopuszczać do miast téj olbrzymiéj armii mnichów i żaków żebrzących (*scholarium mendicorum*) cudzym kosztem się pasącéj. Kogo stać, niech się uczy. Kto ubogi, niech orze, wojuje, pracuje ręcznie. »Powiedziano bowiem: Najprzód mieszek a potém głowę napełnij.“

Starajmy się dobyć obrok duchowny z tego wniosku naszego reformatora.

Bogaty tylko może się uczyć, biedny ma rolę, oręż i rzemiosło przed sobą. To sens § 19. Ale i *plurimi opulentiores*, bogacze kupujący w Rzymie tytuły doktorskie, bywają, acz szlachta, *rudes aselli*. Tak samo i późniéj o Kośmidrze lekarzu mówiono 1513 r. że *ex Italia asinum rediisse*. Surowy tedy egzamin *secundum scholae rigorem* ma być wstępem jak u Chińczykow do urzędów i prelatur, nawet i dla bogatych.

Wszelako duchowieństwo, owi „sakramentnicy“, jest bogate, ma warunek żądany do kształcenia się, jak i do bezpłatności posług kościelnych. Na to odpowiada Ostroróg, że jeno plesz na głowie różni księży od świeckich, ledwo Donata (gramatyka) znają. Dostojnicy uczeni (*proceres docti*), ba i niższych stanów nielada jako oświeceni (*non mediocriter eruditi*) słyszą z bólem serca brednie nie ewangielizujących, ale bluźnierców. Uczeni są uczniami, nauczyciel głupi, słuchacze pobożni, doktór bezbożny i nieuk.

Może tego powód, spytać się wypada, Ostroróg słusznie widzi w napływie ciemnego prostactwa z miasteczek i wiosek? Może istotnie rolnik i rzemieślnik woli „tłusty chléb Chrystusów“? i tworzy owych nieuków księży? Na to niezdaje się, żeby wypadła odpowiedź przychylna, zważywszy jakim system edukacyjny był u nas.

Wiadomo jest, że duchowieństwo jest u nas zajęte szkolnictwem od najdawniejszych czasów. Henryk angielski *Beau-Clerc* zostaje przezwany, bo tak był uczony jak duchowny tj. kleryk; do téj pory *clerc* francuski, *clark* angielski, nasz Zbigniew zwany *clericus* bo *litteratus est*, świadczą chlubnie o tożsamości pojęć uczony i kleryk (duchowny). Jeszcze Kochowski zachował pamięć o innym synonimie, który z Kazimierza I robił to dyakona to mnicha,—w skutek tożsamości etymologicznéj.

Mówi on Kochowski:

„Nie z każdego żaka ksiądz i z drzewa Merkury
Kowal rozumu nie da, gdy go pasz z natury.“

Dyakon-dżak (дякъ pisarz) żak, przy czém wiedziano w XV w. że i *clericus* to żak także, bo tłomaczono *clericales* żakowe (A. G. Z. V.). Wie to i Ostroróg to *clerici* to *scholares* pisząc. Ta etymologia już jest piękną obroną księży i mnichów nieuków, czy to u nas czy u obcych. Spojrzyjmy téż, po ilu to klasztorach były fundusze dla biednych żaków tj. uczni, dla ich wyżywienia i odzienia? Czemże są bursy? Nakoniec niezapominajmy, że system żebraczych mnichów i żaków, system żywienia się cudzym kosztem po miastach jak mówi wzgardliwie Ostroróg, celem wykształcenia się—jest stałym faktem w dziejach XV wieku naszéj edukacyi publicznéj. Grzegorz z Sanoka arcybiskup lwowski, profesor humanista, Erazm Ciołek biskup płocki byli żakami, niezapominajmy o tém (1). W łzach upokorzenia, z litości zamożniejszych wzrastała po szkołach, może uboga i rojna, ale chciwa wiedzy młódź polska, późniejsi luminarze kraju. Ostroróg tych biedaków zapędza do pługa, broni, rzemiosła. Niemal za żebraków ich uważa, za wydrwigroszów miejskich. Jeszcze dobrze, że w § 23 mówi osobno o prawdziwych żebrakach—oszustach.

Prawodawstwo czasów późniejszych niebyło głuchem na wezwanie Ostroroga. Skorzystało z jego wskazówek.

Statut Jana Olbrachta już zauważył w § 23, że wielu mężczyzn i kobiet w żniwa idzie do Szląska i Prus—co mogło mieć miejsce i za czasów Ostroroga, ile że 1460 wspomniano o przysłowiu (*verbum in proverbiis usitatum*), że Polak przekraczający Skawinę, zaraz wrogiem ojczyzny się staje, i zabywszy swego języka macierzystego, obcy przyswaja (M. M. Aevi II B. str. 203)... może nie bez racyj społecznych (2). Szląsk i w XVI w. był ucieczką pożądaną, wedle Orzechowskiego, dla uciśnionych. Był może nim i w XV w. za rad Ostrorogowych choć to zataił. Takich zbiegów—czyniących ujmę w robocie, Olbracht każe imać.

Dla dążności Ostroroga przeciw swobodzie uczenia się klas niższych zwłaszcza jeżeli się ujawniły 1456 r., bardzo nauczający komentarz znajdujemy w §§ 12 i 9 ustaw synodalnych uchwalonych w Gnieźnie tegoż samego 1456, a których ogłoszenie zawdzięczamy ks. Łukowskiemu (*Rocznik Tow. Prz. N. Poz.* XI 57—70 *Bibl. Warsz.* 1877 II 505—8). Synod w § 12 uskarża się, że „tylu po miasteczkach i wsiach namnożyło się uczni, (*scholares*), że zaledwo żywność dostać mogą, a nauką się nie trudniąc, raczéj życie gorszące pędzą; kradzieży pijaństwa i występków cielesnych dopuszczają się i uczciwych

(1) Por. Dzieje szkół w Polsce do XV w. jeszcze w rękopisie.

(2) Chłop ożeniwszy się ze szlachcianką uciekł na Szląsk 1443 r. Helcel II N. 3152

odwodzą od dobrych zamiarów.“ Zakazano tedy uczniom pozostawać w miastach i miasteczkach; i rozporządzono, by się udawali do Krakowa, Gniezna lub kolegiat, kędy magistrzy i bakałarze kierują szkołami i w nich karność utrzymują. § 9 uzupełnia ten zakaz ograniczeniem liczby uczni. Polecono, by rektorzy kościołów parafialnych po wsiach, niewięcéj jak dwu młodzieńców cnotliwych, w otwartych miasteczkach po sześciu, w zamkniętych po ośmiu najwyżéj, (oczywiście w charakterze uczni swych szkółek) miewali. Tylko maluczkich uczni (*parvulis scholaribus*) pozwolono w większéj liczbie „dla nauki obyczajów i wiedzy“ zbierać.

Nie będzie to nakręceniem tekstu tych ustaw z 1456 twierdzić, że synod je uchwalający dla całéj archidyjecezyi gnieźnieńskiéj ograniczał przez nie w całym onéj obrębie frekwencyą młodzieży dorosłéj w szkółkach parafialnych, prowadzonych najczęściéj przez samego plebana, a w każdym razie przez nauczyciela odeń zależnego. W motywach do tego kroku synod wytknął usterki szkół drobnych, cytowane późniéj przez fachowego pedagoga w XVI w. (1). Być może tedy, że są prawdziwe ale w każdym razie zastanawia to, że Ostroróg i kościół, z różnych racyi, ale jednocześnie skarzą się na zbyt wielką ilość żaków po wsiach i miastach mniejszych.

Synod, dodajmy, skarży się na takie usterki żaków, których może dziwny sposób uposażania nauczycieli parafialnych był kardynalną przyczyną. Mianowicie bardzo często nauczyciel albo ma sam prawo „propinacyi“ piwa i wódki jak 1349 w Tymbarku, albo pobiera jakąś część z dochodów szynkowych, jak w XV w. za Długosza w Opatowie, Krzeszowicach, Mstyczowie itd., jak w Ratnie (w chełmskiem) 1615 r. Cóż dziwnego, że przy takiém sąsiedztwie Minerwy i Bachusa, szwankowala pierwsza zyskiwał drugi? To uposażenie wychodziło od króla i świeckich, wychodziło téż i od kościoła. Zatém ubocznie, inicyatywa zła przypada obu stronom, tak je gromiącym w XV wieku.

Zauważmy daléj, że ciekawy ten rok 1456 przynosi téż jedyne może rozporządzenie finansowe, z całym zakresie naszéj skarbowości, to jest pobranie szóstéj części z płacy nauczycielskiéj na rzecz potrzeb państwowych! Jestto prawdziwa krucyata na instytucye

(1) E. Gliczner *książki o wychowaniu dzieci* (ed Friedl. 1876 r. 100) „Dziś jest ta nieopatrzność między ludźmi, dla nakładu (wydatku) leda gdzie dają dzieci do szkoły, aby jedno niewiele nakładać. *Pożyteczniejsza jest dać na wielkie miesce* syna na nauki, niż go w miasteczku przy bakałarzu bawić, kędy się jedno na rybaldyą albo sekundanią sadzi a o nauki niedba“ (por. str. 99). O rybaldzie pisał Kochowski:

„Słusznie się rybałd mistrzem różnych nauk pisze
Gorzałkę tnie, sieczkę rżnie i dzieci kołysze.“

szkolne, w rozmaitéj formie! Ostatnia napaść była wprawdzie zrobioną w Kole wielkopolskiém na rzecz prowadzenia wojny z Krzyżakami, więc w imię sprawy ogólno-narodowéj; nie mniéj jednak zagrażała bytowi téjże sprawy, z innéj strony, bo ze strony edukacyi, któréj kierowników, jednorazowo, ale bardzo ciężko w porównaniu z innymi obywatelami obdarto (*Cod. M. P.* Racz.)

W ustawach synodalnych z 1456 niebrak jeszcze jednego szczegółu, poruszonego przez Ostroroga, w kwestyi żaków i mnichów. Ostroróg widzi w nich stratę pracownika wiejskiego i rzemieślniczego (§ 19). Synod z 1456 przyjmować dozwala tylko tych do stanu duchownego i do beneficyów, (§ 10), którzy wykażą *certum titulum* lub dostateczną ojcowiznę, z którejby mieli życie i odzież. To zalecenie zagradza, w myśl Ostroroga, drogę do stanu kościelnego tym, coby łaknęli życia próżniaczego a wygodnego. Nie biedak tedy, lecz zamożny, wedle synodu i arystokraty, miał potemu sposobność i wolność! Dla biedaków ciemnota i znoje: oto zgodny wyrok kleru i arystokracyi w XV w.

Wniosek ten co do kleru zdaje się być w rażącéj sprzeczności z uwagami, które wypowiedzieliśmy w obronie tegoż kleru a przeciw insynuacyom Ostroroga. Ta sprzeczność zginie, jeżeli będziemy pamiętali, że zarówno uchwała synodalna jak projekt arystokratycznego doktora praw, przychodzą na świat w chwili przełomu, w zaraniu nowych warunków i nowych stosunków. Misya cywilizacyjna kościoła i duchowieństwa, jego posłannictwo jako jedynego piastuna i wyłącznego dotąd kierownika oświaty w naszym kraju, które okupywały i usprawiedliwiały na równi z duchem czasów różne prawne i polityczne wyłączności, zaczynają być w wieku XV udziałem i świeckich członków społeczeństwa. Odwrotnie, pewne przesądy społeczne przenikły i w łono demokratycznéj instytucyi kościoła Chrystusowego. Mamy tego dowód w uchwałach 1456, w kłótniach o kierownictwo szkołami. Godna pamięci wówczas i porównania, że Władysław Warneńczyk 1444 r. dozwalając Lwowskim urzędowi i mieszczanom założyć szkołę przy kościele i szpitalu ś-go Ducha, (*A. G. Z.* V 136) zostawił zarazem na wieczną pamiątkę świadectwo, jak przed tą dobą poczynającéj się wyłączności stanowéj, nawet w edukacyi, rzeczy przedtém w Polsce dawnéj stały.

Najprzód zgodnie z życzeniem rajców, im obiór nauczyciela dozwoliwszy, późniéj Warneńczyk określa przeznaczenie szkoły: „W niéj synowie (rajców i mieszczan) szlachty ziemian i nieszlachty mają swobodnie, po wszystkie czasy, *jako jest zwyczaj po innych szkołach w miastach naszego królestwa polskiego*, chodzić, uczęszczać, i pozostawać, odpoczywać i uczyć się“ (*ambulare*, *frequentare*, *in eaque*

manere, pausare et studere). Można wnosić z tego określenia, że szkoły téj epoki miały charakter mięszany dzisiejszéj ochronki, w któréj dzieci mniéj więcéj stałe schronienie znajdowały, oraz właściwego zakładu naukowego. Następnie widziemy, że wszystkie stany, w jednym i tym samym murów obrębie, korzystały z nauki, jednéj i téj saméj. Ta wspólność dziecinnego i chłopięcego pożycia i nauki musiała oddziaływać na pojęcia i uczucia ich wieku dojrzałego, musiała łagodzić odcienia i różnice społeczne, a przynajmniéj mniéj wrażliwymi czyniła dawniejszych spółuczni.

Projekt Ostroroga i ustawy synodalne 1456 nowy kierunek wskazują edukacyi.

Obok tego, 1496 zabezpieczono się i od innych złych wpływów na wieśniaka. Spostrzeżono (§ 20 z 1496) że „synowie szlachty zdają się być równie uczeni, a nawet uczeńsi od synów plebejskich“— wszelako by niedziałać *in odium* (!!!) *plebeiorum*, którzy używają „specyalnych prerogatyw w kraju“ (!?) dopuszczono 2—5 doktorów plebejów do kapituł. Do dostojeństw kościelnych w Gnieźnie, Krakowie, Włocławku, Poznaniu i Płocku nie dopuszczano plebejów, bo szlachta po mieczu i kądzieli lepiéj kościół potrafi obronić, będąc prałatami (§ 19) niż ubogi plebejusz. Do tego szczegółu można będzie dodać prejudykat już z 1438 r. Szujski twierdzi (*M. M. Aevi* IV str. LVIII) mianowicie że szlachta niższa jak najsilniéj przechowała swojskość i najwcześniéj téż poczuła się do ekonomicznéj i *narodowéj* walki z mieszczaństwem. Już 1438 zagroziła; że kto nie polak i nieszlachcic z kanoników, temu niebędą płacić dziesięciny. Za to, fundator bursy jerozolimskiéj *dla szlachty i plebei*, bez różnicy stanu i narodowości, biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki zagroził klątwami. My musiemy zauważyć, że w tekście cytowanym na poparcie faktu niepłacenia dziesięcin, jest tylko żądanie, by plebejusz (choćby nawet miał wskazany późniéj 1496 przez Olbrachta warunek) niemógł być prałatem i kanonikiem w katedrze krakowskiéj. Właściwie tedy chodziłoby nie o ekonomiczną (dziesięcin) i narodową stronę, jakby mylnie wnosił Szujski, lecz specyalnie szlachecką, poruszoną przez dygnitaryat plebejski. Cytat Szujskiego byłby o tyle korzystny w tém naszém przypuszczeniu jego znaczenia, że wskazywałby punkt wyjścia dla uchwał ogólnych Olbrachta w żądaniach szczegółowych, jak widziemy sięgających epoki przed Ostrorogowéj, a których jest wyrazem. Daléj zauważono, że tylko pod pozorem nauki i rzemiosła, młódź wsie opuszcza i sprowadza brak rąk do uprawy, a w mieście przystaje do złych towarzystw i drużyn. Otóż filantropijna oraz ekonomiczna uchwała, jednemu tylko synowi w rodzinie kmiecia pozwala na nauki *aut literarum aut artificiorum*— umysłowe lub ręczne się udawać (§ 14).

Nietrudno poznać związek tych uchwał z 1496 z uwagami Ostroroga. „Doktór obojga praw“ uważa, że tylko pełny mieszek upoważnia do pełnéj głowy, atoli przysłowie łacińskie naopak właśnie jego zdaniu o „filozofii bogaczy“ opiewa, że pełen żołądek nieuczy się pilnie. Bądź jak bądź, Ostroróg potępił duchowieństwo, że ma majątki, choć z nich szkoły utrzymywało i żywiło żaków; on niechciał tego, pozwolił im modlić się (§ 21); potępił żaków, bo biedacy, więc umysłowo pracować nie powinni. To równie wymowny przyczynek do jego oligarchicznych poglądów, jak wszystko to, co dotąd spostrzegaliśmy. W tém świetle i zasługa powołania mieszczan do boju gaśnie, bo broń, to słaba kompensata za odjęte im prawo nauki („Kto ubogi niech idzie do wojska“); to teorya *chair à canon.*

Ostroróg uważa, że święcą nieudolnych na księży; stąd rosną *superstitiones et scandala.* Nastręczają się tu dwie jeszcze uwagi, mogące wytłómaczyć tak pogardliwy sąd Ostroroga o polskich duchownych (§ 17), który ich chłopskiemu pochodzeniu przypisał (§ 19).

Pierwszą jest hypoteza, mająca potwierdzenie w synodyku poznańskim z 1420, o którym pisałem w *Wędrowcu* r. z., i w samym Długoszu, że duchowieństwo polskie było przesiąknięte ludowością, pogańszczyzną słowiańską, która raziła wychowańca świata klasycznego. To są *superstitiones* wstrętne Ostrorogowi.

Drugą uwagą jest tłómaczenie *scandala* przez zgorszenie literackie.

Dla romanisty, wielbiącego prawo rzymskie, łacinę klasyczną, którą już znakomicie włada, zdawali się duchowni, zajęci scholastycyzmem, znający tylko łacinę średniowieczną, być nieukami. Dla tego przeciwstawił im nawet plebejów uczonych, bo humanistów, jak np. Grzegorz z Sanoka (i i. t. p.) proboszcz w Wieliczce, a późniéj arcybiskup lwowski. O tyle tedy trzeba złagodzić ostrość wyroku Ostroroga o ile nieuctwem mógł nazwać nie-humanizm w duchownych. Toby się godziło z jego pomysłem, by klasztory były zamknięciem modlących się, a przestały być szkołami, bo są jedynie rozsadnikami scholastycyzmu.

Taki pogląd Ostroroga zgadza się z pojawiającym w jego epoce charakterystycznym ruchem w szkolnictwie. Powiedzieliśmy, że duchowieństwo kierowało szkołami. Tu przypominamy, że duchowieństwo mianowało nauczycieli. Otóż w XV w. można zauważyć pewną walkę po miastach, że magistrat, więc władza świecka, chce tę atrybucyą nominacyi wydrzéć proboszczowi. Taki spór wybuchł w Wieliczce, a został rozstrzygnięty na rzecz plebana 1463 roku. We Lwowie 1399 i 1444 rajcy mianują, choć 1399 chciał pleban to czynić.

Gdzieindziéj obie władze wspólnie wyznaczały nauczyciela, jak w Wyszogrodzie 1382 i 1424 w Fordonie, 1436 w Koenigsbergu (pod (Bydgoszczą).

Jeszcze indziéj pleban po dawnemu szkole narzucał za kierownika swego wybrańca jak w Kościelcu.

To co się dzieje po szkołach miejskich, Ostroróg może chciał zrobić z klasztorami, to jest skasować szkoły duchowne i naukę sekularyzować. Odpowiadać się to zdaje jego, idejom humanistycznym.

Nieumniejsza to jednak bynajmniéj zasług jego, że naukę uznał w Polsce za przywiléj bogatych i szlachty, podstępnie napadając na klasztory i niemców.

Pewne wreszcie uwagi nastręczają się co do §§ 36 i 37, w których Ostroróg chce odwodu na skargę kobiety żalącéj się na gwałt, co ściągało śmierć winnego, oraz zniesienia prawa, by mężczyzna oskarżony przez matkę dziecka bez imienia o ojcowstwo, był zmuszony płacić na jego żywienie. Dwa te paragrafy bardzo dobrze się zgadzają ogólnym duchem z wyniesieniem cudzołożnic publicznych do godności stanu osobnego w § 58. Jest-to domaganie się zupełnéj prawnéj bezkarności dla mężczyzn, pod pozorem żeby przez zuchwałość (*mulieris temeritate plerique puniantur insontes*) niewiasty nie ginęło wielu niewinnych. Oprócz tego wygląda to jakby wszystkie uwiedzione *ipso facto* do tego stanu chciał zaliczyć.

Z przykładów sądowych tego rodzaju występku męskiego (1) widzimy, że np. 1439 domagano się 30 grzywien lub ścięcia winowajcy, 1469 mieszczanka od szlachcica żąda tylko ceny statutowéj. W 1468 toczy się sprawa szlachcica Niemierzy z Golczy, który był wyklęty lat 17 za jakąś Beatę, zagrożony był konfiskatą mienia, i oddaniem w ręce starosty, karzącego za takie winy (wedle statutów jeszcze 1454) jeśli jéj nieporzuci. 1443 roku chłopka stawiała świadków na „usile“ bez jéj woli, co i miała zaprzysiądz przeciw szlachcicowi. Obok tych przykładów z praktyki krakowskich sądów z XV wieku, wiemy ze statutów Kazimierza W. że oskarżająca na sobie przedstawia świadkom dowody zbrodni. W razie fałszywego oskarżenia przez dziewczynę i braku śladów, obżałowany może się oczyścić sześciu świadkami, bez względu na stan oskarżycielki społeczny (Helcel, Bandtke). Porwanie i gwałt bez wiedzy rodziców dopełniony na dziewczynie wydaje porywcę na łaskę jéj krewnych lub króla.

(1) Pamiętnik Tow. Lekarsk. Warszawskiego: „Przyczynki do dz. med.“

Widzimy stąd, że zarówno dowodów dla skarżącéj trzeba, jak téż nie brak środków obrony oskarżonemu; bezwzględnie téż kary śmierci niema. W tym względzie prawa Kazimierza W. odstąpiły od prawa magdeburskiego i od *speculum saxonum* karzącego śmiercią winowajcę (1). Ostroróg więc chyba zapatrzył się i potępił te prawa niemieckie.

Wszakże i to jest możebne, że powstawał na § 23 z r. 1430, który opiewa, że żadnego ziemianina osiadłego nie uwięzi się ani ukarze, *nisi judicio rationabiliter fuerit convictus* i wydany w ręce króla lub starostów, przez sędziów ziemskich swego okręgu. Jedynie cztery gatunki zbrodniarzy a w ich liczbie gwałciciel wprost dostaje się w ręce starostów.

Wyraz *rationabiliter* odpowiada właśnie, jak prof. Pawiński wskazał (str. 62) frazeologii prawa rzymskiego, oraz zgadza się ze zwykłą miarą krytyczną Ostroroga. „*Ratio* to jest miara, którą on mierzy stosunki, to probierz ich właściwości, to zasada jego sądu.“ Nic dziwnego, gdyby w statucie 1430 uderzyła Ostroroga ta frazeologia rzymska i gdyby zgodnie z nią, za sprzeczną z *ratio* poczytał doraźność wyrokowania wyraźnie antytezowaną sądów starościńskich w owym § 23 z 1430.

Z owego frazesu *nisi rationabiliter* etc. wynika na pozór brak dowodów i niemożność obrony w tego rodzaju sprawach; *admittatur probatio in contrarium* powiada w § 36, *abiciatur haec res irrationabilis* w § 37 wyraża się, posługując się ulubionym swym frazesem.

Jeżeli wreszcie przypuścimy, że nie ten wzgląd złego zrozumienia § 23 z 1430 wywołały Ostroroga wnioski w §§ 36 i 37, pozostaje chyba już tylko jedno przypuszczenie. Istotnie bowiem § 23 obejmuje jeszcze zabicie, spalenie, napad, więc i do nich stosuje się a raczéj niestosuje owo *rationabiliter*, mające w powyższéj hypotezie zwracać uwagę Ostroroga. Czemużby tedy reformator nie utworzył paragrafów krytykujących doraźność sądu na innych przestępców, oprócz § 36—37 *de vi mulieri illata* i *de muliere virum inculpante*? Czemuż te kwestye tak go wyłączniéj zajmowały?

Mulier de stupri violentia clamans przypomina redakcyą statutów Kazimierza W. (§ 130 Bandtke) *mulier... ad villanos clamaverit.* W tychże statutach (§ 37) pozwolono opuścić wieś kmieciom w 3-ch wypadkach bez woli pana: zelżenie kmiecianek, wyklęcie, ciążanie za pana. Konstytucye łęczyckie 1418—1419 już o wyklęciu nie mówią i modyfikują 3-ci punkt (§ 67). Możnaby chyba więc przypuszczać, że Ostroróg krętą drogą chce zniesienia i tego warunku

(1) Al. Stadnicki. Statut Wiślicki, str. 30.

o gwałcie, pozbawiającego sprawcę nie tyle głowy, ile robotnika. Tym sposobem byłby to nowy zamach na włościan. Jestto jednak bardzo wątpliwa hypoteza, gdyż okazywałaby pewien brak odwagi cywilnéj w Ostrorogu. Cały *Monument* o czémś wręcz przeciwném świadczy. Chybaby w tym razie miała prawdopodobieństwo za sobą, żeby tak tu, jak w sprawie kazań, fakt szczególny służył za punkt wyjścia dla całego uogólnienia w owych paragrafach 36 i 37 wyrażonego. Jeżeli to jest taka sprawa jak Beaty, towarzyszki Niemierzy z Golczy, trwającego lat 17 w klątwie, a pewno jeszcze dłużéj w związku z nią,—(o czém było wyżéj) to zastanawia w niéj właśnie potępione przez Ostroroga żądanie archidyjakona krakowskiego, żeby wyklęty *pueros genitos ex ea* (*illegitimos*) *iuxta statum provideret*, dzieci wyposażył, rozłączywszy się nazawsze z ich matką, wydaloną nawet z parafii kędy dotąd przebywała. Z tego przykładu, możnaby przypuszczać, że głównie duchowieństwo bywało promotorem takich żądań, oraz że towarzyszkami „na wiarę“ szlachty, sądząc z braku zwykłych denominacyi szlacheckich przy imieniu Beaty, bywały osoby z gminu. Zaczém w projekcie odnośnym Ostroroga naganione byłyby dwie zwykłe ofiary jego uniesień: duchowni i plebejat.

Tak przejrzawszy, z punktu widzenia uciskanych, projekt Ostroroga, dochodzimy do wniosku, że jest on echem spółczesnéj a zarazem promotorem dalszéj walki, która toczyła się oddawna między szlachtą a plebejatem w Polsce, i która skończyła się w XV i XVI w. klęską ostatniego. Pojęcie tego rozgromu jest kluczem do nowego peryodu walk socyalnych, toczących się już na ziemi zbiegów, na ziemi słobód, na dalekim Dnieprze w XVII w. Lwów, będący widownią związku szlachty z mieszczanami, ma potém pobocznik w Czorsztynie, kędy szlachcic, może królewicz, Kostka Napierski z ludem... i kozactwem się łączy! Wiązadłem tych wojen XV w. i ukraińskich—są roje „hultajów“ uciekające przed uciskiem panów, policyą starostów, kartelami o zbiegów wojewódzkimi!

Wskazówki faktyczne dodane przez nas do literackich postulatów dają może za jaskrawy odblask, za zjadliwą dążność niektórym zwrotom. Może za nadto przeciwwagi włożyliśmy w nasz komentarz, by ująć Ostrorogowi głośności postępowca z XV wieku. Sądzimy jednak, że przesada nawet w tym kierunku przy niejakiéj, (jeżeli nie równie dobréj) skłonności do kierunku przeciwnego w naszych poprzednikach—może wywołać szczęśliwe wynalezienie miary przeciętnéj, prawdziwéj.

Sąd o pracy Ostroroga może tylko zyskać na wszechstronności badań, i w porównawczéj ocenie różnych o jéj dążnościach wyroków. Z tego powodu niewahaliśmy się zabrać głosu, opierając go na notatach, już do recenzyi VII tomu Aktów Grodzkich i Ziemskich (niedrukowanéj) 1878 r. poczynionych.

W zakończeniu wypadałoby coś rzec o dacie napisania projektu, która jest dziś pierwszorzędną kwestyą w literaturze o Ostrorogu.

Za przykładem prof. Bobrzyńskiego szukając objaśnienia chronologicznego do „kilku lat zarazy“ w § 19 wspomnianych, dodaliśmy do Długosza uzupełnienie z Helcla, wskazujące na owe kilka lat, peryod od 1465 do 1468. Stądby wypadało może przypuszczać na datę powstania Monumentu, lata następujące po owym peryodzie zarazy.

Już prof. Pawiński (contra prof. Caro) wyrażenie *juniores ex communitate* (str. 32) z Długosza stosowane do młodych wiekiem, odniósł do młodych „pod względem udziału w życiu politycznėm.“ Antytezą juniores mają być seniores, członkowie rady królewskiéj, dygnitarze, członkowie sejmów. Jedni i drudzy mogą być starzy, ale juniores to „szlachta powiatowa, gmin szlachecki“ jak wyraża się prof. Pawiński. Takim komentarzom, bardzo odpowiadającym teoryi Hubego w *Statutach nieszawskich*, do frazesu Długoszowego o uczęstnikach rady Grudziądzkiéj 1454 r., niezdaje się odpowiadać tekst Ostroroga, w którym czas pisania określił: *dum a consiliis essem a primoribus incliti Polonorum regni*.

Dodajmy, że frazes pogardliwy projektu *omnis nobilium turba* § 41 antytezowany do *filii vero palatinorum, item castillani, ceterique dignitarii* niezgadza się z identyfikacyą Ostroroga, (który do primores i do consilium należał) z *juniores ex communitate* w wykładzie prof. Pawińskiego. Magnackie tak widoczne usposobienie Ostroroga niegodzi się z frazesem Długosza o radzie Grudziądzkiéj i najlepiéj tłómaczonym. Rysto tak wybitny charakteru projektodawcy, tak on rzucał się w oczy wielu spostrzegaczom, tak silną nutą brzmi już w pracy prof. Pawińskiego, że czujemy się usprawiedliwieni iżeśmy w naszym wykładzie niektórych paragrafów *Monumentu* za wskazówką tego rysu poszli. Ten rys téż, zdaje się, być powinien właściwym pobierzem co do chronologicznych dotychczasowych wywodów. Moglibyśmy się tylko zgodzić, że Ostroróg 1456 należał duchem do grona rycerzy, którzy usty marszałka nadwornego (1),

(1) Michał Lasocki podskarbi? żonaty z corką Spytka z 1439 starosta łęczycki 1445, iedzący w wieży krakowskiéj 1448 r. Przyczynek nielada do charakterystyki starostów!

w Krakowie, napróżno domagając się od króla ziszczenia obietnic przezeń pieczętowanych, powiedzieli mu publicznie: „Królu, gdy niechcesz dotrzymywać własnych opisów, przywiąż raczéj swą pieczęć psu do ogona“ (Daniłłowicz *Skarbiec* N. 1940). Taka buta magnacka zdolną była mieszczan uważać za *ultimae faeces*, odsądzać ich od wszystkiego, króla użyć po to za narzędzie ścięcia innych głów, by prócz magnackich, była tylko jedna, królewska, trzęsąca resztą, trzęsiona przez magnatów, niby doża wenecki. *Monumentum* Ostroroga, to loiczny poprzednik programatów XVI w. stawiących Polsce Wenecyą za ideał (1).

---

(1) Już po odesłaniu do druku moich uwag o projekcie Ostroroga, przeczytałem recenzyą p. Antoniego Okolskiego o odnośnéj pracy prof. Paw. (*Kłosy* N. 974 tom 38 str. 400—401 z 28 lutego 1884). Pomijamy kwestyą, czy *praktyczność* uwag Ostroroga w XV zyskuje co przez danie im tła z faktu, że się nie bez trudu urzeczywistniły w w. XIX? „Teoretyczne wystawienie“ (to nie po polsku zam. postawienie) pewnéj zasady, za którą dopiero w 400 lat leniwo praktyka idzie, słusznie projektodawcy windykuje miano fantasty, marzyciela, nie zaś statysty chwili bieżącéj, praktyka, do czego sam Ostroróg rości pretensyą. Co krok widać zresztą, pod maską postępowego ideologa, profil średniowiecznego oligarchy. Pan A. O. lekceważy różnice stroju, pieczęci; widz w tém błahe „naleciałości średniowieczne.“ Jak są gruntowne, niech mu na to odpowie znany już nam Starowolski w swém *Votum o naprawie Rzeczpospolitéj* wtórujący Ostrorogowemu § 58 „Senat niechaj w brunatni, posłowie w zieleni a sędzia niech w czerwieni chodzi, aby znano po szacie jakiéj kto godności“ (Gołębiow. *Ubiory w Polsce* str. 129). Ustęp o torturach (§ 60), których Ostroróg chce zniesienia, przenosi znów recenzenta w wiek XIX; o mały włos, że nieprzyznaje Ostrorogowi zasług Tomazyusa i Beccaryi w przejściu z systemu inkwizycyjnego do akuzacyjnego w procedurze kryminalnéj. Możnaby jednak przytoczyć zdanie Czackiego (*O litewsk. i polsk. prawach* ed. Turow. II str. 247 n.), że tortury wzięto z prawa rzymskiego, coby okazywało, jak pospolitą jest w memoryale Ostroroga rzeczą sprzeczność. Tu raz żądałby wprowadzenia owego prawa (§ 38), i znów znosiłby część jego procedur alną (§ 60). To są więc tylko *deliramenta vigilantium.*

Mówiąc o treści § 32 (str. 37) przepomniałem wymienić, choćby przykładowo, statuta przeczące słowom Ostroroga rzekomo postępowym o jedności praw dla wszystkich, bez żadnéj osób różnicy. Zwłaszcza ustęp „na rany i zabójstwa kara pieniężna będzie taż sama (?!) zachowana jak z dawnego była zwyczaju“ zdawał mi się być tak rażąco, bezwstydnie przeczącym, w duchu kastowym, téj zaraz obok głoszonéj a postępowéj jedności praw dla wszystkich, że niemogłem przypuszczać by tego niezauważono, by na ten lep gołych, choć brzmiących, słów złapano się. Błąd nasz poprawiamy choć nierychło twierdzeniem, że Ostroróg żądając jednego prawa dla wszystkich i zachowania dawnych kar pieniężnych i kryminalnych musiał szydzić chyba, lub coś innego mieć na myśli, niż prawo rzymskie. Dawne bowiem kary pieniężne i kryminalne i teraz utrzymane ustalają różność nie równość osób.

W prawodawstwie Kazimierza W., *nawet* trzy oddziały *rycerstwa*, więc szlachta (Nom. Sing.) włodyka (squirio skąd skartabel; tyle co ecuyer, squire) i rycerz z kmiecia lub sołtysa mają trzy stopnie nawiązki, bardzo różne co do wielkości. Kar (jak praw)

mieszczańskich prawie że niema w tém prawodawstwie. Najliżejsza zaś uwaga aż nadto uwydatnia niską cenę krwi i zniewag chłopu wynagradzanych.

Niespostrzegam by te rożnice były skasowane kiedykolwiek, i by kary były ujednostajnione, do czego Ostroróg miałby prawo się odwoływać.

Tylko to jedno można przypuszczać, że owo żądanie Ostroroga o *status quo ante* w dawnych karach pieniężnych i kryminalnych, stosuje się do dawnéj w tym względzie różnicy między prawami mieszczan a szlachty, którą ogólnie już w Cerekwicy § 27 a w Nieszawie § 29 (33) zniesiono żądając, żeby zawsze szlachta lub kmieć szlachecki i duchowny zraniony przez mieszczan poszukiwał na mieszczanach sprawiedliwości, wedle prawa polskiego.

Zaczem Ostroróg utrzymując w mocy tę jednostajność kryminalną, na niekorzyść miejskiéj autonomii zapadłą, a żądając jeszcze jéj rozszerzenia, byłby zgodny z sobą. Byłby, jak zawsze zajadły na źle urodzonych.

Uwagi recenzenta o służbie wojennéj, proponowanéj przez Ostroroga, zmierzają do wykazania, że na tej drodze żołnierki wspólnéj ze szlachtą, stany niższe mogłyby były niezmarnieć. Uwagi te jednak niedowodzą, by Ostroróg taką myśl wkładał w swój projekt powszechnéj służby wojennéj. Owszem, z tego projektu myśl rozdziału stanowego, wręcz tamtéj przeciwna, widnieje. Daléj recenzent chce w tym projekcie widzieć nowość, oryginalność. Dodajmy parę faktów nowych.

W 1456 r. na św. Jadwigę odbywający się zjazd korczyński, na który wedle prof. Paw. (str. 34—35) Ostroróg swój projekt złożył, już (więc niezależnie od Ostroroga) ma rozpisane konie i łuczników na miasta ziemi krakowskiéj (*Ius Polonicum* Bandtke str. 302—3). Uchwały powzięte w Środzie 1458 r. (*Cod. Maj Pol.* str. 181—183) celem zebrania odsieczy Malborgowi—wykazują ilu pieszych mają dostarczyć miasta Wielkopolskie. W tym spisie jednoimienne z reformatorem miasto Ostroróg ma dostarczyć czterech pieszych. Co najciekawsza mamy tu zawartą téż jakby egzekucyą § 41 Ostrorogowego. Mający sam lub do wspólki 100 grzywien dochodów dostawiają hastarium na koniu wartości 10 grzywien, i dwu łuczników (u Ostr. semihastarios) na koniach wartych po 5 grz. Mający 20 grz. dochodu ślą łucznika, mający tylko dobra 20 włóczne ślą *pieszego* z tarczą, hełmem i nożem (*cultro*)—miasta i miasteczka wysyłają pieszych stosownie do mienia. I w roku 1477 był projekt miejskiéj piechoty wnoszony (*Mon. Med. Aevi II b* str. 277 nast.).

Dodawszy te szczegóły do cytowanych już poprzednio o służbie wojennéj (str. 36 n. 1) trudno będzie przypisywać samemu Ostrorogowi pomysł służby wojennéj plebejskiéj.

Wreszcie zrobilibyśmy zapytanie: Co to za *constitutio seu decretum quod Ostrogi nomine inscribitur* wspominają uchwały sejmu krakowskiego z 1532? (Vol. leg. ed. Ohr. I 247).

Ernest Sulimczyk Swieżawski.

RZEŹBA W KLEJNOTACH

I

KONSTANTY SZMIDT-CIĄŻYŃSKI,

ZAŁOŻYCIEL PIERWSZÉJ PUBLICZNÉJ DAKTYLIOTEKI (1) W POLSCE.

Habent sua fata — gemmae.

Nazwisko to zaledwo przed paru miesiącami wypłynęło na widownię naszą, a już w pierwszéj chwili nabrało niezwykłego rozgłosu, chociaż w ciągu pięćdziesięciu lat znane było na obczyźnie. Ktoś już pono zauważył, że dziś jak o Patrokla staczają Rapperswyl i Kraków głośną walkę o zaszczyt i prawo posiadania w swych murach osoby i skarbów p. Szmidta-Ciążyńskiego. Nie dziw. W ciągu półwiekowéj jego działalności w Europie niejednokrotnie usiłowano go tam zdobyć. Pan Schmidt jednak był *inprenable* dla obcych, chociaż sam potrafił być nieraz zdobywcą.

Z urodzenia jest on warszawianinem, w Warszawie bowiem przyszedł na świat (w 1818 roku) z ojca Szmidta — lotaryńczyka i matki Ciążyńskiéj—wielkopolanki. Tam téż otrzymał na chrzcie imię Konstantego, zapewne na cześć ojca chrzestnego: trzymał go do chrztu wielki książę Konstanty z Aleksandrą hr. Potocką z Wilanowa.

Ojciec naszego Konstantego był jako magister chirurgii, lekarzem przybocznym cesarzowéj Józefiny, a następnie przy armii Napoleońskiéj. Dzielny szermierz, zdolny rysownik, biegły muzyk na kilku instrumentach, polyglota mówiący płynnie dwunastoma językami, utalentowany, waleczny, towarzyski, stał sie wkrótce ulubieńcem Napoleona I i w świcie jego odbył kilka kampanij, był przy szturmie Somosiery, a następnie brał udział w wojnie 1812 roku, po rozbiciu Wielkiéj armii parę razy brany do niewoli, szczęśliwie z niéj

---

(1) Zbiór drogich kamieni rzeźbionych.

się wydobywał i nareszcie został ostatecznym jeńcem serca niemniéj walecznéj panny Ciążyńskiéj, z którą zawarłszy związki małżeńskie, osiadł najpierw w Warszawie jako lekarz — wizytator wojskowych szpitali Krakowa, Radomia, Miechowa i Warszawy, a następnie w tymże samym charakterze w Kijowie i Kamieńcu podolskim; wreszcie uczestniczył w wojnie tureckiéj 1828 r.

Syn odziedziczył po ojcu bystrość umysłu, pojętność i pamięć niepospolitą. Równie odważny jak on, w 10-tym roku życia towarzyszył mu nie tylko w wycieczkach lekarskich po kraju, ale i w kampanii wschodniéj jako dragoman, władając już językiem francuskim, rosyjskim, tureckim, ukraińskim jak macierzystym polskim. Była to szczęśliwa zapowiedź poliglotycznych zdolności jego, mających mu ułatwić przyswojenie główniejszych języków europejskich, które przed nim na oścież otwarły świat cały. Ale i przedtém otworem już dlań stały domy przedniejszych rodzin w Petersburgu, dokąd po studjach w Dorpacie odbytych zawitał, a gdzie piękny, wykształcony i dowcipny młodzieniec mógł zdobyć świetną karyerę dyplomatyczną lub wojskową, drogą powodzeń salonowych.

Tak się jednak nie stało. Szmidt chciał rachować tylko na własną pracę. Natura jego, posiadająca wiele elastyczności, może by się nadawała nieco do jednego lub drugiego zawodu, ale niezłomność charakteru i otwartość, niezawisłość przekonań i wstręt do słuchania obcych rozkazów sprzeciwiały się temu.

Niezawisłym chciał on być w życiu prywatném i publiczném. I oto dzięki szkole ojca, własnéj pracy i zamiłowaniu zostaje artystą, a wierny swym wyobrażeniom i charakterowi wstępuje do Ermitażu jako nadliczbowy, nadzwyczajny pracownik, pod firmą słynnego Siewersa, z wolnością wyboru przedmiotów pracy i wystąpienia w każdéj chwili z pracowni.

Dla wrażliwéj, żądnéj estetycznych wrażeń duszy, bogate zbiory Ermitażu stały się prawdziwą skarbnicą piękna i wiedzy. Pracował téż Szmidt wiele i z zapałem, pracował dla siebie i dla drugich: dla siebie, studyując arcydzieła mistrzów i badając tajniki ich twórczości zarówno na płótnie, jak w kamieniu i kruszczach; dla drugich, bo niezmordowanie restaurował stare obrazy tejże galeryi. Szmidt zasłynął jako jeden z najlepszych a nielicznych restauratorów płócien starych szkół włoskich. Ceniono go już nietylko jako znawcę ducha i tajemnic mistrzów pędzla, ale i dłuta; miłośnictwo i znawstwo jego nie ograniczało się na Rafaelach, Veronesach, Murillach i t. p., ale sięgnęło do Celinich, Pichlerów, Bernich i t. p.

To téż nie dziw, że gdy dla innych Ermitaż był na długo krynicą nieprzebranych skarbów, dla niego skarbnica ta rychło się wy-

czerpała. Sama jednak żądza nowych wrażeń, nowych studyów nie zadawalniała go. Natura czynna, ruchliwa, pragnąca szerokiego pola i własnéj inicyatywy do działania, nie mogła poprzestać na bierności: potrzeba było czynów. Pogodzić wymagania artysty i miłośnika sztuk pięknych z wymaganiami człowieka czynu i życia praktycznego—trudno. Szmidtowi chciało się mieć własną galeryą, własne zbiory sztuk plastycznych, a funduszów na to nie starczyło, bo zresztą jakież-bo sumy mogły podołać jego wymaganiom, skoro on co chwila chciał mieć nowy przedmiot sztuki w swych ręku?

Został więc kupcem starożytności i przedmiotów sztuki.

Wierny dewizie raz obranéj, hasłu samopomocy, odrzuca ofiarę księcia Sergiusza Dołgorukiego, który mu ofiarowywał 50,000 rubli srebrem na urządzenie salonu artystycznego — w rodzaju np. teraźniejszego Ungrowskiego lub Krywultowskiego, jeno na większą skalę,—i wyrusza na wycieczkę artystyczną po Europie. Z małym zapasem zebranego własną pracą grosza, zakupuje kolekcyą sztychów, przywozi do Petersburga, urządza z nich wystawę, a przestudyowawszy je i nacieszywszy się niemi, pozbywa częściowo z wielkim powodzeniem. Za uzyskaną w ten sposób kwotę nabywa stopniowo mniejsze i większe zbiory malowideł i zabytków starożytności, przeprowadza z posiadaczami podobnych zbiorów wymianę duplikatów lub sprzedaż takowych, przy szczęśliwéj operacyi handlowéj szybko gromadzi coraz większą ilość rzadkich i cennych okazów jak np. „Gody w Kanie Galilejskiéj“ *Hemlinga* (obraz szacowany na 200,000 fr.), zbiory kopersztychów *Merkurego*, *Rafaela Morgena*, *Jakóba Callota*, *Rembrandta* etc., tak że w końcu staje się posiadaczem pięknéj galeryi, istnego muzeum w wartości co najmniéj półmiliona franków.

Tak upłynęło lat dwanaście. W 1851 roku zachorowuje niebezpiecznie, zostaje opuszczony i skazany na śmierć przez wszystkich lekarzy, oprócz jednego, który go przyprowadza do zdrowia, ale dla podtrzymania takowego wskazuje potrzebę szukania jedynego ratunku pod niebem łagodniejszém i radzi wyjechać do Nicei. Szmidt z pośpiechem i za bezcen sprzedaje swe zbiory, a uzyskawszy za nie dziesięć tysięcy rubli, wyjeżdża za granicę, skierowując się ku Włochom przez Londyn i Paryż.

Stolica Francyi znajdowała się w przededniu wielkich zmian politycznych. W przewidywaniu zamachu stanu i możliwych rozruchów. Kto mógł, wynosił się ztamtąd, spieniężając wszelkiego rodzaju ruchomości. Nabywców poczytywano niemal za dobroczyńców, świadczących łaskę. Ale i tych nie było: każdy oglądał się tylko za gotówką. Cenne meble renesansowe lub z epoki Ludwika

XVI, stare gobeliny, przepyszne wazy japońskie, nawet obrazy rzadkie szły na sprzedaż jak zwykłe sprzęty domowe, a mimo to tandeciarze nawet za bezcen nie chcieli obciążać niemi budżetu swego.

Szmidt zapomina o niedawnéj chorobie: w ciągu tygodnia wydaje wszystkie niemal pozostałe mu 30,000 franków na zakupno tego rodzaju przedmiotów, których dobór i bogactwo dały mu poznać stolicę przewrotów politycznych i modnego świata—jako nieoszacowany skład starożytności. Osiada więc tu stale, urządza własny odpowiedni skład, po uciszeniu się burzy politycznéj wyprzedaje korzystnie najpierw przedmioty wybrakowane z kolekcyi, drogą zamiany lub kupna uzupełnia ją w paru wycieczkach po Europie przeprowadza szczęśliwą operacyą pieniężną, wzbogaca wszechstronnie a cennemi okazami zbiory swoje i otwiera głośny na całą Europę handel starożytnościami.

Rozległe stosunki jego z najpierwszemi muzeami w świecie, dają go poznać nie tylko jako właściciela cennych zbiorów, jako nabywcę i konserwatora wielu rzadkich przedmiotów sztuki, które bez niego skazaneby zostały na zniszczenie, jako sumiennego kupca, stroniącego od falsyfikatów, ale jednocześnie jako gorącego miłośnika sztuk pięknych i niepospolitego znawcę zabytków starożytności, udzielającego wszystkim chętnie i bezstronnie żądane wskazówki i rady. Kantor jego zarzucony codziennie bywa korespondencyami z pierwszemi domami i instytucyami publicznemi, a dom przy ulicy Quai Voltaire, 3. z lakonicznym napisem „*Schmidt Antiquaire*“ roi się ciągle od natłoku gości, pomiędzy którymi niekiedy spotkać można było głowy koronowane.

Wysoka prawość cechowala zawsze charakter tego człowieka. To téż z różnych stron powierzano mu w komis nieraz przedmioty ogromnéj wartości na proste słowo i Szmidt załatwiał często interes gwoli saméj uprzejmości, bez żadnéj prowizyi. Ile przytém otarło się łez wdowich lub sierocych, o tém zapewne nigdy szerszy ogół się nie dowie. Uczynność taka sięgała bardzo daleko, bez żadnego oglądania się na wdzięczność. Razu pewnego zaproponował mu jeden z dworzan Wiktora Emanuela kupno średniowiecznéj zbrojowni za kilka czy kilkanaście tysięcy franków. Szmidt wiedział, że to interes krociowy, mimo to pod pozorem, że nabywa tylko przedmioty z pewną specyalną cechą artystyczną, zrzekł się kupna, a natomiast odstąpił jednemu ze znajomych starożytników z Mediolanu, będącemu w potrzebie, a który w miesiąc po zakupnie owéj zbrojowni za jednę tylko małą część jéj, spieniężoną w Paryżu, wziął 400,000 (czterysta tysięcy) franków. Takie wypadki często się powtarzały, a niejeden z dzisiejszych bogatych kupców w Europie Szmidtowi zawdzięcza swą fortunę.

Uczynny dla ludzi, był on istotnie wybrednym w wyborze artykułów swego handlu, nie zapominając nigdy o artystycznych jego cechach i trzymając się zdala od manii zbierania lada jakich przedmiotów pamiątkowych, a tém mniéj handlowania niemi; to też parsknął śmiechem w oczy jakiemuś lordowi angielskiemu, pragnącemu za jaką bądź cenę nabyć od niego stołek, na którym przez godzinę siedział Napoleon III podczas pobytu swego u Szmidta.

Dowcipny, wesołego humoru, ceniący znawców, uprzejmy dla grzecznych, Szmidt wysoko cenił swą niezawisłość, a sam nawet pozór lekceważenia umiłowanego przezeń zawodu karcił tą lekką francuską ironią, która była postrachem dla nieuków i arogantów.

— Alors 1200 francs ce tableau? Quel toupet! — zawołał kiedyś do niego w Vichy (gdzie Szmidt urządził był czasową wystawę swych zbiorów) marszałek Leboeuf, przypatrując się wraz z Napoleonem pewnemu obrazowi, którego cena wydała mu się za wysoką.

— Pas si grand, mon géneral, que le votre! — odrzekł Szmidt, spojrzawszy obojętnie na długie włosy Leboeufa i przesuwając ręką po swoich, które kazał dniem przedtém ostrzydz przy saméj głowie.

A gdy cesarz dla uniknięcia dalszéj w tym tonie rozmowy zwrócił uwagę na parę pięknych inskrustowanych z epoki Renaissance pistoletów, po oznaczeniu przez Szmidta ceny onych na 500 franków, podsunął mu myśl żądania téj kwoty za sztukę, Szmidt odparł z uśmiechem:

— Non, non, Majesté, je vends ceci, comme les bottes, par paire.

Nazajutrz pistolety były u Napoleona, a nominacya na dostawcę nadwornego u Szmidta.

Tytuł ten mógł przynosić pewne korzyści materyalne, ale nie był żadnym nadzwyczajnym zaszczytem dla tego, który się szczycił nie jednym dyplomem dziękczynnym od pierwszorzędnych w świecie muzeów za wzbogacenie ich wspaniałemi darami. Szmidt upodobał głównie trzy muzea: francuskie Cluny i angielskie South Kensington tudzież British-Museum, z któremi zostawał w najczęstszych stosunkach i uważał to za punkt honoru swego, za pewnego rodzaju satysfakcyą moralną, za spełnienie obowiązków powołania swego, jeśli mógł kiedy złożyć im w ofierze jaki cenny zabytek, którego one nie posiadały, a który odpowiadał charakterowi ich narodowemu, lub specyalnemu zadaniu każdego z nich.

Jak licznym i bogatym jest poczet działów i przedmiotów sztuki, tak też rozległym był niemi handel Szmidta, przyśpieszonym i ożywionym ruch artystyczno-antykwarski, w znacznéj mierze podniecony przez niego. Wśród tego jednak ruchu był jeden dział sztuki, który nie uległ temu prądowi, była jedna kategorya przed-

miotów, którą on umieścił poza sferą swych spekulacyj i zysków handlowych. Gdy inne były przezeń nabywane po to, aby prędzéj lub późniéj przejść w inne ręce, z téj kategoryi gdy się raz przedmiot dostał do niego, już tam uwiązł nazawsze i nie wychylił się po za zbiory jego. Zdawało się jakoby cała ta gorączkowa działalność handlowa Szmidta skierowana była ku temu, aby otworzyć i zużytkować nowe drogi i coraz to potężniejsze środki do zgromadzenia jednego zbioru, który miał pozostać niepodzielnym, nietkniętym i być ostatecznym celem tudzież wyrazem pracy całego życia.

Był to zbiór gemm, tych utworów sztuki, które szerszy ogół zwykł uważać tylko za mniéj lub więcéj udatne wyroby, za zręczne przedmioty kunsztu, a których wysoką artystyczną wartość daje poznać taki tylko zbiór, jakim jest szmidtowski.

Pod tém ogólném mianem *gemm* rozumiemy miniaturową rzeźbę artystyczną przeważnie w drogich kamieniach (1), a więc wypukłą, czyli *kamee* i wklęsłą, czyli *intaglia* (2), (któreby chyba nazwać gemmami żłebowemi).

Jeżli gemma jest np. w muszli, malachicie, lub turkusie, to już samo jéj wykonanie zasługuje na uwagę, materyał taki jednak, mimo że może być szlachetniejszym, przy jednostajnéj barwie pochłaniając w siebie światło, przypomina jeszcze marmur lub piaskowiec, a gemma w nim—zwykłą płaskorzeźbę, budzącą podziw miniaturowemi rozmiarami i trudnością techniki.

---

(1) Marion du Mersant, który pierwszy ujął w system i dał opis drogich kamieni rżniętych, znajdujących się w królewskiém muzeum francuskiém, nazywa gemmami, zgodnie z Agricolą, tylko następujące kamienie t. z. twardee: dyament, szafir, granat, szmaragd, beryl, topaz, hiacynt, rubin i ametyst, zaliczając kryształ tudzież kamienie na pół przezroczyste i nieprzeświecające do innych kategoryj. Trudno jednak ograniczać się taką specyalizacyą. Jeśli on rozumiał przez gemmy nie rzeźbę w kamieniach, jeno same tylko kamienie jako materyał, to oczywiście mógł dowolną nadać nazwę pewnéj owych kategoryi, ale jeśli się uwzględnia jednocześnie i wyrób, to niepodobna wyłączyć innych kamieni, a zwłaszcza kryształu i całéj seryi wpółprzezroczystych, na których większą część arcydzieł tego rodzaju wykonano tak w starożytności, jak w nowszych czasach, np. agatu w ściślejszém znaczeniu, onyksu, sardonyksu, chalcedonu lub jaspisu, opalu, lapis lazuli, turkusu, a nareszcie niekiedy takiego materyału, jak bursztyn i koral (niektórzy włączają nawet kość słoniową i muszle, na których w nowych zwłaszcza czasach tyle wyrzeźbiono kamei, niekiedy wcale pięknych). Wszystkie te kamienie i skamieliny podciągnęlibyśmy pod ogólną starą nazwę klejnotów. Z drugiéj znów strony jeśli się ograniczać sferą samych drogich kamieni i ich materyał nie zaś wyrób brać za podstawę klasyfikacyi, to do gemm należałoby zaliczyć i rzeźbę biustową tudzież posągową, następnie wazy, skarabee, cylindry, kamienie z napisami etc., lecz te wszystkie przedmioty dla uniknięcia zawikłań najlepiéj byłoby nazywać ogólném mianem „kamieni rżniętych.“

(2) Od włoskiego *intagliare*, wcinać, rzeźbić—graver.

A cóż dopiero powiedzieć na widok gemmy np. w rubinie, szafirze, ametyście, szmaragdzie, topazie i choćby nawet wpółprzezroczystym a barwnym kamieniu, jak sardonyks! Zdaje się ona wtedy być czémś więcéj niż zwykłą rzeźbą, bo jakby łączyła w sobie pewne cechy rzeźby i malarstwa, a nawet więcéj: sama barwa kamienia w połączeniu z ogniem jego daje to, co koloryt w malarstwie, a przejrzystość, woda jego — to ton w muzyce. Materyał więc tu sam przez się jest wdzięczny, wdzięczniejszy od marmuru i płótna z farbami i to mu niemal daje wyższość nad niemi. Cóż, kiedy materyał ten ma dwie trudności do przełamania: jednę jakościową— w niezmiernéj twardości kamienia, i tę po ciężkich tylko usiłowaniach pokonać można; drugą ilościową—w ograniczonéj przestrzeni, któréj nikt nie zmieni, a tylko geniusz zapanować nad nią zdoła.

Największe kamienie drogie, a więc i gemmy nie przenoszą wielkości kurzego jaja, z wyjątkiem oczywiście dyamentów, które jeszcze są mniejsze: cesarski w Petersburgu, uważany za największy, jest wielkości gołębiego jaja i waży 779 karatów, a dyament Wielkiego Mogoła 279 kar. Biust Nerona w Chalcedonie (rzeźba *ronde basse*), przenoszący—o ile pamiętamy—10 centymetrów wysokości, lub słynna kamea w topazie Beriniego, przedstawiająca Scypiona Afrykańskiego (oba te kamienie są w zbiorze Szmidta), a któréj mniejsza oś elipscy wynosi pono około 3-ch centymetrów — to są rzadkości daktylioteczne. Owa t. zw. *wielka kamea* w Paryżu, przedstawiająca apoteozę cesarza Augusta w sardonyksie, wysokości 30 centymetrów, a szerokości 26 ctm., tudzież inna tego samego tematu, znajdująca się w Wiedniu, a o jednę trzecią część mniejsza—należą do unikatów w całym świecie. Zwykła zaś średnia wielkość gemm bywa taką, jak pospolicie duże sygnety, mówimy „średnia,“ bo oczywiście ogromna ich ilość oscyluje między średnicą $1\frac{1}{2}$ a $\frac{1}{2}$ cntm., są jednak i 3 milimetrowe.

Otóż jeśli na tak ograniczonéj przestrzeni, którą obserwować możemy tylko przez mocno powiększające szkło, widzimy wykonaną dokładnie kompozycyą, gdzie zachowane są wszelkie formy anatomiczne, — budzi się w nas podziw dla takiego dzieła; ale gdy spostrzeżemy artyzm w wykonaniu, gdy zobaczymy tam życie i powietrze, wartość wyższą po nad względy i przeszkody techniczne, wartość artystyczną bezwzględną, gdy spostrzeżemy dzieło w rodzaju Fidiasza lub Rafaela w miniaturze—podziw ustępuje miejsce zdumieniu i zachwytowi!

Dla tych, którzy przywykli oceniać wartość gemm podług zwyczajnych brosz, noszonych przez panie lub sygnetów męskich, a jednak mają poczucie piękna, radzę zaglądnąć do zbioru Szmidta.

Weźmijmy np. te cztery intaglia w szmaragdach, tak cudownie naśladujące antyki, gdzie czystość linii, śliczny a wyraźny rysunek walczą z sobą o palmę pierwszeństwa, albo ów portret jednego z prokuratorów Wenecyi, utwór Marchanda, intaglio rżnięte w orientalnym sardonyksie. Portret jest wielkości dukata. Surowa i zimna twarz mężczyzny, będącego w sile wieku, zagłębiła się profilem w cieniach kamienia. Czoło myślące, lekko pofałdowane, zakryło mowę oczu, przysłoniętych nadto gęstemi rzęsami, spokój na pozór panuje w nieruchomych muskułach twarzy, którą maskują cienie, padające na nią, gdy gemma leży poziomo; w miarę jednak podnoszenia jéj ku linii pionowéj, gdy światło przejdzie na wskróś, łamią się pod działaniem jego promieni spokojne linie twarzy, muskuły drgać zaczynają, a z pod oświetlonych, przejrzystych rzęsów pada wzrok niespokojny, zdradzający wewnętrzną walkę człowieka i ścieranie się jakichś sprzecznych w jego duszy uczuć.

Albo owa *Venus marina*, rzeźbiona również w ciemnym orientalnym sardzie, czyli t. z. kamieniu memfisowym, który dziś tak trudno dostać, a który swemi tajemniczemi półtonami światła tak wybornie nadał się do charakteru kompozycyi, a zarazem do podniesienia wdzięków bogini. Te ostatnie, jakby dla kontrastu, tenże sam artysta Pichler uwydatnił w innym utworze, w ametyście przez podniesienie światła. Ale téż postawa Afrodyty, będąc tu odmienną, nie wymagała cieniów i półtonów, a raczéj wymagała ich w sposób odmienny. Wyszła z kąpieli i przysiadła lekko na własnych stopach, ukryła Venus przed widzem przednią część ciała, zwróciwszy się jednocześnie ku niemu wdzięcznym pół-profilem; stało się w ten sposób zadość jéj skromności, a zarazem dało artyście możność uplastycznienia jéj cudnych kształtów w układzie rozkosznych falistych linij i w świetle rozpływającém się swobodnie od podniesionych zlekka stóp do utoczonych wdzięcznie ramion. Jakiż tu harmonijny układ pozy, z jaką prawdą występują kształty niewieście, jak ciepło, przejrzyście mieni się ciało w powietrzu, które łagodnie usiłuje spłynąć i przecisnąć się na pierś, zasłoniętą na wpół ramieniem. Gdyby ta postać z tak wyraźną plastyką rżnięta była w cieplejszym kamieniu, np. w rubinie, niewątpliwie zyskałaby na tém karnacya ciala, ale téż zanadto możeby było gorejącego życiem realizmu, poza miarę dzisiejszych wymagań konwencyonalno-estetycznych. Uprzedził artysta takową ewentualność wyborem nieco zimniejszego kamienia, którego fioletowy ogień nic nie ujął przejrzystości ciała, a nadał mu wiele eterycznego wdzięku—uszlachetnił kompozycyą, co przemawia za wielkim a delikatnym smakiem artysty. A jest to kreacya naszego wieku. A cóż powiedzieć o krea-

cyach starożytnych, mistrzów greko-romańskich, których Venus również się znajduje w zbiorach Szmidta i daje ciekawe pole do paraleli stylu i pojęć o warunkach sztuki u jednych a drugich.

Wysoko został artyzm posunięty w utworach nowoczesnych artystów. Taki Pichler stoi na wyżynie, niełatwo dostępnéj nawet dla niepospolitych talentów. A jednak wpatrując się w dzieła mistrzów starożytności, potrzeba czołem przed nimi uderzyć. „Pozostały nam po starożytnych—powiada niepośledni znawca tych rzeczy, Dutens—(w 1777 r., a więc wprawdzie przed Pichlerem, ale już po robotach cinquecento, po dziełach renesansu i Gaya) kamee, rżnięte na onyksie arabskim i agato-onyksie orientalnym, roboty tak cudnéj, że żaden jeszcze z nowoczesnych rzeźbiarzy im nie dorównał.“

Były to ulubione kamienie przez artystów greckich i rzymskich. Jakoż istotnie wdzięczny to wielce materyał. Agat-onyks orientalny składa się z dwóch warstw położonych jedna na drugiéj, wierzchniéj śnieżno-białéj i spodniéj szarawoagatowéj, która po wyrzeźbieniu kamei białéj tworzy dla niéj tło. Onyks zaś arabski składa się z trzech warstw: wierzchniéj błękitnéj lub brunatnéj, dającéj do światła barwę czerwonawą, spodniéj mlecznéj i ostatniéj mocno czarnéj. Im bardziéj druga jest białą, a trzecia czarną, im bardziéj warstwy występują śmiało i wyraźnie, nie zlewając się z sobą, tém więcéj kamień ceniony. Starożytni tak umieli je dobierać, że dziś chcąc nadłamany fragment ich kamei uzupełnić, niepodobna znaleść odpowiedniego materyału.

Oprócz tych dwóch używano, chociaż mniéj często, inne drogie najtwardsze kamienie, a między niemi rubin i ametyst orientalny, który jest tak piękny, a dziś tak rzadki, że niepodobna nawet ceny jego oznaczyć; nazywano go téż niekiedy szafirem fioletowym. Ciekawa rzecz ze szmaragdem. Nigdzie w muzeach niema prawdziwie starożytnéj gemmy z tego kamienia. Pliniusz powiada, że było zabronione wykonywanie na nim rzeźby. Tymczasem mineralogowie XVIII wieku i tacy pisarze jak Tavernier i Dutens utrzymywali, że starożytni wcale nie znali tego kamienia, którego ojczyzną ma być wyłącznie Ameryka i tylko zielony jaspis, fluoryt lub perydat nazywali mylnie szmaragdem. Otóż w daktyliotece Szmidta znajdują się dwa widocznie antyki szmaragdowe, jeden przedstawiający głowę baranią, drugi tygrysa. Pytanie kto miał słuszność, Teofrast i Pliniusz, czy nowsi mineralogowie?

Mitologia, dzieje heroiczne i spółczesne, żywoty znakomitości, ideały wiedzy i piękna,—słowem życie duchowe i zewnętrzne społeczeństwa stanowiły obfity materyał dla artystów greckich i rzym-

skich. Potrzeba jednak było bogatego rozkwitu sztuki i wymagań wszechstronnych, bardzo wykwintnych, aby nie zadawalniać się bronzem lub marmurem, a szukać nadto uwiecznienia form piękna w tak rzadkim, cennym, miniaturowym, kapryśnym materyale, jak drogi kamień.

Dzięki temu, że wyroby są tak małe i drobne, potrafiły ujść one zniszczeniu czasu i przechować się do dni naszych. Przyczyniły się też do tego wymagania i potrzeby religijne, które zapewne były początkowo i jednym z bodźców dla artystów do uwieczniania w tych miniaturach swéj twórczości. Powiadają, że pierwszym założycielem zbioru gemm był Scaurus, zięć Sylli. Lecz już Pompejusza widzimy jak po zdobyciu daktylioteki Mitridatesa, składa ją w ofierze na kapitolu. Cezar kilkakrotnie czyni taką ofiarę w świątyni Venus genitrix, a Marcellus—dla Apollona palatina. Wyrobami temi, zmieniając je stosownie do uroczystości, ozdabiano posągi bogów. Może tak samo było i w pierwszych chwilach powstawania tych dzieł, kiedy jeszcze nie tworzono z nich zbiorów. Widzimy je następnie w użyciu mężczyzn jako pierścienie i pieczęcie, a niewiast—jako ozdoby. Panie rzymskie zdobiły niemi swe włosy, bransolety, przepaski, agrafy i brzegi sukien swoich, ku czemu wielce się nadawały kamee, których płaskorzeźby w różnych odcieniach agatów i sardów nęcące dla oka tworzyły obrazy.

Potrzebna ku temu wielka ilość kamei wymagała znacznych sił artystycznych. Toć damy rzymskie utrzymywały w swych willach niewolników lub wyzwoleńców, zajętych wyłącznie tego rodzaju rzeźbiarstwem (1). Zapewne jednak byli to tylko kunsztmistrze, nie zaś pierwszorzędni artyści. Prawdziwa sztuka nie brata się z niewolą i dla niéj potrzeba niezawisłości i swobody. Na antycznych gemmach wyczytujemy niekiedy nazwiska mistrzów takich jak Pamfilos, Hyllos, Epitynchanus, Aetion, a następnie również niepospolitych, jak Solon, Evodos, Avistonos, Aulos, Charmidius, Glykon, których dzieła tak powszechnie późniéj naśladowano w epoce odrodzenia sztuk i nauk. Położyć swój podpis na przedmiocie noszonym przez panią mógł chyba niewolnik—jéj serca, a może tacy ludzie dostawali się w niewolę ekonomiczną wrzekomych mecenasów, jak to i dziś bywa.

Większa część tych nazwisk zdradza heleńskie pochodzenie artystów. Ze Wschodu szli oni. Boć na wschodzie przedewszystkiem uczono się cenić wartość drogich kamieni, a to nie tylko war-

(1) P. Mariona du Mersant—Histoire du cabinet des medailles.

tość materyalną, ale i wewnętrzną, duchową, że tak powiem. Pełne barwnéj fantazyi i mistycyzmu ludy wschodnie widziały w blasku tęcz i przejrzystości kamieni ich duszę, a może wiedząc o zabarwianiu ich kruszcami, rade były widziéć w nich wpływ na organizm człowieka i przyznawały im własności cudowne, lecznicze zarówno dla ciała, jak duszy. Gdy kamień taki miał nadto wyobrażenie z dziejów rodziny, kultu religijnego lub głośnych wypadków historycznych, albo nareszcie tajemnic kapłańskich,—stawał się pamiątkowym i o wiele cenniejszym. Ztąd musiały powstać amulety, talizmany i kamienie gnostyczne pierwszych wieków chrześciaństwa, mające i dziś wartość niepospolitą dla tych wszystkich, dla których nie są obojętnemi dzieje ducha ludzkiego. Taki artysta wierzył na równi z ogółem w cudowne własności kamienia, a wierząc tworzył w nim pomnikowe dzieło dla sztuki, pamiątkowe dla narodu, pewnéj jego warstwy, lub rodziny, dla któréj kamień miał podówczas więcéj niż podwójną wartość. To były poniekąd rodzinne lary i penaty, owiane czcią religijną, pietyzmem ogniska domowego, egzaltacyą dla sztuki.

Takie znaczenie, takie poszanowanie zachęcało artystów do coraz większéj twórczości. Sfera gemm rozszerzała się z latami, i—jak zwykle bywa, przechodziła z religii do sztuki, ztamtąd do życia codziennego i wielorakich jego potrzeb duchownych, a jak widzieliśmy—do mody, do ozdoby.

Raz wszedłszy na te tory, gemma stawała się wszechstronnym wyrazem, znakomitym materyałem do objawu działalności duchowéj. Cóż dziwnego, że ją widzimy nareszcie i w usługach stronnictw politycznych, walk między szkołami filozoficznemi i jako znakomity środek propagowania lub zwalczania pewnych idei, pewnych prądów, pewnych upodobań. Noszona na palcu lub na sukni, nieraz bywała bodaj trwalszą i skuteczniejszą propagandą od dziennikarstwa dzisiejszego, bo arcydzieło mistrza pewno nie pozostawało w ręku jednéj osoby. Strony interesowane niezawodnie starały się o to, aby dany wizerunek lub satyrę rozpowszechniono jeśli nie w kopiach, o co było trudniéj, to przynajmniéj w wielokrotnych odciskach np. woskowych, ku czemu bardziéj się nadawały gemmy wklęsłe niż wypukłe.

Może to była jedna z przyczyn, dla których cząściéj spotykamy się z intagliami niż z kameami w świecie starożytnym. W francuskim gabinecie medali i kamieni rżniętych było w 1858 r. między antykami 276 kamei, a 877 intagliów, (wraz z abraksasami i talizmanami), między nowożytnemi przeciwnie 405 kamei a 250 i inta-

gliów (1). Taki sam prawie stosunek zachodzi w daktyliotece Szmidta, a może nawet korzystniejszy na rzecz intagliów. Zapewne w takiéj preferencyi ku gemmom wklęsłym niemałą a może główną rolę odegrywały względy artystyczne. Jeśli kamea przy ruchliwém świetle i w różnobarwnym kamieniu sprawiała więcéj błyskotliwego efektu, to natomiast intaglio w kamieniu jednobarwnym wielkiego ognia i czystéj wody przy świetle spokojném, al giorno, tyle ma w sobie powietrza, tyle życia, że plastyka występuje o wiele lepiéj. Więcéj arcydzieł spotykamy między intagliami niż kameami.

Dział *Masek* i *Chimer* (Grilli) w zbiorze Szmidta wyłącznie prawie składa się z intagliów, przynajmniéj nie przypominamy tam ani jednéj płaskorzeźby, a jeśli jest, to chyba wyjątkowo. A przecie same to są antyki i dział tak bogaty, jak może żaden mu w świecie nie dorówna! Nie liczyliśmy egzemplarzy, ale jeśli wolno wnosić z jednego rzutu oka, to jest ich tam najmniéj pół setki i to najróżnorodniejszych okazów, wówczas gdy np. w pomienionym wyżéj zbiorze francuskim jest ich tylko 22 (2).

Najwięcéj w tym dziale zbiorów naszego rodaka jest chimer z karykaturą Sokratesa, któremu nie brakowało silnych przeciwników, usiłujących sprzeczne z ich pojęciami poglądy i prawdy zwalczać niebezpieczną bronią śmiechu i ironii. Humorystyczne te gemmy liczą się do najmniejszych rozmiarami i zwykle średnica nie przenosi 5—6 milimetrów. Kamień do nich używany—onyks, krwawnik, lub czerwony jaspis. Robota daleką jest od szkicowania dzisiejszych karykatur; obok plastyki, wiele wykończenia; snać artysta nie żałował pracy do uwiecznienia swéj kompozycyi, snać kompozycyą tą starano się na długo utrwalić protest przeciw nowéj nauce mędrca. A co za rozmaitość i bogactwo karykatury! Najczęściéj przedstawiona jest nie cała postać, ale sama tylko głowa Sokratesa, nic dziwnego: przeciw niéj walczono. Na wszystkich karykaturach okazuje się ona, oczywiście, monstrualnie brzydką, wszędzie podobną, ale na każdéj gemmie odmienne dla niéj otoczenie. Na jednéj np. głowa ta stoi na kurzych łapach, na drugiéj dano do niéj zrośniętą z nią głowę słonia, znów wieprza, na innéj łeb barana i kozła itd.

Jakiż to więc niewyczerpany materyał do dziejów humorystyki i satyry! Co za bogate pole do studyów dla artysty, literata, historyka literatury!

Z upadkiem cywilizacyi greckiéj i rzymskiéj rzeźba na drogich kamieniach doznała wspólnego losu naukom i sztukom: upadek

---

(1) P. Catalogue général des camées et pierres gravées—Chabouillet'a.

(2) Tamże.

i zapomnienie stały się jéj udziałem. Przypominały ją tylko dzieła świata muzułmańskiego, lub utwory artystów bizantyjskich. Średnie wieki nie sprzyjały tego rodzaju twórczości artystycznéj.

Zbliżał się jednak wiek odrodzenia sztuk i nauk. Już krzyżowcy z wypraw do ziemi świętéj wiele z sobą przywozili antyków, a grecy bizantyjscy, szukając schronienia na zachodzie Europy, powiększali te zbiory. Niezależnie od jednych i drugich wykopywano wiele tych zabytków w południowych Włoszech. Wiek Medyceuszów był téż złotym wiekiem i dla gemm. Włochy stały się kolebką odrodzenia téj sztuki. Wystąpili wówczas z pracami swemi tacy artyści jak Maria di Pescia, Valerio Vicentino, Domenico de Cammei, a za nimi cała rzesza artystów, będących chlubą renesansu. Zaczęło się naśladownictwo wzorów grecko-rzymskich, tak w formie jak w tematach, w stylu i kompozycyi, i stało się wkrótce tak powszechném, a poniekąd tak udatném, że przez cały wiek XVII i XVIII większa część nowoczesnych wyrobów uchodziła za antyki i dopiero przenikliwéj krytyce wieku XIX udało się odkryć różnice stylu i roboty między jednemi a drugiemi, tudzież odsłonić istotną prawdę (1)

---

(1) We francuskim dawniéj królewskim gabinecie medali i kamieni rżniętych znajduje się słynna gemma wklęsła, rżnięta w kornalinie, do niedawna znana pod nazwą *Pieczęci Michała Anioła*, a dziś *Bakchanalii*. Kompozycya ta mieszcząca się na kamieniu 11 milimetrów wysokości, a 15 mim. szerokości, przedstawia satyrów, bachantki i bachantów, składających ofiary bogowi wina. Wszystkich osób na tak małej przestrzeni jest ośmnaście. Jedne piją, drugie nalewają wino, inne zaś niosą kosze napełnione winogronem. Dwa geniusze skrzydlate rozciągają *velum*, przytwierdzając je do łóz winnych. W środku kompozycyi widać głowę konia, na prawo dwie niewiasty, z których jedna wznosi kosz na głowę drugiej. W dali krajobraz przedstawiający rzekę między dwoma wzgórzami, nad brzegiem rzeki siedzi rybak z wędką w ręku.

Autorem téj rzeźby miał być słynny artysta grecki Pyrgoteles, który ją jakoby wykonał na życzenie Aleksandra W., kiedy ten zdobywca Persii, wybierając się na podbicie Indiów, lubował się w przybieraniu imienia i stroju Bachusa. Gemmy téj używał jako swéj pieczęci. A w tym samym charakterze po zmiennych kolejach losu i wędrówce kilkunastu wieków dostała się do Michała Anioła, i ten z niej miał skopiować do swoich fresków w kaplicy sykstyńskiéj owe dwie figury, z których jedna napełnia kosz drugiéj. Po wielu sporach—czy kopiował je istotnie Buonarotti, czy Rafael, skonstatowano nareszcie, jakoby pewien złotnik boloński dostał ją po śmierci Michała Anioła i odprzedał intendantowi Medyceuszów, ztamtąd przeszła do Bagarrisa, od niego do rodziny Lauthier d'Aix, która ją odstąpiła Ludwikowi XIV. Obiegała téż o téj gemmie anegdota na koszt barona Stascha. Znakomity ten znawca i amator gemm, którego kolekcya przeszła następnie do króla pruskiego, był tak zachwycony ową gemmą, że kiedy zwiedzał w Wersalu gabinet medali, połknął ją, ale kustosz czy urzędnik oprowadzający barona domyślił się kradzieży, dał mu do zażycia emetyk i tą drogą odzyskał napowrót skarb dla zbiorów francuskich. Jako słynny antyk gemma ta była przedmiotem wielu rozpraw estetycznych i badań pełnych erudycyi, a niezliczoną ilość razy reprodukowana w sztychach stała się wiadomą światu całemu. W końcu okazało się, że jest to dzieło

oczywiście, dla znawców; profanom dotychczas nawet we Włoszech i Grecyi przedają spółczesne gemmy za antyki.

Oryginalne jednak utwory epoki renesansowéj i barokowéj, czerpane z życia społecznego i na motywach nowych, stoją wyżéj od naśladujących antyki i dziś mają niezaprzeczone zalety, a cóż dopiero w chwili ich pojawienia się, kiedy między estetykami i daktyliotekarzami toczyły się długie spory o to, czy gliptycy dla swoich gemm brali kompozycye i rysunek od malarzy, czy malarze takiéj nawet miary jak Michał Anioł, Rafael i Rubens brali je od gliptyków gemm.

Wawrzyniec Medyceusz był pierwszym w nowych czasach, co utworzył znakomitą kolekcyą intagliów i kamei, a ta wzbogacona w dalszym ciągu przez jego następców stanowi najpiękniejszą ozdobę galeryi florentyńskiéj. Petrarka miał również piękny zbiór. Dziś w Neapolu, a zwłaszcza w Rzymie zbiory watykańskie, Strozzich i Buoncompagnich, dawniéj Piombinów zasługują na powszechną uwagę.

We Francyi Franciszek I opiekując się sztuką gliptyczną, sprowadził z Włoch wielu artystów, a między innymi słynnego Matteo del Nassaro z Werony, który téż pamięć jego uwiecznił w ślicznym biuście z chalcedonu. Henryk II prowadził daléj dzieło ojca, co tém łatwiéj mu przychodziło, że gliptyka miała takie wielbicielki jak słynne w swoim czasie z piękności i spółzawodnictwa Diana de Poitiers i królowa Katarzyna Medici.

Karol IX, a jeszcze bardziéj Henryk IV powiększali zbiory. Ten ostatni był tak namiętnym amatorem gemm, że nosił wysadzoną niemi rękojeść szpady i przy codziennéj sukni zamiast guzików używał dwanaście kamei w konchach, przedstawiające popiersia tyluż cezarów. Za panowania jego odznaczył się rodzimy na tém polu talent francuski w osobie Juliana de Fontenay, zwanego Coldoré, który wykonał piękny biust króla w szmaragdzie i rozpoczął sobą szereg gliptyków francuskich, dorównywających często mistrzom włoskim, a w nowszych czasach prześcigających ich nawet niekiedy. Najgłośniejszéj pomiędzy nimi sławy doczekał się Jakób Guay, nauczyciel pani Pompadour, która zamiłowania swego do téj sztuki nie

---

XVI wieku i wyszło z pod rylca artysty włoskiego *Marii di Pescia*, który owe dwie figury skopiował z fresków Michała Anioła, a siebie przedstawił na gemmie rebusem w postaci rybaka, a raczéj w obrazie połowu ryb (pescare po włosku łowić ryby, pescia—połów ryb). A nie był to jedyny wypadek z *Bachanaliami*. Podobne koleje przechodziła większość lepszych i gorszych gemm z epoki cinquecento i w ogóle z renesansu a nawet z późniejszych czasów.

ograniczała na biernćm amatorstwie, pilnćm gromadzeniu zbiorów i opieką artystów, lecz sama przykładała rękę do rylca i pod kierunkiem mistrza wykonała pewną ilość gemm nader udatnych. Oprócz tego malarze Boucher i Vien na życzenie markizy przerysowywali kartony w zwiększonym formacie z gemm Guay'a i podług nich pani Pompadour wykonywała miedzioryty, które do dziś świadczą o pracowitości i guście tćj wykształconćj i rozumnćj kurtyzantki. Francuska daktylioteka posiada sześćdziesiąt trzy utwory Guay'a, rżnięte na sardzie, szafirze, chalcedonie, kornalinie itp., do których temata brane są najczęściéj ze świata greckiego, z jego mitologii i zastosowane symbolicznie do spółczesnych artyście wypadków lub osobistości. W znacznéj części tych kompozycyj figuruje mecenas Guay'a—pani Pompadour, bądź w postaci Venus, bądź Minerwy, bądź uosobionéj Francyi itd.

Państwowa daktylioteka francuska, wzbogacona zbiorami włoskiemi w czasach dyrektoriatu, wzrastała coraz bardziéj i dziś zalicza się do najznakomitszych. Obok niéj zajmują pierwsze miejsce berlińska, a jeszcze bardziéj wiedeńska i petersburska. Ta ostatnia sformowana z gabinetu rzeźbiarza Nattera, została wzbogacona w epoce rewolucyi francuskiéj piękną kolekcyą księcia orleańskiego.

U nas—wiadomo, z jakiém zamiłowaniem zbierał Stanisław August kamee, nie skąpiąc kosztów i czasu własnego. Gdy kiedy zasłyszał o jakim pięknym egzemplarzu za granicą, starał się go dostać za pośrednictwem swoich agentów. To téż zbiory jego były znaczne i znane w Europie. Wspominany przez nas pisarz, Marion du Mersant powiada w historyi francuskiego gabinetu medali i kamieni rżniętych, że taka sama gemma wklęsła, przedstawiająca Achillesa (opiewającego czyny bohaterów przy akompaniamencie liry), jaka się znajduje w zbiorze francuskim na ametyście, znajdowała się téż rżnięta na kornalinie w zbiorach „księcia Stanisława Poniatowskiego“ i na téj ostatniéj tak samo był wyryty napis autora, *Pamfila*, jak na pierwszéj. Dzieło to należy do najznakomitszych w świecie utworów gemmowych, (a przez Chambouillet'a uznane za najdoskonalsze w kolekcyi francuskiéj). Ale Mersant przy téj sposobności zaznacza, że gemma Poniatowskiego była widocznie imitacyą tylko tamtéj i że w ogóle kolekcya jego, składająca się z tysiąca dwóchset kilkunastu intagliów nie zawierała może ani jednego antyku. Gdyby tak się rzecz nawet miała istotnie, nicby w tém nie było dziwnego, ze względu, iż większa część wyrobów nowoczesnych, jak już zaznaczyliśmy, do ostatnich prawie czasów uchodziła za antyki. Niewiadomo jednak, czy tu mowa o królu Stanisławie Auguście, którego

autor ze znaną Francuzom nieświadomością rzeczy obcych, mógł wziąć za księcia, czy téż o innym Poniatowskim. Gdyby więc nawet to nie dotyczyło kolekcyi królewskiéj, to w każdym razie i pożytek z téj ostatniéj nie okazał się trwałym, miała ona charakter prywatnéj własności i zginęła dla nas; nie pozostawiwszy po sobie trwalszego śladu. Z całą więc słusznością będziemy mogli nazwać p. Konstantego Szmidta Ciążyńskiego założycielem pierwszéj publicznéj daktylioteki w Polsce.

A zaprawdę wdzięczna to była epoka, w któréj rodak nasz rozwinął swoję działalność daktylioteczną, wdzięczną ze względu na ustalenie się w niéj krytyki starożytnych i nowych dzieł gliptycznych, jako téż gwoli twórczości artystycznéj gliptyków, która w pierwszéj połowie XIX-go wieku dosięgła wyżyn doskonałości, niedoścignionéj dawniéj. Szereg znakomitych najnowszych gliptyków, których złoty wiek przypada jednocześnie z rozkwitem naszego romantyzmu, rozpoczął się właśnie z chwilą, kiedy zbiory Poniatowskiego miały uledz zatraceniu. Już za jego czasów odznaczył się we Francyi rzeźbiarz Jeuffroy, a w XIX w. Simon, za nimi idzie plejada francuskich i włoskich artystów: Raviela, Doeli, Talani Teresy z bratem, Colomba, Cesarego, Beriniego, Marcellego, Santorellego, Regi, Giromettiego, Amastiniego, Mansuettiego; angielskich: Deana, Browna, Marchanda, Burcha; niemieckich: Nattera, Walthera, tudzież rosyjski Dobrochotów i polak Regulski, wreszcie po nad wszystkimi dominujący Pichlerowie (Giovanni i Luigi) ojciec i syn—tyrolczycy.

Wystawione w Sukiennicach w Muzeum Narodowém zbiory Szmidta mieściły się, jak dotychczas, w sześciu szafkach czyli gablotkach. Każda gablotka ma najmniéj 12, a najwyżéj 20 tablic z ułożonemi na nich gemami sposobem używanym przez numizmatyków. Oprócz tablic leżą też obok nich oddzielnie ułożone różne zabytki starożytnéj sztuki. Tak tablice, jak oddzielnie leżące przedmioty podzielone są na kategorye, których poczet dość liczny. Mamy więc tam emalje, wykopaliska egipskie, miniatury, kubki etc., tudzież kamienie rżnięte, a więc biusty i gemmy i pieczęcie babilońskie, asyryjskie, cylindry babilońskie i fenickie, napisy płaskorzeźb greckie i rzymskie, skarabee egipskie, greckie, etruskie, amulety (talizmany) w rozmaitych językach wschodnich, naczynia, wazy itp. rżnięte głęboko w kamieniach, zwierzęta podobnież a także wypukło przedstawione jako greckie i rzymskie zabytki, pierścienie złote, srebrne, żelazne i bronzowe greckie i rzymskie; kamienie gnostyczne (abraksasy) z pierwszych wieków chrześciańistwa, przedmioty religijne średnich wieków; herby znakomitych europejskich rodzin rżnięte w drogich kamieniach, wreszcie właściwe gemmy (włączając

w to maski i chimery) tak kamee jak i intaglia, greckie, rzymskie, renesansowe, tudzież najnowsze z XVIII i XIX w.

Ogólna liczba wszystkich tych przedmiotów sięga 2,500 sztuk. Poczet niemały, a pod względem doboru może jedyny w świecie. W Wiedniu powiadano, że zbiór ten jest trzecim z rzędu, to jest pierwszym po petersburskim i wiedeńskim. Nam się jednak zdaje, że jeśli tamte są bogatsze pod względem wartości surowego materyału, znacznéj ilości nagromadzonych dużych okazów drogich kamieni, to wątpić się godzi, aby dorównały Szmidtowskiemu pod względem doboru egzemplarzy, ich rozmaitości, kompletu całych działów i artystycznéj wartości okazów.

I pomyśleć, że jeśli gdzie indziéj wieki się składały na utworzenie daktylioteki, że obok ofiarności dostojników w wielu pokoleniach, stawały podobne zbiory opieką rządów i monarchów,— tu stanęło dzieło jednego prywatnego człowieka, dokonane w ciągu jego własnego życia.

Ale téż trzeba było pracy pięćdziesięciu lat, tyle fortuny, takiéj gorączkowéj działalności, takiego miłośnictwa, znawstwa i takich zabiegów! Szmidt dowiedziawszy się o jakiéj rzadkiéj gemmie, formalne robił pościgi za nią, choćby się przyszło odbywać umyślną dla niéj podróż. A z jaką cierpliwością trzeba było nieraz wyczekiwać i czynić mozolne poszukiwania. W 1844 r. pojawiła się była na wystawie Ermitażu słynna gemma Dobrochotowa, przedstawiająca Parysa i Merkurego, za którą petersburska Akademia Sztuk pięknych uwieńczyła autora pierwszą nagrodą, przyznawszy mu 2,000 rs. dożywotniéj pensyi. Autor wkrótce umarł, a rzeźba jego przeszła drogą spadku w ręce krewnych i gdzieś zaginęła. Szmidt sześć lat czynił za nią poszukiwania i wędrówki, aż w końcu odszukał ją, nabył od księdza prawosławnego, brata Dobrochotowa i odstąpił za pośrednictwem wielkiéj księżny Maryi Ermitażowi, na pamiątkę długoletnich stosunków z tym zakładem i pierwszych prac swoich tam odbytych. Był to jeden z tych objawów szczodrobliwości jego, przy któréj spłacając dług wdzięczności ludziom, pozbywał się wyjątkowo gemmy tak cennéj ze swego zbioru; przyczém wychodził z założenia, że gemma ta będąc dziełem rylca Dobrochotowa, powinna zostać w muzeum jego rodaków, jako chluba ich narodowa, tembardziéj gdy Dobrochotowych nie wielu było.

Portret familijny w krwawniku i Gorgona w onyksie — oba Pichlera, jako téż wzmiankowany już przez nas Scypio Afrykański w topazie—Beriniego, były również przedmiotem długich zabiegów Szmidta. Stanowiły one niegdyś własność Tatiszczewa (ambasadora w Wiedniu), który za samego Scypiona zapłacił był artyście-auto-

rowi 4,500 franków. Ks. Urusów dostał je w spadku od Tatiszczewa po żonie i sam będąc miłośnikiem tego rodzaju zbiorów, niechętnie ich się pozbywał; odstąpił więc pomienione trzy sztuki dopiero na usilne nalegania i to w zamian za cztery obrazy słynnego Oudry, które mu się podobały w galeryi Szmidta.

Każdy niemal przedmiot w zbiorze naszego rodaka ma swoje dzieje. Wiele się tam dostało drogą zamiany, a wiele kupnem, a jak dla jednych potrzeba było nie skąpić funduszów, tak dla drugich mieć ekwiwalent wymiany,—owe zbiory malowideł i przedmiotów sztuki, nad których pozyskaniem Szmidt rozwijał tak natężoną i ustawiczną działalność handlową. Ale dzięki temu mógł on w końcu przyjść do posiadania tak cennéj kolekcyi gemm, w któréj znajdują się utwory prawie wszystkich wybitniejszych mistrzów téj sztuki francuskich, włoskich, angielskich i niemieckich, a więc Maryi da Pesca, Valerio Bellego, Guaya, Pichlerów, Beriniego, Morellego, Cesarego, Santorellego, Giramettiego, Regi, Amastiniego, Mansuettiego, Doeli, Raviela, Geffroy'a, Talanich, Colomba, Deana, Browna, Marchanda. Burcha, Nattera, Walthera i oczywiście — antyków greckich i rzymskich.

A jak dalece zależało Schmidtowi na komplecie, któryby dawał zupełny i dokładny obraz rozwoju téj sztuki, dowód w tém, że nawet teraz nie zaniechał zabiegów w celu odszukania utworów i naszego Regulskiego.

Po stracie jedynaka, ukochanego syna, młodzieńca wielkich zalet i niepospolitych zdolności, który również dał się już był poznać w świecie artystycznym, Szmidt opuścił w 1869 r. Paryż i przeniósł się na stałe mieszkanie do Londynu, zaniechując stopniowo handlu, pozbywając się nabytych zbiorów, zatrzymując tylko niektóre ulubione dla własnéj kolekcyi malowidła, tudzież swoje gemmy, których pielęgnowaniem i uzupełnianiem zajął się teraz wyłącznie, a które nie przestały być dla strapionéj duszy jego w samotnych chwilach życia przedmiotem pracy i rozrywki.

Wiedziano w Europie i Ameryce o tym zbiorze, zgłaszały się więc muzea i osoby prywatne z Anglii i Stanów Zjednoczonych z chęcią nabycia onego. Ofiarowywano do 12,000 funtów szterlingów. Szmidt odrzucał wszystkie propozycye nie dla tego, że cenił zbiór swój na krocie, lecz że miał dla niego inne przeznaczenie.

W długiéj 50-letniéj wędrówce po świecie, wśród ruchliwéj, gorączkowéj pracy jego, zdala od kraju, zrywały się stopniowo nici, łączące go z nim, zacierała się powoli w duszy nie pamięć o nim, lecz świadomość jego obecnego stanu, jego dzisiejszych stosunków. Szmidt ocknął się w położeniu nowego żeglarza, co to w długiéj po-

dróży po dalekich obcych morzach stracił kompas i zwrócił się do gwiazdy, która ciągle przyświecała jego drodze, a która mogła go teraz po spełnioném zadaniu zaprowadzić do ojczystego portu. Taką gwiazdą przewodnią Szmidta było uczucie miłości jego dla ziemi rodzinnéj. Toć gdy się ocknął u kresu swych marzeń, gdy walką z życiem osiągnął cel zamierzony, zabiło serce silniejszą niż w ciągu całego życia tęsknotą do kraju, gorąca żądza złożenia nie obcym lecz swoim owoców półwiekowych zabiegów i pracy, zaczęła natarczywie domagać się urzeczywistnienia. W przeszłym roku zachorowuje on, a w miarę postępu choroby wzmaga się coraz bardziéj pierwotne uczucie, powstaje obawa zatracenia zbiorów, a z nią wzrasta chęć szybkiego przeniesienia ich do kraju i spoczęcia samemu na ziemi rodzinnéj. Lecz—jak powiedzieliśmy—Szmidt wyszedł był zupełnie ze stosunków z krajem, pisze więc w lutym b. r. do jednego z przyjaciół wiedeńskich (również starożytnika p. T. v. B.), aby go zawiadomił, czy są jakie muzea w Polsce. — Niema— brzmiała po kilkumiesięcznych poszukiwaniach odpowiedź wraz z wiadomością, że polskie muzeum istnieje na ziemi szwajcarskiéj. Szmidt długo się nie namyśla. Ułożywszy w kilku pakach malowidła ze swéj galeryi i inne przedmioty, jak bronzy, książki etc., posyła je do Rapperswylu jako zapowiedź większéj i cenniejszéj wysyłki—całego zbioru gemm, wyrażając życzenie ofiarowania onego na rzecz Muzeum pod warunkiem zabezpieczenia ofiarodawcy pewnéj rocznéj renty i wolności pozostania do końca życia przy zbiorach i w gronie bodaj kilku rodaków. Zawiązują się długo prowadzone układy, w ciągu których jeden ze znajomych Szmidta zawiadamia go o zakładającém się w Krakowie „Muzeum Narodowém“ sztuki. Budzi się więc w nim pierwotny zamiar powrotu do kraju, a z tą myślą chęć uprzystępnienia swych zbiorów całemu ogółowi polskiemu. Nie otrzymawszy tedy stanowczéj odpowiedzi z Rapperswylu, zabiera się już sam ze zbiorami swemi i przyjeżdża do Krakowa. Kolekcya Szmidta zostaje wystawiona na widok publiczny w Sukiennicach. Ogół dowiaduje się o tych skarbach, sympatycznie przyjmuje ofiarę i wita ofiarodawcę. Przywołani znawcy i estetycy podnoszą pierwszorzędną wartość tego zbioru i szacują go najmniéj na 100,000 złr., zalecając gminie m. Krakowa jako nominalnéj właścicielce „Muzeum Narodowego“ zatrzymanie tak cennego nabytku i zapewnienie ofiarodawcy, który włożył w te zbiory cały swój majątek,—300 funtów szterlingów rocznéj renty.

Rada miejska ocknęła się między chęcią przyjęcia tak cennéj ofiary, która odrazu postawiłaby muzeum krakowskie na stanowisku pierwszorzędném, a obawą obciążenia zbyt szczupłego swego bud-

żetu; wychodząc więc z założenia, że „Muzeum narodowe“ przeznaczone jest do użytku całego narodu, a przyjęcie zbiorów pana Szmidta leży w interesie i honorze nietylko miasta, ale i kraju,— wniosła petycyą do sejmu, aby ten przyczynił się z funduszów krajowych do zapewnienia części renty p. Szmidta, resztę zaś uzupełniłaby sama gmina.

Z powodu krótkości tegorocznéj sesyi sejmowéj i spóźnienia się z petycyą, takowa nie weszła na porządek dzienny obrad Izby sejmowéj. Czy za ponownem zebraniem się sejmu załatwi on tę sprawę pomyślnie, czy w razie odmowy Rada miejska krakowska zdobędzie się na uchwalenie całéj renty, — nic pewnego powiedziéć się nie da. A jednak niepodobna nawet przypuścić myśli, aby zbiór ten dostał się w obce ręce i poszedł na obczyznę. Czy w muzeum krakowskiém, czy w Rapperswylskiém, czy gdzie indziéj, zawsze powinien on pozostać na użytek ogółu naszego, który nie może pozbawiać się jedynéj i łatwéj sposobności przyjścia w posiadanie pierwszorzędnéj w świecie daktylioteki.

Jakaż rada na to?

Widzieliśmy, jak wiele paniom rzymskim gliptyka zawdzięczała swe powodzenie, widzieliśmy téż—jak we Francyi (a również i gdzie indziéj) tego rodzaju zbiory opieką swą otaczały pierwsze swego czasu znakomitości niewieście. Dla czegóżby tego samego u nas nie miano uczynić, u nas, gdzie kobiety wiele zdziałać mogą jeśli zechcą? Złóżmy więc w ich ręce los tego zbioru, powierzmy im starania o zapewnienie i utrwalenie bytu pierwszéj publicznéj u nas daktylioteki.

Rzucamy tę myśl w nadziei, że odpowie ich życzeniom, będzie wyrazem ich pragnień, że nieobojętne na to wszystko co piękne i pożyteczne, znajdą one same najodpowiedniejszą drogę do przeprowadzenia téj sprawy, bądź w kierunku wyjednania od sejmu i gminy krakowskiéj potrzebnéj renty, bądź zebrania w inny sposób odpowiednich funduszów.

Jan Grzegorzewski.

POWIEŚĆ H. SIENKIEWICZA.

(Ogniem i mieczem. Powieść z lat dawnych, 3 tomy. Warszawa 1884).

Rozgłos, pozyskany przez powieść „Ogniem i mieczem,“ zaledwie da się porównać z owém nadzwyczajném zajęciem, jakie się przed laty mniéj-więcéj trzydziestu zbudziło przy słuchaniu improwizacyj Deotymy i przy czytaniu powieści szlacheckich Zygmunta Kaczkowskiego. Ustnie, listownie i drukiem udzielano sobie naówczas radosnéj nowiny o narodzinach gieniuszów. Ze wszystkich zakątków kraju słychać było donośne dytyramby na ich cześć wyśpiewywane. W czasopismach jeden panegirysta na to tylko ustawał, ażeby zrobić miejsce drugiemu.

Podobne objawy, towarzyszące dzisiaj „powieści z lat dawnych“ i jéj autorowi tém wyrazistsze mają znaczenie, iż społeczeństwo nasze starsze jest o całe lat trzydzieści, że wskutek tego jego wymagania znacznie podrosły i wyrobiły się. Tym podwyższonym wymaganiom nowy utwór widocznie choć w pewnéj mierze odpowiada, jeżeli mu się tak głośno przyznaje tytuł arcydzieła.

Lecz wyższy stopień świadomości społecznéj ma także i mniéj dla autora dogodne następstwa. Oddziaływanie przeciwko przesadnéj ocenie wartości utworów Deotymy i Kaczkowskiego pojawiło się w lat kilka po pierwszym wybuchu zapału; reakcya przeciw zachwytom nad „Ogniem i mieczem“ zaczyna się, lubo nieśmiało, ukazywać niemal równocześnie z niemi.

Następstwa-to dla miłości własnéj autora zapewne niezbyt przyjemne, ale mogą się stać pożytecznemi.

Zbyt wielkie pochwały nie tylko wywołują ducha sprzeczności, ale—co dla pisarza ważniejsza—powodują czytelników do stawiania względem tak zarekomendowanego utworu żądań odpowiadających téj wysokiéj sferze, w jakiéj go umieszczono. Zastosowanie miary właściwéj staje się wtedy rzeczą dla nich trudną, tak, że gdy przy-

padkiem nie znajdą ziszczenia swych nadziei śniących o doskonałości, mają zazwyczaj pretensyą nie do zanadto gorliwych chwalców, ale do samego autora. Wówczas to opozycya, ułatwiając czytelnikom możność odnalezienia odpowiedniéj miary sądu, robi pośrednio usługę autorowi, zbyt wielki ciężar odpowiedzialności z jego artystycznego sumienia usuwając. Opozycya może wpawdzie pójść zadaleko, może w reakcyjném zacietrzewieniu widzieć usterki tam, gdzie są zalety, a istotnym pięknościom odmówić ich znaczenia, ale może też sprawić, iż autor zachwalone słabostki lub błędy we właściwém ujrzy świetle.

Prócz tego opozycya wczesna przyczynić się może zdoła do zmniejszenia nagłości zwrotów w opinii. Uwielbiane niegdyś arcydzieła Kaczkowskiego dzisiaj wspominane są przez wielu z uśmiechem pobłażania, a ogłoszony za najlepszą powieść historyczną, za epopeję prawdziwą Murdelio nie zasługuje sobie u niektórych krytyków nawet na prostą wzmiankę. Lekceważenie to lub zapomnienie jest równie niesprawiedliwe, jak były przesadne uniesienia i zachwyty. Gdyby we właściwym czasie chłodniejszy pogląd znalazł był posłuch, możebyśmy dzisiaj słuszniejszą słyszeli ocenę zarówno dawnych jak i najnowszych zjawisk.

Z takiém przekonaniem i w tym celu napisany jest rozbiór niniejszy „powieści z lat dawnych.“

I.

W szkicu Ludwika Kubali p. n. „Oblężenie Zbaraża“ znajduje się między innemi następna wiadomość:

„Pod Toporowem zjawił się w namiotach królewskich żebrak, bardziéj do cienia niż do człowieka podobny, i oddał listy od regimentarzy z pod Zbaraża. Był-to dzielny towarzysz pancerny, Jan Skrzetuski, wysłany od Firleja do króla. Przewiózł się w nocy przez staw, całą noc w trzcinie leżał, w dzień w chróstach się czołgał, manowcami się przemykał i w błocie się topiąc, nieprzyjacielskie omylił straże i przyniósł listy, a co król w piśmie wyczytał, to wszyscy z jego oblicza wyrozumieli.“

Umysł nowellisty, podającego rozbiór Szkiców historycznych Kubali, uderzony był prawdopodobnie malowniczością tego wypadku i odwagą rycerza. Powstał w nim już wtedy zapewne zamiar artystycznego zużytkowania téj pięknéj postaci, tak wybitnie rysującéj się na tle groźnych wypadków dziejowych. Być może, pierwotnie zamyślał Sienkiewicz o krótkiéj nowelli, w któréjby ta jedna chwila z życia

człowieka skądinąd nieznanego, przez dziejopisów zaznaczona, odpowiedni artystyczny wyraz znaleść mogła. Atoli w miarę zagłębiania się w źródła historyczne celem dokładniejszego zapoznania się z tym momentem dziejowym, w którym Skrzetuski wyróżnił się z pomiędzy szaréj masy ogółu, fantazya nowellisty zapełniała się obrazami ludzi i wypadków, tak się mnożących, że o ich wyzyskaniu w nowelli myśléć było już niepodobna, że zatém wypadało pomyśléć o większém, powieściowém malowidle. Wszelako nawet w téj obszernéj kompozycyi, pierwsze, jak się zdaje, wrażenie praw swych nie utraciło: autor pod jego wpływem uczynił wypadek, który go tak zajął, kulminacyjnym a zarazem końcowym punktem swego opowiadania—wbrew nawet wymaganiom historyi i sztuki.

Ponieważ dzieje poza owym wypadkiem nic więcéj o Skrzetuskim powiedzieć nie umieją, wziął go naturalnie Sienkiewicz na bohatera powieściowego, którego losy stanowić mają więź utrzymującą w łączności wszystkie a tak różnorodne obrazy. Nie chcąc być w niezgodzie z historyą, musiał te losy pojąć o tyle niezależnie od przebiegu wypadków dziejowych, iż one na ich rozwijanie nic a nic nie wpływają. Oprócz wierności historycznéj osiągnął przez to autor ten dodatni skutek, że bohater jego pełni swój obowiązek rycerski i obywatelski bez zarzutu, a co więcéj, z chlubą, ale równocześnie pozbawił się jednéj z bardzo ważnych zalet kompozyi, to jest jedności. Czytelnik nie nabiera wprawdzie fałszywego wyobrażenia o wypadkach, że gdyby nie to lub owo z bohaterem powieściowym się stało, toby sprawy publiczne całkiem inną drogą poszły; widzi nadto w tym bohaterze tylko bardzo małoznaczącą pod względem dziejowym osobistość;—lecz zarazem zamiast się przypatrywać jednemu obrazowi, przeskakiwać musi wzrokiem od jednego do drugiego: miłosna historya Skrzetuskiego biegnie równolegle z historyą jego rycerską, ale oczywiście nigdzie się z nią przyczynowo nie styka. Łączność pomiędzy niemi istnieje o tyle tylko, że jedna i druga odbijają się na tle strasznych klęsk i wielkich niebezpieczeństw.

Ale jakkolwiek obszerne powieściopisarz przeznaczył miejsce dla historyi miłosnéj, to wszakże o wiele obszerniejsze dostało się owemu tłu dziejowemu i to tak dalece, że treść jego z konieczności utworzyła obraz samoistny.

Do odmalowania obrazu tego takie niemal robił powieściopisarz studya jak historyk. Pracę miał wprawdzie wielce ułatwioną przez znakomite dzieło Szajnochy („Dwa lata z dziejów naszych“) i pisma Kubali („Szkice,“ „Jerzy Osoliński“); ale na tych utworach nie poprzestał i postarał się o świadectwa z pierwszéj ręki. Pod tym względem, Sienkiewicz idąc za przykładem autorów francuskich

i niemieckich (Flauberta, Ebersa) dbał o ścisłość historyczną daleko większą, aniżeli którykolwiek z naszych dotychczasowych powieściopisarzy. Nie tylko główne wypadki wzięte do opowiadania, ale nawet drobniejsze szczegóły, nawet rozmowy w znacznéj części są albo dosłownie z pamiętników, dyaryuszów i innych dokumentów wzięte, albo téż są wierną, artystycznie obrobioną ich parafrazą. Faktycznéj stronie w przedstawieniu wypadków chybaby jaki historyk fachowy miał co do zarzucenia.

Inaczéj rzecz się ma z oświetleniem zdarzeń i postaci historycznych.

Przedstawiając wielki przełom dziejowy, którego skutki dziś jeszcze dotkliwie odczuwać się dają, bardzo trudno jest historykowi a tém bardziéj powieściopisarzowi utrzymać się w granicach bezwzględnéj bezstronności; zamiłowania jego i wstręty wyjść muszą na jaw.

Jednym z takich przełomów są niewątpliwie wojny kozackie, których najsilniejszy wybuch obrał Sienkiewicz za przedmiot swéj powieści. W jakimże stosunku stanął powieściopisarz wobec dwu stron wojujących?

Napozór zachowuje on owo stanowisko przedmiotowe, które jest znamienną cechą jego artyzmu. Męstwo, dzielność, względną szlachetność, pewną przyznaje rycerskość on zarówno kozakom jak polakom; i tu i tam są gorsi i lepsi ludzie; zupełnie złych indywiduów ani wśród jednych ani wśród drugich autor nie maluje, dostrzega tylko czerń ukraińską rozbestwioną.

Przyczyny powstania kozackiego: ucisk potężnych oligarchów, odjęcie przywilejów, znaglanie do pańszczyzny i rozmaitego rodzaju opłat powieściopisarz wskazuje wyraźnie; stawiając obok nich żądzę zemsty osobistéj i ambicyi Chmielnickiego.

Zdawałoby się więc, że w przedstawieniu tego strasznego sporu pomiędzy Rusią a Polską zrobiono w powieści wszystko, co tylko zrobić należało. Jeden nawet z zachwyconych krytyków twierdzi, że Sienkiewicz przez usta Skrzetuskiego wypowiedział najprawdziwsze, najsłuszniejsze słowo w téj sprawie, słowo, którego historycy nasi odnaleść nie umieli.

Ale czy tak jest rzeczywiście? Czy przedmiotowość owa, czy ta sprawiedliwość dla stron obu jest istotną?

Gdyby historyk powiedział to, co mówią Chmielnicki i Skrzetuski, jako przedstawiciele dwu stron, (tom I, 270—279), możeby to dla oddania prawdy historycznéj wystarczało. Ale insza rzecz z powieściopisarzem, który dla uwydatnienia myśli innemi rozporządza środkami aniżeli dziejopis. A jakże-to przedstawia Sienkiewicz przy-

czyny owéj „kozackiéj rebelii?“ Oto streszcza je w rozmowie naczelnika rebelizantów z rycerzem polskim z pod chorągwi Jeremiego Wiśniowieckiego. W téj rozmowie, w któréj Skrzetuskiemu łatwo było na papierze odnieść moralne nad Chmielnickim zwycięstwo, streścił to, co z jednéj i drugiéj strony powiedziéć się dało, i osądził, że zrobił dosyć. Wskazać w akcyi, wskutek jakich-to wpływów uczucia i namiętności ludu ukraińskiego rozpasały się i poniosły mord i pożogę na szlachtę i żydów, uznał za rzecz zbyteczną. Dlaczego? Przeciwnie zaś obrazy rozbestwienia chłopskiego nieraz i nie dwa w jaskrawych przedstawił barwach. Dlaczego? Wszak względy artystyczne przemawiały za równomierném traktowaniem tak jednéj strony, jak i drugiéj. Czy obrachowując względną siłę wrażeń, nie powinien był liczyć na to, że szczegóły rozmowy zatrą się w pamięci czytelników, a pozostanie w niéj tylko łuna pożarów i krew z wymyślnością tyranów przez czerń przelewana?

Idźmy daléj. Klęski poniesione przez rycerstwo polskie, jeżeli nastąpiły po dzielnéj obronie, kreśli powieściopisarz szczegółowo, a drobne zwycięstwa w potyczkach opowiada z zamiłowaniem; obronę Zbaraża starał się podnieść do rozmiarów epicznych. Ale porażki, których rycerze prawdziwi wstydzićby się musieli, ale srom pilawiecki bardzo pobieżnie wspomina. I znowu zapytać trzeba dlaczego? Przedmiotowość zarówno historyczna jak artystyczna zdawała się napominać, ażeby dowolnie cieniami i światłem nie szafować. O krótkiém, kronikarskiém niemal zaznaczeniu ucieczki z pod Pilawiec umysł czytelnika niebawem zapomni, a obrazy cierpień bohaterskich lub chwały zostaną w nim wyryte głęboko.

Któż jest bohaterem części historycznéj? Słynny „palej“ Jeremi Wiśniowiecki. Dziwném u naszych poetów cieszy się szczęściem ten mężny rębacz, ambitny magnat, po swojemu kochający rzeczpospolitą obywatel, dla którego prawem jest tylko samowola. Jeszcze za życia napisano mu sążnisty, rozwlekły panegiryk: „Pochodnia sławy wojennéj.“ Niebawem po jego śmierci, bohaterem go zrobił Samuel Twardowski w „Wojnie domowéj.“ W naszém stuleciu Karol Drzewiecki wziął go za najszlachetniejszego, najrozumniejszego i najdzielniejszego przedstawiciela ówczesnéj Polski w swoich „scenach dramatycznych z XVII wieku.“ Obecnie uidealizował go Sienkiewicz. Łatwo zrozumiéć, że malowniczość postaci mogła zwabić ku sobie artystę. Z początku zdawać się nawet mogło, że go wystawi jako typ oligarchy, panującego samowładnie na Zadnieprzu, oligarchy, dla którego jedyném prawem jest własna tylko wola; ale niebawem przemienia go autor na świętego niemal bohatera, myślącego tylko o dobru rzeczypospolitéj, a zapominającego najzupełniéj o sobie, nie-

pamiętnego uraz, nie mającego ani odrobiny miłości własnéj. Gwoli takiemu pojęciu téj postaci, na parę kartek przedtém, (II, 216) zanim przytoczył słowa Wiśniowieckiego wyrzeczone do żołnierzy: „mordujcie ich tak, by czuli, że umierają,“ zanim w krótkości zeszkicował wrogie postępowanie Wiśniowieckiego w Pohrebyszczach i Niemirowie, Sienkiewicz nie wahał się o nim napisać. „Książę powściągał surowie wszelką swawolę żołnierską i nie płynęły za wojskiem jęki ludzkie, przekleństwa i narzekania“ (II, 205). Co więcéj o kilka wierszy niżéj po tych słowach zaznacza, że okrzyki: „Jarema idzie! Jarema idzie!“ nieciły postrach wśród ludności: „kosy, widły i noże wypadały z rąk chłopskich, twarze bladły, kupy swawolne pomykały nocami ku południowi, jak stada wilków przed odgłosem rogów myśliwskich.“ Takiż-to efekt sprawiała na tych kupach wieść o łagodném postępowaniu Jaremy?... Naturalnie i jeden i drugi fakt, co prawda, jest możliwy; względem jednych okazywać się mógł Jeremi wyrozumiałym, względem innych srogim; ale przejść od jednego faktu do drugiego bez żadnego objaśnienia, bez żadnego przeciwstawienia, nawet bez spójnika *lecz*, nie wypada ani historykowi ani artyście—powieściopisarzowi. Sienkiewiczowi tém mniéj, że malując niejednokrotnie postrach wzbudzany samém nazwiskiem Jaremy, raz tylko, i to w pierwszym tomie, odmalował jego surowość, pomieszaną wszelako z ukrywaném uczuciem litości; drugi zaś raz poprzestał, jak wspomniałem, na zeszkicowaniu mordów w Pohrebyszczach i Niemirowie.

Była piękna chwila w życiu Wiśniowieckiego, w któréj przytłumiwszy w sobie popędy samowoli i ambicyi, złożył na ofiarę krajowi miłość własną i pogodził się ze swoim starym przeciwnikiem ks. Dominikiem Zasławskim. Wiadomo z dziejów, jak drobiazgowe drażliwości przez kilka dni zatrzymywały dokonanie się téj zgody wodzów, tak potrzebnéj w ówczesném położeniu; jak dobre popędy Jeremiego łatwo ustępowały złym; jakie starania przedsiębrać wypadło, ażeby ze szczęśliwego momentu w usposobieniu księcia korzystać... Gdyby powieściopisarz nie był zamierzył przedstawić Wiśniowieckiego jako męża, który nie tylko orężem ale i głową przewyższał wszystkich spółczesnych, a charakter miał najszlachetniejszy i najczystszy; toby niewątpliwie zużytkował wskazówki historyi, utworzyłby postać zgodną z dziejami, a wielce zajmującą pod względem psychologicznym i artystycznym. Ale Sienkiewicz wymarzył sobie papierową doskonałość i szlachetność i dlatego przypisał Wiśniowieckiemu samorzutne i bezwzględne poświęcenie nie tylko miłości własnéj, lecz nadto poświęcenie jaśniejszego i głębszego poglądu na sprawy rzeczypospolitéj, na sposób działania zarówno z kozakami

jak wogóle z innemi wrogiemi czynnikami. W chwili walki wewnętrznéj z sobą wypowiada swój plan. Czuje on siłę odpowiednią do zgniecenia buntu: „z ramion strzelają mu skrzydła, jakby skrzydła ś. Michała archanioła; oto zmienia się w jakiegoś olbrzyma, którego zamek cały, cały Zbaraż, cała Ruś objąć nie może“... Złamawszy bunt „jego się ciałem jeszcze utuczy, jego siłami zolbrzymieje, krocie kozaków do kroci szlachty przyłączy i pójdzie daléj: na Krym uderzy, straszliwego smoka w jego własnéj jamie dosięgnie, krzyż zatknie tam, gdzie dotąd nigdy dzwony wiernych na modlitwę nie wzywały... Albo téż pójdzie w te ziemie, które raz już kniazie Wiśniowieccy kopytami końskiemi stratowali, i granice rzeczypospolitéj, a z niemi kościoła, do *ostatnich krańców ziemi* rozciągnie“... Tym daleko sięgającym planom, które zdaniem jego jedynie są dobre a w dodatku wykonalne, ponieważ polityka Osolińskiego i Kisiela na nic się nie zda wobec nieprzeliczonych tłumów zbrojnych, staje na przeszkodzie... trudnoby się było zaiste domyślić... poczucie potrzeby karności obywatelskiéj. Idea karności i Wiśniowiecki! dziwne zestawienie! Prędzéj można mówić o wszystkiém innéin, o obudzeniu się szlachetnych popędów, o pokonaniu miłości własnéj, o potrzebie ratowania ojczyzny, ale pojęcie karności? Gdzież ono było wśród ówczesnych królewiąt wogóle, a w szczególności gdzie i kiedy przejawiło się u Wiśniowieckiego? A jednak Sienkiewicz w łańcuch rozmyślań ks. Jeremiego, którego wojsko i szlachta bliższa chciała mieć na swém czele, wtłacza następne ogniwa: „I on obywatel, on żołnierz, ma stawać na czele bezprawia? ma je swoją powagą okrywać? ma pierwszy dawać przykład niekarności, samowoli, nieposzanowanie praw?... On-to ma dawać tak straszliwy przykład wiekom potomnym? Cóż bowiem się stanie? Dziś tak uczyni Wiśniowiecki, jutro Koniecpolski, Potocki, Firlej, Zamojski lub Lubomirski? A gdy każdy, bez uwagi na prawo i karność, gwoli własnéj ambicyi, działać rozpocznie; gdy dzieci pójdą wzorem ojców i dziadów: jakaż-to przyszłość czeka ów kraj nieszczęsny!... Wróg najgorszy, to nie Chmielnicki, ale nieład wnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, rozterki zamęt, niedołęstwo, prywata i niekarność — niekarność przedewszystkiém!“

Słowa rozumne, ale słowa tylko. Historycznie, względnie do Wiśniowieckiego prawdopodobnemi nie są; artystycznie i psychologicznie, wyglądają jak wstawka zrobiona tylko dla wywołania zamierzonego efektu, dla zrobienia czegoś podobnego jak „burza pod czaszką“ Jana Valjean'a. Można-by je zrozumieć i usprawiedliwić w myśl powieściopisarza jako objaw przewrotu w duszy i umyśle Je-

remiego, ale Sienkiewicz przewrotu tego niczém nie przygotował, ani téż następstw jego w dalszym rozwoju charakteru Jeremiego nie wskazał. Wiśniowiecki przed i po nim jest tąż samą osobistością, a owa chwila, którą autor chciał mieć tragiczną, przemija i niknie bez śladu w rozwoju utworu.

Z tego, co się powyżéj powiedziało, wynika, że jeżeli nie będziemy zwracali uwagi na to, co się tylko nawiasowo mówi w powieści, ale na to, co jest odmalowaném, co jest naprawdę artystycznie odtworzoném w akcyi, na co zatém największy nacisk położono, i co oczywiście musi w pamięci utkwić najgłębiéj;—to powieść „Ogniem i mieczem" wyda nam się nie przedmiotowém zobrazowaniem kilku chwil z przeszłości, czém się napozór ukazuje, ale jakby apologią gospodarki szlacheckiéj na Ukrainie, jakby usiłowaniem zakrycia przywar i błędów szlachty ówczesnéj, jakby uidealizowaniem téj polityki, która poczytując lud za bydło juczne, sobie tylko wszelkie prawa ludzkie przyznawała. Stąd autor oprócz odmalowania czysto zewnętrznych klęsk, jakie mieczem i ogniem wzajem sobie zadawano, nie mógł wskazać całéj grozy położenia dziejowego, lecz owszem optymistycznie je oceniał. Że Skrzetuski nie wątpi o siłach zrzeczypospolitéj i zawsze pełen jest najlepszych nadziei, to rzecz wypływająca z jego roli; ale gdy autor od siebie powiada, że sam tylko Chmielnicki wiedział, „ile jest straszliwiéj potęgi w pozornéj bezsilności rzeczypospolitéj" (II, 210), to zakrawa to na gorzką ironią, zwłaszcza gdy rozważymy owo dotkliwie upokarzające przyjęcie jakiego doznali u Chmielnickiego posłowie polscy z Kisielem na czele, przyjęcie, którego opis szczegółowy powieściopisarz nam daje.

Jeżeli natomiast obok obrazów namalowanych z zamiłowaniem artystyczném, weźmiemy w rachubę i owe drobniejsze wzmianki uboczne, przedstawiające ujemną stronę ówczesnéj klasy stanowiącéj politycznie naród; to wprawdzie ciasny widnokrąg poglądów rozszerzy się, ale wystąpi zato na jaw pewne wahanie się powieściopisarza, nie mogącego się zdecydować na stanowcze równouprawnienie artystyczne różnych żywiołów wchodzących do jego utworu.

Albo więc jednostronność, albo mętność zapatrywania się na sprawy ogólne zarzucić mu wypadnie—albo też i jedno i drugie razem. W każdym wypadku obrazowi jego brak będzie prawdy dziejowéj, nie w szczegółach materyalnych, gdyż te są zawsze wiernie według historyi skreślone, ale w ich skupieniu i w ich oświetleniu. I dlatego to owa prawdziwie tragiczna chwila w dziejach naszych, tak potężnie odtworzona przez Szajnochę w „Dwu latach," nie wywiera w powieści Sienkiewicza tego wrażenia, jakiego doznajemy przy jéj obrazie w dziele historyka. Nie wzbiera pierś bólem, nie drga niepokojem,

nie wzrusza się umysł, nic zapładnia myśl, tylko serce unosi się dumą, iż tak wielkich miała ojczyzna w nieszczęściu obrońców... Przeciwko wzbudzaniu takiego uczucia nie mamy oczywiście nic a nic, ale wolelibyśmy, ażeby ono powstawało tam, gdzieby mogło znaleść rzeczywistszą podstawę, aniżeli w początkach wojen kozackich.

II.

Od historyi rzeczywistéj przechodzimy do téj, którą powieściopisarz obmyślił, ażeby dopełnić opis działań politycznych i wojennych przedstawieniem dziejów serca ludzkiego i scen życia powszedniego.

Rozpoczyna się ta historya od prawdziwie zajmującéj a pięknie, na wzór Dumasa ojca skreślonéj sceny, w któréj powracający z Krymu Skrzetuski ocala życie ściganemu przez zemstę osobistą Bohdanowi Chmielnickiemu. Umiejętnie bardzo i z prawdziwym smakiem artystycznym umieścił ją autor na początku w kształcie prologu; ona bowiem służy mu następnie do uprawdopodobnienia kilku sytuacyj, które bez niéj nie mogłyby nabrać tego charakteru, jaki im chciał nadać powieściopisarz. Chmielnicki przez wdzięczność ocala życie Skrzetuskiemu, darzy go pewnego rodzaju zaufaniem i szacunkiem, przed nim stosunkowo najotwarciéj i najszczerzéj spowiada się ze swoich uczuć i zamiarów, przebacza mu prawdomówność, dozwalając sobie wypowiedzieć to, czegoby od innych nie ścierpiał; jedném słowém bez wyraźnego wmieszania się autora, odkrywa nam najwewnętrzniejszą treść duszy, o ile to naturalnie autor uważał za potrzebne.

Skrzetuski, po oswobodzeniu Chmielnickiego, odbywa dalszą drogę, dążąc do Łubien (1), siedziby księcia Wiśniowieckiego, którego był dworzaninem. Za przybyciem do Czehryna w Dzwonieckim kącie u Dopuła zapoznaje się z dwoma ludźmi, których losy miały się następnie tak ściśle związać z jego własnemi. Jeden był „otyły szlachcic, który miał bielmo na jedném oku a na czole dziurę wielkości talara“; nazywał się Zagłoba, pił za dziesięciu (byle nie za swoje pieniądze), łgał za stu, drwinkował ze wszystkich ludzi potulnych, a zmykał przed odważnemi. Drugim był duży, chudy Litwin, z ogromnym mieczem „pod pachą“, uśmiechający się na wszystko łagodnie, pozwalający się odrwiwać i ośmieszać; nazywał

---

(1) Tę formę ma Twardowski w „Wojnie Domowéj.“ Sienkiewicz stale używa formy *Łubniów*.

się Podbipięta herbu Zerwikaptur z Myszykiszek; słuchał on ciekawie, odzywał się rzadko, a kiedy się odezwał, to zazwyczaj kilkoma tylko wyrazy, z których najulubieńszemi były: *słuchać hadko*; zrobił ślub czystości, dopóki od jednego zamachu nie zetnie razem trzech łbów pogańskich, jak niegdyś jego przodek.

W dalszéj podróży, po przeprawie przez Dniepr, nastąpiło nowe spotkanie, nowa znajomość. Jak Romeo marzy jeszcze o Rozalinie, zanim poznał Julią, tak Skrzetuski rozmyśla o „słodkich jak miód“ oczach Anusi Borzobohatéj, zanim na drodze do Łubien, gdzie taż przebywała, nie dojrzał innéj pary oczu, co go miały ku sobie nazawsze pociągnąć. Ta para oczu „czarnych, aksamitnych, a łzawych, a mieniących się, a ognistych“ należała do panny „wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych, z rarogiem na ramieniu.“ Ujrzawszy je p. Skrzetuski, który widocznie był trochę literatem, choć o tém autor nas nie uprzedza, pomyślał sobie: „Czy Juno we własnéj osobie, czy inne jakoweś bóstwo“ i już miał rozpocząć mowę od słów: „Jeśliś jest śmiertelną istotą a nie bóstwem...“ gdy wtém raróg, postawiwszy jednę nogę na ręku panny, drugą chwycił się jego dłoni i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć. Przy tak szczególnym wypadku, który za wróżbę poczytano, zawarta znajomość z Heleną z Kniaziów Bułyhów-Kurcewiczówną, sierotą krzywdzoną przez stryjenkę, bardzo szybko przemieniła się w miłość silną i niepokonaną. Lecz jéj na wstręcie stanęła inna miłość, miłość Bohuna, walecznego a namiętnego syna stepu, poetycznego jak kozacy Zaleskiego, ale realniejszego od nich. Pierwsze ich zetknięcie się jest wysoce znamienne. W Skrzetuskim widnieje ogłada zewnętrzna człowieka ucywilizowanego, w Bohunie na półdzika szorstkość i gwałtowność. Przewyborny obrazek skozaczałéj rodziny kniaziów Bułyhów, wśród któréj wyróżnia się brat najstarszy, z wypalonemi przez Tatarów oczyma, oddany rozmyślaniu, cierpiący manią religijną i oczekujący przyjścia apostołów. On i kniaziówna Helena, oboje nieszczęśliwi, razem najczęściéj przebywali, gdyż gra na lutni i śpiew dziewczyny działały na umysł chorego uspakajająco, wprawiając go w stan pół-snu, pół-odrętwienia. Skrzetuski poznawszy szybko usposobienie rodziny i znaczenie w niéj Bohuna, nie tracił czasu na długie korowody, krótko i węzłowato zagroził księżnéj wdaniem się Wiśniowieckiego w sprawę Heleny, któréj był opiekunem, i wymógł przyrzeczenie oddania sobie jéj ręki, pomimo że już była poprzednio obiecana Bohunowi.

Tym sposobem został zadzierżgnięty węzeł powieściowy. Kto go rozwiąże czy Skrzetuski czy Bohun — oto kwestya zajmująca

głównie ciekawość czytelnika. Kwestyą postawił Sienkiewicz wybornie, ale jéj nie przeprowadził odpowiednio. Przeciwnicy wystąpili przeciwko sobie, nasrożyli się, ale nie stoczyli walki, ani na początku ani w dalszym ciągu, ani w końcu powieści. Bohun przynajmniéj działa we własnéj sprawie, ale Skrzetuski rychło odstępuje pieczę o nią swoim towarzyszom, przyjaciołom i słudze. Trudno dopatrzéć się głębszego jakiegoś powodu, dlaczego powieściopisarz tak pokierował swoje opowiadanie. Możnaby wprawdzie przypuścić, iż Skrzetuskiego odsunął autor od starań o szczęście osobiste, ażeby go zwrócić całkowicie na drogę obowiązku społecznego. Alcż i towarzysze jego w podobném znajdowali się położeniu i, lubo robili starania o odbicie Heleny Bohunowi, w niczém przecież powinności swoich rycerskich nie zaniedbali. Możnaby jeszcze mniemać, że w Skrzetuskim chciał powieściopisarz pociągający kobiety smętek odmalować, a przytém jednak zauważyć, że postradawszy nawet nadzieję połączenia się z osobą ukochaną, można żyć i działać pożytecznie. Ale pomijając już tę okoliczność, że dowodzenie takiego morału jest bardzo podrzędną rzeczą dla artysty, który ma za cel uwydatnienie objawów życiowych w ich konsekwentnym rozwoju, powiedziéć wypada, że w takim razie morał wynikł-by połowiczny, gdyż ostatecznie Skrzetuskiemu upragnione szczęście dostaje się w udziale, nie przez własne wprawdzie zabiegi, ale chyba jako wynagrodzenie jego rezygnacyi; stąd téż dla czytelników a zwłaszcza czytelniczek ta jego rezygnacya wydać się musi trochę sztuczną i trochę nieszczerą. A w dodatku nasuwa się przypuszczenie, że ten szczęśliwy koniec wielkich niepokojów był do pewnego stopnia ustępstwem dla sentymentalnego nastroju czytelniczek, pragnących, żeby przezwyciężywszy wszelkie trudności Numa koniecznie poszła za Pompiliusza...

Bądź-co-bądź Skrzetuski przybywszy do Łubien i zdawszy sprawę księciu ze swego poselstwa do chana, nudził się wśród dworskiego otoczenia; oczy Anusi już go nie ciągnęły ku sobie; jak zakochany Celadon chronił się przed gwarem do gaju, i „zamiast strzelać do ptaków rozpamiętywał; przed oczyma jego duszy stawała przywoływana pamięcią i sercem postać kochanéj dziewczyny; tam wśród mgły, szumu oczeretów i melancholii owych miejsc doznawał ulgi we własnéj tęsknocie.“ Ale niebawem obficie spadające deszcze wypłoszyły z gaju rozamorowanego namiestnika. Wówczas opanowywać go zaczęła trwoga o los Heleny, wyprawił więc sprytnego sługę, Rzędziana, na zwiady. Ten doskonały Sanszo-Pansa, przebiegły, chciwy na podarunki i pieniądze, myślący ciągle o zbogaceniu się ale przywiązany do pana, przywozi list od kniaziówny,

list bardzo zręcznie w stylu archaicznym przez autora skomponowany, ale mający tę wadę, że znać w nim kompozycyą, przy któréj powieściopisarz pobłażliwie się uśmiechał nad własném dziełem. List ten uspokoił Skrzetuskiego.

Kiedy pierwsze wieści o ruchach chłopskich doszły do Łubien i kiedy książę postanowił wyprawić kogoś do Siczy na zwiady, wyprosił sobie tę misyą Skrzetuski, mając zamiar zajechać po drodze do Rozłogów. Pojechał, widział się z Heleną, porozmawiał, ale już jakoś nic przypominał sobie frazesów literackich, tylko, jako „człek porywczy“ usta całował i zazuli o liczbę przyszłych chłopczysków pytał, przekomarzając się z narzeczoną.

Rozstawszy się z nią, dostaje się do Kudaku, a lubo go przestrzegano, żeby na Niż się nie puszczał, bo wpadnie w ręce zbuntowanéj czerni, nie dba o nic, a ufny trochę w swoję godność poselską, wyprawia Rzędziana do Rozłogów, sam zaś z dodanemi w Kudaku ludźmi płynie w dół Dniepru. Schwytany po mężnéj obronie, stawiony przed Chmielnickiego, hardo odpowiada i nie chce korzystać z warunkowéj wolności, jaką mu dawał dowódca kozactwa. Tym sposobem staje się nieczynnym obserwatorem klęsk poniesionych pod Żółtemi Wodami i Korsuniem, a w dodatku choruje. Wypuszczony wreszcie na wolność bez żadnego warunku, dąży do Rozłogów, widzi ich ruinę, wydaje krzyk nie ludzki, straszny, potém niemo rozgląda się do około, traci przytomność, niczyjego głosu nie poznaje, nie słyszy; trzeba było sięgnąć aż do najwcześniejszych wspomnień dzieciństwa, trzeba było przemówić do niego słowami pacierza, ażeby obudzić w nim ducha, ażeby wydobyć głos niezmiernego bólu, ale i rezygnacyi zarazem. „Bądź wola Twoja jak w niebie tak na ziemi“—oto słowa, któremi dał znak życia, ażeby płaczem w bólu sobie ulżyć.

Cóż się stało w Rozłogach? Bohun, dowodzący kozakami wiernemi jeszcze wtedy rzeczypospolitéj w Czehrynie, pochwycił Rzędziana, a wskutek gadatliwości Zagłoby, który teraz pił na jego koszt, i łgał postaremu, dowiedział się, że to pachołek Skrzetuskiego. Rzecz naturalna, odebrał od niego list do Heleny pisany i wściekły, o mało na śmierć nie zabiwszy Rzędziana, popędził wraz z kozakami do Rozłogów. Pojechał z nim i Zagłoba. Powody, dla których tak zrobił, odsłaniają nam bliżéj charakter jego. „Jechać było niebezpiecznie, bo znaczyło to samo, co *wrazić się* w wojennych, surowych czasach w awanturniczą, gardłową sprawę. A zostać? Czerń istotnie czekała tylko wieści z Siczy, chwili, hasła do rzezi, a możeby i nie czekała nawet, gdyby nie tysiąc semenów Bohuna i jego wielka powaga na Ukrainie. Mógł się wprawdzie pan Zagłoba schronić i do

obozu hetmanów, ale miał swoje powody, dla których tego nie czynił. Była-li to kondemnatka za jakie zabójstwo, czy téż mankamencik w księgach, on sam jeden tylko wiedział, dość, że nie chciał w oczy leźć" (II, 14). Widząc wszakże bliższe niebezpieczeństwo w pozostaniu na miejscu niż w oddaleniu się z Bohunem, wybrał złe mniejsze i pojechał.

Bohun w Rozłogach stoczył krwawą walkę z kniahinią i dwoma jéj synami; zabił ich, lecz i sam został ciężko raniony. Przy życiu utrzymali się Helena, oczekujący apostołów Wasyl i Zagłoba, który podczas walki skrył się był w jakiś zakątek. To co potém nastąpiło, staje się dla czytelnika psychologiczną łamigłówką. Tchórz i nikczemny samolub, jakim poznaliśmy dotychczas Zagłobę, przemienia się na człowieka, który naraża swe życie, ażeby ocalić życie Helenie. Ten, co z charakteru swego powinienby był co najprędzéj wyplątać się z sytuacyi i uciec corychléj, obmyśla środki zaplątania się w gorszą awanturę. Co go skłonić mogło do tego kroku, będącego w rażącéj sprzeczności z jego charakterem? Czy pożądliwość? Bynajmniéj; on ani na chwilę nawet o niéj nie pomyślał. Czy przyjaźń dla Skrzetuskiego? Ależ on go raz tylko widział w Dzwonieckim kącie wśród pijatyki. Tego przełamania instynktu zachowawczego nie tłómaczy w Zagłobie nic, tylko chyba samowola powieściopisarza, któremu potrzeba było figurę tę zużytkować.

A jak w Zagłobie dziwimy się przytajeniu miłości do życia, bez żadnego powodu, tak znów w Helenie, którą jako idealnie szlachetną poznaliśmy, przykro uderza nas zapomnienie o miłości bliźniego. Ona, co była jedyną pocieszycielką ślepego Wasyla, ona, która wiedziała, że bez niéj on zginąć musi w opustoszałym dworze, nie tylko nie zawahała się opuścić go, ażeby uciec z Zagłobą, nie tylko nie doznała z tego powodu choćby lekkiego wyrzutu sumienia, ale nawet słówkiem o Wasylu nie wspomniała, tak jakby tenże wcale nie istniał.

Ten podwójny błąd w przedstawieniu duszy osób czyni wielką ujmę powieści, odbiera wiarę w prawdę malowanych postaci, gdyż te nie rozwijają się same według przyrodzonéj natury swojéj, ale wprawiane są w ruch przez autora, któremu pewne kombinacye tak lub inaczéj rządzić niemi nakazują.

W ucieczce rozwija Zagłoba pomysłowość dowodzącą, że był nietylko zdolnym do zmyślania przygód, ale i do stawiania im czoła. Szereg tych przeszkód, jakie miał do pokonania, jadąc konno a następnie przebrany za dziada prowadzony przez Helenę w ubiorze prowodyra, jest bardzo zręcznie pomyślany i przeprowadzony; jest-to niewątpliwie jeden z najbardziéj zajmujących ustępów książki.

Sądzone wszakże z punktu realistycznego, przygody Zagłoby i Heleny przedstawiają się tak jak większa część awantur opowiedzianych przez Dumasa-ojca; nie można im zarzucić wprost nieprawdopodobieństwa, ale raczéj dziwimy się wynalazczości umysłu powieściopisarza, aniżeli wierzymy w odpowiadającą im rzeczywistość; wydają się nam raczéj z fantazyi wziętemi niż odtwarzającemi prawdę.

Dla objaśnienia tych słów jeden przykład. Zagłoba i Helena nocują w stepie. Konie puszczone na paszę odeszły „o trzysta kroków.“ Przyszły wilki, jednego konia „porżnęły,“ drugiego skaleczyły niebezpiecznie. Przytém zarówno konie jak wilki bardzo przyzwoicie rolę swą odegrały. Nie zbliżały się do śpiących, ażeby im snu nie przerywać; wyły zaś i chrapały bardzo dyskretnie, tak żeby tylko Helena usłyszéć je mogła; nareszcie odezwały się głośniéj, widocznie chcąc zawiadomić tchórzliwego Zagłobę, że już niema niebezpieczeństwa; jakoż gdy wstał i wystrzelił (nie wiadomo w jaki przedmiot), już wilków nie było; zapewne przeczuły dzielnego pogromcę....

Jakkolwiekbądź Zagłoba Helenę ocalił i umieścił ją w bezpiecznem, jak mu się zdawało miejscu, u mniszek w Barze. Lecz Bar został wzięty i to wzięty przez Bohuna, który Helenę uwiózł daleko od oczu ludzkich w głuchą pustynię Czortowego jaru. Gorącemi wyznaniami miłości starał się wymodlić u Laszki choć słówko, ale gdy dokazać tego nie mógł, zostawił ją pod nadzorem młodéj czarownicy Horpyny, któréj śmiech podobny był do rżenia kobyły, a sam poszedł... rżnąć Lachów. Czy tym sposobem chciał serce swéj lubéj pozyskać, powieściopisarz nie objaśnia, lubo czytelnik jakieś wyjaśnienie znaleść-by przecie pragnął. Bohuna wystawia jako człowieka całkowicie opanowanego przez namiętność; czcił on i szanował Helenę, na jéj słowo wszystkoby poświęcił; zdawaćby się mogło, że straciwszy nadzieję ujęcia sobie jéj serca, mógłby albo całkiem zapomniéć o świecie i jak pies położyć się u progu chaty, gdzie luba spoczywała, albo też i ją i siebie zabić. Być może, że licząc na wpływ czasu, odwlókłby tę stanowczą chwilę, ale chcąc dopomódz temu wpływowi, walczyłby w sprawie miłych jéj Lachów.

Bohun nic z tego nie robi, odjeżdża i spotyka się naturalnie z przyjaciołmi Skrzetuskiego. Raz zaskakuje jego oddział pijanego Zagłobę, tak że ten już nie wątpi o śmierci, ale szczęśliwy zbieg okoliczności pozwala mu nie tylko się ocalić, ale żołnierzy Bohuna przepłoszyć i jego samego na wielkie niebezpieczeństwo narazić. Drugi raz spotyka się oko w oko z tymże Zagłobą jako poseł Chmielnickiego do kanclerza; wtedy przemyślny Zagłoba zręcznie namawia

towarzysza swego, Wołodyjowskiego, małego wzrostem, ale dzielnego ramieniem, do odbycia z kozackim watażką pojedynku. Pojedynek wypadł dla Bohuna niepomyślnie; raniony był tak, że nikt już widzieć go żywym nie spodziewał się. A jednak wyszedł z téj biedy zdrowo, tylko już miłéj Heleny nie ujrzał.

Długo jéj kryjówka była przyjaciołom Skrzetuskiego nieznana, aż nareszcie dowiedział się o niéj podstępem wierny Rzędzian a podzieliwszy się tą wiadomością z Zagłobą i Wołodyjowskim, poszedł wraz z nimi do Czortowego jaru. Zabiwszy Horpynę, uprowadzili kniaziównę. Rzędzian odwiózł ją wtedy w miejsce niewątpliwie już bezpieczne.

Poza historyą miłosną jest jeszcze historya osobna tych kilku indywiduów, które weszły w stosunki bliższe ze Skrzetuskim. Zagłoba, Podbipięta, Wołodyjowski to jakby Portos, Atos i Aramis w towarzystwie D'Artagnana-Skrzetuskiego. Ich widzimy, począwszy od drugiego tomu prawie ciągle na widowni powieściowéj, na ich działaniu skupia się uwaga czytelnika, oni stanowią ten pierwiastek ruchu, który opowiadanie naprzód posuwa.

Znamy już Zagłobę. Raz przyjąwszy niewytłómaczony fakt jego przeobrażenia, gdy powziął zamiar uwiezienia Heleny, już w dalszym ciągu widzimy w nim charakter jednolity. Łgarz i samochwalca, tchórz i pijak, ma przecież w gruncie poczciwe serce, umie się nawet rozczulać; przyciśnięty koniecznością staje się rozpaczliwie odważnym. Konceptu nigdy mu nie brakuje, a jakkolwiek dowcipy jego są zazwyczaj mieleniem niedorzeczności, trafiają mu się i rzetelnie wesołe pomysły. Rozjaśnia on oblicza, gdzie tylko się zjawi. Najpyszniejszym jest wówczas, gdy mimowoli staje się bohaterem, gdy tchórzostwo jego zbiegiem okoliczności zmusza go do popełnienia czynu, który zdaleka patrzący uważają za dzieło męstwa. Jakże szybko oryentuje się wtedy w swojém położeniu, jak umie wyzyskać przychylną dla siebie opinią, jak umiejętnie utwierdza wszystkich w tém mniemaniu, że podziwiać go i wdzięczni mu być powinni. Najwyższą jego chwałą było zabicie Burłaja. Ten widząc „ogromnego szlachcica, przebiegającego z rykiem żubrowym pobojowisko, zerwał się i szedł jak błyszczący płomień na niego.“ Zagłoba ryknął ze strachu jeszcze silniéj i zwrócił konia do ucieczki. „Reszta włosów stanęła mu dębem na głowie, ale przytomności nie stracił, owszem fortele, jak błyskawice, przelatywały mu przez głowę, a jednocześnie wrzeszczał co siły: Mości Panowie, kto w Boga wierzy!.. i gnał, jak wicher, ku gęstszéj kupie jeźdźców. Burłaj zaś przebiegał mu od boku, jakoby po cięciwie łuku. Pan Zagłoba zamknął oczy, a w głowie szumiało mu: zdechnę, ja i pchły

moje! Słyszał za sobą prychanie konia, spostrzegł, że nikt nie idzie mu z pomocą, że nie uciecze i że żadna inna ręka, chyba jego własna, nie wyrwie go z burłajowéj paszczęki. Ale w téj ostatniéj chwili, w téj już prawie agonii, nagle rozpacz jego i przestrach zmieniły się we wściekłość; ryknął tak strasznie, jak żaden tur nie ryczy i zwinąwszy konia na miejscu, zwrócił się na przeciwnika. — Zagłobę gonisz!—krzyknął, nacierając z szablą wzniesioną. W téj chwili nowe stado płonących maźnic rzucono z okopów, *uczyniło się* widno; Burłaj spojrzał i zdumiał. Nie zdumiał, usłyszawszy imię, bo go nigdy w życiu nie słyszał, ale poznawszy męża, którego, jako bohunowego przyjaciela, ugaszczał niedawno w Jampolu. Ale właśnie ta nieszczęsna chwila zdumienia zgubiła mężnego wodza mołojców, bo nim się opamiętał, ciął go pan Zagłoba przez skroń i jednym zamachem zwalił z konia.“ Gdy go następnie żołnierze nieśli wśród okrzyków na ręku, powiadał: „Ha! zadałem mu pieprzu! Umyślnie udałem ucieczkę, żeby go za sobą wywabić. Nie będzie nam więcéj psubrat burłajował! Mości panowie! trzeba było dać przykład młodszym! Na Boga! ostrożnie, bo mnie uronicie i potłuczecie.“ Rzecz naturalna, odtąd opowiadanie o ścięciu Burłaja stało się przedmiotem ciągłych przechwałek walecznego Zagłoby, a doniosłość tego zwycięstwa rosła za każdym razem.

Zupełnie inszego rodzaju człowiekiem jest pan Longinus Podbipięta. Potulny i skromny, o swoich zasługach nigdy nie mówi; bo nie słowa ale czyny są jego istotą. Im bliżéj mu się przypatrujemy, tém lepiéj oceniamy jego wartość moralną. Rośnie on w oczach naszych na prawdziwego olbrzyma odwagi i poświęcenia. Te drobne śmieszności, jakie w jego mowie i zachowaniu się dostrzegamy, tém prawdziwszą postać jego nam przedstawiają. Dokonywa on wielu dzielnych czynów, spełnia szczęśliwie swój ślub, ścina od jednego zamachu trzy głowy tatarskie, lecz najpiękniejszą jest śmierć jego, kiedy wyszedłszy z oblężonego Zbaraża, ażeby donieść królowi o rozpaczliwym stanie oblężonych, zabiwszy wielu, pada pod strzałami Tatarów z modlitwą na ustach. Może jest trochę teatralności w tym obrazie, może wskutek tego wielka z pomysłu scena maleje w wykonaniu; ale bądź-co-bądź śmierć to prawdziwie bohaterska.

Jako drugi a szczęśliwszy od Podbipięty wysłaniec ze Zbaraża występuje pan Skrzetuski i silniéj się przez to zaznacza. I on niejednego czynu dokazał, ale po owym akcie rezygnacyi, jako doskonałość papierowa, a nie indywiduum żywe ginął trochę wśród barwniejszych od siebie osobistości a wypływa znów na wierzch pod koniec utworu. Scena przeprawy przez staw, którą widocznie chciał powieściopisarz jeszcze bardziéj w pamięci czytelników aniżeli scenę

śmierci Podbipięty utrwalić, nie robi należytego wrażenia. Zbyt nerwowym zrobił na tę chwilę Skrzetuskiego, zbyt podobnym do dzisiejszego rozpieszczonego pokolenia. Żołnierze zostający tak długo w oblężeniu mieli niejednokrotnie sposobność bardzo bliskiego stykania się z trupami, ażeby na nich jakieś denerwujące wrażenie robić mogły. Żołnierze XVII wieku lękali się niewątpliwie dyabłów, upiorów i czarów, ale z trupami byli dobrze spoufaleni. Stąd gdy czytamy w opisie tego brodzenia przez staw błotnisty: „długie łodygi grzybienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może nurek topielec obejmuje go, aby nie puścić *więcéj*; Jezus, Marya! Jezus, Marya!—szeptał bezustanku;“ to się nam przypomina Kordyan, dziecię wieku XIX, ale nie towarzysz zpod chorągwi Wiśniowieckiego. Krótko i węzłowato, ale zgodniéj z krzepkim duchem rycerstwa, tę samę wyprawę opowiedział Twardowski. Jego Skrzetuski nie roi sobie fantasmogoryj i nie lęka się ich, bo to twarda i przemyślna sztuczka:

> Tedy się obierze
> Zpod chorągwie towarzysz-że w prostym ubierze
> Piuhatera jednego, czuhaj wdziawszy ruski
> I gońkę i postoły, — niejaki Skrzetuski
> Drogi się téj podejmie i od wodzów listy
> Owe weźmie. Toż w nocy tedy przezroczystéj
> W staw najpierwéj przyległy śmiało się ochynie,
> I z tymi gdy szczęśliwie (dziwna rzecz!) przepłynie
> Najmniéj nie zmoczonymi, po trawach czołgając,
> I szczero-prawdziwego Rusina kłamając,
> Dobierze się Załoziec... (*Wojna Domowa*, str. 77)

Taki Skrzetuski jest niewątpliwie prawdziwszym i poetycznie lepszym podobno bohaterem, niż zbyt miękki i zbyt wrażliwy ulubieniec Sienkiewicza.

Wołodyjowski wreszcie, ten wiecznie kochliwy „mały rycerz,“ a zawsze gotowy do walki choćby dla zabawki, wylany dla przyjaciół, wesoły, znoszący bez sprzeciwiania się przechwałki Zagłoby, nadstawiający zań grzbieta i głowy, nie ma wprawdzie rysów bardzo wybitnych, ale w tym charakterze średniéj miary jest dobrze utrzymany. Najznakomitszym jego czynem jest pojedynek z Bohunem, wyzyskiwany następnie przez Zagłobę na cześć własną, bez protestu ze strony Wołodyjowskiego.

Oprócz tych postaci głównych jest jeszcze oczywiście wiele innych figur podrzędnych, epizodycznych, a wszystkie bez wyjątku z właściwym sobie odrębnym charakterem grubszemi ale zawsze znamiennemi rysami nakreślonych. Nie wchodząc tu w ich opis, zaznaczyć należy ógólnie wielkie bogactwo, wielką rozmaitość tempera-

mentów. Wszystkie one żyją życiem własném: czy to Zaćwilichowski, Barabasz, Grodzicki, Charłamp, czy Kisiel, Tyszkiewicz, czy Tuhaj-bej, Krzeczowski lub Krzywonos.

III.

Co do artystycznego obrobienia, to u tak znakomitego stylisty, jakim jest Sienkiewicz, nie mogło być inne jak znakomite.

Talent-to w najpełniejszém znaczeniu wyrazu plastyczny. Ludzi jego, krajobrazy i sceny widzi się wyraźnie w całéj ich postaci i rozmiarze, w całéj różnorodności barw i odcieni. Każda z występujących osób ma właściwy sobie język, którego nie zapomina nigdy, bo jest jéj przyrodzony, z nią razem stworzony. Jeżeli przypomnimy sobie znaczną liczbę tak głównych jak podrzędnych kreacyj, to ogarnie nas zdumienie nad obfitością w utworzeniu i konsekwencyą w przeprowadzeniu tych różnorodnych sposobów wyrażania się.

Z tym nadzwyczajnym talentem łączy się szczęśliwie utrzymana miara artystyczna zarówno w nastroju całości jak szczegółów, zarówno w rysunku postaci jak w nakładaniu barw. Biorąc ogółem autor nie daje się unieść ani niepotrzebnemu liryzmowi, ani zbyt chłodnemu i wyrachowanemu rozsądkowi, nie popada ani w przesadną patetyczność ani w poziomą trywialność; nie pozwala się przechylić zanadto ku jaskrawości, ani téż nie dopuszcza wyblakłości. Nad wszystkiém panuje rozmysł artystyczny do wysokiego stopnia wyrobiony i pewny siebie.

Gdyby te przymioty w najwyższéj istniały skali i gdyby spółdziałały z sobą zawsze harmonijnie, mielibyśmy arcydzieło stylu. Zbliża się wprawdzie do niego powieść „Ogniem i mieczem“, ale niém nie jest.

Bezwarunkowo najlepszemi w utworze są te drobne rysy, w podpatrywaniu i odtwarzaniu których Sienkiewicz jest istotnym mistrzem. Dosyć sobie przypomniéć dwór kniaziów Bułyhów w Rozłogach lub tę procesyą w Zbarażu, podczas któréj ks. Jaskólski, dawniéj żołnierz przesławny, zézował ku obozowi kozackiemu i nie mogąc wytrzymać mruczał: „kury im sadzać nie z dział bić,“ albo trzeźwienie Rzędziana przez Zagłobę, który lejąc mu wino w gardło, dogadywał: jeśli mu wino nie pomoże, to zełgał, że szlachcic. Takich rysów i podobnych scen jest w powieści bardzo dużo. Ale połączenie scen w wielki obraz ma już znaczne braki.

Jak pod historycznym tak i pod artystycznym względem zaznaczyć tu można pewną jednostronność. W treści opowiadania przeważa zanadto żywioł wojenny. Autor na wzór naszych daw-

nych poetów, Twardowskiego i Potockiego cały ciąg wydarzeń w chronologicznym przedstawia porządku, tam tylko zaniedbując malowniczego i szczegółowego opisu bitew, gdzie z pewnych powodów, o których poprzednio mówiliśmy, nie chciał robić większego nacisku. Nie można tu twierdzić, iż bitew tych i potyczek powinno być w powieści wiele, ponieważ było ich dużo w rzeczywistości, bo ażeby artystycznie dać poznać jakiś wypadek, nie potrzeba go koniecznie z całą drobiazgowością kronikarza przedstawiać, jak chcąc odmalować bujną cauprynę nie potrzeba znać dokładnie liczby włosów ją składających. Parę bitew umiejętnie wybranych wystarczyłoby dla celów artystycznych; a miejsce przez opuszczenie innych uzyskane, możnaby było na wszechstronniejsze zobrazowanie ówczesnego życia obrócić. Uniknęłoby się przez to téj jednostajności, która pomimo całego talentu autora, daje się przecież uczuć czytelnikowi, a co ważniejsza uniknęłoby się tego fałszywego wniosku, jaki się z odczytania „Ogniem i mieczem“ nasunąć może, iż całe życie polityczne i społeczne ówczesnéj rzeczypospolitéj skupiało się wyłącznie na Ukrainie, albo nawet w obozie Jeremiego Wiśniowieckiego. Ogólne stosunki polityczne kraju, które zarówno dla zrozumienia sytuacyi na Ukrainie jak dla wytłómaczenia niektórych faz zatargu rzeczypospolitéj z kozakami byłyby potrzebne, nie zostały nawet zaznaczone. Rola Ossolińskiego, jakkolwiek ją oceniać zechcemy, zawsze jednak nader ważna w ówczesném działaniu, nie przeprowadzona w akcyi, znajduje ogólnikowe napomknienie dopiero przy końcu dzieła. Elekcya króla wraz z zarysem stronnictw zaledwie dotknięta. Widownią działania w pierwszym tomie wyłącznie, w następnych, z bardzo drobnemi wyjątkami, jest Ukraina. A tu na Ukrainie widzi autor tylko szlachtę i kozaków i czerń bezimienną. Ani szlachta niewojenna, ani mieszczanie, ani żydzi nie występują w akcyi, tylko jako ofiary rzezi. Zarówno mieszczanie np. lwowscy, jak szlachta szukająca schronienia w miastach lub zatrzymująca oddech po wsiach, jak żydzi, budzący taką w czerni nienawiść, mogli być odmalowani zarówno z dodatniéj jak z ujemnéj strony. Dla dopomożenia fantazyi powieściopisarza nie brak nawet materyałów. Nie mówiąc o powszechnie znanych, możnaby np. zwrócić uwagę na opowiadanie żyda Natana Hannowera, spółczesnego wypadkom. Opisuje on między innemi scenę w Tulczynie godną artystycznego upamiętnienia. Zamknięci i otoczeni w ogrodzie żydzi przez czas długi dręczeni byli przygnębiającém oczekiwaniem. Pomiędzy niemi było trzech starszych rabinów: Łazarz, Salomon i Chaim, którzy upominali spółwierców, ażeby wytrwali w swéj wierze. Tłum odpowiedział im jednogłośnie słowami Deuteronomium: „Słuchaj Izraelu,

Pan Bóg nasz—Bóg jeden. Jak w waszych sercach jeden jest tylko Bóg, tak i w naszych.“ Przyszedł następnie wysłaniec od kozaków, który zatknąwszy chorągiew w ziemi, donośnym głosem zawołał: „Kto zechce zmienić wiarę, zostanie przy życiu. Ci niech siądą pod tą chorągwią.“ Ale nikt mu na to nie odpowiedział nic. Gdy po trzykrotném wezwaniu nie otrzymał odpowiedzi, otworzył wrota ogrodowe; rozwścieczony tłum kozacki rzucił się niemi i wymordował w najróżnorodniejszy sposób około 1500 ludzi, a w ich liczbie trzech owych starszych rabinów.

Co do samych obrazów bitew, dotychczas mówiono o nich tylko z największemi pochwałami. Jako niekompetentny, nie mogę wypowiadać swego sądu, co do szczegółów; lecz jeżeli mi wolno podzielić się wrażeniem, jakie wywiera ich ogół, tobym wyznał, że wrażenie to ma wielkie podobieństwo do odczuwania bitew malowanych.

Wytlómaczę się z tego na przykładzie. Po zdradzie Krzeczowskiego, pozostał wiernym rzeczypospolitéj regiment knechtówpod dowództwem Jana Wernera, który postanowił bronić się do upadłego. Było to na Dnieprze około południa. Werner wydał cicho rozkazy, by bajdaki przysunąć do siebie, tak aby utworzyły jedno zwarte koło. Na okręgu tego koła, stanął mur piechurów, ludzi rosłych i silnych, przybranych w żółte kolety i takiejże barwy kapelusze, w zupełnym szyku bojowym, z *lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału* i z muszkietami przy prawym boku. Werner rozmawia z Krzeczowskim, zachęcającym do przejścia na stronę Chmielnickiego, a knechci w owéj pozycyi stoją. Krzeczowski daje czas do namysłu, póki słońce nie zajdzie. Knechci wciąż stoją. „Bajdaki kozackie otoczyły ciaśniejszym pierścieniem Niemców, którzy zachowywali chłodną postawę, jaką tylko stary i bardzo wyćwiczony żołnierz zdoła zachować wobec niebezpieczeństwa. Na groźby i obelgi, wybuchające co chwila z kozackich bajdaków, odpowiadali pogardliwém milczeniem. Był-to prawdziwie imponujący widok tego spokoju wśród coraz silniejszych wybuchów wściekłości ze strony mołojców, którzy potrząsając groźnie spisami i piszczelami, zgrzytając zębem i klnąc, oczekiwali niecierpliwie hasła do boju. Tymczasem słońce, skręcając od południa ku zachodniéj stronie nieba zdejmowało zwolna swoje złote blaski z lachy, która stopniowo pogrążała się w cieniu. Nakoniec pogrążyła się zupełnie.“ Wówczas to dopiero, na dany znak, Niemcy huknęli z muszkietów i nastąpiła bitwa.

Na obrazie, który jak naturalna, jednę tylko chwilę wystawić może, istotnie imponującym byłby widok tych spokojnie stojących niemców „z lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału i z muszkietami przy prawym boku;“ ale w powieści kazać stać w téj pozycyi od

południa do zachodu słońca, to może trochę zadużo liczyć na wytrwałość muszkułów choćby starego i bardzo wyćwiczonego żołnierza. Ta niewygodna pozycya nie usprawiedliwia się nawet konieczną potrzebą, gdyż czas do namysłu dany był do wieczora, a kozacy, którzy niemców dla siebie chcieli pozyskać, nie mogli zamierzać podstępnego ich wymordowania. Pociąg do malowniczości przemógł u artysty nad dbałością o prawdę realną.

Od obrazów wojennych, z pomiędzy których wyróżnić-by jeszcze wypadało wyborne sceny narad kozackich i rozmów Chmielnickiego z Tuhaj-bejem przejdźmy do malowania przygód. Wspomniałem już, że Sienkiewicz, idąc za wzorem powieściopisarzów francnskich, rozwija zasoby kombinującéj wyobraźni w obmyślaniu trudności i środków przełamania ich. Tak się rzecz ma mianowicie w ucieczce Zagłoby z Heleną a następnie w uwiezieniu jéj z Czortowego jaru. Oddając należne uznanie pewnéj ruchliwości fantazyi autora, wytknąć mu przecież wypadnie, że nie potrafił zadość uczynić surowym wymaganiom artyzmu, że raczéj chciał drażnić ciekawość czytelnika, aniżeli spełnić artystyczne zadanie w raz obranym kierunku. Nie jestem ja wielkim zwolennikiem tego rodzaju sztucznych nieraz pomysłów, ale zdaje mi się, że konsekwencya wszędzie, a więc i w utworach piękna, nigdy nie zaszkodzi. Téj konsekwencyi w rozwijaniu przygód u Sienkiewicza nie widzimy. Zacząwszy bowiem opisywanie przypadków czy Zagłoby z Heleną, czy Zagłoby z Wołodyjowskim i Rzędzianem, i doprowadziwszy je do pewnego punktu, urywa nagle szczegółowe przedstawienie, na to, ażeby późniéj w krótkich słowach dopowiedzieć ogólnikowo ich koniec. Przygody Zagłoby w ucieczce maluje autor szczegółowo tylko do przeprawy przez Dniepr, gdy tymczasem późniéj dowiadujemy się, iż Falstaf nasz odprowadził Helenę aż do Baru. Od Dniepru do Baru w prostéj linii jest 60 mil blisko. Jakim sposobem przebył tę przestrzeń, zajętą już w znacznéj części przez zbuntowane tłumy, przemyślny pan Zagłoba, jakich chwytał się konceptów, ażeby się z licznych trudności wywinąć: o tém dowiadujemy się tylko z łgarstw Zagłoby (II, 314—319), który, jak drugi Rykow, baje o swojéj umiejętności czarnoksięskiéj i o takiéjże sztuce Chmielnickiego. Podobnież dostanie się do Czortowego jaru i uwiezienie Heleny przedstawione malowniczo aż do chwili, w któréj napad tatarów przymusił rycerzy do rozłączenia. Rzędzian umknął z Heleną przodem, Zagłoba z Wołodyjowskim pozostali w tyle, ażeby zasłaniać ucieczkę. Jakim sposobem potrafił Rzędzian przedrzéć się przez Ukrainę w ogniu aż do Zamościa, o tém dziwny w ustach Rzędziana lakonizm powiada tylko tyle: „Silaby gadać, mój jegomość. Mało mię tatarzy nie uchwycili,

bom się przemykał koło Zbaraża między niemi a Burłajem. Oj ciasno tam było, tém bardziéj, że nie byłem sam... Chy, chy! mój jegomość. Umykałem, aż się kurzyło, i umknąłem aż pod Zamość“... Taka relacya nie może objaśnić nic.

Gdyby powieściopisarz wogóle nie wdawał się w szczegółowe malowanie przygód, ale zaznaczał je tylko; tobyśmy przyjęli jego sposób opowiadania bez zarzutu; ale gdy raz rozpoczął inną metodą, spodziewać się słusznie mogliśmy, iż jéj pozostanie wierny aż do zupełnego wyjaśnienia szczegółów sytuacyi. A nie chodzi tu o zaspokojenie ciekawości tylko; gdyż i pod czysto artystycznym względem utrzymanie się na jednym poziomie w raz obranym kierunku byłoby rzeczą pożądaną, nadawałoby bowiem opowiadaniu formę wykończoną, bez widocznych sklejań. Wymagania artyzmu stają się usprawiedliwieniem wymagań zwykłéj ludzkiéj ciekawości. Zdaje się, że autor „powieści z lat dawnych“ będąc wyznawcą pierwszych nie lekceważy i drugich... tylko nie chciał może zaspokoić wytężonéj uwagi czytelniczek, ale ją podrażnić.

Rzecz o przygodach naprowadza nas na stosunki gieograficzne. Od położenia miejscowości, od umiejętnego w nich oryentowania się powodzenie ich nieraz w wysokim stopniu zależy.

Sienkiewicz nie zna podobno Ukrainy z widzenia. Flaubert chcąc napisać *Salambô* odbył naumyślną podróż do Afryki, ażeby się przyjrzéć naturze i miejscom, które malować zamierzył. Może to nie jest zbyt wielkiém od powieściopisarza polskiego wymaganiem, ażeby, obrawszy Ukrainę za wyłączną niemal widownię swéj obszernéj powieści, zaznajomił się wprzódy z nią osobiście. Sądził może Sienkiewicz, że dokładne poznanie opisów Ukrainy wystarczy mu. Po części nie chybił w przypuszczeniu, a to tém bardziéj, że nader ostrożnie zapuszcza się w szczegóły krajobrazowe. Step jego jest stepem bardzo pięknie namalowanym, ale dość konwencyonalnym. O ileż barwniejszym przedstawia się w powieści Jeża „Z burzliwéj Chwili!“ Monografia p. Dubieckiego o Kudaku sprawiła, że Sienkiewicz zarysował nam Niż zgodniéj z prawdą, lepiéj od tych, co nas tam dotychczas prowadzili. Gieograficzne szczegóły są wogóle dobrze wystudyowane, tylko małe pod tym względem uchybienia lub zapomnienia zaznaczyć się dają. Gdy powiada np. „Wskutek wieści o postępach wojny domowéj na *lewym* brzegu i w skutek wrzenia między chłopstwem, całe szlacheckie Zadnieprze zwaliło się do Łubniów“ (II, 170); to trzeba czytać na *prawym* brzegu Dniepru; Łubny czy Łubnie leżały na lewym brzegu; wrzenie chłopstwa było istotnie i tutaj, ale wojna domowa szalała na prawym. Możnaby to wprawdzie poczytywać za omyłkę druku, gdyby w innném miejscu i to w bar-

dzo ważnėm nie powtarzało się toż samo. Zagłoba i Helena uciekają z Rozłogów, miejsca zbyt pamiętnego w dziejach miłosnych, opowiadanych przez powieściopisarza, ażeby o położeniu jego można było zapomniéć. Rozłogi tedy leżały na lewym brzegu Dniepru. Ponieważ zbiegowie kierują się ku Złotonoszy, leżącéj także na brzegu lewym, więc téj rzeki nie przebywają. A tymczasem na str. 131 tomu II powiada autor o Zagłobie: „I postanowił przeprawić się na *lewy brzeg dnieprowy.*“ Albo więc zapomniał o całym przebiegu ucieczki, albo téż bierze brzeg lewy za prawy. Z powodu tego poplątania miejscowości nie rozumiemy dostatecznie planów ucieczki Zagłoby. W stronę Łubien uciekać nie chce, gdyż się boi spotkać z Bohunem; o klęsce korsuńskiéj wie, a przecież lezie w same ognisko wojny i zaburzeń. W dodatku zaś pociesza się niezrozumiałą dla czytelników otuchą, mówiąc: „W Prochorówce Dniepr przejedziemy, a tam już moc hetmańska“ (II, 112).

Niepodobna téż zgodzić się, iżby trafnėm było wyrażenie (II, 207): „Chmielnicki, postawszy czas jakiś w Korsuniu, do Białocerkwi *się cofnął* i tam stolicę swą założył.“ Ponieważ Białocerkiew leży na północo-zachód od Korsunia, przeto o Chmielnickim, który przybywał z Niżu, powiedziéć chyba można, że się z Korsunia do Białocerkwi *posunął.*

Takie i tym podobne usterki nie szkodzą oczywiście dziełu, ale wytknięcie ich może nie będzie bez pożytku na przyszłość.

Pod względem nastroju można również znaleźć miejsca słabsze. Stosunkowo najczęściéj napotkać się daje w utworze pewna przesada i melodramatyczność. W dotychczasowéj twórczości swojéj Sienkiewicz nie miał pola do okazania swéj siły. Powieść „Ogniem i mieczem“ nastręczyła mu po temu sposobność. Starał się więc okazać ją, o ile na nią dotychczas się zdobył. Świetnych dowodów, takich, któreby równoważyły, pod względem znaczenia swego, znane objawy miękkości i rzewności naszego powieściopisarza, nie złożył, ale bądź-co-bądź dał niewątpliwe wskazówki, iż je kiedyś złożyć potrafi. Czasami tylko zapominał, że jak realizm nie polega na wypisywaniu w powieści takich wyrazów, które w zoologii tylko mają przywiléj wszystkich liter, tak wzniosłość i siła nie jest równoznaczna z teatralnością. Kiedy Chmielnicki w przemowie do Skrzetuskiego, wskazawszy mu płonącą kometę, ręce ku górze wyciągnął i zdawał się płonąć cały jak wielka pochodnia zemsty (I, 274), to możemy w nim tylko pozę podziwiać. A kiedy znów autor od siebie, uogólniając szczegółowe obrazy rzezi i mordów „niesłychanych od początku świata“, powiada: „Piekło odczepiło z łańcuchów wszystkie zbrodnie i puściło je na świat, by pohulały,“—to nam słowy temi przypomina

nie jeden melodramat. Nie powiemy téż, ażeby właściwemi były naśladowane z dawnych epopei, a po części z Pana Tadeusza zwroty czysto-poetyczne, jak np. „Wielu prostych rycerzy okryło się nieśmiertelną sławą w tym pamiętnym okopie zbaraskim, lecz lutnia będzie sławiła w pierwszym rzędzie pana Longina Podbipiętę, dla jego tak wielkich przewag, że chyba jego skromność mogła wejść z niemi w paragon“ (III, 613). Gdzie o lutni być może mowa jak w poezyi, tam uszedłby zwrot taki, ale w prozie brzmi dość dziwnie, a nawet dosłyszéć w nim można pewien drwiący odcień, który jest na miejscu w napół żartobliwym, lecz nie w całkiem poważnym nastroju.

Styl w ściślejszém znaczeniu wyrazu, wyborny w odtwarzaniu mowy osób, w opowiadaniu szczegółów, nie został utrzymany w jednostajnym tonie co do całości. W większéj części książki stara się przemawiać językiem archaicznie zabarwionym, który nie będąc ślepém naśladowaniem mowy XVII wieku, jest przecież całkiem różny od dzisiejszego. Wyrażenia łacińskie, umiarkowanie użyte, zabarwiają dykcyą, nie szpecąc jéj wszakże. Ale w niektórych ustępach nie umiał się utrzymać w tonie i wyrażeniach, lecz przemówił językiem wieku XIX. Najjaskrawiéj pod tym względem odbija zakończenie od początku powieści. W początku przybiera nie tylko mowę odmienną od dzisiejszéj, ale nawet lubi, dla wywołania większego złudzenia, podzielać przekonania i przesądy ogólne epoki dawniejszéj. W końcu zaś przemawia językiem i stylem własnym, ocenia ludzi i wypadki według pojęć dzisiejszych, indywidualnych. Dwa krótkie wyjątki dadzą o tém niejakie wyobrażenie.

„Rok 1647—tak rozpoczyna Sienkiewicz swą powieść—byłto dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia. Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanéj ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potém kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano téż nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach, odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastała tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnéj“ (I, 14).

Zupełnie w ten sam spoób rozpoczyna swoję „Wojnę Domową“ Samuel ze Skrzypny Twardowski.

Inaczéj w zakończeniu. Tu w charakterystyce Ossolińskiego widzimy wyraźny wpływ sądu Ludwika Kubali o tym polityku, a styl już jest właściwy samemu Sienkiewiczowi:

„Był-to gienialny teoretyk, który nie umiał być gienialnym praktykiem, i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoc w przyszłości, szedł ku niéj z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teoryi zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski. Chcąc wzmocnić rząd i państwo, rozpętał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nie tylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundyom, nadużyciom, swawoli szlacheckiéj, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa" (III, 715, 716).

Obok polskiego dość często w powieści pojawia się język małoruski. Rzeczą to było naturalną i dla charakterystyki narodowości potrzebną, ale na nieszczęście autor nie zna dobrze mowy Ukraińców i z form małoruskich bardzo często tworzy formy rosyjskie lub polskie. Zamiast wypisywać cały szereg przekrzywionych wyrazów, podam cały jeden frazes. Podczas posłuchania, jakie dał Chmielnicki poselstwu polskiemu, jeden z pułkowników, zamierzywszy się buławą na księdza Łętowskiego, zakrzyknął (według Sienkiewicza):

— Mołczy, pope, ne twoje dieło łeż mi zadawaty! Chody jeno na dwor, nauczu ja tebe pólkowników zaporoskich szanowaty!

W takim kształcie jest form rosyjskich, a trzy polskie. Frazes ten brzmiał zapewne inaczéj, a mianowicie:

— Mo*w*czy, pope, twoje to d*i*ło nam to zadawaty? Chody-no, pope, na dw*i*r: nauczu ja tam tebe jak zaporożśkich połkownik*i*w szanowaty! (Kostomarowa: Bohdan Chmielnicki, II str. 70 wyd. 4-go).

Przysłowiowego wyrażenia, jakiém się Chmielnicki posługiwał, — *szkoda howoryty* — widocznie autor nie zna, gdyż go, o ile pamiętam, ani razu nie użył, chociaż lubi zbierać takie rysy znamienne.

Brak zlania w jednę organiczną całość dwu pierwiastków składających „powieść z lat dawnych," jednostronność historyczna w malowaniu zdarzeń i osób, jednostronność artystyczna w daniu bezwzględnéj przewagi scenom wojennym, wadliwe zakończenie, będące raczéj ucięciem aniżeli zaokrągleniem, nieutrzymanie stylu w całości: oto wady nie dozwalające nam widzieć arcydzieła w utworze Sienkiewicza. Nie jest to jeszcze wielka i pięknie przeprowadzona kompozycya, ale tylko świetnie nieraz wykonane jéj cząstki. Nowellista nie przemienił się jeszcze w doskonałego powieściopisarza, lecz w każdym razie dał dzieło, mogące zająć zaszczytne miejsce obok *Listopada*, *Murdeliona*, *Uskoków*, *Hrabiny Kozel*, *Ostatnich chwil księcia wojewody* i tym podobnych utworów.

Piotr Chmielowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Epopeja rycerska Niemców (Das deutsche Ritterepos), studyum historyczno-literackie T. Jeske-Choińskiego. Warszawa 1884, 8-ka, str. 91.

Studyum p. Choińskiego dotyka materyi u nas bardzo mało znanéj i jest bodaj czy nie pierwszą u nas rozprawą, odnoszącą się do dziejów literatury średniowiecznéj. Autor, niezadowolony z tego, że dzisiejsi giermaniści niemieccy jako należący do stronnictwa postępowego i hołdujący „tak zwanemu liberalizmowi“, „piszą i uczą tendencyjnie“, postanowił dać wierny obraz marzeń, smutków i tęsknot rycerstwa średniowiecznego. Jakże ten obraz wygląda? Trudno odpowiedziéć, ponieważ autor rozproszył się na szczegóły, z których na ów obraz żadne światło wyraźniejsze najczęściéj nie pada. Wprawdzie drobiazgi biograficzne, które zbiera najskrzętniéj, mogą niekiedy tego światła dostarczyć, jeżeli będą odpowiednio wyzyskane; lecz nie rzucą go nagie tytuły i nazwiska, ani informacye metryczne, a tém bardziéj wiadomość o rękopismach, poszukiwaniach, odkryciach i wydaniach. Wszystko to jednak p. Ch. bardzo starannie uwzględnia i gromadzi zarówno w tekście jak i w sutych przypiskach, a jednakże, jak gdyby nie dość było na tém, zagląda np. do Herodota, albo do dawnych Celtów nie tyle po to, żeby scharakteryzować u źródła naturę podań celtyckich, które dostarczyły osnowy dla poetów niemieckich, ile raczéj po to, jakie to były tam rodzaje bardów i jakie ich stanowisko. Uznaje on również za potrzebne zapoznać pokrótce swego czytelnika z historyą języka niemieckiego, z jego ważniejszemi dyalektami, z naturą wiersza starogiermańskiego i z wielu innemi rzeczami, które do zrozumienia charakteru epiki rycerskiéj Niemców nie przyczyniają się zgoła. Całość sprawia wrażenie jakiegoś aglomeratu, zestawionego pośpiesznie z różnorodnych wiadomości, z poza których nie łatwo byłoby doszu-

kać się myśli przewodniéj, gdyby nie wycieczki w sferę kontrowersyj, religijnych i przedmiotów związek z niemi mających.

W jedném tylko miejscu stara się autor głębiéj wniknąć w ducha utworów muzy rycerskiéj, a mianowicie przy rozbiorze „Parsivala" Wolframa z Eschenbachu. W bohaterze tego poematu widzi on świadomie wyrażony ideał rycerza-katolika i być może, że ma słuszność. Szkoda tylko, że autor, który tak chętnie kruszy kopię z uczonymi niemieckimi o różne drobiazgi, nie uznał za właściwe dowieść, iż Wolfram nie był rzeczywiście człowiekiem, prześcigającym wiek swój—jak to utrzymują niektórzy giermaniści, a zatém że był przeciętnym wyobrazicielem doby sobie współczesnéj; szkoda następnie, że pominął milczeniem inne znów twierdzenie giermanistów, wynikające z poprzedniego, jakoby Wolfram, w Parsivalu szczególniéj, okazał tendencye poniekąd heretyckie, a przynajmniéj antipapieskie. Gorliwie zatém obstaje między innemi ten sam San Marte, którego prace nad Wolframem p. Ch. kilkakroć cytuje. Jakkolwiek zresztą rozstrzygnąłby tę kwestyą, nie podobna zgodzić się z nim, że inne poematy rycerskie nie zawierają rysów również charakterystycznych co do nastroju ducha świata rycerskiego. Autor wprawdzie nigdzie tego nie twierdzi, ale upoważnia do takiego wniosku pobieżném traktowaniem innych utworów. „Trystana" Gottfrieda ze Strasburga zbywa streszczeniem i kilku uwagami, z których widać, że mu nie przypadł do smaku. Ale to nie racya, jeżeli rzecz ma być traktowana bezstronnie. Jakiekolwiek pojęcia odzwierciedliły się w tym poemacie, był on zawsze faktem tak dobrym jak i „Parsival" i liczyć się z nim należało poważniéj. Tak samo dorywczo, bez głębszego wniknięcia w istotę rzeczy, zostały podane czytelnikowi utwory Hartmanna von der Aue, nie mówiąc już o Henryku z Veldecke, który jako pierwszy „rycerz-poeta Niemców" zasługiwał bodaj na baczniejsze rozpatrzenie. Nauczyłoby to czytelnika daleko więcéj, niż wycieczka w czasy Ulfili, albo bezskuteczne dociekanie początków rymu, lub wzmianka o bliskiém pokrewieństwie językowém praszczurów Giermanów i Słowian. Reszta poetów-rycerzy została przez p. Ch. albo pominięta, albo ryczałtowo zaliczona w poczet naśladowców tego lub innego koryfeusza epiki rycerskiéj, bez dostatecznego uwydatnienia, na czém mianowicie to ich naśladownictwo polegało. Wprawdzie uprzedza autor, że nie ma zamiaru pisać wyczerpującéj historyi epopei rycerskiéj, chce dać tylko pogląd na jéj rozwój i znaczenie. To najważniejsza, bez kwestyi, szczególniéj dla czytelnika polskiego, któremu o legiony nazwisk bynajmniéj chodzić nie może. Godzi się jednak przypuszczać, że jeżeli pomimo to tuziny drugorzędnych pisarzów zostały wymie-

nione, to zapewne były one do czegoś potrzebne: czy dla okazania rozwoju i znaczenia epopei, czy téż jéj upadku, bo i o nim często autor mówi. Zapewne i dla tego i dla owego, tylko że gołosłowne nazwy, a nawet ogarnirowane pewną ilością dat biograficznych lub bibliograficznych i t. p., nie tłómaczą rozwoju i znaczenia, nie okazują, co przez upadek rozumiéć należy. *E. G.*

Początki arytmetyki. Napisał Michał Berkman. Warszawa 1884. (Biblioteka matematyczno-fizyczna M. A. Baranieckiego z zapomogi kasy pomocy imienia Mianowskiego).

Przed kilku laty zdarzyło nam się czytać kompetentne zdanie jednego z angielskich pedagogów o poglądowym systemacie Pestalozzego przy nauczaniu rachunków (*Intuitive system of Calculation*), który to systemat opracowany został i zastosowany praktycznie przez Hermana Krusi. Zasady te wprowadzono do szkół irlandzkich i przekonano się, że nauka rachunków wlała życie w elementarne nauczanie, jakkolwiek przy niedostatecznie wykształconym nauczycielu wyradzała się w czysty mechanizm. Znaczenie pedagogiczne polega tu przedewszystkiem na tém, iż nauczanie jest od samego początku *poglądowe* i *indukcyjne*, a kiedy na takiéj drodze raz zdobyło się prawdę ogólną i gdy się ją sformułowało, odwraca się wtedy operacyą, postępując *dedukcyjnie*. Następstwem tego jest nietylko wdrożenie w umysłowość uczniów wyrazistego stosunku między liczbami, nietylko bystrość a biegłość w rachowaniu, ale utrzymywanie umysłu wychowańca w zdrowym i umiarkowanym stanie pobudzenia.

„Początki Arytmetyki“ p. Berkmana są właśnie dziełem pomyślaném i szczęśliwie wykonaném, jak najzupełniéj w myśl szkoły Pestalozzego. Jest-to całkowity system nauki rachunków, wiodący dziecię od spostrzeżenia *jedności* wśród *wielu* przedmiotów poprzez pierwsze działania z liczbami całemi, a przytém dający pojęcie o ułamku, kwadracie liczby, mierzeniu i t. d. Jest-to książka wypracowana z przezornością pedagoga doświadczonego, a z sumiennością, świadczącą o nieustającém zamiłowaniu fachu, przez autora uprawianego.

Zasady na których p. Berkman oparł opracowanie „Początków Arytmetyki,“ dadzą się sprowadzić mniéj więcéj do następnych kategoryj:

1. *Pogląd*, to jest wyprowadzenie pojęcia liczb z rzeczy i obrazów rzeczy.

2. Metoda działa tu na umysł *rozwijająco*, albowiem autor za pomocą pytań, właściwie dobranych, pobudza ucznia nieustannie do wynajdywania i kombinowania.

3. Wszelkie *ustne* i *piśmienne* przedstawienie rachunku poprzedzone jest przez odpowiednie *umysłowe procesa*.

4. Nauka rachunku w „Początkach Arytmetyki“ przeprowadzona jest *praktycznie*, albowiem autor stale uwzględnia rzeczywiste miejscowe stosunki życia.

5. W całéj pracy widnieje językowa *jasność*, *zwięzłość* i *ścisłość*, odpowiadająca całkowicie wymogom nauczania matematycznego.

Od poglądowości nie odstępuje autor nigdzie, zarówno kiedy ustala pierwsze pojęcia liczb (str. 1—44), jako téż gdy naucza czterech działań (str. 110—141) i ilustruje zadania obrazowo, lub naucza co to jest kwadrat i liczba kwadratowa (str. 45), albo zręcznie wsuwa pojęcie sześcianu (str. 174), oraz rozwija naukę mierzenia ciężaru (str. 138).

Pytania często są tu wprawdzie tak postawione, iż odpowiedź ucznia jest tylko po prostu powtórzeniem tego, co powiedział nauczyciel; ale i to ma swoję wartość, jeśli wykład nauczyciela jest dobry, a trzeba wyznać, że stawianie wielkiéj ilości pytań nie jest sprawą łatwą do przeprowadzenia w książce. Sądzimy, iż uczeń, niemający pojęcia o ilości *trzy*, nie odpowie na pytanie: „Piotruś za kajet zapłacił *jeden* złoty a za książkę *dwa* złote. Co Piotruś zapłacił razem za kajet i książkę?“ (str. 10). Ale p. Berkman wiedział, iż poprzednio (str. 9) ustalił pojęcie *trzech*, więc miał prawo postawić powyższe pytanie. To samo zaś można zastosować do pytania: „Oleś miał *trzy* piłki, dwie podarował siostrze. Co Olesiowi pozostało?“ Pytania te i inne tego rodzaju są to właściwie maleńkie zadania, za pomocą których autor pragnie włożyć uczniów w pamięciowe przerabianie rachunków. W ten sposób arytmetyka przestaje być ową rutyniczną dyscypliną, która się nie obchodzi bez tablicy i kajetu, a staje się istotnie rozwijającą umysł czynnością.

Zanim się w książce p. Berkmana doszło do wzoru: $4 + 2 = 6$ (str. 55), to uprzednio widzieliśmy jak najkonsekwentniejsze ku temu przygotowanie malca. Uczeń widział tu bowiem w różnych stadyach swéj nauki na kropkach wyrażoną liczbę cztery i liczbę dwa, przejął na umysłową własność każdą z nich oddzielnie, w dodaniu zaś obu tych liczb znalazł znaną téż sobie liczbę sześć. Obecnie zamiast kropek podstawił tylko symbole, a i wtedy jeszcze musiał na obraz patrzéć i z obrazu istotnego wzór symbolizować. Znaki zaś takie jak: $+$, $=$ zalecił nauczyciel uczniowi podstawić zamiast *i* oraz *jest*.

Nauczając dzieci rachunków, p. Berkman pozostaje w rzeczywistym świecie dziecięcym, nie wyrywa się z niego w sfery nieprzystępne dla dziecka. Jako praktyczny pedagog rozmawia chętnie o „grzędach w ogrodzie“ (str. 44), o „jabłkach Stasia i Olesia“ (str. 48), z „Wojciechem drwalem zaznacza kredą na ścianie przywiezione z lasu fury drzewa opałowego“ (str. 52), „przypina z Franusiem dziesięć guziczków na pasku“ (str. 66). A z tych ważnych zajęć wyprowadza on z mrówczą zabiegłością jednę po drugiéj prawdę. Widzimy prawie, jak codzień, co chwila mężnieją umysły dzieci i przygotowują się do polotu w szerszy świat prawd. To téż pedagog stopniowo wytwarza trudności coraz większe, owe—że tak powiemy—pożyteczne umysłowe przykrości, które, gdy zostaną pokonane i przeniesione, zamieniają się na intelektualną przyjemność. W następstwie obliczają już uczniowie „ilość wody, wypływającéj siedmiu rurami ze zbiornika“ (str. 217), lub rachują „ile drogi zrobił dyrektor czterech fabryk połączonych centralnie koleją żelazną z miastem M., gdzie przemieszkiwał“ (str. 221).

Nareszcie, co się tyczy ostatniego punktu, nie zauważyliśmy prawie nigdzie, aby p. Berkman popuszczał zbytecznie lejce gadatliwości. Autor „Początków Arytmetyki“ należy niewątpliwie do ludzi bardzo dbałych o czystość i poprawność polszczyzny, co jest naturalnie tém bardziéj pożądane, iż książka ma na celu nauczanie elementarne.

Sądzimy, iż mniéj będzie skarg na niezdolność uczniów do matematyki w średnich zakładach naukowych, jeżeli na stopniu elementarnym podręcznik p. Berkmana lub jemu podobny zastosowanym zostanie. *Ad. Dyg.*

Zasady algebry wyższéj przez dr. Władysława Zajączkowskiego, profesora matematyki w szkole politechnicznéj we Lwowie i t. d. Lwów 1884, 8-ka większa, str. XII, 286, nakładem księgarni Gubrynowicza i Szmidta.

Autor, pisząc tę książkę, miał głównie na widoku młodzież, rozpoczynającą studya w szkole politechnicznéj. Dlatego choć ona poświęcona jest przeważnie wykładowi algiebry wyższéj, to jednak autor podał i rozwinął szczegółowiéj niektóre części, jako wstęp do dalszych działów matematyki (głównie do gieometryi analitycznéj). Dzieło to powstało z wykładów, przez autora prowadzonych. Dlatego rozkład treści i uwzględnienie pewnych teoryj podyktowały mu względy praktyczne. To właśnie, tak cenne w kursach wyższéj matematyki, powstanie dzieła nie w gabinecie, lecz pod wpływem żywych zajęć wykładowych przebija się w tém dziele między innemi

w opatrzeniu samego wykładu trafnymi przykładami, jakoteż w podaniu sporego zapasu ćwiczeń, które czytelnikowi przedstawią możność sprawdzenia, czy teoryą należycie już posiadł, a także zachęcą go do dalszéj pracy nad poruszonemi zagadnieniami.

Prof. Zajączkowski tak w „Wykładzie nauki o równaniach różniczkowych“, wydanéj w Paryżu w r. 1877, jak i w „Gieometryi analitycznéj“, ogłoszonéj w r. b. w Warszawie, w wydawanéj z zapomogi Kasy pomocy naukowéj *Bib. Mat.* wniósł do naszéj literatury naukowéj wyniki najnowszych badań w odpowiednich gałęziach. Tęż samę cechę posiadają i „Zasady algiebry wyższéj.“ Z takich rzeczy zaznaczymy tu wyłożenie nauki o równaniach Abel'owych, badanie funkcyj algiebraicznych uwikłanych, zwięzłe przedstawienie teoryi form kwadratowych.

Całość dzieła rozpada się na trzy części. Pierwsza o działaniach i funkcyach algiebraicznych, druga o rozwiązywaniu równań algiebraicznych, trzecia o wyznacznikach i ich zastosowaniach algiebraicznych. W każdym z tych działów autor umiał zgrupować w całość ściśle związaną najważniejsze teorye i metody. Znajdujemy tylko przy roztrząsaniu pierwiastków równania stopnia trzeciego nieuwzględnienie ważnéj co do tego pracy, ogłoszonéj przed kilku laty w dzienniku matematycznym Liouville'a. Wzmiankowane powiązanie różnych poruszonych kwestyj w całość systematyczną, wprowadzenie przytém koniecznych uzupełnień, przedstawiało poważną pracę, któréj autor się podjął w imię korzyści słuchaczów swoich i czytelników. Takie opracowania nietylko że przyczyniają się do gruntownego przyswojenia sobie prawd wyłożonych, lecz zachęcić mogą czytających do zamiłowania teoryj matematycznych, które tak niewielu mają dotąd u nas poważnych zwolenników.

M. A. B.

= **Z chwil wolnych.** *Wiązanka prac literackich* (Warsz. 1884, str. 170). Pomawiają młodzież dzisiejszą, iż zrzekłszy się czci dla ideału i starania o jego osiągnięcie, poziomo patrzy na zadania życia i dąży tylko do zrobienia karyery. Zdaje się wszakże, iż taki sąd ogólnikowy jest zupełnie nieuzasadniony, a więc niesprawiedliwy. Jak dawniéj, tak i obecnie są wśród pokolenia dojrzewającego różnorodne usposobienia i różnorodne poglądy, że zatém ogólnikowego o niém zdania wypowiadać nie godzi się. Obok takich, co dbają jedynie o zaspokojenie pragnień samolubnych są tacy, co równie szczerze i gorąco jak dawniéj pracują dla wyższych i szerszych, ogólniejszych celów. Ideały ich różnią się, bo się z natury samego rozwoju faktów

i stosunków różnić muszą, ale ideałami przecież być nie przestają. Mogą się one nie podobać tym, co do dawnych form nałogowo się wdrożyli, lecz rozważane bezstronnie uznanie znaleść winny. Mamy właśnie przed sobą zbiorek utworów młodzieży uniwersyteckiéj z najmłodszego pokolenia i widzimy w nim téż szlachetne i podniosłe uczucia, jakie ożywiały studentów, co śpiewali „odę do młodości.“ Miłość dla ludu i wogóle dla biednych i uciśnionych, zwracanie uwagi na ich dolę, budzenie sympatyi dla ich nieszczęść, bez sielankowego przecież ukrywania ich słabości lub idealizowania narowów, tętnią w twórczości dzisiejszego pokolenia tak samo jak u romantyków. Jedna atoli różnica w poglądach wydatnieje bezsprzecznie. Mistycznych pojęć, jako potęgi kierującéj ludźmi i mającéj ich uszczęśliwić nie uznają dziś młodzi, ufając więcéj rozumowi i wiedzy. Na wezwanie do porzucenia mozołów, jakie dla zdobycia wiedzy ponieść potrzeba, odpowiada p. Karol Sosnowski:

My uciech życia nie zwiemy rozkoszą,
Bo one innych okupione łzami,
Gdyż dziś wzgardzeni dłonie w górę wznoszą,
Zachęty żebrząc do życia wraz z nami.
Więc kto drżeń życia nie składa na mary,
Niech kroczy dumnie po wiedzy promienie,
Gdy one trysną, rozpierzchną się cienie,
Bo zbroją piersi dziś—ducha sztandary.
Stwarzajmy cuda wśród wiedzy błękitu;
Aż do poranka promiennego świtu.
Gdy błyśnie, oko i skroń wzniesiem dumnie;
Pomroki cienia w zgniléj spoczną trumnie.

Mimo téj czci dla rozumu i wiedzy, nie lekceważą młodzi uczucia jako dźwigni czynów a zarazem ich nagrody. Tenże sam poeta, gdy napomnienia ludzi praktycznych doradzają mu unikać „burzą wrzących fal,“ pogardzać marzeniami, nie snuć dum o lepszéj doli; odpowiada, że on nie chce wprawdzie „roztaczać smętnych skarg,“ ale uczuć szlachetnych pozbyć się nie myśli:

Lecz nie porzucę stromych gór,
Ja chcę dosięgnąć słońca!
Czyż mogą wstrzymać wiry chmur
Chciwego czynów gońca?
Bo kto w rozkwicie młodych lat
Chłód serca sieje wszędzie,
Kto nie wre życiem, wchodząc w świat,
Ten późniéj pełzać będzie.

Wie on, że na ziemi więcéj cierpień niż błogości, ale nie traci ducha, zagrzewa do wzbudzenia w sobie hartu, wierzy w lepszą dolę, zbyt może lekceważy potęgę dawnych bogów („Z tryumfów myśli“), którzy przecież bezmyślni nie byli, ale nie robi tego, jak się zdaje, w celu urągania im, tylko dla ułatwienia drogi kultowi nowemu. Dola biednych jest treścią kilku utworów. P. Sosnowski pisze o biedzie wieśniaka, który dla pochowania syna musiał sprzedać krowę i tym sposobem ogłodzić rodzinę, i o egoizmie księdza, który, dobrze jedząc i pijąc, nie chciał dla chłopa odstąpić od taksy pogrzebowéj, jaką sam sobie oznaczył. Roman Lech w powiastce „Żywe zabawki“ opowiada o losie dzieci pisarza prowentowego, wziętych litościwie a opiekę przez pana. Gdy dziewczyna dorosła, panicz ją zhańbił, a dla odsunięcia jéj brata, wysłał go w nocy podczas burzy do miasteczka po odebranie... nie zostawionych na poczcie papierów. Poczém okulały wskutek spadnięcia z konia brat i zhańbiona siostra wypędzeni zostali z dworu. P. Aleksander Chomiński w obrazku dramatycznym „Na własność“ maluje rozpaczliwe usposobienie dziewczyny uwiedzionéj przez hrabiego, ktory ożeniwszy się i będąc bezdzietnym przychodzi wraz z żoną do jéj mieszkania, sprowadzony ogłoszeniem, iż tu dostać można dziecko na własność.—Oto są temata obrabiane głównie w zbiorku „Z chwil wolnych;“ wskazują one nastrój i dążności młodzieży. Obok nich są i inne, psychologiczne i czysto-artystyczne. Do pierwszych policzyć można obrazek p. Chomińskiego p. n. „Dwa wieńce,“ gdzie autor przedstawia uczucia wdowy i kochanki, które równocześnie przyszły złożyć wieńce na grobie człowieka przez siebie kochanego wśród tak odmiennych, tak wzajem przeciwnych warunków. Do czysto-artystycznych należy znaczna część wierszy Miriama (p. Zenona Przesmyckiego), a mianowicie: „W Pieninach,“ „Noc na Sokolicy,“ „Na Dunajcu,“ „Czorsztyn,“ „Wieczory w górach.“ Są wreszcie w zbiorku tłómaczenia pieśni poetów zachodnio-słowiańskich. P. Sosnowski przełożył z łużyckiego parę utworów Zejlera, Ciszińskiego, Kósyka, a Miriam dał przekład dwu poematów Vrchlickiego: „Satanella“ i „Pokuta Don Juana,“ wierszem miarowym. Tłómaczenia te mają głównie wartość jako zaznajomienie z twórczością naszych pobratymców.—Co do sposobu wykonania utworów, to wiersze po większéj części odznaczają się znaczném wyrobieniem formy, przenośnie atoli niezawsze wytrzymują krytykę, a powtarzanie téj saméj myśli różnemi słowami, czyli rozwlekłość, dość często się w nich napotyka. Proza wogóle jest mniéj zadawalniająca; niéma w niéj wprawdzie wielkich wykroczeń przeciw gramatyce i stylistyce, ale w obrobieniu powiastek znać pewien pośpiech, a nadto są naciągane sytuacye, niewłaściwe, bo nie w miej-

scu, żarty, przesadnie wyrażone uczucia i tym podobne wady właściwe utworom młodzieńczym.

= **Uebersicht der slavischen Sprachenwelt im Zusammenhange mit den andern arioeuropäischen Sprachen.** *Antrittsvorlesung von Dr. J. Baudouin de Courtenay* (Lipsk, 1884, str. 21). Jestto lekcya wstępna naszego językoznawcy miana w Dorpacie, dokąd go senat akademicki powołał dla objęcia katedry gramatyki porównawczéj języków słowiańskich. Podawszy w krótkich słowach pojęcie o językach aryoeuropejskich i wyliczywszy słowiańskie, wypowiada pogląd, iż ściślejsze określenie stosunku bliższego pokrewieństwa tychże z którymkolwiek aryoeuropejskim, na dziś jest niemożliwe, że zatém zazwyczaj przypuszczane bliższe powinowactwo języków słowiańskich z giermańskiemi uważać trzeba za urojenie. Następnie wykazuje, iż dotychczasowe próby tak zwanéj gienetycznéj klasyfikacyi samych języków słowiańskich nie doprowadziły do żadnego ściśle naukowego wyniku, i dlatego radzi ich zaniechać, a natomiast zadowolnić się dokładną charakterystyką języków poszczególnych i rodzin języków, oraz okresów przejściowych od dawniejszych stadyów języka do nowszych. W dalszym ciągu powiada, że charakterystyka języków powinnaby się opierać na pochwyceniu ogólnych rysów morfologicznych (tj. odnoszących się do formy) i semazyologicznych (tj. odnoszących się do treści, do znaczenia wyrazów). Nie przedstawiając takiéj charakterystyki języków słowiańskich, p. Baudouin przykładowo tylko podaje parę szczegółów. W przejściu od okresu pra-aryoeuropejskiego do pra-słowiańskiego nastąpiło przeniesienie czynności organów mówczych od tyłu ku przodowi, od krtani ku końcowi języka. Stąd wynikła np. utrata spółgłosek przydechowych (kh, ph, th), które przeszły na tak zwane słabe (g, b, d) wskutek czego jeden z odcieni głosowych, krtanią wydawanych, ulotnił się. Z tegoż powodu spółgłoski gardłowe uległy zmianie, a niektóre zastąpione zostały przez *s*, z. W rozwoju dalszym języków słowiańskich widać spotęgowanie przemian dopiero co wspomnianych. Drugą cechą okresu przejściowego od pra-aryoeuropejskiego do pra słowiańskiego stanu jest przemiana wszystkich zgłosek zakrytych na otwarte, co się w większéj części dokonało przez opuszczenie spółgłosek będących na końcu zgłosek. Z tém zjawiskiem pozostaje w związku ta okoliczność, że przy przejściu od stanu aryoeuropejskiego do słowiańskiego znaczna liczba spółgłoskowych elementów znikła, gdy tymczasem przy przejściu od stanu pra-słowiańskiego do języków słowiańskich nowszych zauważyć można głównie znikanie elementów samogłoskowych, spółgłoskowych zaś tylko w części. Mówi następnie p. Baudouin o wytworzeniu się języków literackich

w Słowiańszczyznie, i zlekka, bardzo ostrożnie dotyka kwestyi, czy który język słowiański stanie się mową używaną w stosunkach międzynarodowych. Wreszcie określa znaczenie języka starosłowiańskiego, wypowiadając myśl, że gruntowne poznanie języków nowszych, żyjących a więc mogących być wszechstronnie badanemi, daleko większe rzuca światło na różne strony życia mowy, aniżeli studyowanie języka istniejącego już tylko na piśmie. W zakończeniu stanowczo protestuje przeciw naginaniu umiejętności do celów ubocznych, piętnując postępowanie takie mianem „prostytucyi nauki“ i zapowiada, że szerzyć zamierza tylko „czystą, szlachetną, kosmopolityczną wiedzę.“

= Od 1 kwietnia wychodzi w Warszawie nowy (trzeci z rzędu) tygodnik dla kobiet p. n. **„Świt“** a pod redakcyą znanéj zaszczytnie poetki, p. Maryi Konopnickiéj. Z czterech dotychczas wyszłych numerów trudno wyrobić sobie zdanie o wartości i doniosłości nowego organu, jeżeli ktoś nie jest zgóry źle lub dobrze dla pisma nowego uprzedzony. Każdy numer składa się z dwu części: głównéj (literackiéj) i dodatkowéj (zawierającéj mody, przepisy gospodarstwa domowego dotyczące, także powieść tłómaczoną). Obie te części zewnętrznie nawet od siebie są oddzielone, gdyż każda mieści się na oddzielnym arkuszu. Redakcya zapowiada, że oprócz wzorów mód sprowadzanych z zagranicy podawać będzie wzory „ubrań tanich, skromnych, przyzwoitych, a obliczonych na potrzeby kobiet niezamożnych.“ W części literackiéj są artykuły wstępne, roztrząsające, trochę za mglisto, kwestyą kobiecą, są feljetony przezwane „Rachunkami,“ są korespondencye, jak dotąd, z Czech przez Krasnohorską, z Paryża przez Aëra, są sprawozdania z ruchu w dziedzinie wyższéj nauki kobiecéj p. n. „Studentki-Polki.“ Obok tych do pewnego stopnia stałych rubryk, jest powieść p. Orzeszkowéj p. n. „Romanowa“, są wiersze p. Konopnickiéj i Lenartowicza, jest wstęp do pogadanek higienicznych przez p. Ciszkiewiczową, jest artykuł pedagogiczny p. Adolfa Dygasińskiego, są „wskazówki krajoznawcze“ bardzo przystępnie przez p. Sulimierskiego podawane. Z prac literackich obszerniejszego zakresu wymienić należy piękny artykuł p. Józefa Tretiaka p. n. „Tragiczność w życiu Zygmunta Krasińskiego,“ a daléj szkic literacki Piotra Chmielowskiego p. n. „Elżbieta z hr. Krasińskich Jaraczewska. W 4-ym numerze pomieszczono ładny drzeworyt „W gaju“ i *mniéj* potrzebny artykulik *Minusa* p. n. „Dwie Sylwetki.“

= **We wrocławskiem muzeum starożytności szląskich** miał dnia 25 lutego b. r. dr. Nehring, profesor słowiańskich języków przy tamtejszéj wszechnicy, rzecz o słowiańskich nazwach miejscowości i mó-

wił na wstępie o błędném tłómaczeniu sobie tychże nazw, poczém wziąwszy za podstawę odnośne badania prof. Miklosicza, wywiódł zasady, według których starych słowiańskich nazw pochodzenie uzasadniać i tłómaczyć należy i podniósł tę okoliczność, że pierwiastkiem rzeczonych nazw jest zwykle imię własne jakiéj osoby, lub téż *appellativum*. Obie te kategorye podzielił prelegent na dwie grupy: I *a*) *Patronymica* z końcówką *-wice* albo *-ice*, lub téż *b*) na nazwy, w których się znaczenie dzierżawcze uwydatnia, z końcówką *-ów*, albo téż na nazwy: II *a*) wskazujące na mieszkańców lub oznaczające mieszkańców zajęcie lub téż charakteryzujące ich ze względu na miejscowość, jaką zamieszkują (np. Zalesianie); nareszcie *b*) na nazwy miejscowości oznaczające jakość ziemi, na któréj je wzniesiono, czasem odnoszące się do rzeki, strumyka, ruczaju, nad którym leżą. Jakkolwiek w językach słowiańskich tylko pierwsza grupa na *-wice* (a czasem na *-ice*) się kończy, to wkradła się jednak przy zamianie słowiańskich tych nazw na formy niemieckie końcówka *witz* i do trzech innych grup, niejednokrotnie błędnie z łacińskiém *vicus*, dolno-niemieckiém *weik*, słowiańskiém *weś* zestawiana. Prelegent przytaczał ze wszystkich grup dziś na Szląsku używane odnośne nazwiska z końcówką *-witz*, a prostując je na fundamencie źródłowo uzasadnionych form, uzupełniał i objaśniał rzecz krótkiemi uwagami.

— Na posiedzeniu członków towarzystwa **starożytności szląskich** d. 3 marca odbytém, przedłożył p. Schickfuss zgromadzeniu kolekcyą okazów archeologicznych z czasów przedhistorycznych, na terytoryum włości Trebnik, miejscu w zabytki z czasów pogańskich bardzo obfitém, znalezionych; poczém dyrektor dr. Luchs, archeolog szląski, pokazał pozytywkę z roku 1657, któréj skład i wewnętrzne urządzenie dyrektor muzyki prof. Schneider objaśnił i uzasadnił. W końcu zwrócił dr. Luchs uwagę obecnych na znakomity zbiór rzeczy bronzowych, znalezionych w Karminie pod Miliczem, a przez tamecznego dziedzica muzeum ofiarowanych. Prócz licznych siekier, sierpów i dużych pierścieni, oglądano z niemałą ciekawością do rzeczonego zbioru należące mniejsze, 1½ centimetra średnicy mające pierścienie, płaskie i wcale jeszcze nieużywane. Jest ich 4½ funta w 650 sztukach. Zgodzono się téż na to, że służyć one czasu swego miały na poszycie skórzanego kaftana, a więc na zrobienie pancerza, a raczéj dwóch pancerzy. Zabytek ten jest jedynym w swoim rodzaju, i pochodzi najprawdopodobniéj z IX wieku.

— Z dniem 12 listopada z. r. rozpoczęła pod opieką Towarzystwa sekcya filozoficzno-historyczna z nowa swe czynności, licząc 11-tu członków. Oprócz posiedzenia przedwstępnego, odbyła sek-

cya 10 posiedzeń zwyczajnych, na których w formie tygodniowych odczytów zajmowali się *interpretacyami XII księgi Długosza członkowie* Leon Kasyna, Jan Rowecki, Hip. Nowicki, Jan Rakowski. Miecz. Dekowski i Miecz. Łukowicz. Nadto odczytał członek Ig. Klatecki rzecz: „Rozbiór listu dedykacyjnego do Zbigniewa Oleśnickiego", który-to list Jan Długosz—jak wiadomo—na początku swéj historyi polskiéj umieścił. Członek zaś Bron. Kąsinowski wygłosił odczyt: „Sprowadzenie Jadwigi do Polski i sprawa jéj zamęścia z Władysławem Jagiełłą, według podań Długosza" i referat z rozprawy Hoszowskiego: „Wiadomości historyczno-prawnicze w przedmiocie rzeczy menniczéj w dawnéj Polsce."

— Dr. Gruenhagen, radca-archiwaryusz, profesor wszechnicy wrocławskiéj i długoletni prezes towarzystwa „*Verein fuer Geschichte und Alterthum Schlesiens*" pracuje obecnie nad historyą Szląska i już dotąd trzy poszyty takowéj wydał, dobiegłszy aż do wojen husyckich. Całe dzieło będzie 10 do 12 poszytów w dwóch tomach obejmowało.

Kronika nekrologiczna z ubiegłego miesiąca.

† **Antoni Bronikowski** ur. 1817 r. w Golejewku, w W. Ks. Poznańskiém, gdzie skończywszy szkoły, udał się na uniwersytet do Wrocławia. Idąc za ogólnym prądem próbował najprzód sił swoich w poezyi („Kwiatek Wielkopolski", „Moje marzenia"), ale potém oddał się całkowicie studyom klasycznym. Doktoryzacyjna jego rozprawa (r. 1842) dotyczyła specyalnych kwestyj filologicznych w tragiedyi Sofoklesa „Trachinki." Od r. 1857 kiedy ogłosił przekład polski dyalogu Ksenofonta p. n. „Ekonomik" rozpoczął Bronikowski szereg tłómaczeń z języka greckiego w tém przekonaniu, że jedynie znajomość arcydzieł literatury Hellenów może wyrobić zdrowy, czysty smak estetyczny i odwieść od płytkiéj wodnistości, jaką w spółczesnych płodach polskich potępiał. Był on najwytrwalszym bojownikiem w sprawie studyów klasycznych nie za pośrednictwem polemiki, ale przez dostarczanie ogółowi arcydzieł greckich w wierném odwzorowaniu. Ta wierność, nieraz zbyt daleko posunięta, sprawiała, że zawilszym stylem pisane utwory greckie nie mogły być łatwo zrozumiałemi w jego przekładach, co wywoływało krytykę. Nie zrażał się nią, ale pracował wytrwale, przezwyciężając, jak mógł, trudności wydawnicze. Ogłosił całkowity przekład „Odysei", historyi Herodota i Tucydydesa; znaczną część dyalogów Platona

(2 tomy) oraz niektóre pisma Ksenofonta i Plutarcha. Umarł 7-go kwietnia w Ostrowie, gdzie przez długie lata był nauczycielem.

† **Aleksander Bojarski** ur. 1834 odbywszy studya prawno-polityczne habilitował się w uniwersytecie Jagiellońskim r. 1861, a postępując w zawodzie naukowym został w końcu profesorem zwyczajnym i członkiem Akademii umiejętności. Główniejsze jego rozprawy są: „Rzecz o projekcie nowéj ustawy karnéj“ (Kraków 1867); „O sądach przysięgłych z uwzględnieniem projektu nowéj ustawy o postępowaniu karném dla nie-węgierskich krajów państwa austryackiego“ (Krak. 1868); „Zasady nauki o poczytaniu“ (Krak. 1872); „Dwa zabytki polskiego sądownictwa karnego z wieku XVI“ (Kraków 1874); „Zbiór ustaw w sprawach karnych“ (2 części, r. 1876, Kraków). Umarł w Krakowie 19 kwietnia.

† **Roman Maurer** ur. 1852 z biednych rodziców, od roku 1871 kształcił się we Lwowie; studya historyczne odbywał pod kierownictwem prof. Ksawerego Liskego; należał do najgorliwszych, najpracowitszych jego uczniów; poświęcał się głównie dyplomatyce i paleografii. W r. 1875 uzupełniał swą wiedzę w uniwersytecie berlińskim pod przewodnictwem prof. Breslauera i Wattenbacha. Tu przygotował swą rozprawę doktoryzacyjną p. n. „Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły,“ drukowaną w *Bibliotece Warszawskiéj* r. 1877. Zostawszy w r. 1879 zastępcą nauczyciela gimnazyalnego w Brodach, ogłosił tamże r. 1881 drugą pracę będącą dalszym ciągiem pierwszéj p. n. „Urzędnicy kancelaryjni królów polskich z lat 1434—1506“, a w r. 1883 rozprawę, która miała za przedmiot „Urzędników kancelaryjnych książąt i królów polskich aż do r. 1386.“ Prócz tego wydał: „Daty do dziejów Odrowążów szląskich“ i „Stanislaus Ciołek, Vicekanzler von Polen und Bischof von Posen.“ Nadto prace krytyczne pomieszczał w „Przewodniku naukowym i literackim.“ Umarł dnia 19-go marca pracując nad konkursową pracą: „Regesta dokumentów książąt i królów polskich do r. 1506.“

† **Stefania Chłędowska**, żona literata i publicysty Kazimierza, zmarła w młodym wieku we Lwowie. Znaną była z drobnych szkiców powieściowych, które podpisywała literami *Z. D.* Drukowała je „Gazeta Lwowska“ a z niéj w części „Gazeta Polska.“ Wymienić z pomiędzy nich można „Bażanty Julka“, a zwlaszcza „Z historyi niebohaterów.“

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Kwietnia 1884 r.

---

1. **Uebersicht der Slavischen Sprachenwelt** im Zusammenhange mit den anderen Arioeuropäischen (indogermanischen) Sprachen. Antrittsvorlesung gehalten an der universität Dorpat am 6/18 september 1883 von *Dr. J. Baudouin de Courtenay*, professor der vergleichenden Grammatik der Slavischen Sprachen. Leipzig. 1884. str. 21.
2. **Przyczyny powstawania różnych płci u człowieka i zwierząt** wykład popularny przedstawił *Józef Nusbaum.* Warszawa Lesman i Świszczowski 1884, (8-o str. 27 Cena kop. 20).
3. **Sprawozdanie drugie** z czynności komitetu zarządzającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra medycyny Józefa Mianowskiego za rok 1883. Warszawa 1884.
4. **Zasady nauki o usiłowaniu przestępstw** przez *d-ra Edmunda Krzymuskiego* docenta Uniw. Jagiell. Warszawa, 1884 (str. 176).
5. **Andrej Fricz Modrzewskij** polskij politiczeskij pisatel epochi reformacyi napisał *Edmund Dylewskij*—student Juridiczeskago fakulteta. Czast' 1. Warszawa. 1883 r. (str. 158 i LXVI) Cena rs. 1 kop. 50.
6. **Obrazy i studya historyczne** skreślone przez *Maryan Dubieckiego* Serya 1-a. Warszawa, 1884 u Gebethnera i Wolffa (str. 287).
7. **Sprawozdanie z czynności towarzystwa przyjaciół nauk Poznańskiego** z r. 1883.—Poznań 1884 str. 115.
8. **Rocznik Pedagogiczny.** Przegląd postępów w dziedzinie wychowania i nauczania, wydawany staraniem i pod redakcyą *S. Dicksteina* przy współudziale wielu pedagogów. Tom II. 1882—3 (Wydanie z zapomogi Kasy Pomocy Naukowéj). Warszawa. 1884, str. X, 470.
9. **Z chwil wolnych.** Wiązanka prac literackich. Warszawa 1884, str. 170 (Dochód czysty z rozprzedaży przeznaczony na rzecz niezamożnych studentów uniwersytetu).
10. **Ziarnko Soli.** Pogadanka Przyrodnicza (z 9-ma drzeworytami). Warszawa. 1884, str. 55 Jest to czwarty tomik „Książeczek dziesięciogroszowych").
